

René Rémond

# FRANCUSKA PRAWICA DZISIAJ

Tłumaczenie: Marian Miszalski

Wstęp i opracowanie: Kazimierz M. Ujazdowski

Louisowi Audibertowi

## Spis treści

Wstęp.....	4
Od tłumacza.....	10
Rozdział I. Historia pewnej książki.....	11
Narodziny.....	11
Przyjęcie.....	17
Kontrowersje.....	23
Rozdział II. Czy podział na prawicę i lewicę ma jeszcze sens?.....	37
Tradycyjne kryteria poddane próbie.....	37
Nowe przyczyny podziału.....	49
Podział prawica–lewica wobec nowych sił.....	57
W poszukiwaniu nowych punktów odniesienia: raczej wartości niż idee?.....	64
Rozdział III. Ile jest dzisiaj prawic?.....	78
Co stało się z trójpodziałem?.....	78
Prawica kontrrewolucyjna.....	83
Prawica liberalna.....	94
Gaullizm.....	111
Nowe prawice?.....	144
Skrajna prawica.....	168
Konkluzja. Czy podział prawica–lewica ma przyszłość?.....	182
Przypisy.....	185

## Wstęp

Teza, że polityka jest dziedziną, w której rządzą idee, nie cieszy się szerokim uznaniem. Dla tych którzy pomimo klęski marksizmu nadal reprezentują ekonomistyczny punkt widzenia, strefa zjawisk politycznych jest obszarem pozbawionym autonomii i zależnym nie od ideowych wyborów, lecz od rozkładu sił społecznych. Coraz częściej postrzega się ją również jako sferę medialnego i marketingowego przedstawienia, w której poglądy oraz idee odgrywają rolę wtórną, jako kostiumy zmieniane po to, by skutecznie zdobywać poparcie elektoratu. W polityce nowych dynamicznych liderów takich jak prezydent Nicolas Sarkozy widzi się przede wszystkim atrakcyjną osobowość, styl i nowe metody komunikacji ze społeczeństwem. Francja – kraj o wielkich tradycjach demokratycznych i względnie niewielkiej trwałości struktur partyjnych obfitujący w silne polityczne osobowości – mogłaby się wydawać wymownym przykładem potwierdzającym przekonanie o niewielkiej roli idei w polityce.

Tymczasem głośna książka niedawno zmarłego wybitnego francuskiego politologa René Rémonda kwestionuje to przekonanie. Autor, będąc wytrawnym znawcą realnej polityki, aktywności partii i zachowań elektoratu, twierdzi, że prawdziwym motorem procesów politycznych są idee zgromadzone w rodzinach i tradycjach. Zdaniem René Rémonda taki stan rzeczy jest konsekwencją faktu, że polityka jest dziełem wolnych ludzi: „Sądziłem, że polityka stanowi pewien porządek, pewien obszar działania mający własną treść i cechujący się pewną autonomiczną wobec wszelkich zewnętrznych uwarunkowań oraz wobec przymusów wynikających ze stanu gospodarki lub sytuacji społecznej. Jednocześnie moje przekonanie (wynikające z dość optymistycznej wizji ludzkiej natury, współbrzmiejącej z antropologią wyprowadzoną z odniesienia do chrześcijaństwa), że decyzje ludzi nie są wyłącznie funkcją ich materialnych interesów, gdyż są oni zdolni także do wyborów bezinteresownych, a nawet do szlachetnych uczuć – znajdowało pewne potwierdzenie empiryczne w pracach nad socjologią wyborczą”.

Książka poświęcona prawicy, a właściwie prawicom we Francji, ukazała się po raz pierwszy w roku 1954 i miała od tej pory kilkanaście wydań. Był to naukowy debiut René Rémonda, który z czasem stał się jednym z najważniejszych politologów francuskich, kierował Narodową Fundacją Nauk Politycznych i został przyjęty w skład Akademii Francuskiej. Bibliografia jego prac jest doprawdy imponująca; zawiera książki i artykuły poświęcone polityce francuskiej XIX i XX wieku, roli chrześcijaństwa w życiu społecznym

i publicznym, ustrojowi USA i wielu innym kwestiom. Trudno zrozumieć, dlaczego dotychczas żadnej z jego książek nie udostępniono polskiemu czytelnikowi.

Mamy zatem polską edycję kanonicznej pozycji francuskiej politologii i historii myśli politycznej; nikt, kto zajmuje się historią prawicy nad Sekwaną, nie może pominąć tej pracy. Dodatkowymi walorami wydania, które oddajemy w ręce czytelnika, jest aktualność – ramy czasowe sięgają roku 2002, w którym doszło do druzgocącego zwycięstwa Chiraca nad Le Penem w drugiej turze wyborów prezydenckich i do zjednoczenia nurtów prawicy w UMP – oraz wędrówka w czasie, w którą zabiera nas autor, przypominając, w jakim momencie i w jakiej atmosferze powstawała książka. W latach pięćdziesiątych zajmowanie się prawicą uchodziło we Francji za zajęcie niegodne nauki, a samą prawicę kwalifikowano jako zjawisko skrajne, nieodległe od faszyzmu. Wybór takiego tematu wymagał zatem odwagi twórczej i pokonania tego, co dziś określamy mianem politycznej poprawności. René Rémond wspomina, że przedmiot jego pracy był do tego stopnia niewygodny, że nie mógł być tematem rozprawy doktorskiej. Atmosfera dominacji marksizmu może wydawać się współczesnemu czytelnikowi całkowicie egzotyczna, ale w tamtych czasach miała zasadniczy wpływ na kształt debaty publicznej w wielu krajach europejskich.

Zasadnicza teza René Rémonda mówi o istnieniu wyraźnego uniwersalnego podziału na prawicę i lewicę oraz o egzystencji trzech nurtów prawicy od Rewolucji Francuskiej aż po czasy nam współczesne. Raymond Aron, który wysoko oceniał książkę Rémonda, wśród jej zalet wymieniał przede wszystkim zerwanie z dwudzielnym obrazem politycznych stosunków (jednolita prawica naprzeciwko lewicy bez wewnętrznych różnic) i dostrzeżenie wielości tradycji ideowych prawicy oraz ich ewolucji. „Jestem zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich monistycznych systemów wyjaśniania rzeczywistości, bez względu na to, co uznają za naczelną zasadę, której wszystko podlega: materii czy walk klas, władzę pieniądza czy dążenie zorganizowanych grup synarchii, wolnomularstwa czy Towarzystwa Jezusowego do dominacji. Nie jestem też zwolennikiem systemów dualistycznych (...). Bliski jestem myśli, że rzeczywistość nie jest dwojakiej, ale wielorakiej natury” – pisze René Rémond. Jak zatem przedstawia się klasyfikacja? Autor wyróżnia prawicę legitymistyczną, wrogą Rewolucji Francuskiej, wiążącą przywiązanie do katolicyzmu ze sprzeciwem wobec demokratycznych i parlamentarnych form ustrojowych. Tylko ta prawica, która zresztą po drugiej wojnie światowej przestała odgrywać istotną rolę w polityce francuskiej, zrodziła się na prawicy. Pozostałe dwie przywędrowały z lewicowego terytorium, zmieniając swe oblicze pod wpływem czynników zewnętrznych. Prawica orleańska – liberalna, wolnościowa, parlamentarna i otwarta na Europę, ukształtowana w okresie monarchii lipcowej, odegrała

czynną rolę w okresie Piątej Republiki, święciła triumf w okresie prezydentury centrysty Valéry'ego Giscarda d'Estaing, by później wyraźnie ustąpić pola gaullizmowi pod wodzą Chiraca. Gaullizm zdaniem Rémonda jest kontynuatorem trzeciej postaci prawicy – tradycji bonapartystowskiej, łączącej autorytet władzy z odwołaniem się do ludu, suwerenistycznej i pokładającej wiarę w silną i modernizacyjną rolę państwa.

Autor śledzi ewolucję trzech nurtów i wskazuje, że mimo zmian tematyki politycznej oraz ekonomicznego i międzynarodowego kontekstu zachowały one swą tożsamość i wyjaśniają istotne różnice zachodzące w polityce francuskiej. Niektóre fragmenty książki mogą wydawać się zbyt szczegółowe czytelnikowi przyzwyczajonemu do tekstów, w których generalne konkluzje nie mają mocnego uzasadnienia. René Rémond precyzyjnie przedstawia polityczne różnice między gaullizmem a giscardyzmem, które utrzymały się pomimo sojuszu zawartego przeciw Partii Socjalistycznej, różnice w sferze gospodarczej, ustrojowej i społecznej. Miejscami analiza dotyka spraw, które znajdują się poza zakresem zainteresowania polskich komentatorów polityki. I tak Rémond dostrzega poważną różnicę w podejściu poszczególnych nurtów prawicy do polityki kulturalnej. Prawica bonapartystowska dziedziczy tradycję mecenatu królewskiego i wierzy, że państwo ponosi szczególną odpowiedzialność za rozwój kultury. Autor stwierdza, że nieprzypadkowo powołanie odrębnego ministerstwa do zarządzania sprawami kultury zbiega się z powstaniem Piątej Republiki. Giscardyści natomiast wyrażają typowy dla liberalizmu sceptycyzm wobec aktywności państwa w sferze kultury, postrzegając ją jako tworzenie oficjalnej ideologii.

Jeśli różnice między prawicami są istotne, to co decyduje o specyfice prawicy jako takiej? Partie książki poświęcone temu zagadnieniu wydają się najbardziej interesujące i zachęcają czytelnika do krytycznego myślenia. Rémond uznaje podział na prawicę i lewicę za uniwersalny, uważając, że przemawiają za nim argumenty historyczne i politologiczne, nie zaś różnice wyrażone w wielkich kategoriach filozofii polityki. W jego książce nie znajdziemy zatem analizy podobnej do tej, którą przeprowadził Norberto Bobbio, przyjmując, że główną kontrowersją dzielącą prawicę i lewicę jest stosunek do równości. Typologia taka byłaby dla Rémonda uproszczeniem przechodzącym do porządku nad wielością rzeczywistości i specyfiką doświadczenia historycznego, które ma narodowy charakter. Autor opisuje proces zaniku dawnych różnic między prawicą a lewicą. W jego opinii stosunek do chrześcijaństwa, republiki, decentralizacji, integracji europejskiej nie decyduje o istnieniu i tożsamości prawicy. Katolicy pogodzili się z republikańską formą rządów. Idea decentralizacji wędrowała od prawicy do lewicy – była ważna dla prawicy legitymistycznej spod znaku Action Française i została przejęta przez wrogich jej przez całe lata socjalistów,

którzy przeprowadzili reformę samorządową po zdobyciu władzy w latach osiemdziesiątych; prezydent Mitterand, przeprowadzając reformę samorządową, naruszył ważny składnik jakobińskiego pojmowania państwa. Prawica gaullistowska po okresie niechęci do integracji europejskiej charakterystycznej dla myśli politycznej de Gaulle'a przeszła na pozycje proeuropejskie; podział na zwolenników i przeciwników Unii przebiega w poprzek dwóch wielkich formacji ideowych. Gdy Francuzi odrzucili w referendum konstytucję europejską, wśród motywów głosujących na „nie” znajdowało się zarówno lewicowe przywiązanie do państwa socjalnego, jak i prawicowe ślady myślenia suwerenistycznego.

A jednak, pomimo zaniku starych kontrowersji podział na prawicę i lewicę nadal wyjaśnia różnice w polityce francuskiej. Autor przyznaje kluczowe znaczenie wartościom, a więc czemuś, co istnieje głębiej niż dezaktualizujące się tematy polityczne. Wskazuje na aprobatywny stosunek prawicy do rodziny, pewien charakterystyczny dla tej formacji rygoryzm obyczajowy czy jej niechęć do społecznych eksperymentów i pozytywny stosunek do państwa. „Od początku prawica przejawia zasadniczą sympatię do komórki rodzinnej, a lewica zachowuje raczej rezerwę czy nawet nieufność. To, że prawica ma tę prorodzinną skłonność, tym bardziej utwierdza lewicę w jej zastrzeżeniach, i – równolegle – to, że lewica wypowiada się przeciw rodzinie, daje prawicy powody, by brać rodzinę w obronę”. Nie mniej silna różnica dotyczy stosunku do obyczajów i ładu społecznego: lewica przypisuje odpowiedzialność za zło niesprawiedliwościom społecznym, prawica stawia przede wszystkim problem indywidualnej odpowiedzialności za przestępstwa, lewica proponuje politykę wyrównywania różnic materialnych, prawica zachęca do aktywności ekonomicznej jednostek i występuje przeciwko marnotrawstwu publicznych pieniędzy. Każdy, kto bliżej przyglądał się kampanii prezydenckiej we Francji, mógł dostrzec ostre spięcie między wartościami prawicy i lewicy. Czyż Nicolas Sarkozy, zapewniający, że nauczy wstawać rano do pracy tych, którzy żyją z zasiłków i okradają sklepy z obuwem sportowym, nie manifestował tradycyjnego stosunku do pracy i wysiłku indywidualnego? Ale czy w istocie chodzi tu o wartości, czy też są to nowe kostiumy starych idei, takich jak wyrastające z tradycji chrześcijańskiej przywiązanie do rodziny, charakterystyczny dla prawicy sprzeciw wobec kolektywizmu oraz idea silnego państwa? Wydaje się, że René Rémond zbyt szybko odesłał stare idee na cmentarz. Powstaje też pytanie, czy jego klasyfikacja obejmuje prawicę liberalną, orleańską, z jej indywidualizmem i krytycznym stosunkiem do silnego państwa. Przecież radykalna modernizacja społeczna Francji dokonała się za czasów Giscarda. To pytania, które warto zadać sobie przy okazji lektury tej książki.

W każdym razie możemy mieć powody do zazdrości, ponieważ w Polsce brak wnikliwych publikacji o charakterze syntetycznym, które opisywałyby ciągłość i specyfikę nurtów politycznych. Tymczasem we Francji literatura poświęcona prawicy jest coraz bogatsza, jeden z uczniów Rémonda profesor Jean François Sirinelli poświęcił jej trzytomowe dzieło napisane według nowatorskiego klucza, który dzieli temat na trzy kwestie: politykę, kulturę i wrażliwość. W Polsce jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że refleksja o polityce jest odmiennie traktowana przez konstytucjonalistów, politologów i historyków, którzy uznają swoje metody za odrębne. W efekcie uzyskujemy zubożony obraz polityki. Właściwie tylko wykształceni komentatorzy i publicyści wydobywają głębszy sens tej specyficznej aktywności. We Francji sięga się po kilka metod naraz, refleksja konstytucyjna nie jest ściśle prawnicza, politologia korzysta z instrumentarium prawnego i historycznego. Stąd na przykład w klasycznych podręcznikach poświęconych konstytucji nie brak uwag wskazujących na praktyczne rozumienie procesu politycznego. René Rémond był historykiem idei śmiało wchodzącym na teren politologii i socjologii. Dlatego portret prawicy francuskiej nie jest prostym wykładem doktryn politycznych. Autor broni poglądu, że podział na prawicę liberalną i bonapartystowską wyraża się w aktywności politycznej i wyborczych preferencjach: „Od czasu wejścia w życie w 1965 roku reformy konstytucyjnej, która wprowadziła wybór prezydenta Republiki w głosowaniu powszechnym, przy każdych wyborach prezydenckich prawica dzieli się i w pierwszej turze wystawia dwóch kandydatów, nawet za cenę ryzyka, że obydwaj przegrają”. René Rémond odpowiada w książce również na najbardziej aktualne pytanie – czy powstanie UMP jako wielkiej partii jednoczącej różne nurty prawicowe oznacza kres podziału prawicy? – i także w odniesieniu do tej kwestii podtrzymuje swą zasadniczą tezę.

Prawica ujmowana jest tu jako zjawisko konkretne i historyczne. Prawica francuska nie przypomina angielskiej czy amerykańskiej, nawet wtedy gdy, jak to miało miejsce w kampanii Chiraca w roku 1980 pod wpływem sukcesu Reagana, sięga po język liberalny. Dzięki tej książce możemy lepiej zrozumieć współczesną politykę francuską z jej przywiązaniem do obrony etatystycznego i socjalnego modelu, które wyraziło się niezwykle silnie w sprzeciwie wobec traktatu konstytucyjnego UE: „Nie należy zapominać, że we Francji – w odróżnieniu do świata anglosaskiego – nie ma w ogóle prawdziwych liberałów – mam na myśli liberałów odrzucających wszelkie regulacje pochodzące od władzy. Z wyjątkiem garstki polityków i kilku ekonomistów nasz kraj nie zna liberałów, którzy żywiliby takie zaufanie do wolności, aby uczynić z niej motor wszelkiej działalności i regułę gry politycznej. Na naszej prawicy utrzymuje się wierność tradycji colbertowskiej,



doceniającej rolę państwa jako warunek narodowej wielkości”. Każdy, kto odwiedza Francję, odczuwa siłę scentralizowanego państwa. Książkę Rémonda czytałem podczas wakacji na Korsyce – wyspie będącej laboratoryjnym przykładem tego, jak ciasne są granice francuskiej decentralizacji.

W *Prawicach we Francji – dzisiaj* nie odnajdziemy odpowiedzi na cały szereg istotnych pytań, które znalazły się poza zakresem zainteresowania Autora. Jak francuska myśl polityczna radziła sobie z problemem kryzysu pozycji Francji w Europie i na scenie polityki światowej? Jak Piąta Republika stworzona na fundamencie idei obrony suwerenności państwowej porusza się w coraz bardziej integrującej się Europie? Jak gaullizm odniósł się do tej kwestii? Książka Rémonda zmusza natomiast do podejmowania tych zagadnień, które mogą być istotne dla przyszłości polityki francuskiej i, tym samym, stosunków w Europie. Z pewnością polityka ma skomplikowaną strukturę, nie jest prostym odzwierciedleniem idei, ale René Rémond wskazał na wagę tej sfery, przyznając rację tym, którzy wierzą w jej żywotność, w możliwość jej przemiany wewnętrznej, w odzyskanie przez nią wpływu na rzeczywistość. Bo przecież polityka bez idei traci sprawczość, stając się teatrem bez wartości.

Kazimierz M. Ujazdowski.

## Od tłumacza

Książka René Rémonda, wybitnego francuskiego historyka, jest przenikliwą i błyskotliwą analizą historyczną współczesnej francuskiej prawicy. Wielka erudycja autora, jasny, zwięzły styl najlepszej francuskiej tradycji piśmienniczej oraz dość bliski związek omawianych wydarzeń z teraźniejszością czynią z *Prawic* atrakcyjną satysfakcjonującą lekturę. Chociaż jest to praca naukowa, historyczna – tematyka polityczna zmusza niekiedy autora do własnych ocen i interpretacji; można się z nimi zgadzać lub nie, ale nie sposób nie docenić jego argumentacji: sprzeciw domaga się przynajmniej równie głębokiego uzasadnienia.

Osią rozważań René Rémonda jest trwałość i zasadność podziału lewica–prawica w czasach dzisiejszych we Francji. A że podział ten stał się cechą charakterystyczną niemal wszystkich współczesnych demokratycznych scen politycznych – rozważania te nabierają charakteru uniwersalnego. Przynajmniej w dwóch miejscach odsyłają w głęboką przeszłość i w odległą przyszłość; w przeszłość, daleko poza cezurę roku 1789 – gdy autor stawia dyskretnie pytanie o rolę religii w zapoczątkowaniu uniwersalnej opozycji lewica–prawica; w przyszłość – gdy podkreśla udział religii w podtrzymywaniu tego uniwersalnego podziału. Swoista klamra, która daje wiele do myślenia.

Polemika René Rémonda z szermierzami tezy o „francuskim faszyzmie” z pewnością szczególnie zainteresuje polskiego czytelnika: podobne tezy bywały przecież wysuwane zarówno wobec niedawnej historii Polski, jak i wobec polskiej współczesności. Argumentacja autora, ważna wobec Francji, nabiera jeszcze większej wagi, gdy odniesie się ją do Polski.

*Prawice we Francji – dzisiaj* to prawdziwa perła klasycznej, historyczno-politycznej analizy.

Marian Miszalski

## Rozdział I. Historia pewnej książki

Każda książka ma swą historię. Nawet te, które mówią o historii, nie unikają wspólnego losu. Wiele książek ma nawet dwie historie. Pierwszą – dłuższą lub krótszą – od pomysłu do publikacji (w przypadku tekstu, którego dzieje tutaj odtwarzam, trwała ona niecałe trzy lata, od lata 1951 roku do wiosny roku 1954), a potem tę drugą, historię ich przyjęcia przez czytelników, która rozpoczyna się z chwilą, gdy książka trafia do księgarni. Z tą chwilą dzieło wymyka się autorowi, który niejednokrotnie nie rozpozna się już w tym, co ujrzą w jego tekście krytycy i co wydobędzie z niego szeroka publiczność. Prawdę powiedziawszy, nie wszystkie książki dostępują tego przywileju: niektóre umierają, ledwo przyszedłszy na świat, i nie pozostaje po nich ślad, chyba że w mniej lub bardziej odległej przyszłości jakiś nader dociekliwy, przenikliwy czytelnik, odkryje je ponownie i da im drugą szansę. Spośród innych dzieł o krótszym lub dłuższym żywocie zaledwie garść wytrzymuje próbę czasu, opiera się procesowi starzenia idei i stylu – i przekracza granicę pokolenia, które jako pierwsze je przyjęło i pożywiło się nimi. Takie jest twarde prawo rządzące losem prac umysłu, wytworów ducha.

### Narodziny

Książka, w której ślad niniejsza praca chciałaby się wpisać, nie będąc jednak jej prostym „dalszym ciągiem”, doświadczyła z tego punktu widzenia szczególnego losu. Przed pięćdziesięcioma laty wydawnictwo Aubier-Montaigne opublikowało w świeżo utworzonej serii książek historycznych (redagowanej przez Paula Lemerle’a) esej zatytułowany: [Prawica we Francji od roku 1815 do naszych dni] *La Droite en France de 1815 a nos jours*, z objaśniającym podtytułem: *Continuité et diversité d’une tradition politique* [Kontynuacja i różnorodność pewnej tradycji politycznej], pióra pewnego trzydziestopięcioletniego historyka, całkowicie nieznanego nikomu poza studentami Sorbony lub Instytutu Studiów Politycznych. Książka ta nie tylko od razu spotkała się z nieoczekiwanym przyjęciem i echem, jakiego nie spodziewał się autor, lecz także – w pół wieku później – jest ciągle czytana, komentowana, dyskutowana: pozostaje pewnym punktem odniesienia. Przez długie pięćdziesiąt lat miała to szczęście, że nie doświadczyła ani czyścica, ani zaćmienia. Rok po roku była regularnie wznawiana. Miała trzy nowe, rozszerzone wydania: pierwsze – w roku

1963, pięć lat po zmianie Republiki, drugie – po kryzysie roku 1968 i wreszcie gruntownie odświeżoną edycję w roku 1982, po dojściu do władzy lewicy; każde z tych wydań uwzględniało rozwój związanych z tematem zagadnień, jaki nastąpił od czasu pierwszej edycji a sam Bóg wie najlepiej, jak wiele wydarzyło się w latach 1954–1981, jak zmieniły się pejzaż polityczny i sfera ideologicznych batalii, jakich wstrząsów doznał zastany układ sił. Ostatnia wersja książki otrzymała przyjazne i światłe wsparcie Louisa Audiberta, który – zanim odszedł – przyjął w swym młodym wydawnictwie tę późną odrośl tamtych, wcześniejszych wydań, które już znał. W dowód wdzięczności to jemu jest dedykowana ta książka.

Stało się już zwyczajem mówienie o *La Droite...* [Prawicy...] lub – w wypadku ostatniej edycji – *Les Droites...* [Prawicach...] jak o pracy klasycznej, jak o jednej z tych książek, które określa się dość niewdzięcznymi, ale dobrze wyrażającymi to, o co chodzi, słowami: pozycja obowiązkowa. Nawet powodzenie, z jakim spotkało się wielkie, zbiorowe przedsięwzięcie w postaci trzutomowej *L'Histoire des droites en France* [Historii prawic we Francji], napisanej przez kilkadziesiąt uznanych historyków pod kierunkiem Jeana-François Sirinello – która wpisała się dokładnie w ten sam obszar tematyczny – nie zepchnęło w niepamięć tamtej małej książeczki, przemyślanej i pisanej samotnie w początkach lat pięćdziesiątych.

Jeśli przetrwała, to być może dlatego, że jej narodziny nie miały nic wspólnego z atmosferą i okolicznościami, które nazywamy nastrojem czasów. Nie powstawała po to, by schlebiać chwilowym namiętnościom ani dla modnego efektu.

Dziś, po upływie półwiecza, niełatwo zrozumieć, do jakiego stopnia ta Książa przeciwstawiała się dominującym trendom, i to na dwóch płaszczyznach: powstała wbrew głównym orientacjom ówczesnej historiografii, jak również na przekór nastawieniu i skłonnościom elektoratu. Studia nad polityką były dla nowej szkoły historycznej przykładem przestarzałego sposobu uprawiania historii: polityka nie była przedmiotem godnym uwagi. Co do tematu, który mnie pociągał i który po wahaniach wybrałem spośród wielu innych (był wśród nich także strajk jako zjawisko społeczne i kulturowe) – nie można było wówczas wyobrazić sobie mniej aktualnego zagadnienia. Zainteresowanie prawicą ze strony historyka było wtedy czymś podwójnie podejrzanym. W pół wieku później, po ponad czterdziestu pięciu latach Piątej Republiki, po tym, jak w ramach instytucji nakreślonych przez generała de Gaulle'a prawica przez dwadzieścia lat niepodzielnie i bez przerwy sprawowała rządy, a następnie przez trzydzieści lat regularnie zmieniała się przy władzy z lewicą – z trudem można sobie wyobrazić, jak w roku 1951, w roku śmierci marszałka Philippe'a Pétaina,

opinia publiczna postrzegała prawicę francuską, jej idee i ugrupowania. Prawica wyszła z kompromisu jako formacja zdyskwalifikowana, jeśli nie zhańbiona, jaka zawarła z rządem w Vichy, lub nawet jeśli niektóre osobistości uratowały honor prawicy swą przenikliwością, odwagą i zaangażowaniem w też jaki jej przypisywano, ruch oporu, prawicowe idee zostały zdyskredytowane przez zapożyczenia, jakie zaczerpnęła z nich rewolucja zwana narodową, która była, prawdę powiedziawszy, kontrewolucją.

Było jeszcze gorzej: zwycięstwo z roku 1945 jawiło się jako triumf demokracji nad reżimami totalitarnymi i nawet nie wyobrażano sobie, że można odróżniać prawicę, konserwatywną czy liberalną, od faszyzmu. W tym braku rozróżnienia lewica miała swą korzyść. Mieszanie pojęć „prawica” i „faszyzm” napotykało na tym mniejszy opór intelektualny, że w latach trzydziestych zostało przygotowane i uwierzytelnione przez kampanię, która pod sztandarem antyfaszyzmu denuncjowała prawicowe ligi i skrajną prawicę jako francuski wariant faszyzmu uniwersalnego. Wszystko, co nie mieściło się w nurcie tradycji identyfikującym demokrację z suwerennością parlamentu, uznawane było za „faszystowskie”. Choć może się to dziś wydawać zadziwiające wyborcom urodzonym po 1958 roku, albo, przeciwnie, obywatelom pamiętającym tylko gaullizm z lat wojny, RPF,<sup>1</sup> ruch stworzony w kwietniu 1947 roku przez generała de Gaulle’a (aby ponad partyjnymi podziałami zebrać Francuzów pragnących nadać swej ojczyźnie instytucje zdutniejsze do obrony jej wielkości i interesów od instytucji Czwartej Republiki, którą sam de Gaulle uznawał za bezsilną) – było wówczas podejrzwane, że jest jakimś nawrotem znienawidzonego faszyzmu. Magazyn „Esprit”<sup>2</sup> poświęcił cały numer specjalny prześledzeniu tej kwestii. Czyż RPF nie kontestowało ustalonego ładu? Czyż nie zagrażało porządkowi prawnemu Czwartej Republiki? Jego zjadliwa krytyka partii politycznych, polemiczność nie gardząca skrajnymi wypowiedziami (a nawet znajdujaca upodobanie w takim agresywnym języku), szacunek dla charyzmatycznego przywódcy, rozgorączkowanie podczas masowych wieców politycznych, interwencje muskularnych służb porządkowych, reagujących szybko i brutalnie, by zapewnić bezpieczeństwo mówcom i utrzymać porządek podczas manifestacji (podczas jednego z mityngów gaullistowskich, w Grenoble w 1951 roku, była nawet ofiara śmiertelna): tyle przesłanek wspierających interpretację gaullizmu jako potencjalnego faszyzmu, której dalszy bieg historii kategoryczne zaprzeczył.

---

<sup>1</sup> Rassemblement du peuple français (Zgromadzenie Ludu Francuskiego) – ugrupowanie założone przez generała Charles’a de Gaulle’a po jego rezygnacji z urzędu premiera rządu tymczasowego, działało w latach 1947–1955.

<sup>2</sup> „Esprit” – założony w 1932 przez Emmanuella Mouniera miesięcznik o chrześcijańsko-personalistycznym profilu. Pismo prezentowało krytyczne wobec kapitalizmu stanowisko w sprawach społecznych.

W latach pięćdziesiątych, gdy podejmowałem pomysł napisania książki poświęconej zdefiniowaniu prawicy, brano pod uwagę, oczywiście, ówczesny stan rzeczy i interpretowano gaullizm w odniesieniu do czasów przedwojennych, a nie w odniesieniu do Piątej Republiki. Prawica była wtedy postrzegana jako archaizm, przeżytek, który powinien nieodwołalnie przeminąć, ale także jako potencjalne zagrożenie. W takim właśnie kontekście polityczno-intelektualnym powstała moja praca.

\* \* \*

Sądzę, że mogę powiedzieć – bez cienia nieszczerości – iż pośród motywów, które skłoniły mnie do takiego właśnie wyboru nie było ani jednego, który nie byłby czysto naukowy i nie wywodził się z najprostszego pragnienia poznania i zrozumienia, może z wyjątkiem zwykłej, inspirującej historyka sympatii dla wszelkich form aktywności człowieka w społeczeństwie. Nie kierowałem się choćby najmniejszą chęcią przeprowadzenia jakiegokolwiek rehabilitacji. Równie dobrze mógłbym skierować swe zainteresowania badawcze w stronę lewicy, ale ta akurat miała wtedy wiatr w żaglach i czerpała zyski z sytuacji politycznej, a to zniechęcało mnie do wyboru, który oznaczałby dołączenie do licznego chóru innych historyków. O tym, że wybrałem za przedmiot badań prawicę, zadecydowała być może odwrotna skłonność: zawsze pociągało mnie przeciwstawianie się tezom upraszczającym. Jeśli zatem był jakiś szczególny powód – to tylko pragnienie, by przepracować pewien zastany obraz, nazbyt uproszczony i ograniczony, i dostosować go do bardziej złożonej rzeczywistości.

Życie polityczne zawsze było dla mnie interesujące, a studia nad nim – pociągające. Nie podzielałem dominującej wówczas opinii, która widziała w nim wyłącznie odbicie rzeczywistości socjoekonomicznej, uważanej za istotniejszą i uznawała je za prostą wypadkową stosunku sił. Sądziłem, że polityka stanowi pewien porządek, obszar działania mający własną treść i cechujący się pewną autonomią wobec wszelkich zewnętrznych uwarunkowań oraz wobec przymusów wynikających ze stanu gospodarki lub sytuacji społecznej. Jednocześnie moje przekonanie (wynikające z dość optymistycznej wizji ludzkiej natury, współbrzmiejącej z antropologią wyprowadzoną z odniesienia do chrześcijaństwa), że decyzje ludzi nie są wyłącznie funkcją ich materialnych interesów, gdyż są oni zdolni także do wyborów bezinteresownych, a nawet do szlachetnych uczuć, znajdowało pewne potwierdzenie empiryczne w pracach nad socjologią wyborczą, które ukazywały brak jednoznacznej korelacji między statusem społecznym jednostek a ich poglądami,

politycznymi czy religijnymi. Prawica, tak jak i lewica, nie była prostym odzwierciedleniem socjologii. Przynależności i opcje polityczne zasługiwały zatem, same w sobie, na odrębne badania.

Nadto bardzo wcześnie przebudziły się we mnie silne upodobanie idei politycznych i zaniepokojenie ich historią, tym, czym stawały się w szerokiej opinii. Skłonny, jak każdy historyk, do interesowania się przede wszystkim trwaniem, ciągłością pewnych procesów i jej śladami, przypuszczałem, że systemy myśli politycznej nie należą do zjawisk najszybciej przemijających: powinno więc być możliwe odnalezienie w przeszłości pewnych ich zapowiedzi, niczym kamieni węgielnych; z drugiej strony – byłoby bez wątpienia bardzo rozsądne dobrze się zastanowić, zanim stwierdzi się ostateczny kres którejś z tradycji, tworzących ideologiczne dziedzictwo polityki francuskiej.

Zdałbym sprawę ze wszystkich moich intuicji czy przeświadczeń gdybym – zabierając się za prawicę – głośno wyraził pragnienie rozszyfrowania zagadki, która intrygowała mnie od dawna: zawsze mówiono o prawicy, albo o lewicy, w liczbie pojedynczej, jak o pewnej jednorodnej rzeczywistości. Tymczasem ktokolwiek podejmował próbę jej zdefiniowania, ujęcia w kilku prostych formułach, napotykał pewną oczywistą trudność nie do przezwyciężenia: swego rodzaju rebus. Bo o prawicy można było mówić różne rzeczy – ale zawsze, z równą miarodajnością, można było powiedzieć o niej coś dokładnie przeciwnego: była zarazem autorytarna i liberalna, archaiczna i nowoczesna, elitarna i populistyczna, agrarystyczna i industrialna. Na zmianę ganiła nasze zamorskie awantury i broniła zębami i pazurami integralności imperium kolonialnego. Opowiadała się całkowicie za twardym stanowiskiem w relacjach z naszymi sąsiadami, nawet gdy groziło to wojnę, a w innych momentach pozwalała się uwodzić syrenim śpiewom pacyfizmu. Czym więc był naprawdę ów hybrydyczny byt, złożony z tak wielu sprzeczności? Możliwości były dwie: albo dało się dojrzeć w tej niespójności choć odrobinę logiki, albo należało zwyczajnie wykreślić to pojęcie z politycznego słownika. Wymóg spójności zadecydował o narodzinach mojej hipotezy. Wiadomo już, co przyszło mi na myśl: a jeśli nie ma jednej prawicy, lecz jest ich wiele? Miałem intuicję, że rozwiązanie tej zagadki tkwi w tej wielości. Nie było jakieś jednej prawicy, która byłaby – jednocześnie czy kolejno, w zależności od przypadku – okrutnie wroga wobec Rewolucji, by potem uznać słuszność zasad roku 1789, albo która na przemian wspierałaby indywidualizm i trwała w przekonaniu, że racja bytu jednostki tkwi wyłącznie w podporządkowaniu się zbiorowości; było wiele prawic: na przykład jedna, całkowicie kontrewolucyjna i inna, przeciwnie, przychylna zasadom roku 1789. To przypuszczenie stało się dla mnie jakby iluminacją, którą porównałem kiedyś do przypadku astronoma Le Verriera.

Wysunął on hipotezę o istnieniu nieznanej jeszcze naszym obserwatoriom planety, by wytłumaczyć pewne anomalie zakłócające bieg ciał niebieskich: czy intelektualny kłopot z opisanymi niespójnościami w zachowaniach prawicy nie brał się stąd, że na nieboskłonie ideologii przypisywano jednej tylko gwiazdzie skutki istnienia wielu? Zamiast badań nad jedną gwiazdą zaproponowałem badania nad całą konstelacją. Tym samym pojęcia prawicy i lewicy zostały uratowane.

Choć to przypuszczenie będące wtedy zaledwie pewną hipotezą zrodzoną w moim umyśle, wyłoniło się z rozważań i badań nad przeszłością, w jego uchwyceniu i sformułowaniu pomogła mi pewna naturalna skłonność cechująca moje nastawienie badawcze. Jestem zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich monistycznych systemów wyjaśniania rzeczywistości, bez względu na to, co uznają za naczelną zasadę, której wszystko podlega: materię czy walkę klas, władzę pieniądza, czy dążenie zorganizowanych grup – synarchii, wolnomularstwa czy Towarzystwa Jezusowego – do dominacji. Nie jestem też zwolennikiem systemów dualistycznych: uważam rzeczywistość za nazbyt różnorodną, aby dała się zredukować do dwóch tylko działających sił, z wyjątkiem sytuacji krytycznych, zmuszających do wyboru „albo-albo”. Bliski jestem myśli, że rzeczywistość nie jest dwojakiej, ale wielorakiej natury. Nie miałem więc oporów, by przyjąć, że były trzy francuskie prawice.

Właśnie to było najbardziej oryginalnym wkładem intelektualnym tamtego eseju: przedstawiał on pewną hipotezę, którą poddawał ocenie ekspertów i osądowi przyszłości, bo – jeśli była zasadna – czyż nie powinna mieć zastosowania także wobec dni, które nadejdą, i być kluczem również do zrozumienia tej przyszłości? Nie było to opowiadanie historii, nie chodziło mi o to, by ją opowiedzieć. Dokonałem obszernych cięć, by wydobyć kluczowe momenty w dziejach francuskich prawic, chwile, w których się pojawiały albo ulegały przeobrażeniom. Tylko jedna z nich zrodziła się na prawicy: ta, która całkowicie odrzuciła Rewolucję; pozostałe powstały po lewej stronie, a dopiero potem przekroczyły linię oddzielającą prawicę od lewicy.

Pozostawało jeszcze nazwać te prawice: jak nowo odkrytym gwiazdom, należało nadać im jakieś imiona. Aby je ochrzcić, zapożyczyłem nazwy od rządów, za których się pojawiły, lub od doświadczeń politycznych, z których się wyłoniły. I tak – ponieważ prawica liberalna po raz pierwszy objawiła się za monarchii lipcowej – nazwałem ją prawicą orleańską. Rozumie się samo przez się, że giscardyzm, który w dwudziestym wieku, w latach siedemdziesiątych będzie pojęciem najbliższym tamtej tradycji, niewiele ma wspólnego z Domem Orleańskim. A jednak między „złotym środkiem” Ludwika Filipa



a „rządzić w oparciu o centrum” Valéry’ego Giscarda d’Estaing<sup>3</sup> jest coś więcej niż zwykłe podobieństwo.

Podobnie i później, gdy prawicę łączącą autorytet władzy z odwołaniem się do ludu jako źródła legitymizacji nazwałem *b o n a p a r t y s t o w s k ą*, nie twierdziłem, że Piąta Republika była Trzecim Cesarstwem: postać jej twórcy jest zbyt wyrazista, a jego odrębność zbyt oczywista, by uznawać go za replikę czy namiastkę dwóch Napoleonów. Jednak nie sposób zaprzeczyć, że występuje tu wystarczająco wiele odniesień, wspólnych orientacji i analogii w praktykach politycznych, by nie dało się uniknąć rozpatrzenia ich wzajemnych relacji.

Jeśli chodzi o nazwę *p r a w i c a l e g i t y m i s t y c z n a*, którą wybrałem dla trzeciej z francuskich prawic (a jest ona, prawdę mówiąc, pierwsza w porządku chronologicznym) – ją także zapożyczyłem z czasu rządów Ludwika Filipa. Wolałbym wprowadzić określenie *u l t r a s o w s k a*, które charakteryzowało ją dość dobrze w okresie restauracji (ultrarojaliści), ale przedrostka „ultra” używa się dzisiaj dla określenia wszelkich skrajności: czyż nie mówi się o ultraliberalizmie? Zresztą ten rozdział naszej historii, który rozpoczął się nazajutrz po rewolucji 1830 roku, był zarazem okresem, w którym ta prawica – odtąd na długo odsunięta od władzy – uformowała się ostatecznie w pewną szkołę myślenia. Jest oczywiste, że jej obecni spadkobiercy nie definiują się już w żaden sposób poprzez stanowisko zajmowane przez nią w sporze dynastycznym, który dawniej przeciwstawiał sobie dwie linie Domu Francji i ich zwolenników.

Choć przyjęte nazwy jeśli charakteryzują te trzy tradycje i pomagają je rozróżnić, nie wyczerpują wcale ich swoistości i nie wystarczają do zdefiniowania ich tożsamości. Nazwy te nie powinny być przeszkodą dla zrozumienia postawionej hipotezy. Trzeba więc wystrzegać się, by nie rozpocząć jakiegoś nowego sporu spowodowanego sztucznym nominalizmem.

## **Przyjęcie**

Miałem wiele szczęścia: moja książka nie przeszła niezauważona. To prawda, że w tamtych czasach produkcja historyczna nie była tak obfita jak dzisiaj, gdy wiele dzieł tonie od

---

<sup>3</sup> Valéry Giscard d’Estaing (ur. 1926), prezydent Republiki Francuskiej w latach 1974–1981, reprezentant liberalnego nurtu prawicy, lider Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF). W latach 2002–2004 kierował Konwentem Europejskim przygotowującym projekt Konstytucji Unii Europejskiej.

razu w fali, która je wynosi... Książka wyszła z drukarni w ostatnich dniach maja 1954 roku, pierwsze egzemplarze dla prasy dotarły do krytyków już w pierwszych dniach czerwca i jeszcze przed początkiem lata ukazały się pierwsze recenzje. Wprawdzie początkowo esej nie przyciągnął uwagi historyków, zaciekał za to ludzi interesujących się polityką, a także niektórych dziennikarzy. Maurice Duverger<sup>4</sup> i Raymond Aron<sup>5</sup>, dwaj analitycy polityki, których nazwiska miały swą wagę w „Le Monde” i „Le Figaro”, byli tak uprzejmi, że – nie znając mnie – przyjęli zaproszenie pewnej rozgłośni radia publicznego i wdali się ze mną w godzinną debatę na temat tej książki. Pomijając kilka krótkich wywiadów, był to mój pierwszy udział w audycji radiowej dotyczącej polityki: byłem bardzo spięty. Od tamtego czasu upłynęło pięćdziesiąt lat obfitujących w wywiady radiowe i telewizyjne, w których to ja z kolei znajdowałem się w sytuacji moich pierwszych rozmówców, jako ekspert, ale nigdy nie wyzbyłem się całkowicie pewnego poczucia lęku, jakiego wtedy doświadczyłem. Moi dwaj rozmówcy pełni byli życzliwości dla młodego debiutanta. Przeczytali moją książkę, ale obaj zapamiętali z niej właściwie tylko to, co wiązało się z ich własnymi przemyśleniami, co łączyło się z ich rutynowymi analizami i co mogło pobudzać wymianę zdań, jaką od dawna wiedli między sobą na antenie radiowej. Raymonda Arona zainteresowała moja krytyka takiej definicji prawicy, wedle której prawica byłaby jakimś niezmiennym bytem, ponadczasową jakością, moja argumentacja umacniała go bowiem w jego własnej postawie krytycznej wobec pewnej utrwalonej panoramy ideologicznej – a pisał właśnie *Opium intelektualistów*. Co do autora *Partis politiques* [Partii politycznych], książki, która przyniosła mu – jak i całej francuskiej szkole nauk politycznych – wielkie uznanie, moje studium utwierdzało go w przekonaniu, że centrum nie istnieje i że debata polityczna ogranicza się do układu sił, którego wówczas jeszcze nie nazywano „dwubiegowym”.

Kilka tygodni później, gdy w pierwszych dniach sierpnia wybierałem się na rodzinne wakacje do Bretanii, przeżyłem niespodziankę, znajdując na pierwszej stronie „Le Figaro” duży, zajmujący dwie kolumny artykuł André Siegfrieda<sup>6</sup>, którego nie miałem przyjemności poznać, a który winał mi ukazania się tej książki, przedstawiając ją wnikliwie i życzliwie.

---

<sup>4</sup> Maurice Duverger (ur. 1917), wybitny prawnik i socjolog, głównym przedmiotem jego analiz było prawo wyborcze i systemy polityczne. Wsunął tezę, że typ ordynacji wyborczej decyduje o charakterze systemu politycznego: ordynacja większościowa tworzy system dwupartyjny, zaś proporcjonalna – wielopartyjny.

<sup>5</sup> Raymond Aron (1905–1983), znakomity filozof polityki, socjolog i publicysta związany z liberalną tradycją myślenia. W Polsce ukazały się rozmowy z Aronem (*Widz i uczestnik*, Warszawa 1984) oraz trzy jego książki (*Esej o wolnościach*, Warszawa 1997; *Opium intelektualistów*, Warszawa 2000; *Wspomnienia*, Wołomin 2007).

<sup>6</sup> André Siegfried (1875–1959), socjolog i ekonomista, wykładowca École des sciences politiques.

Nie będę dalej rozwijał opowieści o wywołanym przez esej oddźwięku. Nie będę przywoływał drugorzędnych aspektów związku, jaki powstał wtedy między moim nazwiskiem a tą właśnie książką, czy też – mówiąc dokładniej – jej tematem: prawicą. Byłem odtąd, i wciąż jeszcze nim pozostaję, tak dla szerszej publiczności, jak i dla bardziej specjalistycznych kręgów, autorem tamtej *Prawicy*, nawet jeśli zdarza mi się, że trochę żałuję tego zawężającego skutku. A idzie on tak daleko, że często uważa się, iż był to temat mojego doktoratu – tymczasem w 1954 roku nie zostałby on w ogóle przyjęty jako temat rozprawy doktorskiej. Jeszcze dziś rzadko, by nie powiedzieć: wyjątkowo, zdarza się, żeby przedstawiając mnie jakiemuś audytorium, nie wspomniano o tej pracy, która przecież ukazała się już pół wieku temu. Ale zostawmy anegdoty, by skupić się na znaczeniu ówczesnego przyjęcia książki przez odbiorców.

Zawarta w niej interpretacja, która – powtórzę – w roku 1954 była tylko roboczą hipotezą, weszła do publicznego obiegu. Dziennikarze ją przyjęli; historycy także się do niej odwołują, czasem podając jej źródło, kiedy indziej przedstawiając jedynie jej treść – a cóż bardziej zaszczytnego dla jakiejś myśli, niż wejść do powszechnego użycia? Zastąpienie w tytule wydania z roku 1982 liczby pojedynczej liczbą mnogą, przejście od *Prawicy* do *Prawic*, było już tylko formalnym potwierdzeniem szerokiego uznania tej tezy.

Trójpodział prawicy jest jednym z kilku zasadniczych, powszechnie przyjętych pewników dotyczących polityki francuskiej. Co dość zaskakujące, uznali go nawet sami politycy. To rozróżnienie nie jest im obce. Oni także odwołują się do niego. Przeciwnicy prawic czerpią przyjemność ze wskazywania orleanistów i bonapartystów. Sami prawicowi politycy bez większych oporów identyfikują się z jedną z tych trzech tradycji. Moja hipoteza znalazła zatem podwójne potwierdzenie: ze strony ekspertów – historyków lub politologów – i ze strony aktorów sceny politycznej – polityków.

Czy przyjęcie typologii, która – ukazując wielość prawic – obnażała nieadekwatność opisów redukujących debatę publiczną do starcia dwóch wrogich bloków, zatwardziały w swym antagonizmie – przyczyniło się, choćby skromnie, do przybliżenia jakiegoś konsensusu? A jeśli tak było, nawet w niewielkim stopniu – to czy ta analiza mimowolnie przyczyniła się do unieważnienia czy rozmycia własnego przedmiotu, relatywizując absolutny, wyłączny i trwały podział na lewicę i prawicę? Powrócimy jeszcze do tej kwestii, która stanowi inny biegun przesłania mojej książki.

Pomysł podziału prawicy na trzy różne nurty, uzyskawszy przyzwolenie polityków, otrzymał jeszcze cenniejsze uprawomocnienie empiryczne. Wszelkie usiłowanie tłumaczenia przeszłości, jeśli zawiera tezy pretendujące do miana reguły powszechnej, wystawione jest na

próbę rzeczywistości. Banalem jest przeciwstawianie nauk przyrodniczych, w których zasadność teorii lub hipotezy można sprawdzić za pomocą przygotowanych eksperymentów – naukom społecznym, zwłaszcza historii, gdzie identyczne sytuacje nigdy się nie powtarzają, a przedmiot – fakty społeczne – nie poddaje się tego rodzaju empirycznej weryfikacji. Tak naprawdę ten kontrast jest mniej ostry: interpretacje historii także są weryfikowane przez rzeczywistość, a ich powaga naukowa zależy również od wymowy obiektywnych faktów. Dlatego głoszenie w 1954 roku trwałości podziału „prawica–lewica” wiązało się z pewnym ryzykiem: rychły rozwój wydarzeń mógł zaprzeczyć tej tezie, zastępując jakąś inną zasadą układ idei politycznych, jaki od półtora wieku rządził konfiguracją opinii i systemem stosunków między partiami. Co pozostałoby po dwudziestu czy trzydziestu latach z moich trzech prawic, jeśli życie polityczne doznałoby jakiegoś głębokiego wstrząsu? Można było przypuszczać, że dopóki debata polityczna będzie uwarunkowana przełomem, jaki wydarzył się w roku 1789, dopóty opozycja między prawicą kontrrewolucyjną a pozostałymi zachowa swój sens. Ale co stałoby się, gdyby pewnego dnia wszyscy Francuzi uznali zasady wdrożone w roku 1789 za część powszechnie obowiązującego dziedzictwa politycznego? Szanse przetrwania mojej teorii zależały w dużej mierze od stabilności istniejącego systemu politycznego: każda istotna zmiana mogła grozić ujawnieniem przedwczesności i kruchości moich przypuszczeń.

Tymczasem wiadomo, jak wielu zmian politycznych doświadczyliśmy przez pięćdziesiąt lat, jakie upłynęły od roku 1954. Niektóre nastąpiły pomiędzy wyborem tematu książki a jej ukończeniem. Na przykład podźwignięcie się prawicy i jej powrót do władzy, co potwierdzało moją prognozę względem jej trwałej obecności w życiu politycznym. Wybory parlamentarne z 17 czerwca 1951 roku wprowadziły do Pałacu Burbońskiego nowe zgromadzenie ustawodawcze, w którym zgodnie opozycyjne kluby parlamentarne komunistów, w sile około stu sześćdziesięciu mandatów, i RPF, ze swymi stu dwudziestoma deputowanymi zmuszały wszystkie pozostałe partie do porozumienia się w celu sprawowania wspólnych rządów. Koalicja socjalistów, MRP<sup>7</sup> i radykałów, nie dysponująca już niezbędną większością, zmuszona była otworzyć się na deputowanych z prawicy, skupionych w CNI<sup>8</sup> (Narodowe Centrum Niezależnych) razem z deputowanymi chłopskimi. Ta atakowana

---

<sup>7</sup> Mouvement républicain populaire (Ruch Republikańsko-Ludowy) – partia o chrześcijańsko-demokratycznym charakterze działająca w latach 1944–1967. Odgrywała zasadniczą rolę w polityce Czwartej Republiki, biorąc udział w większości rządów. Jednym z jej liderów był Robert Schumann, prekursor integracji europejskiej.

<sup>8</sup> Centre national des indépendants et paysans (Narodowe Centrum Niezależnych i Chłopów) – powstałe w 1951 roku niewielkie ugrupowanie o liberalno-konserwatywnym profilu ideowym. Odgrywało znaczącą rolę w latach pięćdziesiątych, należeli do niego premierzy Antoine Pinay i Joseph Laniel oraz René Coty, wybrany w 1953 na prezydenta Republiki.

wcześniej prawica, którą niektórzy uznali już za nieboszczkę, stała się niezbędnym partnerem: w większości głosowań będzie wspierać koalicję, a jej przedstawiciele wchodzić będą w skład niemal wszystkich rządów przez sześć ostatnich lat Czwartej Republiki. W marcu 1952 roku wybór Antone’a Pinaya<sup>9</sup> na przewodniczącego Rady Ministrów był wyraźną oznaką tej zmiany i uświęcał trwały powrót parlamentarnej prawicy o nastawieniu liberalnym na scenę polityczną i do układu rządzących sił politycznych. W następnym roku wybór René Coty’ego<sup>10</sup> na prezydenta Republiki potwierdzał tę odnowę. Teza o trzech pravicach wychodziła z tych przemian wzmocniona.

Czy miała także wytrzymać próbę zmian, jakie dopiero nadchodziły? Czy przejście od Czwartej do Piątej Republiki, powrót gaullizmu i jego dominacja nie oznaczały kresu tradycyjnych prawic i uproszczenia dotychczasowego wachlarza politycznego? Zmieniły się nie tylko instytucje: głębokiej przemianie uległy również warunki życia politycznego – wraz z ustanowieniem wyboru głowy państwa w głosowaniu powszechnym, wprowadzeniem procedur bezpośrednich konsultacji z wyborcami (referenda narodowe), wzmocnieniem pozycji władzy wykonawczej, osłabieniem roli reprezentacji parlamentarnej i parlamentarnych debat. Czy ten przewrót w systemie politycznym nie oznaczał *ipso facto* ruiny dotychczasowych teorii politycznych, a zwłaszcza podziału na lewicę i prawicę?

Jednak w konsekwencji tej przemiany nie doszło wcale do unieważnienia analiz opartych na podziale opinii publicznej na dwa antagonistyczne bloki ochrzczone mianem prawicy i lewicy; przeciwnie – obóz polityczny, który po roku 1958 wołał raczej nazwać się „większością”, niż odwołać się do swych korzeni, po swej klęsce w roku 1981 ponownie sięgnął po nazwę prawicy. Ta prawica jest dziś wolna od pewnego kompleksu, dość podobnego do tego, który w porządku przekonań religijnych nazywa się lękiem przed potępieniem przez bliźnich, – wolna od wstydu, związanego z własną tożsamością, który wcześniej sprawiał, że definiując się, musiała mówić nie wprost i z zakłopotaniem. Znana jest siła więzi łączącej przyjęciem określonej nazwy z odzyskaniem utraconej tożsamości. Powtarzająca się od ponad dwudziestu lat praktyka przemienności, która podczas każdego wyborów na nowo określa [przynależność władzy i sprawia, że wczorajszy obóz rządzący staje się dzisiejszym obozem opozycji, a wczorajszy obóz opozycji przejmuje odpowiedzialność polityczną dodatkowo wzmacnia ów zasadniczy podział na prawicę i lewicę, który tak głęboko ukształtował nasze życie polityczne.

---

<sup>9</sup> Antoine Pinay (1891–1994) – polityk, w roku 1940 udzielił poparcia marszałkowi Pétainowi, aktywny w okresie Czwartej Republiki, w 1952 roku sprawował urząd premiera.

<sup>10</sup> René Coty (1882–1962) – prezydent Francji w latach 1954–1959.

Dokonując ostatnich poprawek we wznowionym w 1981 roku wydaniu mojego eseju, skomentowałem świeżą wówczas porażkę prawicy słowami: „Ten dychotomiczny podział odnowił swa ważność historyczną. Oto właśnie kroczy zwawo ku dwusetnej rocznicy swego obowiązywania”. Dzisiaj to już fakt dokonany; wówczas uznałem, że mogę dodać: „Nie widać obecnie, co mogłoby mu przeszkodzić we wkroczeniu za kilka lat w trzecie stulecie istnienia”. I wkroczył. Moja prognoza została zweryfikowana.

Co zaś tyczy się trójpodziału na prawicy, a szczególnie potwierdzenia nieredukowalnej różnicy między prawicą liberalną parlamentarną za czasów Piątej Republiki (nazwaną o r l e a n s k ą) a prawicą autorytarną – cała, tak bogata w perypetie i zwroty, historia ich wzajemnych stosunków często burzliwych, zawsze trudnych – jest wymowną ilustracją mojej diagnozy. Hipoteza o wielości prawic, a zwłaszcza uznanie tej dwoistości, rozjaśnia historię: czyni ją zrozumiałą, pokazuje jej sens. Od czasu wejścia w życie w 1965 roku reformy konstytucyjnej, która wprowadziła wybór prezydenta Republiki w głosowaniu powszechnym, przy każdych wyborach prezydenckich dzieli się i zawsze w pierwszej turze wystawia dwóch kandydatów, nawet za cenę ryzyka, że obydwaj przegrają, a szczęśliwy kandydat, który przechodzi do drugiej tury, nie otrzymuje w niej poparcia wszystkich tych, którzy w pierwszej turze głosowali na jego prawicowego rywala; tak było, gdy Jean Lecanuet<sup>11</sup> startował przeciw de Gaulle’owi w 1965 roku, Alain Poher<sup>12</sup> przeciw Georges’owi Pompidou<sup>13</sup> w 1969 roku, Valéry Giscard d’Estaing, lider niezależnych republikanów, przeciw Jacques’owi Chabanowi-Delmasowi<sup>14</sup> w 1974 roku. A gdy Valéry Giscard d’Estaing rywalizował w 1981 roku z Jacques’em Chirakiem, swym byłym premierem, założycielem RPR, i gdy ten ostatni w 1988 roku musiał konkurować z Raymondem Barre’em<sup>15</sup>, i gdy w 1995 roku prawicowi wyborcy podzielili się na zwolenników Jacques’a Chiraca i Edouarda

---

<sup>11</sup> Jean Lecanuet (1920–1933) – reprezentant centrowego i liberalnego nurtu prawicy, kandydat w wyborach prezydenckich w roku 1965, w latach 1978–1988 przewodniczący Unii Demokracji Francuskiej (UDF).

<sup>12</sup> Alain Poher (1909–1996) – polityk, przewodniczący Senatu w latach 1968–1992, dwukrotny tymczasowy prezydent Francji, po rezygnacji De Gaulle’a w 1969 roku i śmierci Georges’a Pompidou w roku 1974.

<sup>13</sup> Georges Pompidou (1911–1974) – współpracownik generała De Gaulle’a, dyrektor jego gabinetu, w latach 1962–1968 sprawował urząd premiera. Po rezygnacji De Gaulle’a wybrany na stanowisko prezydenta Francji, które sprawował do swojej śmierci.

<sup>14</sup> Jacques Chaban-Delmas (1915–2000) – w czasie drugiej wojny światowej członek francuskiego ruchu oporu, od 1947 roku aż do 1995 był merem Bordeaux. Reprezentował lewicę gaullistowską, w latach 1969–1972 w czasie prezydentury Georges’a Pompidou sprawował urząd premiera.

<sup>15</sup> Raymond Barre (1924–2007) – ekonomista, polityk liberalnej Unii na rzecz Demokracji Francuskiej, był premierem w latach 1976–1981.

Balladura<sup>16</sup>, i gdy w 2002 roku François Bayrou<sup>17</sup> zgłosił swą kandydaturę przeciw Chiracowi – nie było to jedynie skutkiem osobistych ambicji rywali ani dziełem przypadku. Powtarzanie się tego zjawiska i jego regularność ujawniają, że w ramach głównego antagonizmu między lewicą a prawicą, lecz już w obrębie samej tylko prawicy, przebiega inna linia podziału oddzielająca dwie tradycyjne równie dawne, jak ów nadrzędny antagonizm. I w ten sposób moja hipoteza nie tylko otrzymuje empiryczne potwierdzenie: pozwala także zrozumieć nadchodzące wydarzenia. Po pięćdziesięciu latach nadal zachowuje moc wyjaśniającą: pozwala niemal snuć prognozy.

## ***Kontrowersje***

Ograniczenie się do przywoływania potwierdzeń i wyliczania dowodów prawomocności niosłoby jednak mylący obraz przyjęcia, z jakim spotkały się tezy mojej książki: akceptacja nie była jednomyślna. Choć początkowo praca nie wywołała dyskusji, to z upływem czasu, w świetle wydarzeń dotyczących jej przedmiotu, wzbudzała oceny krytyczne, budziła wątpliwości i dolewała oliwy do ognia kontrowersji, które aktualna polityka nie raz rozpalala i które bynajmniej nie gasną.

Sama teza o istnieniu wielu prawic nie była kwestionowana. Opinie krytyczne dotyczyły tylko pewnych jej zastosowań. I tak – kwestionowano czasem zasadność wyodrębnienia przeze mnie tej czy innej prawicy. Wytlumaczyłem się już z powodów, które zainspirowały mnie do takiego właśnie określenia poszczególnych prawic, a tym samym wyjaśniłem znaczenie tych rozróżnień. Nie należało zatem przywiązywać do nich większej wagi niż do zwykłych punktów orientacyjnych, wpisujących te prawice w ciągłość historyczną i udzielających im pewnej tożsamości w księdze stanu cywilnego rodzin myśli politycznej. Ale prawdą jest, że istnieje bardzo ścisły związek między nazwami a rzeczywistością, do której się odnoszą: nazwać ją, to zarazem udzielić jej pewnej tożsamości.

---

<sup>16</sup> Edouard Balladur (ur. 1929) – gaullista, wielokrotny minister, w latach 1993–1995 sprawował urząd premiera w okresie kohabitacji z prezydentem François Mitterandem. W roku 1995 startował bez powodzenia w wyborach prezydenckich, wchodząc w konflikt z oficjalnym kandydatem gaullistów Chirakiem,

<sup>17</sup> François Bayrou (ur. 1951) – polityk zajmujący pozycję niezależną wobec nurtu gaullistowskiego, obecnie jest deputowanym do Zgromadzenia Narodowego i stoi na czele niewielkiego ugrupowania MoDem (Ruchu Demokratycznego). W ostatnich wyborach prezydenckich zajął trzecie miejsce z rezultatem 18 procent głosów.

Istotniejsze opinie krytyczne dotyczyły zasadności powiązań, jakie ustaliłem, rekonstruując genealogie intelektualne poszczególnych pravic. Prawica kontrrewolucyjna, ta, którą nazwałem legitymistyczną, nie nastroczała żadnych trudności ani nie wywoływała żadnych ataków: ciągłość jej dyskursu politycznego – od doktrynalnych początków z czasów kontrrewolucji przez stadium pośrednie religijnego nieprzejednania, po obecną obronę katolickiego integryzmu – jest tak wyraźna, że nie podlega dyskusji. Co ciekawe – nie wzbudziło także zastrzeżeń pokrewieństwo, jakie ustaliłem między liberalizmem monarchii lipcowej, oportunistem (zresztą źle nazwanym) republikańców – założycieli naszych instytucji parlamentarnych, niezależnymi z czasów Czwartej Republiki i wyznawcami giscardyzmu aż po obecnych spadkobierców UDF<sup>18</sup>: w tym wypadku sprawa była jednak mniej oczywista. Najwięcej zastrzeżeń wywołało przypisanie gaullizmu do trzeciej spośród moich pravic, tej, która – obok innych cech konstytutywnych – charakteryzują uznanie dla powagi państwa, odwołanie się do suwerennego ludu, nieufność wobec partii, skłonność do demokracji bezpośredniej i brak uprzedzeń wobec nowoczesności. To był jedyny punkt, wobec którego – gdy pojawiła się moja książka – wyraził swe zastrzeżenia François Goguel, uznawany za niekwestionowanego mistrza badań nad prawicą i lewicą, nad partiami Ładu i Ruchu, od czasu publikacji w 1945 roku jego znakomitej pracy – *La Politique des partis sous la III<sup>e</sup> République* [Polityka partii pod rządami Trzeciej Republiki]. Mój przyjaciel Jean Touchard także okazał pewne zakłopotanie wobec tego przyporządkowania. Różnica w reakcjach na wyodrębnienie każdej z tych trzech pravic mogła brać się z nierówności ich uczestnictwa w ówczesnej rzeczywistości politycznej. Z wyjątkiem niewielkiej mniejszości, dla której debata o Rewolucji była ciągle ważną sprawą – reszta skrajnej prawicy przeszła w stan hibernacji, stała się „zimnym obiektem”, wedle wymownego określenia, używanego w epistemologii. Ale co do gaullizmu – nic podobnego: od powrotu do władzy generała de Gaulle’a w 1958 roku i zmiany systemu gaullizm był w centrum sporów i dyskusji, przyciągał i odpychał jednakowo namiętnie: debata nad gaullizmem i jego implikacjami stała się zażarta. Może zresztą w moim wywodzie przypisanie gaullizmu do trzeciej prawicy nie było najmocniej udowodnione. Poza tym – a sprawa ta stanie się wyraźniej widoczna w miarę upływu czasu i w świetle innych kontrowersji – dyskusja o gaullizmie nakładała się na inne tematy, wzbudzając dodatkowe, poważne różnice zdań.

---

<sup>18</sup> L’Union pour la démocratie française (Unia na rzecz Demokracji Francuskiej) – złożone z wielu środowisk ugrupowanie powołane w 1978 roku przez prezydenta Valéry’ego Giscarda d’Estaing, reprezentowało liberalny nurt francuskiej prawicy. Większość środowisk UDF znalazło się w szeregach powołanej przez prezydenta Jacques’a Chiraca Union pour un mouvement populaire (Unii na rzecz Ruchu Ludowego).



## Czy Francja doświadczyła faszyzmu?

Główna niezgoda dotyczyła istnienia – lub nieistnienia – francuskiego faszyzmu. Ci wszyscy, którzy począwszy od 6 lutego 1934 roku zebrali się pod sztandarem antyfaszyzmu, nie mieli żadnych wątpliwości: dla nich faszyzm we Francji przybierał rysy owych lig antyparlamentarnych, żelaznej włóczni reakcyjnej prawicy. Sens walki, jaką prowadzili, był jasny: bronić demokracji przed uniwersalnym faszyzmem. Ta walka, chwilowo przegrana z powodu klęski w roku 1940, została wygrana w roku 1945, ale w międzyczasie Francja doświadczyła faszyzmu podczas rządów reżimu Vichy. Taka była – co przypominałem na pierwszych stronach mojej książki – interpretacja najświeższej historii przyjmowana powszechnie za wyraz prawdy. I właśnie na przekór tej Wulgacie, moim zdaniem nazbyt uproszczonej, podjąłem próbę ponownego odczytania lat 1930–1940, która doprowadziła mnie do kilku nonkonformistycznych propozycji interpretacyjnych. Francja w mniejszym stopniu niż inne kraje europejskie, jej sąsiedzi, dotknięta została faszystowską pokusą. To, co brano za francuski wariant zjawiska faszyzmu, moim zdaniem nie miało z tym zjawiskiem wiele wspólnego, poza pewnymi powierzchownymi podobieństwami, jak kult wodza, noszenie uniformu, upodobanie do masowych wieców i wojskowych defilad. Tego rodzaju zachowania zakorzenione były jednak w głębszej tradycji, czysto francuskiej, której źródła były typowo narodowe. Pomyślałem, że można dostrzec ich początki w pewnej interpretacji bonapartyzmu i prześledzić etapy jej przeobrażeń, od bulanżyzmu<sup>19</sup> do działalności owych lig narodowych. Co do reżimu Vichy (z wyjątkiem jego ostatniego wcielenia, kiedy to państwo zostało skonfiskowane przez milicję, stając się rzeczywiście tworem faszystowskim, dość podobnym do efemerycznej Włoskiej Republiki Socjalnej po upadku Mussoliniego) – rewolucja narodowa proklamowana i realizowana od 12 lipca 1940 roku wydawała mi się typowym wyrazem pragnień tej najstarszej prawicy, która nie czekała na wyłonienie się autorytarnych reżimów XX wieku, żeby podjąć rekonstrukcję państwa i oprzeć jego podstawy społeczne na negacji zasad roku 1789. Inspiracji tego eksperymentu nie trzeba było szukać za granicą; był on bardziej reakcyjny niż faszystowski. Wniosek z takiej interpretacji brzmi: prawica we Francji nie zmieszała się z faszyzmem. Zresztą – czy w innych krajach nie było tak samo? O ile w wielu z nich konserwatyści grali ruchami faszystowskimi, mimowolnie umożliwiając kariery awanturnikom, czy to przez zaślepienie, czy dlatego, że przeceniali

<sup>19</sup> Bulanżyzm – nazwa ruchu politycznego o prawicowo-narodowym charakterze, którego liderem był generał Georges Boulanger (1837–1891). W roku 1889 Boulanger podjął próbę zamachu stanu zwróconą przeciwko słabości rządów Trzeciej Republiki.

własne siły – nigdzie ta stara prawica, zachowująca tradycyjne wartości, monarchiczna, arystokratyczna, elitarna, hołdująca znakomitościom, religijna - nie zmieszała się z ruchami plebejskimi i populistycznymi. Vichystowscy teoretycy rewolucji narodowej nie mieli nic wspólnego z paryskimi kolaborantami, adeptami narodowego socjalizmu, wielbicielami Wielkiej Rzeszy. Co może łączyć wspólnego Henriego Massisa<sup>20</sup> z Marcelem Déat<sup>21</sup>? Nie czerpali z tych samych źródeł filozoficznych. Te ruchy prawicowe dały nawet ruchowi oporu wobec faszyzmu kilka symbolicznych wręcz postaci. Zatem, moim zdaniem, przystępując do inwentaryzacji francuskich prawic, nie należy przeznaczać na ich liście miejsca dla jakiejś prawicy faszystowskiej.

Ta reinterpretacja przyjęta została we Francji w roku 1954 względnie łatwo: w tamtym czasie jej podstawowe twierdzenia nie zostały w ogóle zakwestionowane. Oczywiście, nie przeszkadzała mediom nadal przedstawiać przechodzące pod Bramą Brandenburską parady narodowosocjalistyczne jako bliźniacze defiladom Croix-de-Feu<sup>22</sup>, maszerującym Polami Elizejskimi. Ale moja interpretacja została powszechnie uznana, podjęta, wzmocniona i wzbogacona przez większość francuskich historyków tamtego okresu. Weszła nawet do podręczników szkolnych, co jest zawsze wystygłym i uproszczonym wyrazem przyjętej prawdy.

Nie wszystkim jednak przypadła do gustu. Napotkała sceptyków i wzbudziła protesty zwłaszcza tych, którzy ciągle jeszcze odczytywali lata trzydzieste przez okulary antyfaszyzmu i interpretowali ten tak dyskutowany okres naszej najnowszej historii przez pryzmat konfrontacji demokracji z faszyzmem.

Ta kontrowersja wznowiona została niedawno za sprawą opublikowanej w 2003 roku pracy zbiorowej pod kierunkiem Michela Dobry'ego, zatytułowanej *Le Mythe de l'allergie française au fascisme* [Mit o francuskiej alergii na faszyzm]. Kilka miesięcy później jej echem stała się publikacja w języku francuskim książki Roberta Soucy'ego, zawierającej tezy, które autor głosił już od dawna w Stanach Zjednoczonych. Znak zapytania w jej tytule – *Fascismes français? 1933–1939* [Francuskie faszyzmy? 1933–1939] – nie powinien zwodzić, odpowiedź autora jest bowiem kategoryczna: francuski faszyzm z całą pewnością istniał w tamtych latach – wybór daty otwierającej nie jest z tego punktu widzenia obojętny –

---

<sup>20</sup> Henri Massis (1886–1970) – eseista, krytyk literacki, dziennikarz, związany z prawicą narodową i Action Française.

<sup>21</sup> Marcel Déat (1894–1955) – polityk socjalistyczny, od lat trzydziestych związany z faszyzmem. W roku 1938 opublikował słynny tekst *Dlaczego musimy umierać za Gdańsk?*. W czasie drugiej wojny światowej reprezentował skrajnie kolaboracjonistyczne stanowisko.

<sup>22</sup> Croix-de-Feu (Ognisty Krzyż) – założona w 1927 roku organizacja kombatanów pierwszej wojny światowej o narodowym i antykomunistycznym rodowodzie.

o którym w książce tej mówi się, że był „prawdziwym, masowym, prawicowym nurtem politycznym.

Współautorzy pierwszego z tych dzieł zarzucają nam, mnie i innym francuskim historykom, że nasze badania doprowadziły do relatywizacji poważnego nasycenia Francji faszyzmem w latach trzydziestych, i że było to naszą intencją. Podejrzewają nas, że kierowaliśmy się całkiem innymi motywami niż troska o prawdę, że działaliśmy powodowani chęcią oczyszczenia Francji z win, do których potem się przyznała. Zarzucono naszej prezentacji faktów, że jest uspakajająca, wręcz hagiograficzna. Według tej krytyki nasza interpretacja zawdzięcza swój sukces wyłącznie temu, że pozwalała przewrócić stronicę w pewnym rozdziale naszej historii, o którym wielu chciałoby jak najszybciej zapomnieć. Te zarzuty to wygodna i klasyczna metoda dyskredytowania jakiejś tezy i dyskwalifikowania jej autorów poprzez przypisywanie im podejrzanych intencji i ukrytych zamiarów, do których się nie przyznają i nie mogą się przyznać.

Próbowano nas pogrążyć, insynuując, że nasza teza korzystała z poparcia władz (ale nie sprecyzowano: politycznych czy uniwersyteckich...) i określając ją jako „oficjalną” czy nawet „ortodoksyjną” historię. Czy ci autorzy nie chcą aby przez to powiedzieć, że wykazali się wielką odwagą, przeciwstawiając się naszej interpretacji, jak gdybyśmy – wszyscy jej zwolennicy – sprawowali w środowisku uniwersyteckim i w badaniach historycznych jakąś intelektualną dyktaturę, coś na kształt dominacji nad filozofią francuską niejakiego Victora Cousina w czasach monarchii lipcowej? Czy naprawdę muszę przypominać, że pierwsze wydanie mojej *La Droite* było dziełem samotnego historyka, i że szło ono wówczas pod prąd głównych kierunków historiograficznych? To, że liczni historycy doszli później do podobnych wniosków, wspomniani autorzy uznają za dowód istnienia jakiegoś klanu (skoro już popuszczamy wodzy fantazji, czemu by nie pójść dalej i doszukać się w tym spisku?), który miałby prowadzić systematyczną akcję wybielania Francji. Wobec tej sfabrykowanej, wyszanej z palca chimery rodzi się zatem głęboka wątpliwość co do solidności leżącej u jej podstaw argumentacji: jeśli bowiem prace licznych historyków dochodzą do podobnych konkluzji, czemu podejrzewać od razu zмовę jakiejś grupy nacisku, zamiast przyjąć po prostu, że ta zbieżność może być równie dobrze stwierdzeniem oczywistości?

Przejdźmy zatem do istoty sprawy. Nasi oskarżyciele – to najbardziej adekwatne określenie autorów tej tendencyjnej metody polemicznej – zarzucają nam nie tylko pomniejszanie rozległości wpływu faszyzmu na Francję, lecz także wyjaśnianie tej jego niby-nieobecności rzekomą alergią Francji na uroki faszyzmu; miałyby ona zatem naszym zdaniem

korzystać z dobrodziejstwa swego rodzaju uodpornienia, które chroniłoby ją przed wszelkimi tego rodzaju pokusami. To właśnie ten wyjątkowy status Francji stanowi główny punkt oskarżenia nas o tezę, nazwaną „odpornościową”.

Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek użył słowa „alergia”: nie należy do mojego słownictwa, a już w ogóle – do zakresu moich pojęć wyjaśniających. A to z prostego i wystarczającego powodu: nie wierze w „czyste byty”. Jako historyka nie kuszą mnie odwołania do tego, co niezmiennie i ponadczasowe. Nie mogę wyjść z osłupienia, gdy czytam u jednego ze współautorów owego kolektywnego dzieła, że jestem „esencjalistą” – podczas gdy idea przewodnia mojego eseju polegała na przeciwstawieniu się ujmowaniu prawicy i lewicy jako niezmiennych układów, ponieważ płynące z takiego ujęcia definicje stają się oderwane, niezależne od sytuacji historycznych. Czyż nie dość podkreślałem w mojej pracy, że pojęcia lewicy i prawicy definiują się względem siebie, poprzez i wzajemne usytuowanie, jak również w relacji do sytuacji politycznych i konfiguracji ideologicznych? Są wytworem historii i – w konsekwencji – nie można ich badać ani zrozumieć inaczej, jak tylko w pewnej historycznej perspektywie. Takie było moje stanowisko – zupełnie odwrotne wobec tego, jakie mi przypisano.

Tak samo z faszyzmem. Daleki od apriorycznego przypisywania francuskiemu organizmowi społecznemu jakiejś szczególnej odporności na faszyzm, wyszedłem w mojej pracy od zwykłej obserwacji faktów: to prawdziwy materiał badawczy. Co nam mówią fakty? Że w odróżnieniu od innych krajów – bo aspekt porównawczy nie jest obcy mojej analizie i całkowicie zgadzam się z jego doniosłym znaczeniem – we Francji faszyzm nie zwyciężył; nie doszedł do władzy – jeśli przyjąć, że reżim Vichy związał się z faszyzmem w okolicznościach, co do których trzeba się zgodzić, że należały do wyjątkowych i były spowodowane głównie przyczynami zewnętrznymi. Bo przecież klęska militarna nie jest zwykłą sytuacją, a w jeszcze mniejszym stopniu jest nią okupacja narodowego terytorium przez zwycięskiego wroga. Czyż faszyzm doszedłby kiedykolwiek do władzy we Francji, gdyby nie te dramatyczne okoliczności, których przecież Francuzi ani nie pragnęli, ani nie przewidywali?

Czy po tej konstatacji – mogłoby być coś bardziej naturalnego, bardziej zgodnego z historyczną dociekliwością, niż zadanie sobie pytania o przyczyny tej osobliwości i poszukiwanie wyjaśnień w sytuacji Francji w tamtym okresie jej historii? Co rzuca się w oczy jako przyczyna wymienionych obiektywnych różnic? Że Francja wyszła z pierwszej wojny światowej jako jeden ze zwycięzców, nie miała więc powodów, by doświadczać goryczy pokonanych Niemiec lub rozczarowania Włoch, głęboko zranionych okrojona

wygraną. Że francuska gospodarka, dość tradycyjna i zapóźniona wobec Stanów Zjednoczonych i uprzemysłowionych krajów Europy Północnej, była bardziej skupiona na rynku wewnętrznym, dlatego też została w mniejszym stopniu dotknięta przejawami wielkiego kryzysu, który wstrząsnął światem po październiku 1929 roku. Społeczeństwo francuskie, nie odczuwając tych wstrząsów tak silnie jak społeczeństwa krajów sąsiednich, było także mniej skłonne, by wsłuchiwać się w uwodzicielski śpiew faszyzmu. W tym wszystkim nie ma mowy o żadnej „alergii” na faszyzm, bo nie jest to kwestia jakiegoś „uczulenia”, ale stosunku między obiektywnymi danymi – faktami – a reakcjami politycznymi społeczeństwa na te fakty.

W zrozumieniu tych reakcji pomocne może być uwzględnienie wcześniejszych doświadczeń, wspomnień, jakie te doświadczenia pozostawiły w zbiorowej pamięci, a także lekcji, jakie mogła z nich wyciągnąć obywatelska świadomość. Tworzywem kultury politycznej danego ludu jest jego przeszłość, niestrudzenie odczytywana, nieustannie reinterpretowana. Także pod tym względem Francja odróżnia się od innych krajów. Jest faktem, że doświadczyła demokracji wcześniej niż większość państw europejskich: trwające niemal sto lat nieprzerwane praktykowanie powszechnego głosowania mężczyzn wytworzyło obyczaje, o których powiedziałbym wprawdzie, że uodporniły Francuzów na pokusy totalitarne, ale które – być może – uzbroiły ich przeciw takim tendencjom. Można by znaleźć jeszcze inne wyjaśnienia lub zaryzykować przypuszczenie bliższe naszemu tematowi, czyli prawicom. Chodziłoby o religijne uczucia Francuzów: niegasnące przywiązanie części duchowieństwa i wiernych do klasycznego modelu społeczeństwa, do zasad jego ładu i hierarchii społecznej, nie sprzyjało akceptacji czynnika wywrotowego i przemożnej chęci władzy obecnych w ruchach inspirowanych faszyzmem. Jeśli zaś chodzi o tych katolików, którzy opowiedzieli się po stronie Republiki, akces do demokracji i akceptacja jej wartości kosztowały ich zbyt wiele, by teraz zdolni byli łatwo ją kwestionować. W innej z kolei części społeczeństwa francuskiego antyklerykalizm upowszechnił nieufność wobec wszelkiego czynnika irracjonalnego, nieufność, która przestrzegała przed wszelkimi ruchami odwołującymi się bardziej do sił instynktu i namiętności niż do rozumu.

Suma tych czynników wytworzyła szczególną sytuację: nie wyjątkową, ale odrębną. Nigdy nie twierdziliśmy, że Francja korzystała z wyjątkowego statusu. Stanowi ona przypadek szczególny. Co nie przeszkadza w dokonywaniu porównań. Przeciwnie: to właśnie porównanie pozwala wydobyć oryginalność, specyfikę tej francuskiej odrębności, jak również wskazać podobieństwa i zbieżności sytuacji Francji z sytuacją innych krajów. I właśnie w tym wypadku rzuca się w oczy historykom – którzy, wbrew insynuacjom, nie są pozbawieni

zmysłu krytycznego – że Francja była mniej niż inne kraje dotknięta faszystowskim zacadeniem umysłów i mniej podatna na pokusę faszyzmu. I w ten sposób, odsyłając koncepcję alergii Francji i Francuzów na faszyzm w poczet mitów, powracamy do faktów. Od nich zależą interpretacje.

Jak to możliwe, że z tej samej historii można wyczytać tak różne opowieści? Na przykład tę, która znalazła się w centrum sporów dotyczącą ruchu Croix-de-Feu, którego kontynuacją jest Francuska Partia Socjalna i szefa tych organizacji, pułkownika La Rocque<sup>23</sup>; jak to możliwe, że ponad sześćdziesiąt lat po tamtych wydarzeniach, po tak licznych, dogłębnych pracach francuskich uczonych i po publikacji wielkiego dzieła, które obficie czerpało ze źródeł archiwalnych Jacquesa Nobécourta – (*Le Colonel de la Rocque, 1885–1946, ou les Pièges du nationalisme chrétien* [Pułkownik de La Rocque, 1885–1946, albo Pułapki nacjonalizmu chrześcijańskiego] opublikowane w 1996 roku) – jakiś Robert Soucy może niezachwianie twierdzić w swej niedawno sprowadzonej do Francji książce *Fascismes français? 1933–1939*, że ruch ten był oczywistą francuską wersją faszyzmu? Jeśli odrzucić tę łatwość, z jaką niektórzy nasi adwersarze wyjaśniają tę rozbieżność interpretacji „nienaukowymi, ukrytymi zamiarami”, to nie da się zaprzeczyć, że stanowi ona czystą zagadkę, skłaniającą do namysłu. Powrócę jeszcze do tego przy okazji rozważań nad ekstremizmem prawicy i jego różnymi przejawami.

To pytanie pojawia się jeszcze bardziej natrętnie w związku z pracami innego historyka idei politycznych, którego wahałbym się nazwać określeniem „cudzoziemiec”, tak bardzo przesiąknięty jest kulturą francuską, a nasze tradycje intelektualne zna często lepiej niż historycy francuscy. To Zeev Sternhell, profesor Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, gdzie jest profesorem zwyczajnym w katedrze Léon-Blum, autor trzech doniosłych książek, z których dwie ostatnie stanowią najpoważniejszą krytykę mojego rozróżnienia trzech prądów i wzbudziły żywe kontrowersje wśród licznych historyków francuskich, zajmujących stanowisko podobne do mojego: *Maurice Barrès et le nationalisme français* [Maurice Barrès i nacjonalizm francuski] (1972), *La Droite révolutionnaire, 1885–1914. Les origines françaises du fascisme* [Prawica rewolucyjna, 1885–1914. Francuskie źródła faszyzmu] (1978) i *Ni droite ni gauche. L'idéologie fasciste en France* [Ani prawica, ani lewica. Ideologia faszystowska we Francji] (1983).

Jego tezy opierają się na rozległych lekturach, na bezpośrednim kontakcie z niebywale licznymi tekstami, których znaczenia rozszyfrowuje z dużą przenikliwością, a które jego

<sup>23</sup> François de La Rocque (1885–1946) – polityk, pułkownik, przywódca ligi Croix-de-Feu, w roku 1936 utworzył Francuską Partię Socjalną, więziony przez Niemców za pomoc ruchowi oporu.

erudycja pozwala mu z wprawą umiejscowić je w czasie. W jednym przynajmniej punkcie, i to niepoślednim, nie zaprzecza mojej analizie: co do faszyzmu – Francja nie kopiowała zagranicy; nie zapożyczyła obcych modeli, z wyjątkiem lat 1943–1944. Ale to ją tylko pogrąża. Zeev Sternhell odwraca bowiem perspektywę: Francja nie musiała importować faszyzmu z zagranicy – twierdzi – gdyż to ona go wymyśliła. Wszystkie elementy, jakie znajdziemy w faszyzmie, zostały – zdaniem Sternhella – wymyślone przez francuskich publicystów przed wojną roku 1914: dążenie do przewyciężenia podziału na lewicę i prawicę, połączenie pierwiastka narodowego z pierwiastkiem społecznym, a zwłaszcza krytyka Oświecenia, odrzucenie zasad, przyjętych w roku 1789, potępienie indywidualizmu, liberalnych idei i nowoczesności – i przeciwstawienie im fizycznej rzeczywistości ziemi i krwi oraz praw naturalnych, organicznych wspólnot.

Ile jest prawic: dwie, trzy czy cztery?

Nie zgadzamy się przede wszystkim w kwestii liczby prawic: o ile Zeev Sternhell nie zgłasza zastrzeżeń wobec mojego wyliczenia gdy mowa o wieku XIX, o tyle neguje jego ważność w odniesieniu do wieku XX. Mój błąd polegałby na tym, że nie zauważam istnienia, poczynając od ruchu boulanżystowskiego, pewnej odmiennej od innych prawicy, którą niesłusznie mieszam z moją prawicą bonapartystowską, a którą Sternhell nazywa „prawicą rewolucyjną”, albo „kontestatorską”, albo jeszcze inaczej – „dysydencką”. Jego krytyka wykracza jednak daleko poza stwierdzenie zwykłego przeoczenia, które można uzupełnić: po wyodrębnieniu przez Sternhella tej nowej prawicy, która definiuje się głównie poprzez odrzucanie rozróżnienia na prawicę i lewicę i przez chęć przewyciężenia tego podziału, dokonany przeze mnie trójpodział przestaje w ogóle funkcjonować; traci sens. Ujmując sprawę w terminach arytmetycznych – zarzut Sternhella dotyczy tego, że nie doliczyłem się tej czwartej prawicy i poprzestałem na trzech składnikach prawej strony sceny politycznej, ale przede wszystkim tego, że upieram się przy istnieniu tylko mojego tria. Gdyż wedle Zeeva Sternhella wyłonienie się owej prawicy, którą nazywa „rewolucyjną”, czyni bezużytecznym ów trójpodział. Jego zdaniem ze względu na wagę stawki wprowadzonej do debaty politycznej przez tezy kontestacyjne, różnice między prawicą kontrrewolucyjną a prawicą liberalną utraciły ważność. W latach czterdziestych, podobnie zresztą jak od początku wieku, mielibyśmy zatem już tylko dwie przeciwstawne prawice: po jednej stronie – liberałów i konserwatystów, a po drugiej – „prawicę sternhellowską”, radykalną i rewolucyjną.

Taka wizja pociąga za sobą cały szereg konsekwencji w interpretacji podstawowych faktów historycznych z okresu 1900–1945. Dotyczy to zwłaszcza oceny rządu z Vichy, który Zeev Sternhell w całości i we wszystkich jego działaniach utożsamia z faszyzmem; między rządem z Vichy z roku 1940 a tym z 1945, a więc między rewolucją narodową a państwem milicyjnym nie ma dla Sternhella żadnej istotnej różnicy: to od początku do końca faszyzm.

Jak interesujący by nie był spór dotyczący liczby odgałęzień składających się na drzewo prawicy pozostałby banalną akademicką dyskusją między uczonymi i nie zasługiwałby, by do niego powracać, gdyby dalszy rozwój życia politycznego nie przywrócił mu nagle palącej aktualności i nie otworzył go na nowo, nadając mu nowy wymiar.

W 1945 roku ta mgławica, której Zeev Sternhell i inni udzielili w swych pracach odrębnej tożsamości, zniknęła ze sceny politycznej, wymieciona przez wiatr historii wraz ze swymi przywódcami, zdyskredytowanymi konszachdami z okupantem. Był to, być może, jeden z powodów, dla których nie interesowałem się już nią. W początkach lat pięćdziesiątych nie było już skrajnej, tradycyjnej prawicy. Ale na jej miejscu odtworzyła się powoli, wykorzystując dramat dekolonizacji, pewna opozycja względem rządu i demokracji, która osiągnęła apogeum podczas bezpardonowej walki przeciw polityce generała de Gaulle’a, czego wyrazem był nieudany pucz algierski w kwietniu 1961 roku, bunt części zawodowych wojskowych i chaotyczna, mordercza działalność „desperados” z OAS. Ta skrajna prawica oceniła liczbę swych zwolenników i sprawdziła swe realne wpływy i ograniczenia w pierwszej turze wyborów prezydenckich 5 grudnia 1965 roku, głosując na kandydaturę Jeana-Louisa Tixiera-Vignancoura<sup>24</sup> (uzyskał 5,3 procent głosów), którego nazwisko i postać symbolizowały zarazem dziedzictwo Action Française, uczestnictwo w rządzie Vichy, wierność marszałkowi Pétainowi, opozycję wobec Piątej Republiki, a także solidarność z deputowanymi poujadowskimi<sup>25</sup> i walkę o Algierię francuską. Ów bardzo względny sukces wyborczy był ostatnim przejawem tego nurtu i zamknął jej rozdział otwarty dziesięć lat wcześniej, nazajutrz po klęsce pod Dien Bien Phu<sup>26</sup>.

Potem przez dwadzieścia lat nie słyszało się już o tej skrajnej prawicy. Zaslugę wymazania jej ze sceny politycznej przypisywano często gaullizmowi, który umiał przyciągnąć do demokracji pasjonatów wielkości narodowej i wzmocnił władzę wraz

---

<sup>24</sup> Jean-Louis Tixier-Vignancour (1907–1989) – adwokat, polityk nacjonalistyczny, urzędnik w czasie rządów Vichy, deputowany do Zgromadzenia Narodowego (1956–1958). W roku 1965 jego kampanię prezydencką prowadził Jean-Marie Le Pen.

<sup>25</sup> Ruchy poujadowskie, poujadyzm – nazwa populistycznego ruchu politycznego, który rozwinął się w latach pięćdziesiątych i miał reprezentację w parlamencie; na jego czele stał sklepikarz Pierre Poujade.

<sup>26</sup> Dien Bien Phu – miasto w północno-zachodnim Wietnamie. Miejsce przegranej przez Francuzów bitwy (1953–1954), która rozstrzygnęła o rezultacie wojny indochińskiej.



z ustanowieniem Piątej Republiki. Nasze dyskusje o francuskim faszyzmie zostały w konsekwencji pozbawione związku z bieżącymi debatami politycznymi między prawicą a lewicą, które dotyczyły już całkiem innych zagadnień.

Było tak aż do uderzenia piorunu w postaci wyborów europejskich 17 czerwca 1984 roku, kiedy to lista Frontu Narodowego niejakiego Jeana-Marie Le Pena<sup>27</sup>, którego znano jako deputowanego poujadystowskiego w roku 1956 i kandydata na prezydenta w roku 1974 (uzyskał wówczas tylko 0,5 procent głosów) – zdobyła 11 procent głosów, tyle samo co lista Partii Komunistycznej, wkraczającej już w okres schyłkowy. Odtąd nie było już możliwe nie brać pod uwagę tego ruchu. Co to więc za formacja? Czy to jakaś nowa siła polityczna? Czy nie mieliśmy raczej do czynienia z ponownym – po dwudziestu latach utajonego istnienia – wydobyciem się na powierzchnię życia politycznego tejże skrajnej prawicy, która przybierała kolejno postać lig narodowych, reżimu Vichy i ruchu na rzecz francuskiej Algerii? Krótko mówiąc – czy nie była to ta prawica rewolucyjna, francuska odmiana europejskiego faszyzmu? Przebicie się Frontu Narodowego na scenę polityczną odgrzewało spór o faszyzm i zachęcało do ponownego odczytania stuletniej już historii tego nurtu, poczynając od epizodu boulanżystowskiego, który według Zeewa Sternhella wyznacza początek nowej ery i związany z nim początek zaniku trójpodziału na prawicy. Czy po tych wydarzeniach można było uniknąć ponownego otwarcia dossier ewentualnej czwartej prawicy?

Otworzyć ponownie to dossier

Inne dane również zachęcały do ponownego przebadania tez i hipotez sformułowanych w 1954 roku. Zniknięcie ze sceny politycznej prawicy zwanej legitymistyczną (która od dawna zaprzestała ubiegania się o głosy wyborcze i przestała liczyć na innych zwolenników niż wierni Kościoła arcybiskupa Lefebvre’a<sup>28</sup>), uroczyste i świętowane w atmosferze bliskiej jednomysłności obchody dwustulecia Rewolucji (dowód, że odniesienie do roku 1789 nie dzieli już Francuzów, nie jest więc przyczyną prawdziwego zwarcia między prawicą a lewicą) – czyż fakty te nie oznaczały, że nadeszła, być może, chwila, by sporządzić akt zgonu tej tradycji, jeśli nie jako pewnej szkoły myślenia,

---

<sup>27</sup> Jean-Marie Le Pen (ur. 1928) – polityk nacjonalistyczny, przywódca Frontu Narodowego, w roku 2002 wszedł do drugiej tury wyborów prezydenckich, pokonując kandydata socjalistów, premiera Lionela Jospina.

<sup>28</sup> Marcel Lefebvre (1905–1991) – arcybiskup Dakaru, reprezentował w Kościele nurt tradycjonalistyczny i krytyczny wobec reform Soboru Watykańskiego Drugiego, w roku 1988 został ekskomunikowany przez papieża Jana Pawła II.

zachowującej jeszcze jakieś piękne resztki, to przynajmniej jako siły politycznej? Możliwe, że nic nie usprawiedliwia już brania jej pod uwagę jako całkiem odrębnej prawicy.

Pewien całkiem osobny wątek, do dnia dzisiejszego – najnowszy, – przyniósł jeszcze jeden powód, by postawić pytanie o trwałość rozróżnienia między prawicami: to próba połączenia formacji, rywalizujących dotąd ze sobą na gruncie wielości prawicowych tradycji. Idea zgrupowania wszystkich parlamentarnych prawic w jedną organizację powracała regularnie w dyskusjach nad najlepszą dla prawicy strategią, która pozwalałaby jej utrzymać się przy władzy albo do niej – po jej utracie – powrócić: czy eksponować swą różnorodność i głosić swą wielorakość, aby zaspokoić zróżnicowane potrzeby elektoratu, a potem, wedle uświęconego wyrażenia, „zgarnąć, ile się da” – czy może połączyć się w jednej organizacji przeciw wspólnemu wrogowi, lewicy? Nazajutrz po każdej klęsce wyborczej odzywali się zwolennicy jedności, a przywódcy doznawali pokusy tłumaczenia klęski tym właśnie podziałem, rozpraszającym głosy wyborców. Édouard Balladur był jednym z pierwszych, którzy zalecali łączenie się prawic, przede wszystkim prawicy liberalnej z gaullizmem – a więc, w przełożeniu na nazwy organizacji, UDF i RPR<sup>29</sup> – i ich fuzję w ramach konfederacji. Były premier stał się propagatorem ich organicznej jedności. Bez większego sukcesu; każda formacja była zazdrośnie przywiązana do swej autonomii, obawiając się, że w wyniku zjednoczenia zatraci swą tożsamość. Naturalna troska przywódców o zachowanie swoich wyborców nie była jedyną, ani nawet chyba główną przeszkodą dlatego połączenia. Każda „partyjna rodzina” uważała się za depozytariusza pewnego kulturowego dziedzictwa i nie zamierzała go z lekkim sercem utracić ani dopuścić do jego rozpuszczenia w większym, wspólnym już garnku. Zresztą stosunek sił między ewentualnymi partnerami porozumienia był zbyt nierówny, aby najslabsi – drobne ugrupowania UDF – nie obawiały się przejścia przez kaudyńskie jarzmo<sup>30</sup> RPR, formacji najliczniejszej, najbardziej zdyscyplinowanej i – co więcej – zarządzanej w najbardziej autorytarny sposób. Te obawy i podejrzenia sprawiły, że upadły propozycje Charles’a Pasqua<sup>31</sup>: aby zapobiec rywalizacji między kandydatami prawicy w wyborach prezydenckich, proponował on zorganizowanie prawyborów, na wzór tych praktykowanych w Stanach Zjednoczonych. Wszystkie te znakomite projekty

<sup>29</sup> Rassemblement pour La Republique (Zgromadzenie na rzecz Republiki) – partia gaullistowska utworzona przez Jacques’a Chiraca w roku 1976, jej kontynuatorką jest Unia na rzecz Ruchu Ludowego (UMP).

<sup>30</sup> Kaudyńskie jarzmo – symbol upokorzenia. Podczas drugiej wojny samnickiej w wąwozie kaudyńskim (niedaleko Kaudium) rozegrała się bitwa między wojskami rzymskimi a wojskami Samnitów (321 p.n.e.). Rzymianie zamknięci przez przeciwnika w wąwozie musieli się poddać. Zmuszeni zostali do wydania Samnitom sześciuset zakładników, a sami pozbawieni broni musieli przejść pod jarzmo, co było hańbiące.

<sup>31</sup> Charles Pasqua (ur.1927) – polityk gaullistowski, minister spraw wewnętrznych w rządzie Chiraca (1986–1988), przeciwnik pogłębiania integracji europejskiej, był przeciwny ratyfikacji traktatu z Maastricht.

i cudotwórcze kombinacje pozostały w sferze zamiarów; wszystko skłaniało do przypuszczenia, że dalej będzie tak, jak dotąd, i że w niepowodzeniu wszystkich tych usiłowań można doszukiwać się pośredniego potwierdzenia tezy o nieredukowalnej wielości prawic we Francji.

Aż do chwili, gdy oto nieoczekiwanie rozpoczyna się wyraźnie bardziej pomyślny proces: nazajutrz po drugiej turze wyborów prezydenckich, które 5 maja 2002 roku powtórnie dały mu prezydenturę (82 procent głosów), Jacques Chirac użył całego swego podwójnego autorytetu – założyciela RPR i twórcy federacji prawic – by poprzeć stworzony przez jego doradcę, Jérôme’a Monoda projekt stworzenia (zamiast federacji) jednej wspólnej organizacji, w której stopiłyby się wszystkie dotychczasowe składniki prawicy. Ten nowy byt osiągnął swój pierwszy cel: wygrał z łatwością wybory parlamentarne z czerwca 2002 roku i zapewnił sobie w nowym Zgromadzeniu absolutną większość, co zwolniło go z konieczności pozyskiwania brakujących głosów z innych ugrupowań. Wszyscy deputowani wybrani pod sztandarem nowej formacji, UMP, ugięli się i przystąpili do jednego klubu parlamentarnego, w którym odtąd przestrzegali dyscypliny.

Ten pierwszy sukces otwierał drogę do bardziej ambitnego przedsięwzięcia: dokonania fuzji wszystkich prawic. Czy mogłoby się ono skończyć podobnym sukcesem? Dla naszej dyskusji sprawa ta miała olbrzymią wagę: jeśli powtarzające się porażki wszystkich wcześniejszych prób zjednoczenia prawic we wspólną formację polityczną mogły być ujmowane jako dowód nieredukowalnej wielości prawic, to czy ta sama logika nie każe uznać sukcesu takiej inicjatywy za fakt podważający tezę o tej wielości, a przynajmniej poważnie utrudniający jej utrzymywanie? A może różnice między prawicami nigdy nie były tak głębokie i nieredukowalne, jak zakładała to teza o istnieniu trzech prawic, którą trzeba by w takiej sytuacji przepracować i złagodzić? Albo też – to byłaby hipoteza mniej radykalna, o mniej destrukcyjnych konsekwencjach – wypadłoby przyjąć, że w ostatnim czasie zaszły zmiany tak poważne, że dawne różnice między prawicami zatarły się lub stały się drugorzędne, a w takim wypadku należałoby uznać rozróżnienie trzech prawic za przestarzałe. Ileż to razy od roku 2002 stawiano mi to pytanie: czy utworzenie UMP nie zapowiada kresu wielości prawic? Czyż nie był to początek nowego rozdziału historii formacji prawicowych? I czy nie powinienem powrócić do pierwszego tytułu mojego eseju: *Prawica... a nie Prawice...?*

Przyjęcie mojego szkicu było zatem zróżnicowane; choć istota jego twierdzeń została od razu przyjęta i zaaprobowana, to jednak wzbudził też zastrzeżenia i zarzuty. W pięćdziesiąt

lat później wielu sądzi, że zawarte w nim propozycje interpretacyjne nadal dobrze opisują rzeczywistość i zachowują moc wyjaśniającą; według innych – straciły swą ważność. Są zarazem uznaną klasyką i przedmiotem kontrowersji: czy książka, która w zamyśle miała być bardziej interpretacją niż opowieścią, mógłby spotkać los bardziej godny pozazdroszczenia? Taka sytuacja rodzi też pewną odpowiedzialność: bo książka żyje już własnym, niezależnym życiem i nadal prowadzi dialog ze swoim tematem, który nie przestaje ewoluować; czyż nie jest więc obowiązkiem autora, tak etycznym, jak i intelektualnym, uwzględniać zarzuty, rozpatrywać zasługujące na uwagę spostrzeżenia i aktualizować tę analizę?

Ostatnie wydanie *Prawic...* pochodzi z roku 1982: wówczas prawica doświadczyła dopiero co miażdżącej klęski i straciła władzę, którą sprawowała bez przerwy od mniej więcej 22 lat. Moja książka kończyła się dwiema prognozami, postawionymi nie bez ryzyka: że wcześniej czy później prawica podźwignie się z tego upadku i że jakaś prawica zawsze będzie istnieć. Bieg wydarzeń w pełni zweryfikował tę pierwszą prognozę: od tamtego czasu prawica wygrała pięć spośród ośmiu najważniejszych wyborów, prezydenckich i parlamentarnych. Ale czy ta prawica jest jeszcze prawicą? Gdzież są te niegdysiejsze prawice i ile ich dzisiaj jest?

Tak jak w roku 1954 i 1982 – stoimy ciągle przed tymi samymi wielkimi pytaniami: czy podział sceny politycznej, spectrum ideologii i wachlarza opinii nadal dokonuje się wokół tych dwóch antagonistycznych i symetrycznych biegunów, wokół prawicy i lewicy? I czy podział prawicy na trzy główne nurty zachowuje jeszcze swe znaczenie i ważność? Celem niniejszego szkicu, który kontynuuje tamten, z 1954 roku, jest odpowiedzieć po kolei na te pytania.

## Rozdział II. Czy podział na prawicę i lewicę ma jeszcze sens?

### *Tradycyjne kryteria poddane próbie*

Czy podział na prawicę i lewicę ma jeszcze sens? Jest to pytanie zasadnicze: waga tego rozróżnienia jest na miarę miejsca, jakie zajmuje ono od dwustu lat zarówno w naszej historii, jak i w naszej kulturze politycznej. Co stałoby się, gdyby przestało być kluczem pozwalającym rozumieć nasze debaty i, ogólniej mówiąc, całe nasze życie polityczne? Czy gdyby ten dwumian przestał kierować decyzjami wyborców i rządzić strategiami partii, nie oznaczałoby to ruiny całego systemu uzasadnień? Czy nie pozostałyby nam wtedy tylko rozproszone fakty bez znaczenia, jak naszyjnik z pereł, które rozsypują się, gdy zerwana zostaje nić utrzymująca ich harmonijną kompozycję?

Prawdę powiedziawszy, nie byłby to pierwszy przypadek, w którym pewna linia graniczna dzieląca Francuzów do tego stopnia, że jest w stanie wywołać wojnę domową, traci wszelki sens dla następnych pokoleń, wraz ze swymi uzasadnieniami. Kto – wyjąwszy kilku uczonych mediewistów – byłby dziś w stanie zrozumieć i wyjaśnić sedno antagonizmu leżącego u źródeł konfliktu, który na dłużej niż wiek przeciwstawił sobie korony Francji i Anglii i przez cały ten czas podtrzymywał coś na kształt wojny domowej między Francuzami podzielonymi na Armaniaków i Burgundczyków? A czy – bliżej już współczesności – jesteśmy całkiem pewni, że przeniknęliśmy motywy, które w czasach wojen religijnych obracały jednych przeciw drugim, do tego stopnia, że zabijali się wzajemnie: katolicy z Ligi, obóz protestantów i ten trzeci, obóz polityków? To dwa przykłady (a jest takich więcej) nietrwałości podziałów opinii, przykłady, które usprawiedliwiają postawienie pytania o trwałość dzisiejszego rozróżnienia na prawicę i lewicę i o to, czy te dwa bliźniacze pojęcia, te dwie symetryczne, a zarazem przeciwstawne idee mają jeszcze sens i zachowują użyteczność dla ludzi nam współczesnych.

W każdym razie pytanie to narzuca się jako niezbędny pierwszy krok: od odpowiedzi, jaka zostanie na nie udzielona, zależy rozpatrzenie wszelkich innych pytań dotyczących prawicy i lewicy lub ich wzajemnej relacji. Jest oczywiste, że jeśli trzeba będzie uznać, iż obydwa te pojęcia nie mają dziś wartości wyjaśniającej, to dyskusja na temat liczby prawic będzie miała już tylko znaczenie historyczne i nie zainteresuje nikogo z wyjątkiem archiwistów nieistniejących już form minionych czasów.

Nie chciałbym zostać źle zrozumiany. Zastanawianie się nad ewentualną przestarzałością tych dwóch bliźniaczych pojęć nie oznacza kwestionowania zasadności tego rozróżnienia w odniesieniu do przeszłości, tak samo jak ich ważność w odniesieniu do dnia wczorajszego nie rozciąga się automatycznie na teraźniejszość. Zresztą to, że te dwa pojęcia miały kiedyś sens, że nasi przodkowie uznawali ich realność, że pokładali w nich wiarę – wystarczyłoby, aby w oczach historyka zyskały legitymizację, zgodnie z sentencją, wedle której to, co w polityce uznawane jest za prawdę, staje się *ipso facto* częścią rzeczywistości. Maksyma ta ma pewną konsekwencję, bardzo często nie dostrzeganą przez polityków i opinię publiczną, a niekiedy nawet i przez historyków: by zidentyfikować prawicę i lewicę w czasach dziś już minionych, należy trzymać się ściśle ówczesnych kryteriów i starannie wystrzegać się rzutowania na przeszłość naszych współczesnych kategorii. Inaczej popełnia się grzech anachronizmu, który jest dla historyka – na skali błędów w poszukiwaniu prawdy – grzechem nie do naprawienia, grzechem śmiertelnym. Trzeba się więc na przykład pilnować przed założeniem, że lewica definiuje się dziś przede wszystkim przez odniesienie do socjalizmu albo że republikańscy, którzy po roku 1880 postanowili rządzić w ramach instytucji określonych ustawami z roku 1875 (a których radykalni przeciwnicy usiłowali zdyskredytować zarzutem oportunistów) – byli ludźmi prawicy i prowadzili prawicową politykę. W tamtej epoce głównymi kryteriami odróżniającymi prawicę od lewicy były stosunek do republiki i walka z Kościołem katolickim. Gdyby uwzględnić te dwa punkty odniesienia, nie ma wątpliwości, że ci, którzy postanowili w 1884 roku, że republikańska forma rządu nie może być przedmiotem zmian w konstytucji, i podjęli laicyzację państwa, szkoły i społeczeństwa – byli ludźmi lewicy i realizowali politykę lewicową. Ich przeciwnicy, monarchiści i klerykałowie, byłiby bardzo zdziwieni dowiedziawszy się, że wiek później ludzie lewicy będą oskarżać tamtych republikańców obwołanych oportunistami o prawicowość. Maurice Agulhon słusznie przypomina, że Thiers<sup>32</sup>, który uosabia dziś w oczach lewicy represję wobec Komuny Paryskiej i został napiętnowany jako „wersalczyk” – był w roku 1877 sygnatariuszem „wniosku trzystu sześćdziesięciu trzech”, piętnującego zarządzone przez Mac-Mahona<sup>33</sup> rozwiązanie Izby Deputowanych, że w kampanii wyborczej jego nazwisko kojarzono z nazwiskiem Gambetty<sup>34</sup> i że wszystkie ruchy lewicowe wspólnie

<sup>32</sup> Adolphe Thiers (1797–1877) – historyk, polityk, przeciwnik Napoleona III. Stłumił wystąpienia Komuny Paryskiej, był jednym z twórców Trzeciej Republiki.

<sup>33</sup> Patrice de Mac-Mahon (1808–1893) – marszałek i prezydent Francji w latach 1873–1879, był zwolennikiem przywrócenia monarchii.

<sup>34</sup> Léon Gambetta (1838–1882) – polityk, przywódca republikańców w okresie Drugiego Cesarstwa. W czasie wojny francusko-pruskiej wyostał się z Paryża balonem i organizował armię i ruch oporu na prowincji. W czasach Trzeciej Republiki piastował urząd premiera (1881–1882).

sprawiły mu uroczysty pogrzeb, towarzysząc we wrześniu orszakowi żałobnemu na cmentarz Père-Lachaise. Każdy inny system wartościowania, który mieszałby epoki, byłby jakąś formą negacjonizmu.

Przejdźmy zatem do pytania przedwstępnego: czy rozróżnienie prawica–lewica i dwa wchodzące w jego skład pojęcia mają dzisiaj jeszcze jakieś znaczenie dla obywatela? Niech czytelnik nie dziwi się, że odpowiedź – wcale nie tak oczywista – będzie się rysować stopniowo, poprzez kolejne, niekiedy sprzeczne stwierdzenia: rzeczywistość nie jest prosta, a jej prezentacja – jeszcze mniej.

Pierwszy element odpowiedzi przynosi obserwacja pozbawiona jakichkolwiek apriorycznych założeń: jest nim poczucie (być może narastające) większości naszych współobywateli, że nie potrafią określić, co dziś dzieli lub przeciwstawia prawicę i lewicę. We wprowadzeniu do swej wielkiej *Histoire des droites* opublikowanej w 1992 roku, Jean-François Sirinelli powołuje się na liczne sondaże opinii, przeprowadzone w latach 1989–1991, które zgodnie pokazują, że 55 lub 56 procent ankietowanych, a więc wyraźna większość, uważa ten podział za miniony. Od tamtego czasu wielokrotnie zadawano to pytanie w sondażach i nie sądzę, żeby choć w jednym z nich większość była odmiennego zdania. Oto pierwszy fakt, który powinien zostać uwzględniony.

Dla wielu dzisiejszych obywateli podział na prawicę i lewicę jest nie tylko niezrozumiałym i pozbawionym treści przeżytkiem: jest także szkodliwy; jest przeszkodą dla porozumienia się. Ich zdaniem dla satysfakcji ambitnych polityków podtrzymuje on spory, które nie mają już racji bytu. Stąd pewne dążenie tej grupy do przekroczenia tego podziału, wyjaśniające sukces tych polityków albo formacji politycznych, które się od niego odżegnują i zachęcają do łączenia się. Był to jeden z czynników, którym gaullizm zawdzięczał swój sukces: pamiętamy formuły wygłaszane przez generała de Gaulle’a w trakcie wywiadów telewizyjnych, które przeprowadzał z nim Michel Droit przed drugą turą wyborów prezydenckich w grudniu 1965 roku: „Francja to nie lewica. Francja to nie prawica”. Ten język zachęcający do pokonywania wszelkich podziałów, przedstawianych jako pozostałość po szczęśliwie przebrzmiałych już dzisiaj waśniach, nadal znajduje oddźwięk i zrozumienie u szerokiej części opinii publicznej. Niedawne wydarzenia dostarczyły nam kolejnego przykładu: jest nim sukces, jaki w 2002 roku odniosła kandydatura Jeana-Pierre’a Chevenementa<sup>35</sup>, który usiłował nadać jej właśnie takie znaczenie, dbając o to, by nie

---

<sup>35</sup> Jean-Pierre Chevenement (ur. 1939) – socjalista, wielokrotny minister, powołał do życia Mouvement des citoyens (Ruch Obywateli) grupujący środowiska lewicowe wokół obrony wartości republikańskich i z tych pozycji występował przeciwko ratyfikacji traktatu z Maastricht

przyznać racji ani pluralistycznej lewicy zebranej wokół Partii Socjalistycznej i rządu Jospina<sup>36</sup>, ani też opozycji prawicowej skupionej wokół prezydenta Chiraca. Jego zdaniem prowadzili oni lub proponowali taką samą politykę. Wzywał więc republikańców „z obu stron”, by poparli jego kandydaturę przeciwstawiając się tej „jednej i tej samej polityce”. Choć apelu tego posłuchała tylko garstka mało reprezentatywnych polityków, którzy nie pociągnęli za sobą niemal nikogo – dyskurs ten, jeśli sądzić po sondażach opinii, znalazł jak na tamte czasy znaczący oddźwięk wśród wyborców: początkowo Chevenement miał pięcioprocentowe poparcie, ale podczas kampanii głoszone przez niego idee przysparzały mu sympatyków, dzięki czemu osiągnął, a potem przekroczył symboliczny próg 10 procent, a nawet otarł się o 14 procent, pozostawiając w tyle kandydatów, reprezentujących tradycyjne nurty. W pewnym momencie wcale nie wydawało się nieprawdopodobne, że kandydat odrzucający podział na prawicę i lewicę uzyska trzecie miejsce. Jakie by nie były dalsze losy tej kandydatury – ten krótkotrwały wyłom dokonany przez byłego ministra spraw wewnętrznych rządu Jospina jest niemożliwą do zlekceważenia oznaką odrzucenia podziału na lewicę i prawicę przez znaczącą część wyborców i chęci zastąpienia go jakąś inną formułą.

Kłopot wyborców, o którym świadczą zacytowane sondaże opinii, odpowiada rzeczywistym przesłankom: ten problem naszych współczesnych faktycznie nie jest wyłącznie skutkiem irracjonalnych uczuć płynących z jakichś głębokich i nieprzeniknionych pokładów. Ma on także całkowicie obiektywne przyczyny, które stanowią drugi powód pytania o trwałość podziału prawica–lewica i – być może – zwątpienia w jego aktualność. Tego rodzaju rozróżnienie zyskuje naukowe uzasadnienie tylko wtedy, gdy jest w stanie wylegitymować się pewnymi cechami, które definiują ów podział i wyznaczają domniemaną granicę dzielącą dwa przeciwstawne obozy. Właśnie oczywistość tych cech i tej granicy gwarantowała przez dwieście minionych lat trwałość podziału na prawicę i lewicę. Być może częściowo wchodzi tu w grę złudzenie, podtrzymywane przez dystans czasowy (który zawsze nadmiernie upraszcza złożone uwarunkowania podejmowanych wyborów), że we wszystkich znaczących momentach naszej historii, za każdym razem, gdy nasi przodkowie znajdowali się na rozdrożu – wybór był jasny, prosty, i nikt wtedy nie miał wątpliwości, jaka decyzja prowadzi Francję na lewo, a jaka – na prawo. Ale jasne jest, że dzisiaj większość tych wskaźników, które kolejno określały przeciwstawne figury prawicy i lewicy i konfigurowały ich przeciwne „osobowości”, bardzo – żeby nie powiedzieć: całkowicie – straciła ważność i że w niewielkim stopniu służą nam już dziś one do identyfikowania prawicy.

---

<sup>36</sup> Lionel Jospin (ur. 1937) – pierwszy sekretarz Partii Socjalistycznej (1981–1988), premier w czasie koabitacji z prezydentem Chirakiem w latach 1997–2002.



## Rewolucja i republika

Zacząć trzeba od pierwszego wskaźnika, pierwszego zarówno w sensie chronologicznym, jak i pod względem hierarchii ważności: od odniesienia do Rewolucji jako konkretnego wydarzenia historycznego usytuowanego w czasie oraz jako pojęcia i zasady wyjaśniającej. Właśnie w związku z Rewolucją dokonało się zerwanie, z którego narodziła się pierwsza prawica, absolutnie jedyna. To pęknięcie bardzo długo zachowywało swą dziewiczą żywotność. Nie straciło z niej nic jeszcze wówczas, gdy obchodzono setną rocznicę Rewolucji; prawica w roku 1889 była jednomyślna w potępieniu ducha rewolucyjnego. Nie dałoby się już tego powiedzieć o sytuacji w roku 1989, w dwustulecie tych przełomowych wydarzeń: odniesienie do Rewolucji nie dzieliło już wówczas prawicy i lewicy. O ile dzisiaj mała część skrajnej prawicy wciąż nie zmienia zdania i nadal całkowicie odrzuca Rewolucję, którą uważa za efekt diabelskich podszeptów – to ogromna większość Francuzów zaliczających się do prawicy nie ma już zastrzeżeń wobec zasad przyjętych w roku 1789 ani wobec społeczeństwa, które ich przestrzega. Sam Kościół katolicki, który zalecał odrzucenie idei rewolucyjnych i nadawał kontrrewolucji filozoficzne uzasadnienie, złagodził surowość swego osądu. Czyż Jan Paweł II nie powiedział: „Wolność, równość, braterstwo to idee chrześcijańskie”? Czas dokonał swego dzieła: Rewolucja doczekała się legitymizacji, której udziela trwanie; tylko zgorzkniali malkontenci mogą jeszcze, po dwustu latach, tęsknić za społeczeństwem, które zniknęło w roku 1789, i żywić chimeryczną nadzieję, że da się je odtworzyć. Jak wyraził to obrazowo François Furet, w 1880 roku Rewolucja wreszcie „dopłynęła do portu”; nie miałoby już sensu zbroić przeciw niej okręty. Czas spełnił swój obowiązek w inny sposób: dokonał w pamięci historycznej rozłączenia tej całości, z której dewoci Rewolucji chcieli uczynić jednolity blok nie do rozbicia. Szczególnie podobieństwo między dwiema rewolucjami, francuską i rosyjską, między rokiem 1789 a, które utwierdziło kontrrewolucjonistów w ich obawach przed wszelkimi rewolucjami z powodu terroru bolszewickiego, zmusiło do rozróżnienia między rokiem 1789 a rokiem 1793. Historia Rewolucji francuskiej, która tak długo była dla ludzi lewicy historią świętą, została zdesakralizowana: nawet dla nich stała się przedmiotem badań. Miejsce niemal religijnego uczucia, jakie wzbudzała u swych zwolenników – łącznie z pokoleniami historyków, którzy nie oparli się tej uniżonej, dalekiej jednak od obiektywizmu postawie – zajęło podejście krytyczne. Odtąd odniesienie do Rewolucji przestało być tym wyjątkowym wyznacznikiem, jakim było przez cały wiek XIX i przez część wieku XX.

Ta deklasacja pociągnęła za sobą wygaśnięcie emocji wywoływanych przez symbole stanowiące dziedzictwo Rewolucji, poczynając od instytucji politycznych. Natura systemu, który tak długo był kością niezgody między prawicą a lewicą, przestał być przedmiotem sporu. Nic już nie pozostało z nienawiści, jaką prawica odczuwała dawniej wobec republiki. Dzisiejsi prawicowi politycy nie muszą już dokonywać na sobie gwałtu, by zakończyć przemówienie okrzykiem: „Niech żyje Republika!”. Prawica nie pozostaje w tyle, jeśli chodzi o powoływanie się na republikańskie prawo lub przeciwstawianie rygoru republikańskiego ładu rozprężeniu. Formacje prawicowe nie gardzą też odwołaniami się do republiki: powołując organizację zdolną przeorientować ich tożsamość, zwolennicy giscardyzmu wybierają nazwę Partia Republikańska (PR), a gdy Jacques Chirac obejmuje kierownictwo ugrupowania wpisującego się w nurt tradycji gaullistowskiej – nazywa je, oczywiście, Zgromadzeniem na rzecz Republiki (RPR). I tak dwie organizacje, które w latach 70. stanowiły bojowe oblicza dwóch głównych nurtów prawicowych, w podobny sposób złożyły hołd republikańskiej formie ustroju. Nie ma powodu, by wątpić w szczerość uczuć, jakie podyktowały przywódcom obu partii wybór tych nazw. Bo o ile prawdą jest, że w polityce język często służy do maskowania ukrytych zamiarów i myśli, to w tym wypadku długa tradycja opowiadania się za Republiką – którego pierwsze symptomy datują się od wyborczego zwycięstwa Narodowego Bloku Republikańskiego w listopadzie roku 1919 i udziału w ruchu oporu – jest autentyczną gwarancją przywiązania prawic do republiki jako wyrazu demokracji, rękojmi wolności publicznych i ucieleśnienia państwa prawa.

To prawda, że istnieją rozbieżności między prawicą a lewicą dotyczące treści, jakie każda z tych formacji nadaje pojęciu „republika”, a niektóre z tych rozbieżności są czymś więcej niż tylko interpretacyjnymi niuansami; przejawiają się one od czasu do czasu w odmiennym odczytywaniu Konstytucji Piątej Republiki. Z lewicowej krytyki życia instytucjonalnego przebija niekiedy nostalgia za republiką parlamentarną utożsamianą z supremacją zgromadzenia narodowego wybranego w głosowaniu powszechnym: wszelkie ograniczenia jego suwerenności odbierane są jako zamach na demokrację. Lewica źle przyjmuje rozszerzanie prerogatyw prezydenta, z wyjątkiem sytuacji, gdy jeden z jej przedstawicieli zasiada w Pałacu Elizejskim. Niektórzy chętnie odeszliby od wyborów prezydenta Republiki w głosowaniu powszechnym: kto opowiada się za Szóstą Republiką, marzy o powrocie do Trzeciej. Utrzymywanie drugiej izby parlamentu, której członkowie wybierani są dwustopniowo i gdzie nadreprezentowana jest Francja rolnicza (a to z powodu dość skomplikowanego sposobu wyłaniania kolegów elektorskich i rozdziału mandatów między poszczególne departamenty) zostało uznane przez Lionela Jospina, premiera

lewicowego rządu, za anomalię, która powinna zniknąć w ramach unowocześniania naszego życia politycznego. Uciekanie się do ogólnonarodowych referendum (które niemal uwolniły się już od skojarzeń z plebiscytami) budzi jeszcze podejrzenia, chyba że jest okazją, by utrudnić życie głowie państwa. Jeśli chodzi o Radę Konstytucyjną – już sama zasada, że czyjakolwiek jurysdykcja władna jest osądzać zgodność ustaw stanowiących przez większość Zgromadzenia Narodowego z konstytucją, godzi w tradycję, do której ludzie lewicy są bardzo przywiązani, ale – w miarę upływu czasu – pogodzili się oni i z tym: doświadczenie pozwoliło nawet odkryć zalety takiego rozwiązania, przekonać się co do bezstronności sędziów i zrozumieć, że decyzje tych ostatnich mogą niekiedy uznawać racje lewicy. Zresztą autorem najbardziej radykalnej krytyki Rady Konstytucyjnej, której towarzyszyły zarzuty, że odwołuje się do tekstów prześlakniętych założeniami ideologicznymi wcale nie był deputowany lewicy zirytowany tym, że nie pochodzące z wyborów ciało ingeruje w proces legislacyjny kosztem Zgromadzenia dzierżącego legitymizację pochodzącą od suwerennego ludu – ale premier prawicowego rządu, Édouard Balladur, wygłosił ją 23 czerwca 1992 roku, przy okazji otwarcia w Wersalu sesji Kongresu poświęconej rewizji Konstytucji uznanej przez „dziewięciu mędrców” z Pałacu Montpensier za niezbędną rewizji Konstytucji, by dostosować ustawę zasadniczą do wymagań Unii Europejskiej i umożliwić ratyfikację traktatu z Maastricht.

Co do prawicy, jest ona raczej przywiązana do prezydenckiej interpretacji polityczno-prawnych instytucji Piątej Republiki i uznaje dominującą rolę głowy państwa. Celowo używam słowa „raczej”, gdyż poparcie prawicy dla rozszerzającej interpretacji roli prezydenta w prowadzeniu polityki osłabło, gdy do Pałacu Elizejskiego wprowadził się przedstawiciel lewicy. W lipcu 1984 roku gaullistowska grupa w Senacie wypowiedziała się głosem Charles’a Pasqua przeciw rozszerzeniu możliwości zastosowania referendum. Pośród prawicowych ugrupowań pojawiły się różnice, nie będące bynajmniej niuansami: o ile prawica gaullistowska bywała częściej wierna idei założyciela Piątej Republiki, inny nurt prawicy żałuje osłabienia rangi debaty parlamentarnej. Właśnie jeden z liderów tego nurtu, Valéry Giscard d’Estaing, przeprowadził w 1966 roku najbardziej zjadliwą krytykę tego, co nazwał „samotnym sprawowaniem władzy”.

Wniosek z tego pobieżnego zestawienia jest oczywisty: debata dotycząca ustroju, w ogromnej mierze odpowiedzialna za podziały polityczne – ta debata, która ukształtowała opozycję prawica–lewica jako opozycję monarchiści–republikanie – dzisiaj już wygasła, podobnie jak kontrowersje co do Rewolucji. Republika nie jest już przedmiotem niezgody. Jak to przewidywał Thiers w jednym ze swych ostatnich przemówień, 24 maja 1873 roku –

republika powoli narzuciła się jako ustrój, który najmniej dzieli obywateli. Nikt lub prawie nikt nie bierze pod uwagę zastąpienia jej czymś innym. Jej aklimatyzacji w społeczeństwie towarzyszy – jako przyczyna lub konsekwencja – pewna banalizacja: ten sam proces, który jest odpowiedzialny za desakralizację Rewolucji. Dla twórców Trzeciej Republiki, dawnych bojowników roku 1848, nieprzejednanych przeciwników Cesarstwa, wybór republikańskiej formy państwa był nie tylko wyrazem preferencji dla określonego układu instytucji politycznych: był także – a nawet przede wszystkim – pewną filozofią, która czyniła z rozumu zasadę wszelkiego działania politycznego i pokładała ufność w suwerennym ludzie, którego mądrość nie popełnia błędów. Był to także pewien zespół wartości i niemalże pewna religia, obwołana następczynią tradycyjnych religii, które utrzymywały ludzkość w stanie dzieciństwa i uległości. Jest więc aż nazbyt oczywiste, że idea republiki ciesząca się dziś jednomyślnym poparciem nie ma już tamtej dawnej, jątrzącej treści, która jak gdyby się ulotniła. Są tacy jak Régis Debray<sup>37</sup>, którzy tego żałują i tacy, którzy – jak Jean-Pierre Chevenement – marzą o odbudowaniu republikańskiego ideału. W każdym razie jedna rzecz jest pewna: wraz z wyciszeniem się sporów i zanikiem debaty na temat ustroju państwa, także samo odniesienie do republiki przestało być wyznacznikiem podziału prawica–lewica. Czy więc odtąd rozróżnienie to ma jeszcze sens?

### Kwestia religijna

To samo pytanie nasuwa się, w sposób jeszcze bardziej natarczywy, względem trzeciego kryterium, które odegrało istotną rolę w tym rozdarciu ducha publicznego, stanowiąc podbudowę negacji Rewolucji i odrzucenia republiki: względem kwestii religijnej.

W 1791 roku duchowieństwo i część wiernych postawiono wobec konfliktu sumienia, kaząc im wybierać między poddaniem się konstytucji cywilnej kleru, która decyzją władz rewolucyjnych całkowicie zmieniała wewnętrzną organizację Kościoła katolickiego, a wiernością wobec Stolicy Apostolskiej, która decyzję tę potępiła. Ten konflikt sumienia miał skutek w postaci przejścia całych pokoleń dobrych katolików do obozu kontrrewolucji. I odwrotnie – poparcie zasad roku 1789 było nierozłączne z bezpardonową walką o oddzielenie władzy, nauczania, szkolnictwa, indywidualnego postępowania i zachowań zbiorowych od kurateli Kościoła katolickiego, a nawet od jego zwykłego wpływu – postrzeganych jako zagrożenie dla niezawisłości państwa, wolności jednostek, jedności

<sup>37</sup> Régis Debray (ur. 1940) – pisarz, w młodości zwolennik Che Guevary, później w swojej twórczości poszukiwał transcendentnych podstaw dla porządku republikańskiego, w latach osiemdziesiątych współpracował z prezydentem François Mitterandem.

narodu i uznanych za wrogie Republice i przeciwne demokracji, za przeszkody dla postępu rozumu i nowoczesności. Dlatego „kwestia religijna” – jak nazwano ją w XIX wieku – czyli prawno-polityczny stosunek między religią a społeczeństwem, stał się tematem najgłębiej dzielącym prawicę i lewicę i najsilniej przesądzającym o tym podziale. Silniej niż jakikolwiek inny czynnik tego rozróżnienia, silniej nawet niż status społeczny, klasowy czy poziom życia: antyklerykalnie nastawiony właściciel przedsiębiorstwa postrzegany jest jako lewicowiec, a robotnik uczęszczający na mszę – jako prawicowiec. Nie było bardziej wiarygodnego wyznacznika, nawet jeśli te wielkie utożsamienia wymagałyby zainteresowania. Jeszcze całkiem niedawno socjologowie zajmujący się polityką uważali dość powszechnie, że korelacja z praktyką religijną jest najbardziej zadowalającym wyjaśnieniem wyników wyborczych i ma nawet wartość prognostyczną.

Nawet jeśli pamięć o tym wielkim podziale nie zatarła się całkowicie i powraca od czasu do czasu, i nawet jeśli praktykujący katolicy (czyli ci, którzy stosują się do kulturowych zaleceń przywódców Kościoła katolickiego) głosują jeszcze dziś w 80 procentach na prawicę – odniesienie do czynnika religijnego nie może już służyć jako główny wyznacznik odróżniający prawicę od lewicy.

Bierze się to częściowo z wyciszenia się sporu, który dawniej wpisywał tę kwestię w samo centrum debaty politycznej i jest konsekwencją przyjętego w 1905 roku rozwiązania wprowadzającego radykalne rozdzielenie Republiki od religii (konsekwencją, na którą liczyli autorzy tego rozwiązania). W miarę jak postępowało to wyciszenie, odniesienie do religii traciło moc budowania spójności między przekonaniami a opiniami politycznymi. Większość problemów, które były źródłem podziałów, znalazła rozwiązanie. Nawet ten, który budził największe emocje i utrzymywał antagonizmy, zespalał prawicę z katolicyzmem – spór o szkolnictwo przeciwstawiający nauczanie świeckie szkole wyznaniowej – stracił swój konfliktowy charakter. W 1992 roku minister edukacji narodowej w socjalistycznym rządzie, Jack Lang mógł, nie wznecając pożaru, podpisać z prałatem sekretarzem generalnym Szkolnictwa Katolickiego protokół ugody, która stwierdzała, że szkolnictwo to uczestniczy w systemie publicznej edukacji. W roku 2002 rozporządzenia wydane przez tegoż ministra (w następstwie raportu wykonanego na jego prośbę przez Régisa Debray’a) celem wprowadzenia do państwowych programów nauczania również wiedzy o zjawisku religijnym – nie wzbudziły publicznej reakcji strażników laickości.

Ten zanik odniesienia religijnego jako przyczyny i celu wspomnianego podziału politycznego tłumaczy się także postępującym zubożeniem w domenę religii. Jest to wstęp do zjawiska, które wcześniej miało miejsce na lewicy względem mitu o Rewolucji:

do desakralizacji. Zjawisko to jest powszechne i nie oszczędza żadnego wierzenia. Jest to jeden z aspektów indywidualizmu: każdy jest odtąd wolny w wyborze zarówno swych przekonań religijnych, jak i poglądów politycznych; ani te, ani tamte nie są mu już narzucane przez społeczeństwo. Jest to obalenie postulatów, na których dawniej opierała się koncepcja jedności ciała społecznego. Gdy w XIX wieku szalał ów spór religijny, jedność społeczeństwa, tak wedle prawicy, jak lewicy, zarówno według republikanów, jak i według katolików, była pojmowana jako jednomyślność i kojarzona z uniformizacją. Kościół katolicki nie dopuszczał myśli, że władze państwowe mogłyby uznać inne religie niż tę, która sądziła, iż obok prawdy przechowuje także tajemnicę stabilności społeczeństw i szczęścia ludów, ani też, że mogłaby być nauczana jakaś inna moralność niż ta zalecana przez rzymskie Magisterium. Także na lewicy nie przyjmowano innej filozofii społecznej ani oficjalnej polityki niż ta, którą głosił obóz republikański. Dziś powszechna świadomość przeniknięta jest całkiem inną koncepcją: według niej różnorodność jest bogactwem; uznanie tej różnorodności stało się nawet atrybutem demokracji i głównym jej kryterium. Ta emancypacja indywidualnych, osobistych wyborów oraz ich relatywizacja umożliwiły pokojowe współistnienie różnych systemów przekonań w pluralistycznym społeczeństwie.

Ewolucję tę ułatwiła również przemiana samego katolicyzmu i jego refleksji nad relacjami między wiarą a społeczeństwem. Wyciągając wnioski z tradycyjnego rozróżnienia między społeczeństwem wyznaniowym a społeczeństwem świeckim, Kościół uznał prawomocność pluralizmu indywidualnych przekonań politycznych. Nakaz religijnej walki obronnej przeciw ustawodawstwu uznanemu za naruszające wolności religijne nie krępował już wyborów wiernych w dziedzinie polityki, więc ich głosy różnicowały się, obejmując z czasem większość możliwych opinii. Nawet jeśli ci wyborcy, których określić można jako katolików z powodu ich wierności nauczaniu Kościoła, głosują w większości na prawicę – w proporcji szacowanej na 80 procent (być może z pewną zauważalną ostatnio tendencją wzrostową – skłonność do lewicy jest mniej widoczna wśród najmłodszych pokoleń katolików niż w latach 1960–1980) – to jednak pewna ich część wybiera lewicę. Jest ona dość liczna, więc ów „parametr wyznaniowy” nie może być nadal wyróżniającym kryterium przynależności do prawicy. Zwłaszcza że, wskutek pewnego ruchu symetrycznego, troska, aby pozostawać w harmonii z Kościołem i praktykami religijnymi nie jest już dla większości prawicowych polityków czynnikiem determinującym. Ten rozdział między przynależnością wyznaniową a zaangażowaniem politycznym obowiązuje względem wszelkich wyznań i psuje inny tradycyjny aksjomat, którym wyjaśniano dotąd polityczne orientacje obywateli. Gdyby przyjąć, że katolicyzm i prawica są ze sobą powiązane, to należałoby równolegle

uznać, że protestanci, z powodów historycznych, jak również dogmatycznych, w sposób naturalny głosują na lewicę. Tymczasem dzisiaj elektorat Kościołów reformowanych także rozkłada się na całe możliwe spektrum polityczne.

Choć ów głęboki podział wprowadzony przez odniesienia religijne odegrał historyczną rolę w pęknięciu politycznej świadomości Francuzów, choć podział ten pozostawia jeszcze w pamięci żywe wspomnienia, a w wyborczej socjologii – widoczne ślady, nie jest już dzisiaj konstytutywnym elementem politycznych różnic między Francuzami, ani też, w konsekwencji, kluczem do ich politycznej identyfikacji.

Wskaźniki, o których powiedzieliśmy właśnie, że nie pozwalają już wiarygodnie odróżniać prawicy od lewicy, mają tę wspólną cechę, że wyłoniły się jednocześnie z samym wykształceniem się tych orientacji politycznych: wszystkie datują się od czasu Rewolucji. Ponieważ są najstarsze, nie dziwi, że same się zestarzały. Ale historia relacji prawica–lewica nie zatrzymuje się wraz z wyczerpaniem się mocy sprawczej tych czynników: wyłaniają się inne motywy, które powodują inne rozwarstwienia, zwłaszcza w związku z wielkimi przemianami gospodarki i społeczeństwa.

## Liberalizm i kolektywizm

Kryteria, które musieliśmy uznać za przestarzałe, miały ze sobą również tę wspólną cechę, że były czysto polityczne; tymczasem jedna z najbardziej zasadniczych i niekwestionowanych przemian związana jest z przejściem od gospodarki domowej w społeczeństwie o charakterze wiejskim do gospodarki przemysłowej i kapitalistycznej. Wraz z pojawieniem się doktryn socjalistycznych podział na prawicę i lewicę wchłonął dodatkowe czynniki i nabrał nowego znaczenia: chodzi o przeciwstawienie wolnej przedsiębiorczości państwowemu interwencjonizmowi i opozycję między własnością prywatną a kolektywizacją środków produkcji. Doniosłość tych nowych czynników przesłoniła nawet i zmąciła obraz dawnych linii podziału. W XX wieku zderzenie między liberalizmem a kolektywizmem zastąpiła konfrontację między konserwatyzmem (lub tradycjonalizmem) a liberalizmem. Debata publiczna skoncentrowała się odtąd na systemie ekonomicznym i statusie przedsiębiorstwa. Kto uważał, że przyszłość demokracji leży w nacjonalizacji głównych sektorów produkcji – zaliczany był do lewicy; kto walczył w obronie własności indywidualnej – zaliczany był do prawicy. Zaraz po drugiej wojnie światowej sądzono, że jest to główne, przewodnie kryterium odróżniające prawicę od lewicy, swoista nić Ariadny.

Taka sytuacja utrzymywała się jeszcze, gdy aktualizowałem mój esej definiujący prawicę w latach 1981–1982. Wiosną 1981 roku, z inicjatywy kandydata socjalistów, głównym motywem kampanii prezydenckiej był ten właśnie temat. François Mitterrand postanowił powiązać swą kandydaturę z wizją nieodwracalnego zerwania chęć z kapitalizmem, toteż najważniejsze decyzje, jakie podjął już w kilka miesięcy po swym wyborze i zwycięstwie lewicy, wdrożyły obszerny program nacjonalizacji, który w istotny sposób zmienił francuską gospodarkę. Niejako w ramach mechanicznej reakcji przynależnej do dialektyki przeciwieństw prawicowa opozycja wydała tym reformom zażartą walkę. Bezpośrednim skutkiem utożsamienia się lewicy z tą mitterrandowską ideą nacjonalizacji było przeobrażenie wszystkich ludzi prawicy w przeciwników państwowego interwencjonizmu, łącznie z deputowanymi gaullistowskimi, którzy zapomnieli o wielkiej fali reform strukturalnych postanowionych przez tymczasowy rząd pod przewodnictwem de Gaulle’a w latach 1945–1946. Jeszcze w 1986 roku przed wyborami parlamentarnymi wyborcom proponowano taką właśnie alternatywę: kolejne nacjonalizacje – albo kolejne prywatyzacje. Prawica opracowała ukierunkowaną bardzo liberalnie platformę wyborczą – z inicjatywy UDF, ale bez oporu ze strony RPR-u, a jej zwycięstwo szybko przełożyło się na falę prywatyzacji. Dalej nacjonalizować czy dalej prywatyzować? – wydawało się, że konfrontacja tych dwóch odmiennych polityk gospodarczych musi być odtąd wykładnikiem i ilustracją zasadniczej różnicy między prawicą a lewicą.

Niecałe dwadzieścia lat później nic nie pozostało z tej konfrontacji. W roku 1988 François Mitterrand dał sygnał do jej zakończenia – w swym *Liście*, który skierował do wszystkich Francuzów, zapowiadał podwójny kres: nie będzie dalszych nacjonalizacji ani powrotu do prywatyzacji. W istocie – rząd Rocard<sup>38</sup> (1988–1991) nie dokona już żadnej nacjonalizacji. A rząd Jospina (1997–2002) będzie prywatyzował, co się da. Z rozmaitych powodów temat ten przestał już być nośny. Odkrycie sowieckiej rzeczywistości i bankructwa tamtejszej gospodarki zadało cios idei kolektywizacji. Pracownicy zauważyli, że państwo nie jest lepszym pracodawcą niż kapitaliści. Zmiana statusu przedsiębiorstwa przestała być symbolem podziału na prawicę i lewicę.

I tak ze wszystkich tych wielkich debat, które kształtowały życie polityczne przez ostatnie dwieście lat, i w odniesieniu do których prawica i lewica wielokrotnie się określały – nie pozostało już żadne kryterium, które dziś wyjaśniałoby ten podział. Czy logiczną konsekwencją tego stwierdzenia nie byłoby zatem uznanie, że konstytuująca prawicę i lewicę różnica stała się przeżytkiem? Nie pomaga ona dostrzec osobliwości nowych problemów,

---

<sup>38</sup> Michel Rocard (ur. 1930) – polityk, ekonomista socjalistyczny, premier w latach 1988–1991.



a odwoływanie się do tych przestarzałych pojęć utrwała tylko anachroniczne spory utrudniające właściwą ocenę sytuacji i podjęcie słuszných decyzji. Archaizm tych pojęć to powracający zarzut wobec rozumowania w kategoriach prawica–lewica, formułowany przez licznych obserwatorów, a nawet polityków, zwłaszcza gdy są przy władzy i twierdzą, że działają na rzecz interesu powszechnego, wznoszącego się rzekomo ponad podział na prawicę i lewicę.

## ***Nowe przyczyny podziału***

Skoro w przebrzmiałych już debatach nie sposób znaleźć usprawiedliwienia dla ich przetrwania ani poszlak zapowiadających ich trwałość, to czy pojęcia prawicy i lewicy nie mogłyby uzyskać jakiegoś dowartościowania, dającego im drugie życie, w przegrupowaniach opinii wobec nowych tematów, dzielących dziś społeczeństwo? Bo czyż od dwustu lat dwa te pojęcia nie przejawiają zdolności adaptacji do zachodzących przemian? Jeśli opozycja prawica–lewica wyraża pewien znacznie głębszy podział, powinien on dać się odczytać poprzez różnice rodzące się na tle nowych przyczyn i motywów, które zastąpiły tamte, przebrzmiałe już kontrowersje, dotyczące Rewolucji, ustroju politycznego, kwestii religijnej czy zorganizowania gospodarki.

Trzy z takich tematów staną się naszym instrumentem badawczym: decentralizacja, budowa Unii Europejskiej i laicyzacja. Wprawdzie spośród tych trzech tematów tylko jeden – ten dotyczący Unii Europejskiej – ale dwa pozostałe formułowane są dzisiaj w tak bardzo zmienionych kategoriach, że nie będzie nadużyciem uznać je za względnie nowe.

### **Decentralizacja**

A zatem, decentralizacja: temat ten ma długą ideologiczną historię. Od czasu Rewolucji, z powodu idei demokracji, jaką wytworzyła sobie lewica, a także z powodu pamięci o walce, jaką Komitet Ocalenia Publicznego musiał wydać federalistycznej insurekcji, demokracja i centralizacja stały się siostrzanymi ideami. Lewica była oczywiście jakobińska. Pozostawiła prawicy temat decentralizacji, wraz z tęsknotą za regionalnymi partykularyzmami. Nie ma idei, którą lewica zwalczałaby z większą zajądłością niż ideę pluralistycznej Francji: Republika jest „jedna i niepodzielna”. To Kościół podtrzymywał kult małych ojczyzn: „katolików i Bretończyków”, „katolików i Prowansalczyków”. To księża

baskijscy i flamandzcy albo bretońscy rektorzy dbali o przetrwanie lokalnych języków, podobnie jak potomkowie arystokratów *ancien régime*'u podtrzymywali w uczonych towarzystwach pamięć o starych prowincjach, publikując erudycyjne studia ich historii przed wcieleniem do królestwa i wchłonięciem przez naród francuski. Od 1789 roku zderzenie przeciwstawnych postulatów, centralizmu z decentralizacją, wyznaczało dość dokładnie przebieg granicy między lewicą a prawicą.

Wszystko to zmieniło się za czasów Piątej Republiki: lewica nawróciła się na decentralizację. Trochę z powodu opozycji wobec rządu i gaullizmu: odsunięta od kierowania państwem odczuwała pokusę – jak dawniej legitymistyczna szlachta odepchnięta od władzy państwowej – by zewrzeć szeregi wokół władz lokalnych i domagać się rozszerzenia kompetencji wspólnot terytorialnych, co stwarzałoby przeciwwagę dla państwa. Jednocześnie lewica zorientowała się, że różnorodność niekoniecznie musi być zagrożeniem dla demokracji czy wrogiem jedności narodowej. Transponując schemat polityczny, jaki z czasem przyjęła w związku z nierównością i zależnością w stosunkach między metropolią a koloniami, lewica formułowała sobie obraz stosunków między państwem a regionami. Stąd ówczesne hasło „Zdekolonializować prowincję”, stworzone przez przeniesienie, całkowicie dyskusyjne z punktu widzenia rzeczowej analizy; ale politycznie – skuteczne. Po roku 1968 decentralizacja stała się dla lewicy demokratycznym celem.

To odwrócenie tradycyjnych stanowisk znalazło swe dopełnienie w roku 1982, kiedy to przyjęto – z inicjatywy Gastona Defferre'a<sup>39</sup>, ministra spraw wewnętrznych i decentralizacji w lewicowym rządzie – dwie znaczące ustawy przekazujące obszerne kompetencje państwa wspólnotom terytorialnym. Podział na prawicę i lewicę na tle tego tematu zachowałby zatem swą ważność za cenę zamiany pozycji zajmowanych dotąd przez lewicę i prawicę; pozostałby ważny, gdyby tak już pozostało: gdyby lewica była odtąd zjednoczona postulatem decentralizacji, a prawica, przeciwnie, zgodnie z linią gaullistowską przywiązana do nadrzędnej władzy państwa. Ale byłoby to zbyt proste. Bo nie cała lewica poparła ideę podzielenia władzy: gdy w 1969 roku wzywała do głosowania na „nie” w referendum dotyczącym zgłoszonego przez generała de Gaulle'a projektu, który kładł kres wyłącznej dominacji centralnego państwa – nie uczyniła tego tylko dlatego, by przeciwstawić się prezydentowi, nawet jeśli następczała się świetna okazja, by skłonić go do odejścia. Powodem było także to, że lewica jest podzielona między dwie kultury polityczne, jakobińską i żyrondystowską. To jeden z jej przedstawicieli, Michel Rocard, postawił taką diagnozę.

---

<sup>39</sup> Gaston Defferre (1910–1986) – polityk, adwokat, współpracownik prezydenta Mitteranda, architekt reformy decentralizacyjnej przeprowadzonej w latach osiemdziesiątych.

W istocie, w roku 2004 prawica i lewica znalazły się na przeciwnych stronach frontu niż w roku 1982. Teraz lewica głosowała przeciw projektom ustaw prezentowanym przez rząd Raffarina<sup>40</sup>, a socjalistyczni przewodniczący regionów (którzy zdobyli fotele w 20 spośród 22 regionów metropolitalnych) sprzeciwili się transferowi kompetencji, jaki został im zaproponowany.

Prawica jest nie mniej podzielona niż lewica. Pluła sobie w brodę, że pozwoliła się ubiec lewicy w tym, co powinno być jedną z prawicowych reform. Zaangażowała się w zarządzanie lokalnymi wspólnotami do tego stopnia, że wyborcy przyznali jej przeważającą liczbę mandatów przewagi w większości rad regionalnych i generalnych. To prawica powróciwszy do władzy w roku 2002, z inicjatywy Jeana-Pierre'a Raffarina przygotowała rewizję tekstu określającego nasze instytucje państwowe, by uczynić z decentralizacji zasadę konstytucyjną. Ale i prawica nie jest w tej sprawie jednomyślna: pewien odłam gaullistów jest zaniepokojony tak łatwym wyzbywaniem się władzy państwa, i Jean-Louis Debré<sup>41</sup> napiętnował tych, których nazwał „integrystami decentralizacji”. Nowe transfery kompetencji, odpowiedzialności i kadr do wspólnot terytorialnych odrzucane są przez tradycyjnie lewicowy elektorat, który miesza decentralizację z prywatyzacją, nieświadomy istnienia pewnej terytorialnej funkcji publicznej, która od swego ustanowienia nie doświadczyła ani trudności ani oporu. I tak –prawica i lewica są jednakowo podzielone wobec tego wielkiego problemu rozdziału władzy między państwem a jego wspólnotami terytorialnymi i wzajemnych stosunków między tymi instytucjami. Odwołanie się do pojęć prawic i lewic wcale nie pomaga w zrozumieniu tych wewnętrznych różnic, chyba że przyjmie się istnienie wielości w każdym z tych dwóch obozów.

## Europa

O ile organizacja Unii Europejskiej nie stwarzała już, jak się zdaje, podziałów tak głębokich, jak kontrowersja z roku 1954 dotycząca projektu europejskiej wspólnoty obronnej (wywołał on spór równie namiętny jak ten, który podzielił opinię publiczną w sprawie Dreyfusa), o tyle postępy integracji i ich skutki rodziły istotne różnice, które nakładały się na dotychczasowe, tradycyjne podziały. Gdy lud francuski zapytany został wprost, w referendum

---

<sup>40</sup> Jean-Pierre Raffarin (ur. 1948) – centrysta, polityk Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF). Od 2002 roku działacz Unii na rzecz Ruchu Ludowego (UMP), reprezentujący w niej liberalną wrażliwość. W latach 2002–2005 sprawował urząd premiera.

<sup>41</sup> Jean-Louis Debré (ur. 1944) – polityk gaullistowski, syn Michela Debré, członek Zgromadzenia na rzecz Republiki (RPR), potem Unii na rzecz Ruchu Ludowego (UMP), obecnie przewodniczący Rady Konstytucyjnej.

z 20 września 1992 roku, o stosunek do traktatu z Maastricht – wyborcy podzielili się niemal po połowie na jego zwolenników i przeciwników. Ale podział ten absolutnie nie pokrywał się z podziałem na prawicę i lewicę: w każdym z dwóch tradycyjnych obozów byli zarówno zdeklarowani zwolennicy integracji europejskiej, jak i jej nie mniej przekonani przeciwnicy, a między tymi dwiema skrajnościami rozciągało się całe spektrum postaw pośrednich, od wymuszonego poparcia po wyczekującą powściągliwość. Podział ten dotknął nawet formacji zorganizowanych, i tak w łonie RPR znalazły w 1992 roku wyraz wszystkie punkty widzenia, łącznie z najbardziej sprzecznymi: najbardziej utalentowanym oskarżycielem projektu tego traktatu była jedna z najważniejszych postaci formacji gaullistowskiej, Philippe Séguin<sup>42</sup>, były minister Jacques’a Chiraca w latach 1986–1988, którego wystąpienie podczas debaty w Zgromadzeniu w maju 1992 roku było wielkim przemówieniem i ważną chwilą w historii naszego parlamentaryzmu. Séguin poprowadził następnie płomienną kampanię w całym kraju, która uczyniła z niego rzecznika przeciwników traktatu i głównego polemistę prezydenta Mitterranda, zwolennika i obrońcy traktatu, w słynnej debacie telewizyjnej będącej punktem kulminacyjnym tej kampanii, jednej z najbardziej demokratycznych, jakie miały miejsce w naszym kraju. W tej walce Philippe Séguin był aktywnie wspierany przez Charles’a Pasqua, inną znaczącą postać RPR-u, byłego ministra spraw wewnętrznych Chiraca, wybitnego reprezentanta ludowo-narodowego nurtu w łonie gaullizmu. Jednocześnie, może bez tej gorliwości i bez używania podobnych środków perswazji, inne znaczące, nie mniej reprezentatywne postaci RPR-u przedstawiały argumenty za traktatem: między innymi dwaj ludzie bliscy wywodzącemu się z tej partii prezydentowi – Édouard Balladur, który został czymś na kształt wicepremiera Chiraca w latach 1986–1988 i którego ten ostatni w kilka miesięcy później wskazał Mitterrandowi jako premiera w drugim rządzie „kohabitacyjnym” i Alain Juppé<sup>43</sup>, który cieszył się pełnym zaufaniem Chiraca i zostanie później ministrem spraw zagranicznych w tym samym rządzie. Te funkcje mówią wystarczająco wiele o ważności ról, jakie obydwaj pełnili w ruchu gaullistowskim. Co do Jacques’a Chiraca, zachowywał ostrożną postawę wyczekującą między wspomnianymi sprzecznymi stanowiskami.

---

<sup>42</sup> Philippe Séguin (ur. 1943) – polityk gaullistowski, przewodniczący Zgromadzenia na rzecz Republiki (RPR) po zwycięstwie Jacques’a Chiraca w wyborach prezydenckich, przeciwnik traktatu z Maastricht.

<sup>43</sup> Alain Juppé (ur. 1945) – polityk gaullistowski, najbliższy współpracownik prezydenta Chiraca, dwukrotny premier Francji (1995–1997). Pozbawiony praw publicznych na mocy wyroku sądu z 2004 roku za nadużycia w czasie pełnienia funkcji w merostwie Paryża, sąd apelacyjny uchylił ten wyrok. Wrócił do polityki w roku 2007, obejmując funkcję ministra środowiska, zrównoważonego rozwoju, energii i transportu w gabinecie premiera Fillona. Rezygnuje z funkcji po przegranej w wyborach do Zgromadzenia Narodowego. Obecnie po zwycięstwie w wyborach lokalnych jest merem Bordeaux.

Choć inne formacje polityczne nie zaprezentowały tak otwartego i widowiskowego wewnętrznego podziału – to niemal wszystkie doświadczyły podobnych różnic, łącznie z Partią Socjalistyczną. Tylko ugrupowania skrajne pozostały jednomyślne w swej całkowitej opozycji wobec konstrukcji europejskiej, z powodów przede wszystkim ideologicznych, wpływających z przyjętych przez nie założeń. Na skrajnej prawicy Jean-Marie Le Pen potępił spisek zawiązany przeciw tożsamości narodowej przez sprzysiężenie wrogów Francji. Skrajna lewica potępiła natomiast globalizację, dokonywaną pod pozorem liberalizmu przez siły światowej finansjery. Wychodząc od nader odmiennych filozofii, obydwie te skrajne opozycje połączyły się we wspólnej walce przeciw idei uważanej za jedyną zdolną inspirować do współpracy parlamentarną prawicę i lewicę, uznawane za jednakowo obojętne wobec obrony francuskiej wyjątkowości i interesów ludu. To wizja z pewnością uproszczona, ale dla naszych badań ma ten walor, że ukazuje pewną linię podziału nie dającą się sprowadzić do klasycznej opozycji prawica–lewica.

Od tamtego czasu podziały związane z integracją europejską jeszcze bardziej się wyostrzyły i pogłębiły. Europa dzieli, a podział na zwolenników i przeciwników integracji europejskiej daleki jest od wpisania się w tradycyjny spór prawicy z lewicą. Wyniki referendum z 29 maja 2005 roku potwierdziły istnienie symetrycznych, usytuowanych na dwóch skrajnych skrzydłach, zdecydowanych opozycji przeciw wszelkiemu rozbudowywaniu Unii Europejskiej. Ich motywy są przeciwstawne: na prawicy jest to odmowa wyrzeczenia się choćby najmniejszej części narodowej suwerenności; na lewicy – całkowite odrzucenie liberalizmu. Granice tego podziału przesunęły się nieco w stosunku do referendum z roku 1992, dotyczącego traktatu z Maastricht. Część prawicy przyłączyła się do idei europejskiej: już tylko mniejszość UMP głosowała tym razem przeciw traktatowi konstytucyjnemu. Debatę doprowadziła do pęknięcia wśród socjalistów: członkowie Partii Socjalistycznej w większości wypowiedzieli się za traktatem, a większość socjalistycznych wyborców – przeciw, jak gdyby już zapomnieli o kulturze rządzenia nabytej podczas sprawowania władzy przez rząd Jospina. Wyniki referendum byłyby zapewne inne, gdyby lewica była wówczas nadal przy władzy, także prawicowy elektorat byłby prawdopodobnie mniej skłonny poprzeć eurokonstytucję, gdyby UMP była w opozycji w roku 1992. W każdym razie podział istniejący w tej kwestii, w obrębie dwóch wielkich sił politycznych, nawet jeśli niejednakowy na lewicy i prawicy, jak również podobieństwo postaw dwóch nurtów skrajnych pokazują dobitnie, że różnice zdań co do integracji europejskiej nie wpisują się w ramy przeciwstawienia lewica–prawica: temat „Europa” przyczynia się do rozpadu obydwu tych bloków. Czy zdolny jest zastąpić ten tradycyjny podział? Widząc intensywność debat i gwałtowność spięć wywoływanych przez

ten temat, odczuwa się pokusę, by dopuścić takie przypuszczenie, ale nie należy również lekceważyć siły przyzwyczajęń i trwałości tradycyjnych sporów.

## Laicyzacja

Innym przykładem aktualnej kwestii, w której stanowiska partii i skłonności obywateli zdają się szydzić z tradycyjnych metod wyjaśniania jest kontrowersja, jaka pojawiła się niedawno w związku z laicyzacją. Czytelnik zdziwi się być może, że powracamy do zagadnienia przywołanego już wśród tematów, które ukonstytuowały opozycję między prawicą a lewicą, i uznanego za jeden z tych, których stopniowe zacieranie się świadczy o przedawnieniu tego tradycyjnego podziału. To dlatego że ewolucja – zwłaszcza ewolucja mentalności – rzadko bywa jednorodna. Czytelnik być może przypomni sobie również zapowiedź, że nasze badanie treści dychotomii prawica–lewica będzie niekiedy wymagało wyrażania tez sprzecznych. Oto i one.

U schyłku lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku nie było pozbawione sensu twierdzić, wobec widocznego uciszenia się namiętności wzbudzanych przez kwestię religijną, że spór na ten temat już wygasł, że laicyzacja nie dzieli już Francuzów, nie może zatem już być przedmiotem politycznej niezgody. Nawet jej najbardziej konfliktowy aspekt, debata o szkole, wydawał się zamknięty. Być może ta konstatacja była nazbyt pośpieszna i nieostrożnie wyprzedzała bieg wydarzeń. Odnowienie tej problematyki powstrzymuje przed zapomnieniem dawnych walk i nie usuwa blizn po starych konfliktach.

Po jednej i po drugiej stronie przetrwała nieufność i podejrzenia: gorliwi zwolennicy laicyzacji nie byli przekonani co do szczerości jej poparcia przez Kościół katolicki, pewni, że nie potrafiłby on wyrzec się przywrócenia swej kurateli nad umysłami i ładem społecznym; z kolei nieprzejednani katolicy – widząc, że pewna część zwolenników laicyzacji ciągle sprzeciwiała się prawu do okazywania przekonań religijnych w przestrzeni społecznej – wątpili, czy laicyzacja jest zgodna z obowiązkiem dawania świadectwa prawdzie.

By wyciągnąć wniosek o wygaśnięciu sporu między tymi dwiema szkołami myślenia, trzeba by zapomnieć, że w ostatnich dwudziestu latach ponownie pojawił się on na powierzchni życia politycznego, obudził stuletnie fantazmaty, odnowił stare podziały i wywołał dwie największe od roku 1945 manifestacje ludności we Francji.

Pierwsza odbyła się w odpowiedzi na apel stowarzyszeń rodziców uczniów szkół katolickich, a jej celem było uniemożliwienie wejścia w życie ustawy proponowanej przez Mitterranda podczas jego kampanii wyborczej w roku 1981, zmierzającej do unifikacji

i laicyzacji całego nauczania, co zmieniałoby stosunki prawne między państwem a szkolnictwem przyjęte w tak zwanej ustawie Debré, regulujące stosunki wyznaniowym. 24 czerwca 1984 roku tłum szacowany na milion do półtora miliona manifestantów przemarszerował ulicami stolicy, aby potwierdzić swe przywiązanie do wolności rodziny w wyborze szkoły, w której mają się uczyć jej dzieci. Sukces tej manifestacji wywołał reakcję łańcuchową: wycofanie oprostowanego projektu, dymisję ministra edukacji narodowej i zmianę premiera.

Dziesięć lat później przyszła kolej na obóz przeciwny, by skrzyknąć swych zwolenników i zademonstrować swą trwałą obecność. Powodem tej demonstracji była przedwczesna inicjatywa rządu Balladura, który uległ presji części prawicowej większości: w nocy, w wielkim pośpiechu przegłosowano w Senacie uchylene jednego z postanowień tak zwanej ustawy Falloux z roku 1850, które wyznaczało górny limit pomocy finansowej, jaką władze lokalne mogą przyznawać na inwestycje prywatnego szkolnictwa. Paradoksalnie ustawa Falloux, którą zwolennicy laicyzacji od ponad wieku atakowali jako symbol klerykalnego ustawodawstwa, narzuconego przez wsteczną większość, stała się teraz skarbem i świętością laicyzacji. Jeśli nawet ta odpowiedź nie dorównywała rozmiarami obywatelskiej mobilizacji z 24 czerwca 1984 roku, to jednak ta imponująca manifestacja pokazała, że namiętności uważane za przedawnione wcale nie wygasły: wystarczyła niewielka nieostrożność, jedna prowokacja – by z tłącego się żaru buchnął płomień. Wsłuchajmy się w to ostrzeżenie! Gdy w grę wchodzi ludzkie uczucia lub namiętności, nie należy zbyt szybko ogłaszać ich wygaśnięcia: często tylko drzemią. Współczesne wydarzenia dostarczyły na to niedawno nowych dowodów w związku z kwestią laickości, i to na bardzo różnych przykładach; ich rozpatrzenie ukazuje zarazem trwałość tych odmiennych postaw i odradzanie się spornych problemów w obiektywnie nowych sytuacjach.

Trwałość? Objawiła się ona przy okazji kontrowersji wywołanych żądaniem wpisania odniesienia do dziedzictwa chrześcijańskiego w preambułę Karty Praw Podstawowych Unii Europejskiej, które to żądanie powtórzono następnie w odniesieniu do preambuły projektu konstytucji europejskiej i rozszerzono o inny postulat – domagający się wpisania do tekstu imienia Boga. Obydwa te postulaty wzbudziły niezwykle ożywione dyskusje, przenosząc na forum całego kontynentu europejskiego temat, który wiek wcześniej roznamietniał francuski Parlament. Co do uznania religijnego dziedzictwa Europy (które nie pociągało jednak za sobą jakiegoś obowiązującego wartościowania) – władze francuskie sądziły, że będą mogły się odwołać do koncepcji laickości, wykluczającej wszelkie bezpośrednie odniesienie do faktu religijnego, w momencie gdy właśnie wprowadzały nauczanie o nim do

oficjalnych programów. Debata europejska przywołała więc umysły do problematyki z roku 1905.

Inna kwestia, która znów wskrzesiła debatę na temat laicyzacji jest – w odróżnieniu od poprzedniej – czymś zupełnie nowym: chodzi o obecność od dwudziestu czy trzydziestu lat społeczności szacowanej na wiele milionów mężczyzn i kobiet (których większość jest już obywatelami francuskimi) wyznających islam. Problem ten, nawet jeśli budzi stare odruchy, jest podwójnie nowy i oryginalny. Cała historia laicyzacji od roku 1789 obracała się wokół Kościoła katolickiego i jego wiernych, którzy od urodzenia należeli do narodu francuskiego. Obecna debata dotyczy islamu, którego wierni integrują się z narodem francuskim. Czy rozwiązanie, które zwyciężyło w roku 1905 i dzięki któremu Francja miała wreszcie doświadczyć wyciszenia religijnego sporu – ma dzisiaj zastosowanie do naszych współobywateli wyznania muzułmańskiego? Inaczej mówiąc – czy islam jest kompatybilny z laickością, taką, jaką uznała Francja? Idea rozróżnienia (które może przybrać postać wyraźnej separacji) między wspólnotą religijną opartą na jedności wiary a społeczeństwem obywatelskim i politycznym wydaje się dzisiaj obca tym społeczeństwom, które czerpią reguły rządzenia z Koranu. Z drugiej strony – religia muzułmańska związana jest historycznie z pewnym zespołem zwyczajów i praktyk religijnych sprzecznych z naszym prawem cywilnym i naszym ustawodawstwem, zwłaszcza gdy chodzi o status jednostek, kobiety, o prawo małżeńskie. Czyż uznanie tej religii i nadanie muzułmanom tych samych wolności religijnych co innym wyznaniom nie musiałoby pociągnąć za sobą także uznania islamskich tradycji i powstania na francuskiej ziemi pewnej wspólnoty żyjącej według własnych reguł? Czy jednak nie oznaczałoby to zarazem wyrzeczenia się pewnej harmonii związanej z ideą laickości: jedności narodowej opartej na rozróżnieniu między wielością indywidualnych opinii a przynależnością do określonego narodu, który góruje nad każdą inną „składową” wspólnotą?

Sytuacja ta i wynikające z niej pytania budzą w społeczeństwie niepokoje, które przekraczają podział prawica–lewica, nawet jeśli nie dotyczą zawsze tych samych punktów: prawicę niepokoi raczej zagrożenie trwałości tożsamości narodowej; lewica obawia się o laickość. Pod względem różnic zdań dotyczących właściwego postępowania i środków, jakie należy podjąć – podział na prawicę i lewicę się gmatwa. Oba obozy dzielą się wokół dwóch różnych koncepcji laickości: jedni, w imię wolności religijnej, nie byłoby przeciwni, by islam mógł jakoś zaznaczać się w przestrzeni publicznej; inni kusi powrót do pewnej drobiazgowej interpretacji laickości, którą można by nazwać interpretacją fundamentalistyczną, wykluczającą jakiegokolwiek uznanie faktu religijnego i zamykającą go



wyłącznie w sferze prywatnej. Tendencja ta zdaje się brać górę w polityce: obawy wzbudzone przez erupcję islamu reaktywowały laicką nieufność wobec wszelkiej religijnej ekspresji. Uzgodniono tekst ustawy zabraniającej dzieciom i młodzieży noszenia symboli religijnych uznanych za ostentacyjne w szkołach, *collège*'ach i liceach. Laickość wciąż pozostaje zatem tematem debaty politycznej, którą zbyt pośpiesznie uznano za wygasłą. Ale trzeba też koniecznie stwierdzić, że – jeśli chodzi o wzburzenie umysłów i poczynanie polityków, laicyzacja nie dzieli już prawicy i lewicy: posłowie prawicy nie pozostają w tyle za posłami lewicy w obronie bezkompromisowej laickości.

Zatem w trzech aktualnych debatach publicznych dotyczących poważnych kwestii, których rozwiązanie kształtować będzie nadchodząca przyszłość – przeciwstawienie prawica–lewica nie jest, albo już nie jest, zasadne: nie determinuje stanowisk żadnej ze stron ani nie rozjaśnia motywów dokonywanych wyborów. Podział ten, o którym mówiliśmy, że stanowił *summa divisio*, doznał zatem podwójnej falsyfikacji: problemy, które spowodowały jego wyłonienie się i dla których pozostaje niezastąpionym kluczem interpretacyjnym nie są już aktualne lub popadły w zapomnienie, a różnice, jakie rodzą się dziś wobec nowych problemów, nie wpisują się już w jego ramy.

### ***Podział prawica–lewica wobec nowych sił***

Nowe tematy nie dają się wpisać w tę binarną przestrzeń ideologiczną. A czy nowe siły, szukające sobie miejsca w świecie politycznym lepiej pasują do tego prawicowo-lewicowego schematu? Weźmy na przykład ruch ekologiczny. Troska o środowisko, lęk przed szkodliwymi skutkami ingerencji człowieka w przyrodę i pragnienie zachowania dla następnych pokoleń zasobów, które – co nagle zauważono – nie są nieograniczone, sprawiły, że przed trzydziestoma laty tematy te pojawiły się w dyskursie politycznym i debacie publicznej z pełną mocą. To rząd popierany przez prawicową większość parlamentarną, z inicjatywy prezydenta Pompidou, utworzył po raz pierwszy, w lutym 1971 roku, urząd ministra do spraw ochrony przyrody i środowiska naturalnego. W 1984 roku, po wyborach europejskich Zieloni z wielkim hałasem wkroczyli do polityki. Już z niej nie wyszli, chociaż nie zaspokoiли swej ambicji utworzenia zastępczej siły politycznej, zdolnej przeważać na szali w roli niezbędnego partnera koalicyjnego – co udało się ich kolegom w Niemczech. Ekologia i ekologowie są odtąd częścią pejzażu politycznego i – w mniejszym stopniu – systemu sił politycznych.

Ale czy są prawicowi, czy lewicowi? Na pierwszy rzut oka nic nie predestynuje ekologów do zajęcia miejsca raczej w jednym niż w drugim obozie. Jeśli trzymać się analizy czysto tematycznej, ekologia miałaby raczej skłonność do prawicy, a to z powodu pewnej naturalnej bliskości. Tradycyjna prawica zaleca szacunek dla cykli naturalnych, wierzy w niezmienną naturę człowieka, nie ufa dyktowanym ludzką pychą inicjatywom grożącym rozchwianiem równowagi pożądanej przez Opatrzność albo będącej dziełem konieczności. Lewica, przeciwnie, skłonna jest ufać ludzkiemu umysłowi i możliwościom poprawiania kondycji ludzkiej oraz zwiększania władzy ludzi nad naturą i jej elementami. Czyż pierwszymi ekologami nie była ta legitymistyczna szlachta wychwalająca pracę na roli jako źródło wszelkich cnót, która wracając do rolniczego trybu życia po roku 1830 upatrywała w „miejskim Babilonie” siedlisko wszelkiego zła? Prawica jest raczej agrarystyczna, a lewica – raczej industrialna, zwłaszcza jej socjalistyczne odgałęzienie, gloryfikujące ludzką pracę. Ekologia powinna więc skłaniać się na prawo, w takiej przynajmniej mierze, w jakiej jej początkowa inspiracja jest raczej reakcyjna: człowiek psuje naturę, degraduje środowisko, pustoszy ziemię. Jakże piękna była przyroda, zanim wtrącił się człowiek! Dowodem może być walka z organizmami zmodyfikowanymi genetycznie, której symbolicznym liderem jest José Bové<sup>44</sup>, rzecznik Konfederacji Chłopskiej. Orientacja ta ujawnia się w pewnych wyborach: wybierając między zamknięciem obiektu przemysłowego, by nie zanieczyszczał środowiska, a utrzymaniem go, by zachować miejsca pracy – ekolog, jeśli pójdzie za pierwszym odruchem, będzie się opowiadał za pierwszym rozwiązaniem: raczej ocalić przyrodę niż ratować zatrudnienie.

Tymczasem większość ekologów, którzy – aby istnieć w polityce – muszą zawierać porozumienia i dołączać do jednego z dwóch obozów, dokonała strategicznego wyboru i dołączyła do Partii Socjalistycznej. A więc nie powinniśmy włączać ich do inwentarza składników prawicy. Jednak większość nie znaczy – wszyscy: niektórzy ekologowie wchodzili w skład prawicowych rządów, jak Corinne Lepage<sup>45</sup>, której szczere zaangażowanie po stronie ekologii nie budzi wątpliwości, a która dołączyła do UDF. Wybór lewicy na fali roku 1968, spowodowany był także innymi powinowactwami: krytyką „kupieckiego społeczeństwa”, potępieniem zysku, kwestionowaniem globalizacji. Przykład ten ma swoją wagę: pokazuje, że w chwili narodzin te ruchy ideowe nie są od razu nacechowane politycznie i przyporządkowane do jakiegoś konkretnego obozu są jeszcze w stanie pewnej

---

<sup>44</sup> José (Joseph) Bove (ur. 1953) – przywódca i organizator protestów rolników we Francji.

<sup>45</sup> Corinne Lepage (ur. 1951) – prawniczka, ekolog, minister środowiska w rządzie Alaina Juppégo (1995–1997).

nieokreśloności politycznej. To zbieg okoliczności i strategiczne kalkulacje wyznaczają im następnie polityczną tożsamość. Przykład ten pokazuje także, że nie jest możliwe trwałe uchylanie się przed dokonaniem wyboru między dwoma wielkimi obozami politycznymi.

Na firmamencie politycznych ideologii pojawiła się niedawno nowa gwiazda: alterglobalizm, będący odpowiedzią na globalizację i jej skutki. Biorąc na cel liberalizm (który demonizują i któremu imputują odpowiedzialność za większość zła dotykającego ludzkość), nierówności między bogatymi i biednymi krajami, marnotrawstwo zasobów naturalnych, migracje ludności i bezrobocie – alterglobaliści (których myśl polityczna inspirowane jest bezpośrednio analizami i tezami grupy ATTAC) od razu świadomie zapisali się do lewicy, a nawet do skrajnej lewicy, krytykując wszelkie formy reformizmu społecznego i zaliczając nawet socjaldemokratów do przeciwnego obozu. Sukces głosujących na „nie” w referendum europejskim z 29 maja 2005 roku pokazał siłę oddziaływania alterglobalizmu na elektorat lewicy; podzieliło ono niemal w połowie elektorat socjalistyczny i pociągnęło za sobą przegrupowanie sił na lewicy związane z potępieniem liberalizmu.

#### Przejścia z lewicy na prawicę

Klasyczne wyobrażenie sceny politycznej jako zamkniętej przestrzeni całkowicie wypełnionej przez dwa obozy zwane prawicą i lewicą zawiera ideę jakiejś stałej i nieprzekraczalnej granicy, która je oddziela i wyklucza wszelkie „przejścia na drugi brzeg”. Można być tylko po tej lub po tamtej stronie, ale nie jednocześnie po tej i po tamtej, ani też – raz po tej, raz po tamtej. Podobnie jak przy starciu dwóch armii: gdy front zostaje przerwany, oznacza to zwycięstwo jednego obozu i porażkę drugiego. Dlatego każde udowodnione przejście z prawicy na lewicę albo w kierunku odwrotnym – czy to podyktowane elementarnym oportunizmem, czy też szczerym nawróceniem się na poglądy przeciwnika – godzi w tezę o dwudzielnym podziale systemu sił politycznych.

Tymczasem, jeśli tylko ogarnąć spojrzeniem dłuższą sekwencję wydarzeń, można zauważyć, że zjawisko to nie jest wyjątkowe, a nawet zdarza się bardzo często: nie tylko ważne tematy zmieniają obozy, przemieszczają się także wiodące tendencje. Historia prawicy jest w dużej mierze historią takich przemieszczeń, wskutek których całe szkoły myślenia czy ideowe rodziny przechodziły z lewej strony na prawą. Spośród trzech prawic, których rozróżnienie zaproponowaliśmy, tylko ta pierwsza, kontrewolucyjna zrodziła się na prawicy: dlatego niektórzy analitycy usiłowali traktować ją jako jedyną zasługującą na to miano. Naszym zdaniem – niesłusznie, gdyż byłoby to przeoczeniem historycznego w swojej istocie

charakteru tych wielkich konstrukcji ideologicznych, które powstały w związku z konkretnymi sytuacjami i okolicznościami: nie są niezmiennymi, ponadczasowymi bytami filozoficznymi. Dwie pozostałe prawice wyłoniły się na lewicy i powoli przeslizgnęły się na prawą stronę. Przejście to nie zawsze dokonywało się od razu, wskutek jednego, nieodwracalnego ruchu: mogło odbywać się poprzez odejścia i powroty przez ruch tam i z powrotem. Orbity zakreślone przez różne formy wyrazu XIX-wiecznego liberalizmu są tego dobrym przykładem. Bo liberałowie –w okresie restauracji bezsprzecznie usytuowani po lewej stronie, zaangażowani wówczas w bezpardonową walkę z ultraprawicą, mający w swoich szeregach ludzi blisko związanych z najbardziej skrajną opozycją, nie przepuszczający żadnej okazji by poprzeć wywrotowe przedsięwzięcia mające na celu obalenie reżimu, nawet poprzez konspirację, powstanie czy bunt, broniący zdobyczy Rewolucji, dziedzictwa roku 1789 – ci liberałowie podzielili się po 1830 roku i po zdobyciu władzy; musieli mieć się na baczności wobec groźby ewentualnego legitymistycznego rewanzu z prawej strony, ale także, i to coraz bardziej, wobec czyhającego z lewej strony zagrożenia republikańskiego. Ci, którzy dochodzą wówczas do władzy, bezsprzecznie uchodzą za prawicę: ani ich przeciwnicy, ani oni sami nie zaprzeczają, że są na prawicy, nawet jeśli utrzymują, że trzymają się środka. Czy to ześlizgiwanie się na prawo jest nieodwracalne? Postawa pewnych najbardziej znaczących przedstawicieli liberalizmu w czasach Drugiego Cesarstwa, dystans wobec nowego reżimu, ich wycofanie się z polityki, dyskretna fronda – pokazują, że nie wyrzekli się swych poglądów i przekonań, a zwłaszcza swego przywiązania do wolności, które dawniej czyniło z nich ludzi lewicy. Historia mogłaby dostarczyć wielu innych przykładów tego rodzaju przekroczeń – w jedną lub drugą stronę – tej granicy, uważanej za nieprzekraczalny rów między prawicą a lewicą.

Nie powracajmy już do powodów, które sprawiają, że te przesunięcia dokonują się generalnie z lewicy na prawicę: choć niektóre prawice są dawnymi lewicami, to odwrotna sytuacja się nie zdarza. Owszem, są rzadkie przypadki ludzi urodzonych na prawicy, którzy w pewnym momencie swego życia dokonali przejścia na lewo: niejaki Viktor Hugo, Jaurès<sup>46</sup>, Léon Blum<sup>47</sup>, François Mitterrand. Ale nie dzieje się tak w skali intelektualno-politycznych formacji: żadna lewica nie jest nawróconą prawicą, wbrew oskarżeniom rozmaitych skrajnych lewic, które chętnie, wręcz rytualnie oskarżają o zdradę każdą lewicę sprawującą rządy. To zjawisko, które znamienity obserwator naszego życia politycznego, Albert Thibaudet,

---

<sup>46</sup> Jean Jaurès (1859–1914) – polityk, dziennikarz, przywódca francuskich socjalistów, rzecznik poglądów pacyfistycznych, zginął w zamachu w 1914 roku.

<sup>47</sup> Léon Blum (1872–1950) – socjalista, przywódca Frontu Ludowego, premier w latach 1936–1937 i 1938, aresztowany i więziony przez Niemców, po wyzwoleniu Francji ponownie objął urząd premiera.(1946–1947).

ochrzcił mianem „złowróznej lewicowości”, jest pewną stałą prawidłowością: właśnie na lewicy, a nawet na skrajnej lewicy węższą nowe tendencje polityczne; jeśli mają jakąś przyszłość, to wskutek pewnego quasi-mechanicznego ruchu, przypominającego działanie ruchomego chodnika, wypychają ku prawej stronie dawniejsze lewice, zajmując ich miejsce. W ten sposób liberałowie wypchnięci zostali przez bardziej radykalnych demokratów, ci z kolei – przelicytowani i popchnięci na prawo przez socjalistów, i tak dalej – to swoiste ześlizgiwanie się od mniej więcej dwustu lat wprawia cały system w pewien nieokreślony ruch.

To przemieszczenie spowodowało zwielokrotnienie się prawic, co do których sądziliśmy, w środku minionego wieku, że są co najmniej trzy. Niektórzy sugerują, by dorzucić jeszcze jedną: prawicę nazwaną rewolucyjną. Czy to ześlizgiwanie się uległo zawieszeniu, czy trwało dalej? Jeśli trwało dalej – jakie nowe prawice powstały? W poprzednich wydaniach stawiałem sobie pytania dotyczące dwóch „rodzin myśli”, dwóch historycznych tradycji, mających wszelkie wymagane cechy (pewien globalny projekt, wizję idealnego społeczeństwa, pewne odniesienia filozoficzne, szczęśliwe i nie tylko, wspomnienia, swoistą wrażliwość): radykalizmu i demokracji chrześcijańskiej. Jeśli nie umieściłem wówczas żadnej z nich na mojej liście, to dlatego, że byłoby to przedwczesne: byłoby to udzieleniem na wyrost zbyt dużego znaczenia pewnym zależnym od okoliczności wyborom, odzwierciedlającym, być może, raczej taktyczne motywy niż głęboką ewolucję. Ale u progu nowego wieku, w czterdzieści czy nawet pięćdziesiąt lat później, po tylu wstrząsach w życiu politycznym – czy nie nadeszła chwila, by podjąć badania nad tą kwestią i zapytać, czy któraś z tych tradycji, a może obydwie, nie pokonały tego decydującego progu, sytuując się definitywnie na prawicy? Powrócimy do tego na ostatnim odcinku naszej drogi.

Zrekapitulujmy wyniki naszego śledztwa. Zauważyliśmy, że większość naszych współobywateli uważa się dzisiaj za niezdolnych do określenia tego, co dzieli prawicę od lewicy, z braku wyznaczników wytyczających między nimi dostatecznie wyraźną granicę. Nie widzą już praktycznej użyteczności takiego podziału i kwestionują jego intelektualną słuszność. Odczucie to nie jest prostą reakcją emocjonalną: opiera się, co widzieliśmy, na wielu doskonale obiektywnych konstatacjach. Problemy, wokół których dokonał się dawniej podział na te dwa obozy i wokół których obozy te się ukonstytuowały – przestały od krótszego lub dłuższego czasu budzić kontrowersje i zniknęły z porządku parlamentarnych debat: bądź dlatego, że w miarę upływu czasu znalazły swe rozwiązanie, bądź dlatego, że stały się przestarzałe, przestały więc być stawką w politycznej grze i w konsekwencji straciły swą operacyjną skuteczność jako kryterium podziału.

Inne tematy zajęły ich miejsce, stając się przedmiotem publicznych debat, ale żeby przedstawić rodzące się na ich tle różnice, nie trzeba już odwoływać się do tamtych starych kategorii. W dyskusjach nad Europą, decentralizacją czy rolą państwa podziały między zwolennikami poszczególnych opcji nie nakładają się dokładnie na tamten tradycyjny schemat: spadkobiercy każdej z dwóch wielkich tradycji dzielą się na tle nowych tematów. Tworzące się prądy umysłowe, wyłaniające się ruchy, które być może jutro będą głównymi aktorami na scenie politycznej, także nie odnajdują się w tamtym, tradycyjnym podziale.

Co więcej, daje się zauważyć pewną porowatość, przepuszczalność tej granicy, uznawanej dotąd za nieprzekraczalną i dzielącą dwa światy pozbawione wzajemnej komunikacji, dwa całkowicie przeciwstawne systemy. Historia pokazuje, że więcej niż jeden składnik tego pejzażu ideologicznego przekroczył tę granicę, najczęściej przechodząc z lewej strony na prawą. Mało tego, niektóre kilka razy przechodziły tam i z powrotem, przekraczały tę granicę w obie strony. Jak pogodzić tę mobilność, te liczne transgresje, z ideą sztywno przebiegającej granicy?

Czy wobec tych powodów, nie będących przecież spekulacjami, ale zasadnie poczynionymi zastrzeżeniami, nie powinno się przyznać racji tym, którzy – czasem już od dawna – odrzucają tradycyjny podział prawica–lewica, kwestionują jego zasadność i praktyczną użyteczność i zachęcają, aby odesłać go do muzeum pojęć przebrzmiałych?

Oś prawica–lewica zachowuje wiarygodność

Jednak powody, by przyznać jeszcze tym pojęciom pewną aktualność, nie są mniej silne ani mniej liczne niż przedstawione wyżej zastrzeżenia. Więcej: większość argumentów przywoływanych przeciw tym kategoriom jest odwracalna, a prawie wszystkie zawierają jako konsekwencję pewien przekaz, który wzmacnia tylko prymat rozróżnienia na prawicę i lewicę. Dziwić się tej sprzeczności oznaczałoby nie dostrzegać całej złożoności polityki, która jest zarazem, choć to sprzeczne, miejscem wyraźnych konfrontacji i prostych wyborów, ale także miejscem wszelkich dwuznaczności. Ta dwuznaczność jest nie mniej istotna dla naszego rozróżnienia i dla dwóch pojęć, których ono dotyczy

Pierwsza elementarna obserwacja, poprzedzająca wszelkie kontrowersje, przestrzega przed skłonnością do kontestowania zasadności tych pojęć: kontestacja ta jest starej daty, a argumenty na jej rzecz nie są nowe. Bo nie od dziś pewne umysły odmawiają wszelkiej ważności temu podziałowi. Pierwsze wydanie tego eseju o prawicach sprzed półwiecza,

przywoływało zmierzającą w tym kierunku wypowiedź Jeana-Jacques'a Servana-Schreibera<sup>48</sup>, udzieloną tygodnikowi „L'Express”. W miarę upływu czasu pojawiały się i inne, z pokolenia na pokolenie. Może to być dwojako oceniane: ta powracająca negacja może być dowodem na słuszność krytyki, ale jest także zachętą do ostrożności – bo ustawiczne nawroty relatywizują te stwierdzenia. Być może mają znaczenie wyłącznie jako sygnał istnienia pewnej intelektualnej rodziny, która nie akceptuje idei opinii publicznej, ciała wyborczego, pola ideologicznego, przestrzeni politycznej podzielonych na dwa antagonistyczne bloki.

Sondaże wskazały nam, że większość obywateli nie odnajduje się już w kategoriach prawica–lewica. Ale te same i inne badania opinii mówią nam również, że ci sami Francuzi, którzy powiadają, że te dwa pojęcia nie mają dla nich sensu – nie mają żadnych trudności z umieszczeniem kandydatów na osi prawica–lewica. I tak dziennik „Le Journal du dimanche” opublikował w lutym 2002 roku, na kilka tygodni przed ważnymi sprawdzianami (wybory prezydenckie i parlamentarne, wiosną) rezultaty pewnego sondażu: indagowane osoby bez trudu umieszczały wszystkich zgłoszonych kandydatów, łącznie z najmniej znanymi, w prawicowo-lewicowym spektrum. I co ważniejsze: pytani nie mieli większej trudności z umieszczeniem samych siebie na osi prawica–lewica: zrobiło to 94 procent ankietowanych; tylko 2 procent nie odpowiedziało, a więc wyraźnie mniej niż na ogół ma to miejsce w tego rodzaju procentowych badaniach opinii; 4 procent odpowiedziało „nie jestem ani na prawicy, ani na lewicy”. Odpowiedzi pozytywne podzieliły się niemal po połowie: 46 procent określiło się jako lewica, 43 procent – jako prawica, 5 procent – jako centrum.

Wynika stąd, że Francuzi jednocześnie myślą o podziale prawica–lewica dwie wyraźnie sprzeczne rzeczy. To, że te pojęcia wydają się im pozbawione sensu, nie przeszkadza im posługiwać się nimi dla określenia własnej tożsamości politycznej! Nie ma obiektywnego powodu, by przedkładać jeden z tych wyników nad drugi: uzyskane wedle tych samych procedur sondażowych, na porównywalnych próbach badawczych – prezentują ten sam stopień wiarygodności i nie ma podstaw, by zakładać nieszczerłość ankietowanych. Musimy więc obdarzyć je jednakowym zaufaniem. To przypomina nam, że wyjaśnianie zachowań politycznych niekoniecznie posłuszne jest zasadzie niesprzeczności. W tym wypadku sprzeczność ta oznacza prawdopodobnie oznaką, że ta para pojęć należy do danych, których nie można pominąć. Bez względu na to, jak trudno byłoby zaproponować jakąś spójną i intelektualnie satysfakcjonującą definicję tych dwóch pojęć – nie można się bez nich

---

<sup>48</sup> Jean-Jacques Servan-Schreiber (1924–2006) – dziennikarz, polityk, założyciel tygodnika „L'Express” o liberalno-centrowej orientacji.

obejść. Odpowiadają z pewnością pewnej potrzebie: potrzebie wyobrażania sobie abstrakcji, wizualizowania ich poprzez wpisanie w pewną przestrzeń. Tym bardziej że te pojęcia odnoszą się do ruchów zaangażowanych w stosunki siły. Jest to wymóg umysłu. Podobnie jak ten, który nakazuje umieszczać każdy fakt społeczny w czasie.

### ***W poszukiwaniu nowych punktów odniesienia: raczej wartości niż idee?***

Być może wyjaśnienie tej sprzeczności tkwi w błędnym oszacowaniu poziomu, na którym zakorzenione są prawica i lewica: nie powinno dziwić, że nie znajduje się rozwiązania zagadki, jeśli klucza do niej szuka się tam, gdzie go wcale nie ma. A może fundamentalna różnica między prawicą a lewicą ma swe źródło na znacznie głębszym poziomie niż ten, na którym dokonują się wybory czysto polityczne, może ma korzenie w odniesieniu do głębszych przekonań, dotyczących tego, co potocznie nazywa się dziś odwołaniem do wartości?

Już w 1945 roku, w swej znakomitej książce *La Politique des partis sous la III<sup>e</sup> République*. François Goguel, obserwator skłonny przywiązywać wielką wagę do polityki i przekonany o jej specyfice i autonomii, zastanawiając się nad trwałością podziału na prawicę i lewicę pośród tylu wydarzeń historycznych, zanotował, że poza płaszczyzną idei i interesów kierujących wyborami politycznymi jest też pewien „drugi plan”, „pewne tło uczuć, a w każdym razie irracjonalnych stwierdzeń co do sensu życia, natury człowieka, celów społeczeństw”. Ten drugi, głębszy plan, to tło – dodawał – jest o wiele bardziej trwałe i mniej przypadkowe niż płaszczyzna idei. A jednak już sama płaszczyzna idei, w odróżnieniu od rozmaitych perypetii politycznej praktyki, sytuuje się w przedziale średniej długości trwania.

Zapamiętajmy zalecenie zachowania większej niezależności wobec tego, co w historii przypadkowe. Bliższy naszym czasom Jean-François Sirinelli, rozpoczynając swą wielką *Histoire des droites* postanowił ująć całość swej pracy w formie tryptyku, którego dwa skrzydła poświęcone są kulturze i wrażliwości. Ten zamysł wyłonił się z podobnego założenia – że owe dwie konfiguracje nazywane prawicą i lewicą przenikają wiele płaszczyzn rzeczywistości i że plan polityczny nie jest tutaj jedyny: analiza idei nie wyczerpuje więc rzeczywistości, i nie jest być może jej najważniejszym wymiarem.

Wszelkie badania w tych mrocznych głębiach, które – jak sugeruje François Goguel – spowija irracjonalność, wymagają wielkiej ostrożności. Już sama nieścisłość używanego tu



słownictwa – uczucia, przekonania, wartości, wrażliwości – nakazuje mieć się na baczności. Odwoływanie się do takich pojęć często ukrywa jedynie naszą niewiedzę i maskuje naszą bezsilność w ujmowaniu za pomocą racjonalnych kategorii zjawisk, których sens nam się wymyka: podobnie jak w wypadku tych wyjaśnień pretendujących do miana naukowych, które mówią o instynkcie, opisując zachowania zwierząt zbijające nas z tropu swą precyzją i odwiecznością. Trzeba się pilnować, by nie popaść w to nominalistyczne złudzenie, wedle którego dla wyjaśnienia jakiegoś zjawiska wystarczy nadać nazwę jakiemuś przedmiotowi. Co więcej, ten rodzaj danych i faktów z trudem nadaje się do oceny naukowej, a jeszcze mniej do arytmetycznego oszacowania: ich badanie ukazuje raczej jakość niż ilość. A jednak, mimo przedstawionych zastrzeżeń, ten porządek rzeczywistości naprawdę istnieje i byłoby ślepotą nie dostrzegać go, a nadmiarem ostrożności – pozostawiać go poza polem badawczym. Najnowsze osiągnięcia historii kultury szczęśliwie oddają mu należne miejsce. Poniżej znajdzie się więc kilka uwag dotyczących różnic między prawicą a lewicą w związku z tematami, które nie mają natury politycznej, a odnoszą się właśnie do uczuć i wartości.

## Rodzina

Co szczególnie ciekawe – rodzina tradycyjnie (rzec można – od chwili ich powstania) dzieli i przeciwstawia prawicę i lewicę. Może to dziwić: czyż rodzina nie jest czymś naturalnym i powszechnym? Każda istota ludzka zrodzona jest z pary, tworzonej przez mężczyznę i kobietę, przynajmniej było tak do niedawna, gdy pojawiły się możliwości, które przed ludzkim genium otworzył postęp biologii. Cóż bardziej oczywistego niż rodzenie się nowych pokoleń? Stosunek między rodzicami a dziećmi jest rzeczywistością biologiczną i faktem socjologicznym, tak jak relacja łącząca braci i siostry zrodzone z tej samej pary rodziców: czy może to być przedmiotem różnic ideologicznych? Ale jednak tak właśnie jest. Od początku prawica przejawia zasadniczą sympatię dla komórki rodzinnej, a lewica zachowuje raczej rezerwę czy nawet nieufność. To, że prawica ma tę prorodzinną skłonność, tym bardziej utwierdza lewicę w jej zastrzeżeniach i – równolegle – to, że lewica wypowiada się przeciw rodzinie, daje prawicy powody, by tym bardziej brać rodzinę w obronę. Ta gra spontanicznych stanowisk i przeciwstawnych reakcji, które wzajemnie się napędzają, jest skutkiem pewnego splotu uzasadnień filozoficznych i okoliczności czysto historycznych.

Dla tradycyjnych myślicieli rodzina jest częścią porządku naturalnego, a dla umysłów religijnych – porządku będącego dziełem Opatrzności. Ani jego istnienie, ani prawomocność

nie podlegają dyskusji. Zmieniając ten porządek, człowiek zaburzyłby naturalny bieg spraw, narażałby przyszłość rodzaju ludzkiego, przeciwstawiałby się woli Boga. Wcześniejsza od powstania społeczeństwa politycznego, nie mówiąc o narodzinach państwa – rodzina jest tą prapoczątkową rzeczywistością, której istnienie nie zależy od jakiegokolwiek woli politycznej. Święta w oczach tych nurtów prawicowych, które wizję ziemskich spraw czerpią z religii – instytucja rodziny uważana jest przez całą tradycyjną prawicę za depozytariusza wartości moralnych. Stanowi uprzywilejowane miejsce ich przekazywania i kształcenia jednostek. Wymaga zatem, aby społeczeństwo ją honorowało, by jej broniło i ochraniało ją. Zapewnienie rodzinie trwania jest jednym z celów przypisanych działaniu władz publicznych. Ten kult rodziny nie dopuszcza, by mogła się ona stać przedmiotem modyfikacji, a w jeszcze mniejszym stopniu – mutacji. Jest ona pewną „daną naturalną”, naturalnym pewnikiem: prawo musi to uznawać i uwzględniać. W konsekwencji prawica będzie działać na rzecz stabilności małżeństwa, monogamii, wierności małżeńskiej.

Te same względy, z powodów, których dostrzeżenie zmusza do głębokiego zastanowienia nad tym, co dzieli prawicę od lewicy, składają się na atawistyczną nieufność tej ostatniej wobec tradycyjnej rodziny. To, że tradycyjna rodzina uważana jest za część ładu naturalnego i że wywodzi się z najdalszej przeszłości, nie stanowi dla pewnej części lewicy żadnej rekomendacji ani zachęty do jej życzliwego traktowania, bo lewica ta określa się raczej względem swej woli uchylania się od determinizmu „ciała i krwi” (a więc od uwarunkowań rodzinnych) i budowania ładu społecznego opartego wyłącznie na rozumie. Wynika stąd pewne odwrócenie hierarchii wartości: to rodzina ma dostosować się do społeczeństwa obywatelskiego i politycznego.

Lewica ukonstytuowała się na fundamencie promowania wolności indywidualnej: w rodzinie i opiece sprawowanej przez rodzinę nad jej członkami upatruje zagrożenie dla tej wolności. Pierwsza, najdawniejsza lewica, ta, która dokonała Rewolucji w 1789 roku, była głęboko indywidualistyczna; nie ufała wszelkim ciałom i instytucjom pośrednim, wkraczającym między obywatelski lud a jednostki: rodzina także była jedną z tych podejrzanych i groźnych instytucji. Lewica ta będzie zatem próbować ją rozmontować, aby uwolnić jednostki od rodzinnych przymusów i „tabu”, będzie także zapobiegać próbom jej odbudowania, o które podejrzewa prawicę.

W istocie, zajęcie przez prawicę tradycyjnych pozycji w tej kwestii, jej inicjatywy i strategia dają lewicy powód do obaw i przywidzeń. Ta zasadnicza nieufność, wzbudzana przez rodzinę od samego początku istnienia najstarszej lewicowej tradycji, tradycji liberalnej i indywidualistycznej, pod którą podpisze się później lewica socjalistyczna (z właściwych

sobie powodów: rodzina, instytucja burżuazyjna, więc solidarna z interesami klasy panującej) – doznała historycznego wzmocnienia wskutek obiektywnej zbieżności kwestii rodziny z polityką sił społecznie konserwatywnych. Ruch prorodzinny czerpał swą inspirację z dwóch różnych źródeł, z których żadne nie rokowało nadziei, że może on wzbudzić sympatię lewicy. Pierwszym źródłem było po prostu nauczanie moralne Kościoła katolickiego, w harmonii z głównymi kierunkami katolicyzmu społecznego, bliskiego w swych początkach kontrrewolucyjnemu nieprzejednaniu, świadomie antyindywidualistycznego, dla którego obrona wartości rodzinnych była podstawowym elementem, głównym filarem organicznej, hierarchicznej wizji społeczeństwa, która podporządkowuje jednostkę zadaniom wspólnym. Coś z tej koncepcji przetrwało do dzisiaj, w postaci integryzmu, ostro przeciwstawiającego się ewolucji Kościoła posoborowego, a nawet w pewnych organizacjach pozostających w łączności z Rzymem, jak Stowarzyszenie Rodzin Katolickich. Drugie historyczne źródło inspiracji ruchu prorodzinnego było religijnie neutralne: był nim patriotyzm. Rodzina jest drogą ruchom patriotycznym, gdyż jest niezbędna dla wielkości ojczyzny, związanej z liczbą mieszkańców. Demograficzna słabość Francji, w porównaniu z przyrostem ludności u jej sąsiadów, niepokoiła niemal od zawsze. A rodzina jest przecież miejscem reprodukcji: rozrodczość zależy od jej dobrej kondycji. Państwo musi więc pomagać rodzinie, zachęcać ją do prokreacji, podejmować różne środki, by kompensować obciążenia rodzin wielodzietnych.

Nie trzeba tłumaczyć, dlaczego lewica nie może poczuć sympatii dla motywów prorodzinności, wypływających z tego pierwszego źródła: byłoby to sprzeczne z jej najgłębszymi przekonaniem. Ale nie żywi też wcale pozytywnych uczuć dla pobudek płynących z drugiego źródła: nie podziela obaw dotyczących demografii ani niepokojów co do przyszłości ojczyzny. Trzeba było ogromnego uporu i naukowego autorytetu Alfreda Sauvy'ego, aby znieść na lewicy tabu, wedle którego demografia była nauką pravicową. Ta lewicowa obojętność na zasadniczy, jak by nie było, wymiar istnienia ludów i narodów jest pośrednią konsekwencją połączenia indywidualizmu liberalnej lewicy z internacjonalizmem lewicy socjalistycznej.

Zmienne koleje historycznego losu niczego nie zmieniły i nie zawsze ułatwiały zbliżenie między rodziną a lewicą: koniunkturalne podchwycenie przez reżim Vichy pewnych rodzinnych wartości naznaczyło je na jakiś czas piętnem swoistej infamii. Z tego względu zastąpienie republikańskiej dewizy „Wolność, Równość, Braterstwo” triadą eksponującą „Pracę, Rodzinę i Ojczyznę” mogłoby kompromitować przyszłość wszelkiej polityki prorodzinnej.

Ale tak się nie stało. Dotykamy tu paradoksu naszego życia politycznego. Odniesienie do rodziny i do wartości związanych z jej tradycyjnym obliczem jest we Francji przedmiotem politycznej niezgody. Ale jednocześnie Francja jest jednym z nielicznych krajów o porównywalnym poziomie życia i kulturze, które cierpliwie zbudowały ustawodawstwo, a nawet cały system prawny uznający rzeczywistość rodzinną, udzielający jej prawnopublicznego statusu i zapewniający jej wszelkie rodzaje gwarancji. Ta polityka nie ucierpiała na zmianach rządów i parlamentarnych większości. Rozpoczęta w latach 1938–1939, pod ostatnim rządem Trzeciej Republiki (który przejął w tej dziedzinie pewne prywatne inicjatywy), usankcjonowana ogłoszeniem kodeksu rodzinnego w lipcu 1939 roku, na kilka tygodni przed przystąpieniem do wojny, kontynuowana przez reżim Vichy, wzmocniona po wyzwoleniu decyzjami rządu tymczasowego (który rozporządzeniem sygnowanym przez komunistycznego ministra Billoux, w marcu 1945 roku, wprowadził podstawowe wytyczne polityki prorodzinnej, zdejmując zarazem z idei rodziny odium Vichy) – polityka prorodzinna jest przykładem ciągłości w polityce francuskiej. Wszystkie rządy, bez wyjątku, szanowały tę ciągłość, zwołując corocznie konferencję z udziałem wszystkich organizacji rodzinnych. Z pewnością dyskurs prawicowy przywołuje rodzinę z największym zapalem i przekonaniem, ale Narodowa Unia Stowarzyszeń Rodzinnych ma nie mniej powodów, by skarżyć się, na przykład, na zwłokę i opieszałość prawicowych rządów w wyrównywaniu wysokości zasiłków rodzinnych wobec rosnących kosztów utrzymania, niż w przypadku rządów lewicowych. Choć polityka prorodzinna nie dzieli już tak ostro tych dwóch części naszego świata politycznego, to jednak utrzymuje się między nimi różnica związana z odmiennością kultur, retoryki i wrażliwości na problemy rodzinne. Łatwo rozpoznać człowieka prawicy, przynajmniej pewnego nurtu prawicy, po sposobie, w jaki mówi o rodzinie. Rodzina pozostaje więc nadal silnym wyróżnikiem podziału na prawicę i lewicę.

Odniesienie do rodziny może być także wyróżnikiem pomagającym zrozumieć podziały na prawicy. Odwołują się do niego w porę i nie w porę tradycjoniści. O ile większość z nich porzuciła utopię odbudowania społeczeństwa *ancien régime*’u i wyrzekła się najbardziej reakcyjnych punktów swego kontrewolucyjnego programu, nie zmienili się co do obrony instytucji rodziny i jej wartości. Stanowi ona główny przedmiot zaniepokojenia tych, którzy aż do naszych czasów przeciągnęli walkę, prowadzoną dawniej w imię tradycji chrześcijańskiej przeciw ideom wywracającym ład społeczny. Nie jest przypadkiem, że Philippe de Villiers, założyciel Ruchu na rzecz Francji<sup>49</sup>, walczącego o sprawę rodziny, jest

---

<sup>49</sup> Mouvement pour La France, MPF (Ruch na rzecz Francji) – skrajnie prawicowa, narodowo-konserwatywna partia polityczna założona w 1994 roku (przyp. red.).

deputowanym z Wandei i przewodniczącym rady generalnej tego departamentu, a także odegrał ważną rolę w obchodach związanych z historią jego małej ojczyzny, organizując spektakl w Puy du Fou. Podobnie rzecz ma się z Christine Boutin<sup>50</sup>, która nie ukrywa swych przekonań.

Stanowisko Frontu Narodowego jest mniej wyraźne. Z pewnością Jean-Marie Le Pen jest zbyt zręcznym strategiem, by zrezygnować z tematu, którym może sprawić kłopot prawicom obecnym w parlamencie i przyciągnąć głosy tych, którzy oburzają się na rozwiązłość obyczajów i których gorszy ustawodawstwo zrównujące w prawach małżeństwo i konkubinat. Ale o ile temat rodziny ma wielkie znaczenie dla małej frakcji, która identyfikuje się z ruchem Chrétienté-Solidarité (Chrześcijaństwo-Solidarność) i słucha swego animatora Romaina Marie (alias Bernarda Antony'ego), pozostała część elektoratu Frontu Narodowego jest wobec niego względnie obojętna. Ta nierówność zainteresowania wyraźnie pokazuje niejednolity charakter elektoratu głosującego na Le Pena i potwierdza, że elektorat ten nie pokrywa się ze skrajną prawicą kontrrewolucyjną.

Prawica liberalna jest mniej zaangażowana w obronę rodziny. Jej najbardziej liberalne skrzydło jest wręcz wobec tej kwestii obojętne; Alain Madelin<sup>51</sup> jest zbyt przywiązany do wolności jednostki, aby troszczyć się o instytucję rodziny. Za to inny składnik UDF jest zbyt wierny swym źródłom i zbyt przesycony motywacjami religijnymi, by nie uczynić rodziny jednym ze swych ulubionych tematów: chrześcijańscy demokraci zawsze traktowali politykę prorodzinną jako główną oś swego programu wyborczego i czynili z niej warunek poparcia kolejnych rządów.

## Obyczaje

Nie sposób całkowicie oddzielić stanowisk prawicy i lewicy względem rodziny od ich poglądów na temat oceny moralnej indywidualnych zachowań. Na poziomie fundamentalnych wyborów postawy wobec obu tych kwestii nie są od siebie niezależne: zarysowują się podobieństwa, dokonują się nawiązania, które kształtują systemy cechujące się pewną koherencją, ale nie do tego stopnia, by całkowicie wykluczało to sprzeczności; pokażemy je w tym rozdziale na przykładzie moralności. Stale dzieje się tak, że kwestie

---

<sup>50</sup> Christine Boutin (ur. 1944) – polityk, obrońca tradycyjnych wartości, prawa nienarodzonych do życia i praw rodziny, minister budownictwa w rządzie François Fillona.

<sup>51</sup> Alain Madelin (ur. 1946) – polityk, rzecznik reform wolnorynkowych, deputowany od 1978 roku, minister w rządach Chiraca, Balladura i Juppégo, odpowiadał za finanse, przemysł i rozwój przedsiębiorczości.

zawierające implikacje związane z porządkiem moralnym przyczyniają się do trwania opozycji prawica–lewica. Najnowsza historia dostarczyła na to niejednego przykładu: w roku 1975 projekt ustawy legalizującej przerywanie ciąży na życzenie zgłoszony został przez prawicowy rząd, ale mógł zostać przegłosowany tylko przy pomocy głosów lewicy; podzielił więc prawicę. Z drugiej strony prawica była niemal jednomyślna w sprzeciwie, w 1999 roku, wobec projektu przedłożonego przez deputowanych socjalistycznych, ustanawiającego wraz z instytucją związków partnerskich (PACS) inny – obok tradycyjnego małżeństwa – model życia i partnerstwa, otwarty, bez różnicy, dla par tej samej i odmiennej płci. Kontrowersja tego samego rodzaju pojawiła się ostatnio w związku z małżeństwami homoseksualistów i żądaniem prawa adopcji dzieci dla takich par, gdyż nie mogą ich same spłodzić. Poza ocenami natury etycznej to starcie wprowadza do toczącego się sporu odrębne antropologie i zakorzenione jest w warstwie o wiele głębszej niż polityka. Między rodziną a moralnością ten rodzaj powiązań jest szczególnie silny, gdyż rodzina, jak widzieliśmy, jest dla jej obrońców nie tylko faktem społecznym, lecz także strażnikiem wartości moralnych.

U początków rozbieżności ich stanowisk, ponad poszczególnymi różnicami, prawicę i lewicę dzielią dwie kwestie odnoszące się do zasadniczych punktów filozofii politycznej. Czy społeczeństwo powinno rządzić prywatnymi zachowaniami? A jeśli tak, to czy ustawa może narzucać normy – czy powinna ograniczać się do dostosowywania prawa do ewolucji obyczajów? Ale czym byłyby obyczaje bez ustaw? W tej odwiecznej debacie na temat stosunku praw do obyczajów prawica i lewica stoją dzisiaj na przeciwnych pozycjach. Celowo mówimy: dzisiaj; to dookreślenie czasu, relatywizujące nasze twierdzenie, jest ważne, gdyż te dwa nurty – lewica być może bardziej niż prawica – przeszły ewolucję. Czy zadaniem władzy publicznej jest stanie na straży małżeńskiej wierności, na przykład poprzez karanie niewierności? Czy prawo powinno reglamentować dozwolone praktyki seksualne, ustalać kodeks stosunków seksualnych między jednostkami? Dla większości prawic odpowiedź na te pytania nie nastroczała wątpliwości: oczywiście tak. Prawice, przesiąknięte tradycyjnym nauczaniem Kościoła katolickiego, nawet jeśli nie rozumowały dokładnie tak jak Magisterium – w kategoriach grzechu – to nie wątpiły, że istnieją zachowania występne, które powinny być potępione przez prawo i ścigane przez wymiar sprawiedliwości. W takim ujęciu kodeks karny był pewną świecką, zsekularyzowaną wersją kodeksu moralnego, który Kościoły przejęły od tradycji judeochrześcijańskiej. I dlatego prawica zdecydowanie przeciwstawiła się uznaniu przez państwo rozwodów (w 1884 roku), a później – depenalizacji aborcji (w roku 1975) i homoseksualizmu (w 1982 roku).

Stanowiska zajmowane przez lewicę nie są tak proste i wyrażają różne prądy. Początkowo lewica nie jest – że ośmielę się tak powiedzieć – mniej moralna niż prawica: jest równie mocno przekonana, że istnieje pewna moralność. Niekiedy nawet bardziej niż prawica troszczy się o poszanowanie nakazów moralności i z większą surowością reaguje na złe prowadzenie się przywódców. W XIX wieku istniał wręcz swoisty republikański purytyzm, uosabiający reakcje jak najbardziej moralnej natury wobec uciech Drugiego Cesarstwa, wobec jego frywolności: tradycja ta znajdzie kontynuację w wieku XX w Partii Komunistycznej. Ale lewica buntuje się zarazem przeciw wtrącaniu się Kościoła katolickiego w debaty na temat moralności i przeciw presji, jaką wywiera Kościół, aby utrzymać ścisłą zgodność prawa cywilnego z zalecanym przez siebie prawem moralnym. Lewica w zdecydowanej większości stale przeciwstawia się wszelkim interwencjom tego rodzaju, posuwając się do odmawiania władzom kościelnym prostego prawa przysługującego dziś każdemu obywatelowi i każdej części społeczeństwa obywatelskiego: prawa do przedstawienia swojego punktu widzenia.

Indywidualna moralność jest jednym z obszarów, w których potwierdza się klasyczna opozycja między postępową lewicą jako wektorem nowoczesności a prawicą identyfikowaną z zachowywaniem tradycji, opozycja, która nie ma już znaczenia w odniesieniu do instytucji politycznych ani zastosowania w dziedzinie wyborów ekonomicznych.

Pierwsza indywidualistyczna lewica nabrała dystansu do tradycyjnej moralności wskutek swego przywiązania do osobistej wolności i z powodu pewnego naturalnego uczulenia na wszelkie narzucone normy. Druga lewica, która zapożycza swe filozoficzne odniesienia od socjalizmu, odświeżyła i zradykałizowała odrzucenie klasycznej moralności swą krytyką społeczną: oskarżona o burżuazyjność i podejrzana o służebność wobec dominacji jednej z klas moralność ta została pozbawiona normatywnego charakteru, a jej aspiracje do uniwersalności – zdyskwalifikowane.

Po eksplozji roku 1968 do tych dwóch względnie dawnych prądów dołączył trzeci nurt, o tendencji liberalnej. Rzecz nie jest całkiem nowa: zawsze istniały nonkonformistyczne umysły zalecające rewolucję w sferze obyczajów i zachowań, a że było nie do pomyślenia, aby mogły znaleźć akceptację i przyzwolenie na prawicy – ich aspiracje popychały je ku lewicy: ludzie tacy oczekiwali od rewolucji społecznej, że oswobodzi także obyczaje. W ten sposób doszło do aliansu między „rewolucją surrealistyczną” a rewolucją bolszewicką. Ale ten związek ograniczał się do wąskich grup. Po roku 1968 przybrał całkiem inny wymiar: żądania libertariańskie wyraziły się szeroko w mediach, wielkie demonstracje, takie jak Gay Pride (Gejowska Duma), spotkały się z dużą sympatią. Część lewicy natychmiast poszła

w ślady Noëla Mamère'a, gdy w 2004 roku celebrował on homoseksualne małżeństwo w swym merostwie w Bègles. Odtąd cała niemal lewica wpisuje oswobodzenie obyczajów do swego programu i zachęca każdego, wedle owego hasła z 1968 roku, by uznał swe pragnienia za regułę postępowania... – nie troszcząc się o wyraźną sprzeczność między natrętną zachętą, by w życiu prywatnym słuchać tylko swych popędów, a wezwaniem do obywatelskiej dyscypliny w społecznych i politycznych przedsięwzięciach.

Z tych powodów wszelkie odwołania do moralności, wszelkie ingerencje prawa mające na celu regulację prywatnego prowadzenia się wzbudzają podejrzenia lewicy, która ciągle obawia się ustanowienia kontroli nad zachowaniami, cenzury myślenia, krótko mówiąc: ustanowienia ładu moralnego. Ład moralny: wreszcie padło to słowo. Oto niebezpieczeństwo, które lewicowa myśl węszy w każdej propozycji dotyczącej moralności. Wyrażenie „ład moralny” obarczone jest nieodwracalnie niepożądaną konotacją, dziedzictwem naszej historii politycznej. Już samo pojęcie ładu nie pachnie dla lewicy świętością: jest raczej częścią tabeli prawicowych wartości; lewica woli od niego wolność albo sprawiedliwość. A dodanie określenia „moralny”, zamiast łagodzić rygor „ładu”, jeszcze wzmacnia jego perwersyjność. Budzi bowiem w pamięci lewicy bardzo zadawnione wspomnienia: odsyła do dwóch epizodów prawicowych rządów: po porażce z 1871 roku, w czasach Zgromadzenia Narodowego, i podczas kryzysu z 16 maja 1877 roku; obu tym gabinetom przewodniczył książę Albert de Broglie. To sam ówczesny rząd wybrał tę nazwę („rząd ładu moralnego”), by nazwać swą politykę: skutecznie łączyła ona pożądane odwołanie się do tradycyjnych wartości moralnych z zespołem powziętych środków nadzoru policyjnego i ograniczania swobód publicznych, mających przeszkodzić lewicy w wygraniu wyborów. Nie należy więc dziwić się, że potomkowie tamtej lewicy zachowują w związku z tym złe wspomnienia. Samo odwołanie do ładu jest zdyskwalifikowane: wystarczy wymówić to wyroczone słowo i wywołać widmo powrotu do ładu moralnego, żeby zdyskredytować jakąkolwiek propozycję. To tabu jest tak silne, a uprzedzenia wobec ingerencji moralności w politykę – tak powszechne, że nawet sama prawica, z wyjątkiem kilku umysłów mających upodobanie do prowokacji, nie ośmiela się zazwyczaj odwoływać do rozważań o ładzie moralnym.

Ten stan umysłów dotyczy wyłącznie sfery indywidualnych zachowań i życia prywatnego, seksualności i życia we dwoje, określanej tradycyjnie mało precyzyjnym wyrażeniem „obyczaje”. Podobne zastrzeżenia nie mają zastosowania wobec innych obszarów politycznej interwencji, jak ustawodawstwo dotyczące stosunków społecznych, organizacji pracy, rozkładu obciążeń podatkowych na poszczególne grupy obywateli,



stosunków między narodami. Przeciwnie, prawica i lewica rywalizują w tych sferach argumentami odnoszącymi się do ładu moralnego i starają się sprawić przeciwnikowi jak najwięcej kłopotów, by wywołać u jego wyborców wyrzuty sumienia.

Ta alergia lewicy na moralność, mająca swoje filozoficzne źródła i historyczne korzenie, nie oznacza, że lewicowy polityk nie ma wymagań etycznych, że nie zadaje sobie pytań i nie przejawia zachowań moralnych. Nie różni się tu od polityka prawicowego, który przecież nie zachowuje się w sposób z natury bardziej adekwatny wobec zasad, których broni jego tradycja. Faktem jest jednak, że stosunek do moralności różni całkowicie prawicę i lewicę. Człowiek prawicy będzie miał skłonność do oburzania się na emancypację zachowań względem tradycyjnej moralności: będzie mówił o rozwiązłości tam, gdzie lewica widzi tylko swobodę. Będzie gorszył się audycjami telewizyjnymi pokazującymi jako normalne to, co on uważa za zboczenie. Oburzy go ustawodawstwo, legalizujące sytuacje sprzeczne z zasadami, jakich nauczano wcześniejsze pokolenia. Stanowisko względem moralności jest z pewnością wyznacznikiem różnic między prawicą a lewicą.

## Władza

Innym znaczącym wyznacznikiem jest władza. Zarówno samo słowo, jak i jego desygnat nie podobają się lewicy: naruszają marzenie o wolności bez pęt i przeciwstawiają się programowej ufności w słusność wszelkich spontanicznych inicjatyw. Nawet po długim okresie liberalnej praktyki i demokratycznego funkcjonowania społeczeństwa pojęcie władzy nadal zachowuje podejrzany autokratyczny zapach, woń *ancien régime'u*. Zagraniczne doświadczenia XX wieku zdwoiły tylko tę instynktowną nieufność wobec wszelkiej władzy: każde jej zdecydowane sprawowanie określono więc prędko jako „faszystowskie” i, jeśli wierzyć Rolandowi Barthes’owi – nawet język może być „faszystowski”. Michel Foucault wtłoczył do głów ideę, a zarazem podejrzenie, że ukrytym celem wszelkiego zorganizowania społecznego jest „kontrolowanie i karanie”. Krytyka społeczna oparta na aksjomacie walki klasowej zdyskwalifikowała w swych założeniach samo pojęcie władzy: ponieważ jej celem jest utrzymywanie „panowania posiadaczy” – traci ona wszelką prawomocność, a jej kwestionowanie wpisuje się w sens historii. Kryzys roku 1968 rozpowszechnił te podejrzenia w całym społeczeństwie, wraz z hasłem: „Zabrania się zabraniać”.

Pewna część prawicy, przeciwnie, pozostaje przywiązana do zasady silnej władzy i jej stosowania – już nie z powodów czysto ideologicznych czy metafizycznych, które inspirowały doktrynę kontrrewolucyjną (pochodząca od Boga i przez niego delegowana

władza ma z racji swego źródła uświęcony charakter), ale ze względów pragmatycznych: każda wspólnota ludzka musi być kierowana i nie mogłaby obejść się bez władzy. Konieczność ta wzmocniona jest przekonaniem, że w każdym społeczeństwie występują siły wywrotowe, które muszą być trzymane w ryzach, oraz źródła przemocy, które muszą być zwalczane. Władza jest zresztą przedmiotem pewnego społecznego zamówienia: afirmacja silnej władzy może dobrze pasować do pewnego rodzaju populistycznej demagogii.

To odniesienie do władzy dotyczy zwłaszcza niektórych szczególnie wrażliwych sektorów, bardziej narażonych na zjawiska wywrotowe lub takich, których zadaniem jest zwalczanie nieładu. Nie dziwi, że wymiar sprawiedliwości i policja figurują na pierwszej linii: czyż nie są, z racji samej swej funkcji, powołane do zwalczania przestępczości i stale konfrontowane ze społecznymi patologiami? To inny temat, wobec którego prawica i lewica zajmują odmienne stanowiska. Lewica skłonna jest sądzić, że człowiek nie może być radykalnie zły. Jeśli nawet czyni zło, nie jest to całkowicie jego wina: jego zachowanie wyjaśnia się dopiero po uwzględnieniu pochodzenia rodzinnego, nieszczęśliwego dzieciństwa, sytuacji społecznej, za które to okoliczności nie może być odpowiedzialny. Lewica usiłuje przypisywać odpowiedzialność społeczeństwu: gdyby porządek społeczny był mniej niesprawiedliwy, gdyby wszyscy znajdowali odpowiednio wynagradzaną pracę, wymiar sprawiedliwości i policja miałyby mniej do roboty. Ten zespół przekonań skłania do pobłażliwości, gdy chodzi o osądzanie. Pociąga też za sobą pewną preferencję raczej dla polityki prewencyjnej, niż represyjnej. Czy chodzi o to, żeby karać? Lewica będzie się więc troszczyć o ułatwienie resocjalizacji przestępcy, gdyż nie traci nadziei, że poprawi się on i zajmie swe miejsce w społeczeństwie.

Twarda część prawicy traktuje takie przekonania jak czyste złudzenia. Czy jest tak dlatego, że – wbrew oddaleniu się wielu jej przedstawicieli od religii – pozostaje przesycona wiarą w grzech pierworodny, albo dlatego, że wierzy w predestynację? W każdym razie prawica bardziej ufa surowej represji niż szlachetnej prewencji. Choć z kilkoma zaledwie wyjątkami, nie kwestionuje już zniesienia kary śmierci (uchwalonego większością głosów lewicy w 1981 roku), to stawia na wzmocnienie represji w odpowiedzi na potrzebę bezpieczeństwa i w reakcji na narastające jej zdaniem zagrożenie. Rozporządzenie z 1945 roku, akt sprzed ponad półwiecza naszej polityki penitencjarnej, czyniący z resocjalizacji oskarżonego jeden z celów tej polityki, jest kluczowym elementem sporu między prawicą a lewicą. Niezgoda w tej sprawie tłumaczy, dlaczego projekty ustaw dotyczące wymiaru kar nabrały od ćwierć wieku takiej doniosłości w życiu politycznym i dlaczego debaty na ich temat wzbudzają tyle namietności.

Listę zagadnień czy wartości, które nie mają natury ściśle politycznej, ale do których, świadomie lub nie, odwołują się ludzie, dokonując zasadniczych wyborów politycznych (i które, być może, pozwalają lepiej zrozumieć fundamentalne polityczne spory) – dałoby się jeszcze wydłużyć. Można by na przykład pytać o stanowiska prawicy i lewicy względem pieniędzy i pracy. Pieniądze? Czy sposób ich postrzegania jest dziedzictwem zadawnionej nieufności starego katolickiego narodu wobec bogactwa – czy też owocem przeprowadzonej przez socjalistów krytyki kapitalizmu? Faktem jest, że na lewicy pieniądź jest generalnie podejrzany, bo marzy ona o równym podziale dochodów: François Mitterrand wypowiedział bardzo twarde słowa o niegodziwej roli pieniądza w społeczeństwie. Prawica ma znacznie mniej zastrzeżeń wobec podziału dochodów proporcjonalnego do ponoszonego ryzyka, sprawowanej odpowiedzialności czy uznanych zasług. Nie można jednak tracić z oczu faktu, że ocena pieniądza zasiewa między samymi prawicami ziarno podziału. O ile prawica liberalna nie ma zazwyczaj zastrzeżeń do tego, że pieniądź ustanawia różnice między jednostkami i odgrywa ważną rolę w społeczeństwie, o tyle prawica tradycjonalistyczna zawsze potępiała władzę anonimowych kapitałów i skutki ich nieznanego przepływu i wciąż żałuje czasów, w których pieniądź nie tworzył nierówności między osobami.

Co do pracy – lewica uważa, że każde legalne zmniejszenie tygodniowego czasu pracy wpisuje się w kierunek biegu historii i jest postępem. Większość środków, jakie powzięto w tym celu (jak również tych, które przedłużyły płatny urlop), była dziełem lewicowych rządów – z wyjątkiem czwartego tygodnia wakacji przyznanego po 1968 roku. Prawica krytykowała dokonane przez rząd Lionela Jospina skrócenie tygodniowego czasu pracy do trzydziestu pięciu godzin, nie tylko dlatego, że osłabiało ono konkurencyjność francuskiej gospodarki, lecz także dlatego że trwale zniechęcało Francuzów do pracy. Inicjatywa rządu Raffarina zmierzająca do zniesienia jednego wolnego dnia – zielonoświątkowego poniedziałku (aby przeznaczyć wypracowany w tym dodatkowym dniu pracy dochód narodowy na „solidarność międzypokoleniową”) – podzieliła Francję na dwie połowy. Debata ta wykracza poza spory ekonomiczne czy utarczki społeczne i sytuuje się w rejestrze wartości moralnych. Treść nadają jej odmienne sposoby pojmowania ludzkiej egzystencji.

Jeśli chodzi o edukację i szkolnictwo wyższe – problem nie jest stawiany w tych samych kategoriach ani w równie dramatycznych okolicznościach, ale powoduje podobne implikacje. Lewica nie mówi na ten temat jednym głosem; prawica jest tu może bardziej jednomyślna. O ile część lewicy ufa spontaniczności dziecka, jak również jego pragnieniu zdobywania wiedzy, i sądzi w związku z tym, że wystarczy pobudzać jego ciekawość

i inicjatywę – o tyle prawica wierzy w cnotę pracy i konieczność wysiłku. Ta zasadnicza różnica dotycząca psychologii dziecka i pedagogiki leży pod podszewką kontrowersji, które rytmicznie powracają w historii naszego systemu edukacyjnego.

Są także pewne wyróżniki, które nie angażują w spór równie fundamentalnych wyborów filozoficznych, nie mają równie silnych implikacji, a jednak odsłaniają głębokie, podskórne tendencje. Na przykład postawa wobec sektora publicznego i pracowników administracji: lewica generalnie powstrzymuje się od ich krytyki, podczas gdy postawa prawicowego wyborcy jest im spontanicznie niechętna; w jego oczach administracja państwowa jest zawsze zbyt liczna, co nie przeszkadza mu skarżyć się na brak dostatecznej liczby pielęgniarek w publicznej służbie zdrowia lub narzekać na ubóstwo policji. Różnica w tych ocenach nie tłumaczy się jedynie odmiennością wyborczej klienteli prawicy i lewicy; to prawda, że lewica troszczy się o uprzywilejowanie pewnej części swego elektoratu, mniemając, że w ten sposób przywiąże go do siebie, podczas gdy prawica jest zdania, że cokolwiek by się działo, pracownicy administracji państwowej i tak na nią nie zagłosują, co dotyczy głównie personelu podległego Ministerstwu Edukacji Narodowej. Utrzymująca się pamięć o czasach, w których funkcjonariusze administracji rządowej korzystali ze statutowych przywilejów, zwłaszcza z zagwarantowanej emerytury, podczas gdy nie było żadnej opieki socjalnej dla pozostałych kategorii zawodowych, wywołuje uczucie zazdrości pośród zatrudnionych w sektorze prywatnym, i, w jeszcze większym stopniu, wśród zawodów niezależnych i drobnych przedsiębiorców. Reforma systemu emerytur zapoczątkowana przez rząd Édonarda Balladura ożywiła ten spór, podnosząc do czterdziestu lat niezbędny staż pracy wymagany do uzyskania pełnej emerytury w sektorze prywatnym, podczas gdy w sektorze publicznym utrzymano wymaganą wysługę trzydziestu siedmiu i pół roku. Niedawna generalna reforma systemu emerytalnego skorygowała tę nierówność. Czy jednak wygasiała poczucie niesprawiedliwości? Jest to tym bardziej wątpliwe, że powrót wysokiego bezrobocia podtrzymuje zazdrość tych, którzy doświadczyli niepewności zatrudnienia nieznaney urzędnikom państwowym, cieszącym się zawsze pewnością pracy, będącą cennym dobrem w czasach zaburzonej koniunktury. Niektórzy liderzy prawicy przeciwstawiają więc sektor prywatny, nazywany „niepewnym” – sektorowi publicznemu, który nazywają „sektorem chronionym”. Innym trafnym wyróżnikiem wyznaczającym linię graniczną między prawicą a lewicą jest postawa wobec postulatu, by podczas strajków w sektorze publicznym utrzymywana była pewna minimalna obsługa pozostałych obywateli. Na lewicy wszelkie propozycje ograniczenia prawa do strajku, zwłaszcza w sektorze publicznym, potępiane są jako kwestionowanie praw nabytych i zamach na jedną z podstawowych zasad demokracji,

choć preambuła do konstytucji z 1946 roku, stanowiąca część ustawodawstwa konstytucyjnego, do którego odwołuje się Rada Konstytucyjna, ilekroć ma ocenić prawną ważność kierowanych do niej ustaw, przewiduje to wyraźnie i nawet wzywa do ustaleń w tym kierunku. Co do prawicy – występuje raczej jako rzecznik poszkodowanych odbiorców usług, „wziętych na zakładników” przez strajki w sektorze publicznym: uważa za słuszne, by bezpieczeństwu zatrudnienia zagwarantowanemu pracownikom państwowych SNCF czy RATP towarzyszyła także gwarancja zapewnienia niezbędnej obsługi użytkownikom, korzystającym z usług tych przedsiębiorstw i opłacającym ich działalność.

Ta animozja wyraża także pewne uczucia pochodzące z głębokiej przeszłości: wrogość do nadmiernego opodatkowania, nieufność wobec interwencji aparatu państwowego w życie obywateli. Dzisiejsza krytyka administracji publicznej i jej funkcjonariuszy zajmuje po upływie kilku wieków miejsce buntów i protestów lokalnych parlamentów przeciw królewskim intendentom. Naszym uczuciom nie przeszkadza sprzeczność: ci, którzy potępiają ingerencje administracji publicznej w ich działalność, są zarazem pierwszymi, którzy w imię zasady solidarności domagają się pomocy państwa w wypadku trudności i ochrony ze strony władz publicznych wobec klęsk i nieszczęść.

Odmienne nastawienia prawicy i lewicy nie należą wyłącznie do indywidualnej psychologii: wywołują one także odmienne zachowania. Po zdobyciu władzy każdy rząd lewicowy zatrudnia na ogół nowych funkcjonariuszy, by zaspokoić oczekiwania, podczas gdy rządy prawicowe deklarują zamiar redukcji administracji i zazwyczaj poprzestają na tej deklaracji. Różnica między prawicą a lewicą przejawia się także wyborem działów administracji publicznej którym narzuca się oszczędności uznawane za konieczne. Czy to bez znaczenia, że rządy oparte na prawicowej większości regularnie obcinają budżety przeznaczone na oświatę, kulturę i badania, podczas gdy rządy lewicowe na ogół zwiększają wydatki na te właśnie resorty? Prawica natomiast chętnie przyznaje dodatkowe środki Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, policji, wymiarowi sprawiedliwości, częściowo także więziennictwu i resortowi obrony.

Tych kilka przykładów każe przypuszczać, że podział prawica–lewica ma bardzo głębokie korzenie, że odpowiada zasadniczym różnicom w sferze kultury i wrażliwości wykraczającym poza doraźne, okolicznościowe wybory i utrzymującym się mimo zachodzących zmian politycznych i przemian społecznych.

## Rozdział III. Ile jest dzisiaj prawic?

### ***Co stało się z trójpodziałem?***

Choć mój esej z 1954 roku miał ukazać ważność i trwałość rozróżnienia na prawicę i lewicę, to jednak nie to było jego najbardziej oryginalnym wkładem. Z prostego powodu: kilka lat wcześniej François Goguel wykazał to znakomicie w swej książce *Politique des partis*, w której prześledził kolejne wcielenia opozycji pod rządami Trzeciej Republiki, kolejne wcielenia dwóch partii – partii Ładu i partii Ruchu. Podział ten sięgał jeszcze głębiej, o czym świadczyły te nazwy, zapożyczone z wcześniejszych czasów monarchii lipcowej, kiedy to partia liberalna, która odniosła właśnie triumf nad ultrareakcją, podzieliła się na konserwatystów pragnących przede wszystkim powstrzymać parcie demokratyczne i postępowców zamierzających wyciągnąć wszystkie konsekwencje z rewolucji „trzech dni chwały”.

Jeśli tamten mój esej stanowił jakiś przełom, to raczej dlatego, że w odniesieniu do prawicy proponował zastąpić liczbę pojedynczą (która nadawała tej tradycji myślenia naturę ponadczasową) – liczbą mnogą (która przywracała i uwzględniała przypadkowość i uwarunkowania płynące z biegu historii). Zauważmy, że choć tamta książka wykazywała tylko wielość prawic – ta sama zasada miałaby zastosowanie wobec drugiego skrzydła dyptyku. Żałuję – cóż, inne tematy przykuwały potem moją uwagę – że nie wykonałem podobnej pracy w odniesieniu do lewicy. Jednak spełnienie tego zamiaru mogłoby wzbudzić podejrzenie o spiskowanie z myślą prawicową – podejrzenie, jakie żywią nieustannie ci, którzy wyobrażają sobie, że historyk może wypowiadać się kompetentnie i bezstronnie tylko o koncepcjach, których założenia sam podziela. Czy w odniesieniu do lewicy byłoby to przedsięwzięcie trudniejsze niż wobec prawicy? Nie sędzę. Trzeba by wyjść od tych prawic, które zrodziły się na lewicy, jak prawica liberalna. Poza tym wielość lewic jest jeszcze bardziej widoczna. Nie musiały one czekać na doświadczenia rządu Jospina, by objawić swą wielość i uczynić z niej element swej strategii w sprawowaniu władzy. Jest lewica liberalna, wraz z kilkoma elementami tej tradycji, które nie towarzyszyły przesuwaniu się na prawo jej większości, lewica demokratyczna i radykalna, lewice socjalistyczne (zawsze jest ich wiele), lewica komunistyczna (nawet jeśli zasadność jej uplasowania na lewicy mogła być kontestowana przez lewicę z powodu bezwarunkowego popierania przez Partię

Komunistyczną totalitarnego reżimu i polityki zagranicznej Związku Radzieckiego), wreszcie – jest skrajna lewica. Historia lewicy we Francji od dwustu lat jest historią jej rozpadów i ponownych zbliżeń, historią rozłamów i połączeń w imię nadrzędnej zasady jedności. Temat zjednoczenia sił ludowych miał w lewicowej retoryce i wyobraźni moc uwodzicielską, być może większą niż ten sam motyw na prawicy. Gdy partie lewicowe postanawiały połączyć swe siły, znajdowały większy odzew w elektoracie. Podczas wyborów parlamentarnych regularnie obserwuje się – co potwierdziło się także w roku 2003 – że dyscyplina wyborcza jest bardziej przestrzegana na lewicy niż na prawicy i nawet skrajne lewice w sposób zdyscyplinowany oddają swe głosy na lewicę uczestniczącą w sprawowaniu rządów.

Powróćmy do naszej prawicy, czy raczej – do naszych prawic. Właśnie nasza hipoteza o wielości prawic, wraz z zaproponowanym rozróżnieniem trzech prawicowych tradycji, zwróciła uwagę i zyskała zwolenników, o czym już pisaliśmy, zarówno wśród obserwatorów polityki, jak i wśród jej uczestników; wywołała także krytykę i wzbudziła sprzeciw.

Nie odrzucano samej zasady tej tezy, ale jej poszczególne zastosowania: względem tego czy tamtego okresu. Kwestionowana była jej ponadczasowość. Uznawano jej trafność względem mniej lub bardziej odległej przeszłości, ale poddawano dyskusji jej zasadność względem bliższych nam czasów. O ile wiem, jej zastosowanie wobec całego niemal XIX wieku nie wzbudzało krytyki, ani w odniesieniu do okresu restauracji i monarchii lipcowej, ani wobec Drugiego Cesarstwa, ani nawet w odniesieniu do początków Trzeciej Republiki. Być może było tak dlatego, że im bardziej wiek XIX pogrąża się we mgle czasów minionych, tym rzadziej spotyka się wyspecjalizowanych w tym okresie historyków i nie ryzykuje się już rozprawiania o tamtych latach, a ci, którzy to robią, nie mają dostatecznie pewnej wiedzy, by wskazać niedostatki zaproponowanej przeze mnie interpretacji. Czy różnice interpretacyjne nie wiążą się jeszcze bardziej z faktem, że XIX wiek przestał już budzić namietności, podczas gdy wiek XX nadal się żarzy? W każdym razie inaczej było z uznaniem mojej hipotezy względem czasów najnowszych. I tak Zeev Sternhell chętnie uznaje pewną wartość wyjaśniającą mojego trójpodziału prawicy, ale tylko do chwili pojawienia się ruchu boulanżystowskiego, kiedy to datuje wyłonienie się prądu, który nazywa prawicą rewolucyjną: od tego momentu autor *Ni droite ni gauche* nie kwestionuje wprowadzenia istnienia wielości prawic, ale redukuje tę wielość tylko do dwóch nurtów, łącząc prawicę kontrewolucyjną i liberalną.

Inni krytycy, mniej radykalni, uznają zasadność mojej tezy o istnieniu trzech prawic aż do roku 1940, ale uważają, że później nie ma już ona zastosowania. I tak Sylvie Aebischer,

której alarmująca i zjadliwa praca *Gauche-droite: au-delà de cette limite la politique n'est plus pensable* (Lewica–prawica: za ta granicą nie da się już myśleć o polityce) uzyskała nagrodę „Étudiant” przyznaną przez jury książki politycznej w roku 2003 – sądzi, że „typologia René Rémonda, o ile rozjaśnia wiek XIX, o tyle traci swą zasadność w dzisiejszej sytuacji”, i na poparcie tej krytycznej oceny podaje przykład nurtu legitymistycznego, który wydaje się jej – całkiem zresztą słusznie – tak słaby, że w ogóle się już nie liczy. Ale choć ta uwaga o niewielkiej liczbie dzisiejszych legitymistów jest słuszna, to wniosek, jaki autorka z niej wyciąga, jest znacznie mniej trafny: czyż bowiem ważność i aktualność idei mierzy się liczbą zwolenników?

Czy trójpodział prawicy utracił swą ważność i moc wyjaśniającointerpretacyjną? Aby się tego dowiedzieć, nie ma innej metody, jak tylko podjąć wątek tej opowieści w punkcie, w którym ją przerwałem, w roku 1982. Było to nazajutrz po historycznej porażce prawicy wiosną 1981 roku: została właśnie odepchnięta od władzy, którą dzierżyła nieprzerwanie od ponad dwudziestu pięciu lat. Po raz pierwszy od 1958 roku lewica zawładnęła instytucjami Piątej Republiki. Za trzecią próbą François Mitterrand zdobył najwyższy urząd w państwie. W następstwie dokonanego po jego zwycięstwie rozwiązania parlamentu czerwona fala owładnęła Zgromadzeniem, a Partia Socjalistyczna, odąd na czele większości urzędów i instytucji państwowych, rozpoczęła całkowitą transformację gospodarki i społeczeństwa. Co stanie się z prawicami zepchniętymi do opozycji, z ich ideami, nurtami, elektoratem? A zarazem: co stanie się z moją interpretacją? Czy sprostą ewolucji politycznej, która zawsze jest ostatecznym sędzią zasadności dokonywanych analiz? Ponad dwadzieścia lat, jakie upłynęły od tamtego czasu, było okresem wstrząsów, charakteryzującym się chroniczną niestabilnością, która – wciąż się odradzając – stała się trwałą cechą. Pod tym względem okres ten jest wyraźnym przeciwieństwem poprzednich dwudziestu lat; kontrastuje również z wcześniejszym stosunkiem sił między prawicą a lewicą. Od roku 1981 niemal wszystkie wybory powszechne, prezydenckie i – tym bardziej – parlamentarne wywierały zastaną sytuację: tak było w roku 1986, 1988, 1993, 1997, 2002. Ta przemienność stała się niepisaną regułą naszego życia politycznego. I tak od roku 1981 prawica sześciokrotnie przechodziła z pozycji władzy do opozycji – i vice versa. Ale ten krótki rachunek uwzględnia tylko jeden aspekt sytuacji. Dystans czasowy między terminami wyborów prezydenckich i parlamentarnych wynikający z różnicy między długością kadencji prezydenta i Zgromadzenia pociągał za sobą także rozbieżności między głową państwa a większością deputowanych. Prawica, znów dominująca w parlamencie dzięki głosom wyborców, stanęła wobec lewicowego prezydenta: w roku 1986 i 1993. Albo też – sytuacja odwrotna –



prezydent wybrany przez prawicę musiał współpracować z lewicową większością parlamentarną: tak było w latach 1997–2002.

Prawice musiały więc doświadczać współpracy z lewicą trzy razy w ciągu dwudziestu lat. Podsumowując – od 1981 roku w następnych dwudziestu czterech latach prawica miała w ręku obydwie władze, prezydencką i parlamentarną, jedynie przez niespełną pięć lat, od maja 1995 do czerwca 1997 i po roku 2002<sup>52</sup>. Dłużej była w całkowitej opozycji, odepchnięta tak od władzy prezydenckiej, jak i parlamentarnej: pięć lat od czerwca 1981 roku do maja roku 1986, i drugie pięć lat – od czerwca roku 1988 do marca roku 1993. Wiemy, jakie są konsekwencje tak gwałtownej przemienności skonstrastowanych politycznie sytuacji dla praktyki działania instytucji państwowych. Byłoby niemożliwe, żeby nie wywarła ona wpływu również na strategię prawic, na ich wewnętrzne i wzajemne stosunki, a może nawet – na ich zasadnicze orientacje i programy. Czy spójność ich zapatrywań i wierność własnym tradycjom oparły się temu trudnemu okresowi próby?

Gdyby jeszcze te zmiany, związane bezpośrednio z wynikami głosowań i dotyczące tylko stosunku sił między prawicą a lewicą, były jedynymi! Ale nie, w ciągu tych lat głęboko zmienił się pejzaż polityczny. Wzbogacił się o nowy składnik, który nieoczekiwanie pojawił się w latach 1983–1984: to Front Narodowy kierowany przez Jeana-Marie Le Pena, który zaczął podejmować tematy bliskie skrajnej prawicy. To, co wówczas można było uznać jedynie za słomiany ogień – jak we wcześniejszych latach owe „ligi” i „ruchy” poujadowskie – wcale się nie rozpadło jak większość podobnych zjawisk naszego życia politycznego, przeciwnie – jakby okrzepło: od ponad dwudziestu lat stanowi część politycznego pejzażu Francji. W okresie tym Front Narodowy dysponuje poparciem elektoratu nie mniejszym niż 10–11 procent (ten wynik uzyskał od razu, w wyborach europejskich w roku 1984), co oznacza, że wszedł już do kręgu dużych partii – i może osiągnąć 16 lub 17 procent, a nawet 24 lub 25 procent w regionach, gdzie ma największe poparcie.

Wdarcie się na scenę polityczną tej nowej siły zmieniło sytuację klasycznych prawic: Front Narodowy wywiera na nie presję, sprawiając im problemy zarazem taktyczne i etyczne. Atrakcyjność Frontu Narodowego dla części elektoratu dotychczasowych prawic zmniejsza ich szanse na zebranie większości. Ta konkurencja na prawej flance ma ten sam negatywny skutek dla prawicy, jaki dawniej miała strategia Partii Komunistycznej, która zamrażając miliony głosów, uniemożliwiała lewicy odzyskanie utraconej władzy. Zagrożenie ze strony Frontu Narodowego zamyka prawicę w bolesnej alternatywie: odrzucić wszelkie

---

<sup>52</sup> Książka ta została opublikowana we Francji w roku 2005, gdy prezydentem był Jacques Chirac a większość parlamentarna należała do prawicy (przyp. tłum.).

porozumienie z tą skrajną prawicą, aby pozostać wiernym pewnym zasadom (za cenę ryzyka, że lewica wyciągnie korzyści z tej sytuacji) – albo paktować z Frontem Narodowym, aby wynegocjować taktyczne porozumienie za cenę odstępstwa od niektórych głoszonych dotąd wartości.

Pojawienie się Frontu Narodowego prowokuje też pytania innego rodzaju: czy ma on swoje miejsce – i gdzie – w galerii francuskich prawic? Czy mamy do czynienia z nowym podmiotem politycznym wprowadzającym nieznana dotąd kategorię do naszej typologii, a więc będącym czymś na kształt czwartej prawicy? Czy może Front Narodowy jest tylko metamorfozą tej tradycji, którą nazwaliśmy bonapartystowską, jakby zubożoną formą prawicy, która charakteryzowała się przymierzem władzy z ludem – co sugerowałoby określenie „populizm”, przypisywane Frontowi Narodowemu przez niektórych najlepszych analityków? O ile nie jest ponownym pojawieniem się owej prawicy rewolucyjnej, w której niektórzy skłonni byli upatrywać francuski faszyzm. Trwały sukces Frontu Narodowego ożywił kontrowersję co do realnego istnienia francuskiego faszyzmu i dodał aktualności debacie, która dotąd miała tylko akademicki charakter.

Dwa ostatnie dziesięciolecia przyniosły bardzo wiele innych zmian, które skomplikowały obraz i zmieniły stosunki między poszczególnymi składnikami prawicy. Utrata władzy i konieczność układania się z prawicą liberalną w celu odzyskania władzy miały nie mniejsze konsekwencje niż sprawowanie rządów dla ewolucji tej prawicy, która określała się poprzez wierność wobec gaullizmu. Co pozostało dziś z właściwej jej orientacji? Podobne ewolucje dwóch głównych prawic mogły skłaniać do przypuszczenia, że nadeszła chwila, by zjednoczyć wszystkie nurty prawicowe – gaullistowski, liberalny, centrowy – w jedną organizację. Czy nadszedł zatem kres ich wielości i mają rację ci, którzy uważali, że ten tradycyjny podział jest już archaiczny? Historia tej tendencji nie jest bez znaczenia dla naszych rozważań.

Tak więc, z różnych stron i z różnych powodów – teza o trójpodziale prawicy wystawiona została na próbę: czy to poddawana krytyce przez innych analityków lub systemy interpretacyjne, czy też kwestionowana wskutek zachodzących obiektywnych zmian. Co stało się z naszymi prawicami w ciągu tych ponad dwudziestu lat, tak obfitujących we wstrząsy? Jak ukształtowały się ich wzajemne relacje? Aby się tego dowiedzieć, najlepiej prześledzić drogę każdej z nich.

## **Prawica kontrrewolucyjna**

Respektując kolejność, w jakiej prawice sukcesywnie pojawiały się na scenie politycznej i wśród politycznych tradycji, zaczniemy ten perspektywiczny przegląd od najstarszej z nich, od tej, która długo pozostawała jedyną, zanim pozostałe, zrodzone na lewicy, dołączyły do niej, pociągając za sobą swe elektoraty albo wydzierając jej głosy obywateli, którzy chcieli odróżniać się od lewicy. W stosunku do czasów najnowszych, zamiast nazywać tę prawicę *l e g i t y m i s t y c z n ą* (co uczyniliśmy w naszej pracy z roku 1954 dla podkreślenia jej źródeł i historycznej ciągłości), lepiej będzie określić ją poprzez jej wyróżnik filozoficzny: jest to prawica *k o n t r r e w o l u c y j n a*. Sieganie do sporu dynastycznego między dwiema gałęziami królewskiej rodziny, która rządziła Francją prawie tysiąc lat, nie ma już dziś większego sensu: spór ten wygasł i stracił swą symboliczną nośność. Nawet jeśli są jeszcze obywatele uznający się za rojalistów, instytucja monarchii nie wzbudza już od dawna takiego przywiązania jakie dawniej wywoływała u swych wyznawców, tego niemal religijnego uniesienia wobec przejawu świętości. Nowa *Enquête sur la monarchie* (Śledztwo w sprawie monarchii) ukazałoby zapewne stan serc i umysłów bardzo daleki od tego, który pokazał Charles Maurras<sup>53</sup> w roku 1900. Nikt lub prawie nikt nie wierzy już w możliwość odtworzenia dawnej monarchii. Uchylenie ustawy o wygnaniu członków rodziny królewskiej, zabraniającej pretendantom do tronu przebywać na terenie Republiki Francuskiej, dokonane zostało bez trudności w roku 1950, a jubileusz tysiąclecia wyboru Huguesa Capeta mógł być obchodzony w roku 1987 w katedrze w Amiens, w obecności prezydenta Republiki i hrabiego Paryża, nie budząc najmniejszych nawet sprzeciwów pośród republikanów. Zmiana ustroju dokonana w roku 1958 nie była być może bez znaczenia dla tego zubożenia prawicy wobec idei monarchicznej, jeśli prawdą jest, że idea ta czerpała swą popularność z bezsilności przypisywanej rządowi republikańskiemu. Wprowadzając ustrój, który wzmacniał odniesienie do Republiki, ale i władzę osobistą prezydenta, Piąta Republika osuszała jedno ze źródeł niechęci do tej formy rządów: Republika przestawała być „kobietą bez głowy”, z której kpili sobie Kameloci Króla<sup>54</sup>. Ale zarazem wśród części prawicy utrzymywało się kategoryczne odrzucanie demokracji, zadawniona niechęć dla zasad z roku 1789, nieufność wobec wszelkiej „nowoczesności”,

<sup>53</sup> Charles Maurras (1868–1952) – pisarz, poeta, polityk, twórca monarchistyczno-narodowej Action française, najważniejsza postać kontrrewolucyjnego nurtu francuskiej prawicy.

<sup>54</sup> Fédération nationale des Camelots du roi (Kameloci Króla) – skrajnie prawicowa, monarchistyczno-narodowa organizacja młodzieżowa założona w 1908 roku jako przebudówka Action française. Odpowiedzialna za kolportaż dziennika „L’Action française”, z czasem przbrała charakter bojówki paramilitarnej (przyp. red.).

całkowity sprzeciw wobec dziedzictwa Rewolucji. Prawica kontrrewolucyjna jest zatem właściwą nazwą dla tej części tradycji prawicowej.

Nie jest już ona z pewnością siłą polityczną zdolną zagrozić republikańskiemu ustrojowi, ani nawet niepokoić jego obrońców. Od dawna już przestała liczyć swych zwolenników: porzuciła uczestnictwo w wyborach, których, prawdę powiedziawszy, nigdy nie kochała i w których niezbyt chętnie brała udział, ze względów pryncypialnych – bo przecież zawsze kontestowała władzę pochodzącą z wyborów i krytykowała absurd powszechnego głosowania – ale i z ostrożności: by uniknąć dawania wyborczych dowodów swej politycznej słabości. Od końca XIX wieku w żadnym Zgromadzeniu Narodowym nie było nawet jednej grupy parlamentarnej, występującej w jej barwach politycznych lub przynajmniej zaświadczającej o jej minionej wielkości: o ile ta skrajna prawica stanowiła jeszcze składnik konserwatywnej większości Zgromadzenia Narodowego w początkach Trzeciej Republiki, o ile nawet miała jeszcze przez kilku swych przedstawicieli w gabinetach pod przewodnictwem księcia Alberta de Broglie’a w czasach „ładu moralnego” – to już nigdy potem nie uczestniczyła w układzie rządzącym. Powróciła tylko przypadkiem, wskutek klęski z roku 1940, i tylko na kilka lat, gdy jej idee doszły do władzy w ramach rewolucji zwanej „narodową”, która miała być przeciwwagą dla rewolucji z 1789 roku i zapożyczała swe kluczowe inspiracje, retorykę oraz program z filozofii politycznej i argumentacji tejże kontrrewolucyjnej prawicy. Upadek rządów Vichy ostatecznie przypieczętował jej los, wykluczając ją już na zawsze z udziału we władzy politycznej.

Mimo to prawica ta zachowywała przez pewien czas silną pozycję społeczną i cieszyła się dużym szacunkiem płynącym z jej silnego wpływu na życie intelektualne: czyż w pewnym momencie, w roku 1919, nie obwołała się nawet, nieco zarozumiale, ale nie bezpodstawnie – „partią inteligencji”? O ile nie była już wówczas znaczącą siłą polityczną, pozostawała pewną ważną szkołą myślenia, której wpływ rozciągał się, szeroko i wszechstronnie, daleko poza krąg jej formalnych, politycznych stronników. Jej prestiż społeczny i intelektualne promieniowanie szły ze sobą w parze, jej światowość torowała drogę ideom kontrrewolucyjnym. Pewna koteria, której sympatie kierowały się stroną Action française, zapewniała akceptowanym przez nią kandydatom powodzenie w Akademii Francuskiej. Także pod tym względem, jeśli dokonamy porównania, sytuacja jest dzisiaj wyjątkowo niekorzystna. Pozycja społeczna prawicy kontrrewolucyjnej została znacząco podkopana, niekiedy wręcz zrujnowana. Co do władzy intelektualnej, przeszła ona do innego obozu: o ile nie trafiła w całości w ręce lewicy (jak może nieco pochopnie się mawia), to jest dzisiaj sprawowana przez inną prawicę niż tamta. Żeby ograniczyć się do wspomnianego

przykładu Akademii Francuskiej (a nie jest to zły przykład, gdyż sytuuje się na styku życia społecznego i umysłowego) – ci, którzy pozostają wierni ideom i wspomnieniom swej przedwojennej młodości i których sympatie szły w związku z tym w stronę idei Vichy – zasiadają w Akademii Francuskiej w znacznie mniejszej liczbie niż ci, którzy dokonali przeciwnego wyboru, angażując się w ruch oporu lub dołączając do Francji Walczącej<sup>55</sup> czy Towarzyszy Wyzwolenia<sup>56</sup> – jak Pierre Messmer<sup>57</sup>, François Jacob<sup>58</sup> i, nim odszedł, Maurice Schumann<sup>59</sup>, a także autor zredagowanej w Londynie *Chant des partisans* (Pieśni partyzantów) – Maurice Druon. Stanowiska, które niektórzy z nich przyjmowali zależnie od okoliczności, można – trwale lub okazjonalnie – sytuować na prawicy, a nawet na skrajnej prawicy, ale źródła, z których czerpią swe motywacje i argumentacje nie są już tymi, z których czerpała kontrrewolucja; odnoszą się do innej prawicy, którą będziemy musieli wskazać i określić.

Jeśli jednak prawica kontrrewolucyjna nie zniknęła całkowicie i utrzymuje się jeszcze jako szkoła myślenia – czy zresztą tradycje polityczne kiedykolwiek giną? – nasz szybki przegląd pokazuje w sposób oczywisty, że nie liczy się ona już w obecnych stosunkach sił politycznych. Można by nawet sporządzić jej akt zgonu, gdyby nie to, że zachowuje swą pozycję i nie mniejszą liczbę wiernych wyznawców na całkiem innej płaszczyźnie: na płaszczyźnie r e l i g i j n e j. Historyczne dzieje tej skrajnej prawicy były od samego początku związane z religią katolicką, rozumianą jako pewien system myśli inspirującej określoną wizję ładu społecznego, i z Kościołem jako instytucją. Prawica ta zrodziła się częściowo w reakcji przeciw zerwaniu z historyczną religią Francji, zadekretowanemu przez rewolucjonistów: jednym z najcięższych zarzutów wytoczonych przez myśl kontrrewolucyjną przeciw filozofii oświecenia i Rewolucji było oskarżenie, że wywracają boski porządek. Myśl ta upatrywała w nich dzieło Szatana. Przeciwdziałać się Rewolucji było więc zbożnym dziełem. Schizma spowodowana wolą Konstytuanty, która postanowiła zreformować wewnętrzną organizację Kościoła gallikańskiego, by dopasować go do nowych, rewolucyjnych zasad obowiązujących w społeczeństwie świeckim i politycznym –

<sup>55</sup> France combattante (Francja Walcząca) – nazwa nadana w 1942 roku siłom politycznym i społecznym, które kontynuowały walkę z Niemcami po kapitulacji Francji w 1940 roku (wcześniej nosiły one nazwę Wolna Francja, fr. France libre) (przyp. red.).

<sup>56</sup> Compagnons de la Libération (Towarzysze Wyzwolenia) – kawalerowie Orderu Wyzwolenia (fr. Ordre de la Libération), odznaczenia ustanowionego przez generała de Gaulle’a w 1940 roku, przyznawanego za najwyższe zasługi w walce o wyzwolenie Francji w czasie drugiej wojny światowej (przyp. red.).

<sup>57</sup> Pierre Messmer (1916–2007) – polityk, gaullista, premier w latach 1972–1974.

<sup>58</sup> François Jacob (ur. 1920) – biolog, genetyk, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny (przyp. red.).

<sup>59</sup> Maurice Schumann (1911–1998) – polityk Republikańskiego Ruchu Ludowego (MRP), po 1958 roku przeszedł na stronę generała de Gaulle’a.

dokończyła dzieła, ściśle spajając sprawę kontrrewolucji z wiernością Rzymowi i dostarczając jej licznych, zwartych batalionów. Przez cały XIX wiek więzi między tymi dwiema sprawami jeszcze bardziej się zacieśniały: z braku chrześcijańskiego władcy, którego można by czcić, uczucia przywiązania i uwielbienia przeniosły się na osobę papieża, którego niedole uczyniły jeszcze droższym sercom wiernych. Po utracie władzy świeckiej w roku 1870 i załamaniu się restauracji we Francji w roku 1873 – legitymiści i liczni katolicy łączą osoby hrabiego Chamborda<sup>60</sup> i Piusa IX, wygnańca z Froshdorf i więźnia w Watykanie, w swych modlitwach o podwójną restaurację należnych im praw. Ultramontanism, odciskający swój ślad na katolickim wieku XIX, daje swą porękę ultrasizmowi politycznemu. Nauczanie Kościoła rzymskiego koncentruje się wówczas zasadniczo na zwalczaniu Rewolucji, przeciwstawiając jej inspiracjom – uznawanym za szatańskie i potępianym jako bezecne – zasady tradycji katolickiej odczytywane w świetle jej najbardziej nieprzejednanej interpretacji.

Ta ścisła symbioza między katolicyzmem a kontrrewolucją, harmonia między filozofią katolicyzmu a ideami kontrrewolucyjnymi, daje siłę opozycji wobec nowoczesnego społeczeństwa i zapewnia trwałość tradycjom skrajnej prawicy. W początkach XX wieku Action française korzysta jeszcze z dobrodziejstwa i spuścizny tego sprzężenia: rekrutuje swych zwolenników w środowiskach nieprzejednanego katolicyzmu, i niejeden intelektualista uzupełnia swe religijne nawrócenie, dołączając do integralnego nacjonalizmu, który uważa za polityczny wyraz tych wielkich prawd, które odnalazł razem z wiarą – jak to było w przypadku Jacquesa Maritaina<sup>61</sup> i Henriego Ghéona<sup>62</sup>. To współlistnienie dwóch spraw, ta wspólnota wierności ma – w wypadku kontrrewolucji – swą odwrotną stronę: uzależnia tę tradycję polityczną od Kościoła katolickiego i decyzji władz religijnych. Dwa razy w XX wieku kontrrewolucyjna prawica boleśnie to odczuła z powodu zmian w orientacji Kościoła – i musiała zmagać się z nierozwiązywalnym dylematem: albo ugiąć się wobec decyzji najwyższej władzy kościelnej, które pociągają za sobą uznanie odmiennych koncepcji organizacji politycznej i ładu społecznego – a dla tej szkoły myślenia oznaczałoby to wyrzeczenie się przekonań tworzących jej tożsamość – albo pozostać wierną swoim zasadom, ale okazać w ten sposób nieposłuszeństwo wobec instytucjonalnego Kościoła. Sytuacja ta była tym gorsza dla tego nurtu myśli, że – w reakcji na Rewolucję, której zarzucał

<sup>60</sup> Henryk hrabia Chambord (1820–1883) – wnuk Karola X, pretendent do tronu francuskiego jako Henryk V, po upadku Drugiego Cesarstwa nie zgodził się na objęcie tronu w warunkach kompromisu z tradycją Rewolucji Francuskiej.

<sup>61</sup> Jacques Maritain (1882–1973) – filozof, kontynuator tomizmu i przedstawiciel personalizmu chrześcijańskiego, świecki uczestnik Soboru Watykańskiego II, miał wpływ na środowisko polskiej inteligencji katolickiej z kręgu Lasek i pisma „Verbum”, po wojnie „Tygodnika Powszechnego”.

<sup>62</sup> Henri Ghéon, właśc. H. Vangeon (1875–1944) – dramatopisarz, reżyser, poeta, przeżył nawrócenie podczas pierwszej wojny światowej (przyp. red.).

podkopywanie fundamentów społecznych – podkreślał on szczególnie mocno doniosłość „zasady władzy”, do tego stopnia, że czynił z niej podstawę wszelkiej organizacji społeczeństwa i źródło wszelkiej legitymizacji: politycznej władzy monarchy nad społeczeństwem, władzy papieża nad Kościołem. Władza, absolutnie konieczna dla zbawienia społeczeństw, ma także dla wiernych pewien charakter sakralny, który czerpie ze swego boskiego pochodzenia. Tym bardziej władza suwerena papieskiego, która została wywyższona przez ogłoszenie na pierwszym Soborze Watykańskim (w roku 1870) dogmatu o nieomyślności papieża. Będąc mu posłusznym, ma się pewność, że jest się po stronie prawdy: nie jest konieczne, by rozumieć powody jego decyzji. A tymczasem w XX wieku papież wraz z całym Kościołem instytucjonalnym dwukrotnie obrał kierunek sprzeczny z przekonaniami i przeświadczeniami najbardziej drogimi tej szkole myślenia. Konieczność dokonania wyboru – komu pozostać wiernym? – była tak za pierwszym, jak i za drugim razem źródłem prawdziwych dramatów i konfliktów sumienia, bolesnego rozdarcia, które w obydwu wypadkach skończyły się silnym osłabieniem tej szkoły myślenia, a jednocześnie wywołały poważny dylemat w przypartych do muru umysłach, zmuszonych do buntu przeciwko władzy. Choć w jednym i w drugim przypadku konflikt ten przeciwstawił Kościół tym jego wiernym, którzy przynależność do katolicyzmu i niezgodę na idee propagowane przez liberalizm uważali za nierozdzielne, wiążąc w sposób nierozwiązywalny rozważania polityczne i odniesienia religijne – to dalszy rozwój obydwu tych kryzysowych sytuacji i ich konsekwencje były dość różne.

W 1926 roku inicjatywa zerwania wyszła od papieża: Pius XI nabrał przekonania o nieprzystawalności pewnych tez szkoły maurrasowskiej do Ewangelii. Potępienie nastąpiło w miejscu, w którym czynnik polityczny krzyżuje się z religijnym. To nie filozofia społeczna Maurrasa została odrzucona, ani nawet jej opcje czysto polityczne – wybór monarchii, krytyka demokracji – ale nacjonalizm z jego konsekwencjami: a więc uznanie państwowej racji stanu jako normy absolutnej w polityce zewnętrznej i odrzucenie wszelkich odniesień do rozważań natury moralnej, czyniące z interesu narodowego wartość najwyższą i wchodzące w otwarty konflikt z nauczaniem papieskim, które zaleca wówczas wdrożenie nowego ładu w stosunkach międzynarodowych, ładu opartego na prawie i wyrzeczeniu się wojny jako środka rozwiązywania sporów między narodami. Dla czytelników *L’Action française*, przyzwyczajonych do zgodności między przynależnością do Kościoła i przynależnością do swej szkoły myślenia, potępienie papieskie było absolutnym zaskoczeniem. Wprowadziło zamęt wśród członków lig, którzy znajdowali się w pierwszych szeregach obrońców wolności religijnych w czasach wyrzucania zakonników z klasztorów i zawłaszczania ich majątku. Jak

tu wybrać, komu być wiernym? Jak wybrać między posłuszeństwem papieżowi, który z racji samej swej funkcji jest strażnikiem prawdy, a miłością ojczyzny, której, z ich punktu widzenia, Action française jest jedynym świadomym i nie uznającym wyższych od niej interesów obrońcą? Przeżywają krańcowy niepokój. Co do przywódców, tłumaczą sobie papieskie potępienie niewłaściwą interpretacją tekstów Maurrasa przez papieża lub ukrytymi motywami tajnej dyplomacji, i odpowiadają na słowa potępienia swoim „Non possumus”, co uzasadniają potrzebą rozróżnienia między czynnikiem politycznym i religijnym a prawami sumienia jednostki. Jakaż paradoksalna sytuacja: ci, którzy gardzili swobodą dociekań i indywidualnym osądem, domagają się teraz prawa do wolności sumienia, bezwarunkowi obrońcy władzy i posłuszeństwa sami teraz podnoszą bunt. To zderzenie sprzeczności miało poważne konsekwencje dla Action française, której przestało przybywać zwolenników.

Wypadek ten, w końcu niewielki w skali narodu i zauważony tylko wśród tych, których bezpośrednio dotyczył, przybrał jednak wymiar ważnego wydarzenia; nie przypadkiem papieskie potępienie wymienione zostało w roku 1926 w większości kronik tamtego okresu. Miało wielką wymowę symboliczną z powodu swego niezwykłego charakteru: od 1789 roku przyzwyczajono się, że rzymscy papieże ciskali gromy na nowe idee; od Piusa VI po Piusa X, poprzez Grzegorza XVI i Piusa IX, po kolei potępiali *Deklarację praw człowieka*, stanowiska zajmowane przez „L’Avenir”<sup>63</sup> i La Mennais’go, przez modernizm i *le Sillon*<sup>64</sup>. W 1926 roku rzymskie gromy po raz pierwszy spadły na prawicę. Stąd wielkie zaskoczenie, tak na lewicy jak na prawicy, tak poza Kościołem, jak wśród wiernych. A więc dotychczasowy związek między katolicyzmem a filozofią polityczną i społeczną związaną z dawnym łaodem i tradycją – nie był naturalny? Taka sugestia była, być może, skutkiem, na jaki liczył Pius XI, zabierając głos. Ale trzeba czegoś więcej niż jednej inicjatywy, niezależnie od tego, jak bardzo nagła i nieoczekiwana by nie była, żeby zerwać tak stare więzi, od wieków zakorzenione w ludzkiej mentalności.

Drugie zerwanie uderzyło w ten sam sektor opinii i zdwoiło, pięćdziesiąt lat później, skutki pierwszego, jednak było odmiennej natury; bardziej bezpośrednio dotknęło religijności. Przywódcy Action française bacznie wystrzegali się wszelkiego zaangażowania na tym gruncie: domagali się wolności dla swych politycznych wyborów. Ten drugi kryzys dotknął definicji wiary, sformułowań dogmatycznych. Jego początek i skutki także są odmienne; kryzys ten nie nastąpił z powodu papieskiej inicjatywy ani nie poskutkował potępieniem

---

<sup>63</sup> „L’Avenir” – dziennik utworzony w 1830 roku przez La Mennais’go, opowiadający się za akceptacją przez chrześcijan wartości Rewolucji Francuskiej, współpracownikami pisma byli Montalembert i Lacordaire.

<sup>64</sup> Sillon (Bruzda) – postępowy ruch katolików świeckich stworzony w 1894 roku przez Marca Sangniera, krytycznie oceniony przez Stolicę Apostolską na początku wieku XX.



wyłoszonym przez religijny autorytet. Był wyrazem i konsekwencją zasadniczej niezgody pewnej frakcji katolików, duchownych i wiernych, na ogólne kierunki i większość tekstów przyjętych przez biskupów zgromadzonych na trwającym w latach 1962–1965 soborze. Ci katolicy, wychowani w przekonaniu, że Kościół przechowuje prawdę objawioną i że poza nim nie ma zbawienia ani dla jednostek, ani dla społeczności, którzy wzrastali w poczuciu nieufności względem wszelkich zmian, którzy żywili nostalgię za idealizowanymi czasami, gdy wiara była jednomyślna, a Kościół rządził tak indywidualnymi, jak zbiorowymi zachowaniami – nie rozpoznawali już swego Kościoła w tym zgromadzeniu, które odrzucało zastarzałą wrogość wobec wszelkich nowości, godziło się z historią, zalecało postawę otwartą i życzliwą wobec społeczeństwa, zachęcało swych wiernych, by okazywali szacunek i poważanie innym religiom.

Mniejszość soborowa zarzuciła soborowi, że nie docenia ofiarnego charakteru mszy, zaś nadmierną wagę przywiązuje do jej wymiaru wspólnotowego. Krytykowała bardzo surowo innowacje liturgiczne, odejście od łaciny, zastąpienie nowym rytym dawnego rytus mszy, datującego się od czasów Piusa V i Soboru Trydenckiego, a także teksty, które uznała za zbyt uprzejme i daleko idące wobec innych religii i które – jej zdaniem – wyrażały taką tolerancję, jaką jednomyślnie potępiali poprzedni papieże, nazywając ją rozluźnieniem moralności lub religijnym indyferentyzmem. Tekstem, który w oczach soborowej mniejszości w największym stopniu pokazuje zdradę tradycji przez większość Ojców Soborowych i dokonuje zerwania z nią, jest tekst dotyczący wolności religijnej – *Dignitatis Humanae*. Gdy zrezygnuje się z wymagania od państw, by składały wyznanie wiary – pod pretekstem, że nie leży to w ich kompetencji – i gdy uzna się całkowitą wolność sumienia każdego człowieka – co stanie się z nakaznym obowiązkiem wobec prawdy? To oczywisty dowód, że Kościół nie jest tym, który zebrał się w Rzymie. Tymczasem posłuszeństwo prawdzie jest ważniejsze od posłuszeństwa instytucji i jej zwierzchnikowi. W poważniejszej skali powtórzył się ów paradoks z roku 1926. Oto ci, którzy czyniąc z bezwarunkowego posłuszeństwa wobec najwyższego pasterza zwornik systemu doktrynalnego i probierz przynależności do Kościoła, praktykowali podporządkowanie mu sumienia – nie uznają ważności powziętych na Soborze decyzji i podważają prawo do decydowania tych, którzy je powzięli a którzy domagają się tej wolności sumienia, jaką jeszcze niedawno uznawali za wstrętny błąd. Ponieważ oficjalny Kościół zapoznał niezmiennie prawdy i zdradził swą misję – na tych, którzy pozostali jej wierni spoczywa obowiązek utrzymania integralności prawdziwej wiary wobec wszystkich i przeciw wszystkim. Ta niezgoda doprowadziła integrystów do zerwania i skończyła się tym razem rzeczywistą schizmą. Dokonała się ona w dniu, w którym główny przedstawiciel tego

uchu Jego Eminencja Lefebvre, były arcybiskup Dakaru, były misjonarz ze Zgromadzenia Ducha Świętego pod opieką Niepokalanego Serca Maryi, aby zapewnić trwanie swego nurtu i sukcesję po sobie na czele wiernych Kościoła przedsoborowego, podjął w 1988 roku brzemienne w konsekwencje decyzję wyświęcenia czterech księży z Bractwa Świętego Piusa X. Oznaczało to znacznie poważniejszy krok niż odstępstwo niewielkiego Kościoła z początku XIX wieku, który odmówił uznania konkordatu.

O ile to zerwanie miało początkowo religijny, a nie polityczny charakter, to jednak z powodu ścisłego nakładania się na siebie w tej szkole myślenia tradycyjnej interpretacji wiary i pewnej filozofii społecznej wywołało także skutki czysto polityczne. Przynależność do tej schizmy jest pewnym wyróżnikiem politycznej tożsamości: wierni Jego Eminencji Lefebvre'owi parafianie kościoła Saint-Nicolas-du-Chardonnet, którzy opanowali tę świątynię w 1977 roku, przyjęli bez reszty za swoje inspiracje, ideologię i program prawicy kontrewolucyjnej. Proces odwrotny nie był tak jednoznaczny: nie wszyscy zwolennicy myśli kontrewolucyjnej poszli za integrystami aż tak daleko, by dołączyć do schizmy. Dzieląca ich linia demarkacyjna dotyczy pewnych różnic w strategicznych wyborach, które nie oznaczają jednak, że podział ten jest głęboki i istotny: wśród katolików wiernych Rzymowi niemało jest takich, którzy są bardziej niż zdystansowani wobec orientacji posoborowych, którzy surowo osądzają soborowe inicjatywy, którym niedaleko do stanowiska integrystów, którzy żałują dawnej tradycji. To cała różnica między tymi, których nazywa się integrystami, a tymi, którzy nazywają się tradycyjnistami: nie zawsze jest ona łatwo uchwytana. Często dzielą ich tylko niuanse. Niejeden tradycyjnista nie poszedł za lefebrystami tylko dlatego, że zachował resztki przywiązania do starej tradycji posłuszeństwa wobec Wikarego Chrystusa. Każdego roku w Zielone Świątki spotykają się dwie pielgrzymki: jedna idzie z Paryża do Chartres, druga – w przeciwną stronę: pierwsza jednoczy tych, którzy sądzą, że są jedynymi depozytariuszami integralnego przekazu wiary wobec szaleństwa Kościoła posoborowego, i postanowili zorganizować się docześnie poza oficjalnym Kościołem, w drugiej idą ci, którzy postanowili mimo wszystko pozostać w Kościele posoborowym. Ale w głębi niczym się nie różnią. Jedni i drudzy są przekonani, że mogą liczyć na pewną życzliwość w kurii rzymskiej, gdzie niektórzy pralaci, uważający jedność za bezcenne dobro, pracują nad stworzeniem szansy powrotu dysydem, wystrzegając się nazywania ich schizmatykami, by uniknąć nieodwracalnego rozłamu. Ci drudzy nie są dalecy od uznania stanowiska integrystów, a może nawet liczą na ich powrót do wspólnoty, który zmieni wewnętrzny stosunek sił między nurtami i wrażliwościami w Kościele i wpłynie na generalną posoborową orientację Kościoła. W 1996 roku, podczas uroczystych obchodów tysiąc pięćsetlecia nawrócenia się

Chlodniga, uznawanego przez nich za chrzest Francji, integryści i tradycjoniści postanowili równolegle uczynić z tych uroczystości wielką demonstrację, która miała przypomnieć, że Francja wierna jest wierze swych przodków tylko wtedy, gdy przestrzega przykazań Kościoła i stosuje się całkowicie do jego moralnej nauki: prawo Kościoła obowiązuje sumienia i musi być także prawem państwa. Gdy tak nie jest, naród popada w stan grzechu. Integryści i tradycjoniści atakują szczególnie ustawodawstwo dopuszczające aborcję, a także wszelkie akty prawne naruszające tradycyjne stanowisko katolickiej moralności dotyczące praktykowania seksualności i życia małżeńskiego. W tej materii nawet najbardziej krytyczni wobec tendencji posoborowych dysydenci okazują się solidarni z Janem Pawłem II i odwołują się do jego wystąpień.

Integryzm, zjawisko religijne, ma swe przedłużenia w świecie polityki; nie są one przypadkowe: istnieje całkowita zgodność między tą tradycją religijną, interpretującą treść wiary według najbardziej nieprzejednanej wykładni – a koncepcją idealnego ładu społecznego i ustroju politycznego uznawanego za zgodny z wolą boską. Integryzm nie ogranicza się do wymiaru duchowego: w ujęciu integrystycznym katolicyzm powinien unerwiać całą doczesność. Nurt ten odrzuca rozdział wprowadzony w życie publiczne wskutek laicyzacji i sekularyzacji. Religia i polityka są ze sobą ściśle zespolone i tworzą razem system, od którego żaden z tych dwóch elementów nie może być odłączony. Spójność ta tłumaczy siłę przywiązania do tej całościowej wizji, jak również jej odporność na próby czasu i wyzwania historii. Niewiele systemów cechuje taka niezmienność: od początku nie zmienił się on ani na jotę, a homilia wygłoszona w Lille przez Jego Eminencję Lefebvre’a 29 sierpnia 1976 roku jest literalnie językiem pierwszych kontrrewolucjonistów. Prawdą jest, że przez ponad wiek przemawiał nim najwyższy urząd Kościoła, więc arcybiskup Lefebvre, symboliczny animator schizmy, ma w ręku dobre karty, gdy przedstawia się jako depozytariusz prawdziwej tradycji w przeciwieństwie do tych, których oskarża, że ją zdradzili. W ciągu ponad dwustu lat nic nie zachwiało pewnością nieprzejednanych katolików i kontrrewolucjonistów. Klucz, według którego tłumaczą historię, jest ciągle ten sam, apokaliptyczny: historia ma najpierw sens religijny, dopiero potem – polityczny, jest walką szatana z Bogiem, bezbożności z wiarą. Rewolucja, inspirowana przez sektę antychrześcijańskich filozofów, jest ze swej istoty diaboliczna, z gruntu zepsuta; nic dobrego nie mogło się z niej narodzić. Wszelkie zło pochodzi z tego liberalnego błędu: wolność jest niebezpieczna, jeśli nie jest wprzęgnięta w służbę prawdzie i solidnie obudowana władzą. Człowiek, jako istota grzeszna, nie jest zdolny racjonalnie używać swej wolności. Liberalizm jest więc doktryną zasadniczo błędną i zgubną. Kontrrewolucyjny integryzm upatruje w filozofii liberalnej źródło wszelkich

współczesnych błędów filozoficznych, nie przejmując się sprzecznościami zawartymi w takim myśleniu: nawet w myśli socjalistycznej, jak i w komunizmie widzi kolejne wcielenia idei liberalnych. By oprzeć swą argumentację na religijnych podstawach, odwołuje się do potępień ciskanych przez papieży, poczynając od brewe Piusa VI, który w 1791 roku potępił *Deklarację praw człowieka i obywatela*, poprzez encykliki Grzegorza XVI piętnujące wolnomyślność i encykliki Piusa IX, aż po potępienie modernizmu w encyklice Piusa X z roku 1907. Integrystyczna pobożność ignoruje za to pontyfikaty Leona XIII, Benedykta XV i Piusa XI.

W takim niewątpliwie konfliktowym obrazie dziejów, przeciwstawiającym obóz Dobra, czyli wiary, której święty depozyt przechowuje Kościół – obozowi bezbożności, nieprzyjaciół identyfikowany jest z masonerią, roznosicielem idei liberalnych, i z Żydem, zaczynem rozkładu społeczeństw. Ten obraz, obecnie przedstawiany w dzienniku „Présent”, i towarzyszące mu opinie świadczą o trwałości tego systemu myślenia i są dowodem, że stale ma on przekonanych i zagorzałych zwolenników.

Tego rodzaju wizja świata narzuca wybory natury politycznej, opozycję wobec rozszerzania rządów wolności i, z jeszcze mocniejszego powodu, wobec rozszerzania demokracji. Sympatie zwolenników tej wizji kierują się w stronę inicjatyw zmierzających do zawężenia pola demokracji i ograniczenia jej złych skutków. Dlatego arcybiskup Lefebvre wyraził swą aprobatę dla rządów w Chile ustanowionych po zamachu stanu generała Pinocheta: były to rządy katolickie, odpowiadające modelowi władzy chrześcijańskiej. Podczas uroczystej celebracji mszy w rycie tradycyjnym, w Lille, 29 sierpnia 1976 roku, usprawiedliwił także wojskową dyktaturę ustanowioną w Argentynie, używając zdumiewająco uproszczonej argumentacji:

„Spójrzcie na Republikę Argentyny. W jakim była stanie zaledwie dwa, trzy miesiące temu? Kompletna anarchia, wszędzie mordujący bandyci, przemysł kompletnie zrujnowany, właściciele fabryk uwięzieni i traktowani jak zakładnicy. Nieprawdopodobna rewolucja. I to w kraju tak przecież pięknym, stabilnym, tak sympatycznym jak Republika Argentyny, Republika, która mogłaby znakomicie prosperować, przy jej niezwykłych bogactwach. Przychodzi wreszcie rząd niosący ład, rząd z zasadami, który ma autorytet, który zaprowadza trochę porządku w sprawy państwa, który nie pozwala bandytom zabijać, i oto gospodarka odżywa, robotnicy mają pracę i mogą wracać do domów, wiedząc, że nie będą dręczeni przez kogoś, kto chciałby przymusić ich do niechcianych strajków”.

Jakieś dziesięć lat później powtórzył swe stanowisko w wywiadzie dla dziennika Włoskiego Ruchu Społecznego, następcy włoskiego ruchu faszystowskiego, „Il Secolo

d'Italia", w listopadzie 1985 roku: „Moim ideałem jest rząd, który stosuje prawdziwe zasady wiary katolickiej, jak czyniły to rządy Franco i Salazara”. Nie dziwi zatem, że wyborcze głosy wiernych byłego arcybiskupa Dakaru, bywalców Saint-Nicolas-du-Chardonnet i przeorów z Bractwa Świętego Piusa X oddawane są przede wszystkim na Front Narodowy. Zresztą ich symboliczny prałat nie czyni tajemnicy ze swej sympatii dla lidera Frontu Narodowego: w innym wywiadzie, udzielonym dziennikowi „Present” 17 kwietnia 1985 roku, powiedział o Jeanie-Marie Le Penie: „W takiej mierze, w jakiej broni on bożego prawa, dekalogu, który musi prowadzić narody i być fundamentem wszystkich społeczeństw, można tylko wspierać go i być z nim”.

Nie jest tak, że katolicy integraliści podpisują się pod wszystkimi inicjatywami Jeana-Marie Le Pena, z których niejedna uderza w ich przekonania – ale na kogo innego mogliby oddać swe głosy? Z pewnością nie na partie odwołujące się do osoby i idei generała de Gaulle’a, któremu nie wybaczyli ani procesu marszałka Petaina, ani współzrządzenia z komunistami, ani oddania Algierii islamowi. W mgławicowym elektoracie Frontu Narodowego ów składnik integrystyczny, zgrupowany wokół Bernarda Antony’ego, nie jest wprawdzie najliczniejszy, ale być może najbardziej spójny ideologicznie.

Nawet razem wzięci, zdeklarowani integraliści i katolicy tradycjoniści są w mniejszości: statystycznie w ogóle się nie liczą, w porównaniu z kilkoma milionami wiernych, którzy stosują się do nowej, posoborowej liturgii w swych parafiach, chodzą do posoborowego Kościoła chrzcić dzieci, uzyskać błogosławieństwo dla związku małżeńskiego czy prosić o modlitwę chrześcijańskiej wspólnoty za swych zmarłych. Jeśli o tej schizmie tak często się mówi, to dlatego, że uwaga mediów na ogół chętniej skupia się na mniejszościach, które zerwały z życiem instytucjonalnym, i preferuje dysydentów, zwłaszcza gdy ich bunt wstrząsa Kościołem, który tak długo sprawował pieczę nad narodem. Byłoby więc błędem przecenianie zasięgu tego nurtu. Ale w nie mniejszym stopniu byłoby nim lekceważenie wpływu tej szkoły myślenia i jej wyznawców. Byłoby też nierozsądne ograniczać jej odbiorców do samych tylko praktykujących katolików, stosujących się we wszystkich punktach do nauki Kościoła; podobny błąd popełniałoby się, licząc tylko kilkadziesiąt tysięcy wiernych Bractwa Świętego Piusa X. Bo nie trzeba dzielić wszystkich opinii arcybiskupa Lefebvre’a i jego zaufanych ludzi co do spraw doktrynalnych, ani też zdecydowanie odrzucać ten czy inny dokument Magisterium Kościoła posoborowego, żeby poczuć się bliskim dysydentom w niektórych sprawach: dotyczy to być może tych wszystkich, którzy poczuli się zniechęceni zmianami wprowadzonymi na Soborze Watykańskim II, którzy nie poznają już religii, jakiej ich uczono, którzy nie cieszą się, że nie śpiewa się już pieśni słyszanych

w dzieciństwie, których martwi odejście od łaciny. Reakcje zbliżające takich niezadowolonych i oburzonych do zdeklarowanych przeciwników biorą się raczej z pewnej wrażliwości niż z rozumowania. Te podobieństwa, to pokrewieństwo reakcji wytwarza wokół jądra dysydentów znacznie szerszy krąg sympatii. Mamy zatem do czynienia z pewną sferą wpływów, jakby otoczką, wchodzącą w rezonans z dysydenckimi kaplicami – ogniskami zdecydowanej opozycji wobec nowych prądów w dziedzinie religijnej.

Ta zbieżność może wykraczać poza spotkanie na płaszczyźnie religijnej. Nie idzie zapewne tak daleko, by mogła objąć uznanie wszystkich postulatów filozoficznych myśli kontrewolucyjnej ani jej eschatologicznej wizji Rewolucji, ani perspektywy apokaliptycznej przyszłości, która nadejdzie, jeśli Francja nie odpokutuje swych błędów. Ale istnieje pewna wspólna, znacznie szerzej podzielana wrażliwość, określona pewnymi charakterystycznymi cechami, których powszechność wykracza daleko poza krąg uczniów Josepha de Maistre’a czy Charles’a Maurrasa: to nostalgia za dawnymi czasami, przekonanie, że życie było wtedy lepsze, bardziej zgodne z naturą i mądrością; to pewna spontaniczna nieufność wobec nowości, podejrzliwość względem nowoczesności, deprecjacja czasów współczesnych – rzucające na wszystko pewien cień smutku czy zawodu. Takie usposobienie tworzy podłoże dla czysto reakcyjnej mentalności, w pierwotnym sensie tego słowa, skłonnej do przychylności względem wszelkiej krytyki bieżącej polityki i gotowej powiększyć szeregi opozycji, która – na skrajnej prawicy spektrum ideologicznego – kontynuuje walkę kontrewolucji. W formie rozrzedzonej, rozcieńczonej mentalność tę można odnaleźć wśród wyborców Philippe’a de Villiersa, uczestników jego Ruchu na rzecz Francji, ale także na obrzeżach elektoratu głosującego na prawicę liberalną lub gaullistowską. Choć ten odcień opinii publicznej nie jest już dostatecznie silny, by narzucać swe idee, to znajduje wystarczające przyzwolenie w ogólniejszym stanie umysłów, by siać zamęt, wykorzystywać rozczarowania lub skandale. Wystarczy ono również do tego, by trwać jako szkoła myślenia. Wystarczy także, by systematycznie przypominać o sobie politykom, sprawiać problemy strategom innych nurtów politycznych i domagać się prawa do kontynuowania swej obecności w panoramie francuskich prawic.

## ***Prawica liberalna***

Jeśli chcemy pozostać wierni przyjętemu założeniu, by podążać za porządkiem chronologicznym, w jakim poszczególne prawice pojawiały się na scenie politycznej, to

przychodzi teraz kolej na tę spośród nich, którą nazwalismy prawicą o r l e a n s k ą: to odniesienie do monarchii lipcowej pozwalało nam wpisać tę tradycję polityczną w historyczną perspektywę, potwierdzić jej ciągłość pośród zmian ustrojowych i kolejnych przegrupowań, połączyć jej poszczególne, osobne segmenty oraz udzielić jej szlacheckiego dyplomu.

Odniesienie to spełniło swą rolę: z całej mojej argumentacji było ono, o czym już pisałem, najmniej dyskusyjne. Nie jest więc konieczne jego ponowne uzasadnianie. Upoważnia ono do przyjęcia tezy o ciągłości i o pewnej wspólnotości idei wśród rządzących, od czasów monarchii lipcowej poprzez republikańskich twórców Trzeciej Republiki, centroprawicę okresu międzywojennego i Czwartej Republiki – aż po giscardyzm i, być może, nawet jeszcze dalej. Lub też – jeśli przedstawić sprawę na przykładach bardziej przemawiających do wyobraźni – genealogia tej prawicy biegnie od Thiersa i Guizota<sup>65</sup> do Jules’a Ferry’ego<sup>66</sup> i Waldecka-Rousseau<sup>67</sup>, do Raymonda Poincarégo<sup>68</sup> i Paula Reynauda<sup>69</sup>, do Antoine’a Pinay’a i René Coty’ego, i dalej, aż do Valéry’ego Giscarda d’Estaing. Jacy są dzisiaj ich spadkobiercy i jak ich określić?

To odwołanie do orleanizmu, o ile przemawia jeszcze do tych, którzy mają pewną kulturę historyczną, dla znacznej większości może być raczej przeszkodą w zrozumieniu tej tradycji. Należałoby zatem nadać jej jakąś nazwę mniej uzależnioną od tamtego epizodu naszej historii, coraz bardziej popadającego w zapomnienie. Zresztą odwołanie do waśni sukcesyjnej między dwiema gałęziami francuskiego domu królewskiego i do różnicy między dwoma sposobami myślenia charakterystycznymi dla zwolenników rywalizujących pretendentów do tronu – wygasło od ponad wieku. Nie ma już ono uzasadnienia wobec orleanizmu, tak samo jak nie miało go wobec legitymizmu. A może nawet bardziej: przywiązanie orleanistów do osoby monarchy nigdy nie osiągało takiego stopnia niemal religijnego zapału i uniesienia, jak miało to miejsce w wypadku legitymistów. Co do idei królestwa, po stronie orleanistów nie cieszyła się ona tak bezwarunkowym i wyłącznym poparciem, jakiego udzielali jej zwolennicy starszej linii Burbonów, bardziej sceptyczni

---

<sup>65</sup> François Guizot (1787–1874) – wybitny historyk i polityk, premier Francji w latach 1847–1848.

<sup>66</sup> Jules Ferry (1832–1893) – adwokat, polityk, twórca reformy oświatowej wprowadzającej obowiązkową, bezpłatną i laicką szkołę podstawową.

<sup>67</sup> Pierre Marie René Waldeck-Rousseau (1846–1904) – adwokat, polityk, wielokrotny minister, w latach 1899–1902 premier.

<sup>68</sup> Raymond Poincaré (1860–1934) – adwokat, dziennikarz, polityk, pięciokrotny premier Francji, wydał dekret o utworzeniu Błękitnej Armii generała Hallera.

<sup>69</sup> Paul Reynaud (1878–1966) – polityk, premier Francji i minister spraw zagranicznych w 1940 roku, więziony przez Niemców, aktywny w polityce Czwartej Republiki, przeciwnik powrotu do władzy generała de Gaulle’a w 1958 roku.

wobec instytucji: forma rządów i jej określenie miały w oczach orleanistów mniejsze znaczenie niż stosunki sił w łonie władzy, a zwłaszcza – niż ład społeczny, typ społeczeństwa. To dlatego orleanistom łatwiej było dołączyć do Republiki, gwarantowała ona bowiem zasady i warunki, na których im zależało. To, co dla legitymistów było zdradą – dla orleanistów było tylko uznaniem realistycznej zasady. Należałoby zatem, nie odrzucając odwołania do początków orleanizmu, znaleźć dla tej prawicy jakąś nazwę, która określałaby jej tożsamość, podkreślając jej stanowiska w zasadniczych sprawach, a zarazem sygnalizowałaby niezmienną jej zasad i jej odrębność w stosunku do innych prawic. Po głębokim zastanowieniu uznałem, że nie znajdę określenia, które trafniej spełniałoby te wymogi niż *p r a w i c a l i b e r a l n a*; pojęcie to stanowi nie łączącą kolejne pokolenia tej formacji i wprowadza spójność obejmującą różnorodne zajmowane przez nią stanowiska.

Pod warunkiem wszakże zdefiniowania samego tego pojęcia, którego konotacje bywają różne, niekiedy nawet sprzeczne. Zmieniały się one z upływem wieków. Pod rządami restauracji, będąc w opozycji wobec zachowawczej i klerykalnej polityki ultrasów, słowo „liberalny” pachniało wywrotowością: było niemal synonimem słowa „rewolucyjny”; ci, którzy tak siebie nazywali, sytuowali się na skrajnej lewicy. Liberałowie uważali się za wiernych pamięci roku 1789 i nie wykluczali ewentualnego odwołania się do przemocy w celu udaremnienia reakcyjnych projektów. Także pod rządami autorytarnego Cesarstwa nazwać się liberałem oznaczało zmanifestować swoją opozycyjność. Ale w 1869 roku sam reżim stał się liberalny, wprowadzając do swych instytucji pewne elementy zapożyczone z systemu parlamentarnego, który cieszył się sympatią orleanistów.

Liberalizm miał wówczas konotację bardziej filozoficzną i polityczną niż ekonomiczną. Na płaszczyźnie intelektualnej określał dystans wobec Kościoła katolickiego: uniwersytet jest liberalny, gdyż broni praw krytycznego rozumu i swobody dociekań intelektualnych przed narzucaniem w sposób autorytarny nauczania dogmatycznego. Na płaszczyźnie politycznej liberalizm jest przeciwieństwem władzy personalnej i wszelkich rządów autorytarnych: oznacza gwarancję wolności publicznych i ochronę wolności indywidualnych. Po roku 1890 katolicy z *Action libérale*<sup>70</sup> sięgną po to odniesienie, by nazwać prowadzoną przez siebie walkę w obronie wolności religijnych przeciw ustawom, które uważali za krzywdzące. Pojęcie to i samo słowo mają wówczas reputację raczej pozytywną.

---

<sup>70</sup> *Action libérale* (Akcja Liberalna) – grupa parlamentarna założona w 1901 roku, z której wyłoniła się wkrótce katolicko-republikańska *Action libérale populaire* (Ludowa Akcja Liberalna), najsilniejsza partia prawicowa początku XX wieku we Francji (przyp. red.).



Jednak wskutek pewnego wypaczenia języka nabrały one niedawno pewnej konotacji bardzo złej próby i stały się niemal obraźliwe. Czysto ekonomiczne oblicze liberalizmu przyćmiło inne jego aspekty, wręcz całkowicie je przesłoniło – co ma bezpośredni związek z rozwojem handlu w skali całej planety i ze znoszeniem przeszkód w swobodnym przepływie kapitałów i dóbr – krótko mówiąc: ze zjawiskiem nazywanym globalizacją. Dostrzeżenie negatywnych skutków gwałtownego zderzenia się w warunkach bezpośredniej konkurencji społeczeństw żyjących dotąd na nierównych poziomach – upadku całych sektorów przemysłowych, przepływu zasobów ludzkich, eksportu bezrobocia – uczyniło z liberalizmu kozła ofiarnego w oczach wszystkich sił opozycyjnych wobec nowego porządku, do tego stopnia, że przesłoniło inne wymiary liberalizmu, usuwając w niepamięć opór, jaki stawiał on reżimom totalitarnym. Dziś całe tłumy wychodzą na ulice, by demonstrować przeciwko liberalizmowi. Chcąc używać tego określenia wobec naszej drugiej prawicy, trzeba więc sprecyzować, co rozumie się przez „liberalizm”, i przywrócić temu pojęciu godność.

Tradycje intelektualne definiują się prawie w tym samym stopniu przez to, co odrzucają, a co nadaje sens ich walce – pierwsza prawica, która ukonstytuowała się poprzez odrzucenie idei rewolucyjnej jest tego dobrym przykładem – jak przez swe ideały pozytywne. Nie będzie więc niczym niestosownym, jeśli tworząc wykaz pojęć i postulatów składających się na istotę tej liberalnej prawicy, będziemy częściowo odwoływać się do porównań z inną prawicą, w opozycji do której niegdyś się ona ukształtowała, niemal w równym stopniu jak w opozycji do lewicy. Nie chodzi tu o prawicę kontrrewolucyjną, bo ta nie jest już dostatecznie silna, by stanowić liczącą się konkurencję. Ani też o inną skrajną prawicę, którą specjaliści – do głębi przekonani o jej specyfice – nazywają „populistyczną”: rażąca prostota typowych dla niej analiz, jej demagogia i werbalna przesada są dla prawicy liberalnej zbyt odpychające. Nawet gdy przyjąć, że kandydaci tej ostatniej zalecają się do elektoratu Frontu Narodowego i ulegają niekiedy pokusie podjęcia niektórych skrajnych tez, by ratować swe miejsca w parlamencie, fundamentalne stanowiska tych dwóch prawic są nazbyt odległe, by ich porównanie mogło nam pomóc w zrozumieniu tego, co tworzy tożsamość prawicy liberalnej.

Zabieg taki ma większe szanse powodzenia, gdy porównamy prawicę liberalną z ostatnim elementem naszej triady: z drugą prawicą uczestniczącą w sprawowaniu rządów, którą nazwaliśmy bonapartystowską (odłożmy na później pytanie o słuszność tej nazwy), reprezentowaną w czasach Piątej Republiki przez kolejne formacje ubiegające się o honor wyrażania ideałów gaullistowskich.

Równoległe odczytywanie historii tych dwóch sił od roku 1958 wręcz się narzuca – tak bardzo ich losy są ze sobą związane od prawie czterdziestu lat, na dobre i na złe, tak w sukcesach, jak i w porażkach. Mogły na ogół wygrywać tylko razem; rządziły w porozumieniu, dzieliły także porażki i los opozycji. Bipolaryzacja systemu partyjnego, wprowadzona wraz z instytucjami Piątej Republiki (wybory prezydenta w głosowaniu powszechnym i przyjęcie zasady większościowej niemal we wszystkich ważniejszych głosowaniach) nie pozostawiła im innego wyboru: z własnej woli czy z przymusu, ścisły związek między tymi dwiema prawicami był strategiczną koniecznością.

Inny jeszcze powód działał na rzecz tej bliskości: ich udział, nawet z okresami przerw, w sprawowaniu rządów. Konfrontowanie się z zadaniami władzy i jej doświadczenie rodzi bliskie więzi, zbliża punkty widzenia. W przeciwieństwie do skrajnej prawicy, która nie mając żadnych rozsądnych szans na uczestnictwo we władzy (tak z powodu swej względnej słabości – zawsze była mniejszością – jak i z powodu swej skrajnej pozycji w politycznym spektrum) może sobie pozwolić na używanie doktrynerskiego języka bez troszczenia się o swą wiarygodność – te prawice, które doświadczyły sprawowania władzy i zamierzają wykorzystać możliwość ponownego jej zdobycia, mają podobny sposób rozumowania i dzielą pewną wspólną kulturę.

Choć są sobie bliskie – te dwie tradycje pozostają jednak odmienne. Niedawno można było pomyśleć, że tak bardzo się do siebie zbliżyły, iż nic już nie usprawiedliwia ich odrębnego istnienia, i że nadeszła od tak dawna oczekiwana, tak bardzo pożądana chwila ich stopienia się w jedną polityczną formację, której sukces manifestowałby jedność poglądów. Ale ta próba nie zakończyła się sukcesem. Jej porażka ukazuje trwałość zakorzenionych w historii rozbieżności. To tylko ostatni epizod z długiej serii nieporozumień, kłótni, a nawet starć, które pozostawiły ślady. Dostrzeżenie powodów tych konfliktów i stawek, o jakie się one toczyły, jasno ukazuje odmienne tożsamości tych dwóch prawic. Nie wdając się w nazbyt drobiazgową relację ani nie zapominając, że nasz wywód dotyczy raczej historii idei politycznych niż badań nad strategiami politycznymi – przypomnijmy perypetie rzucające jasne światło na obie te tradycje. Dzieje stosunków między tymi dwiema prawicami są, bądź co bądź, najważniejszym rozdziałem historii Piątej Republiki.

#### Prawica liberalna a gaullizm

W 1958 roku gaulliści i liberałowie ramię w ramię dążą do nadania Francji nowej konstytucji i wdrożenia nowego odpowiadającego ich aspiracjom ustroju. Spektakularny

sukces gaullizmu pod sztandarem Unii na rzecz Nowej Republiki (UNR)<sup>71</sup>, która zdobyła 198 mandatów, nie przynosi ujmy drugiej prawicy, występującej jako Narodowe Centrum Niezależnych (CNI): w wyborach do Zgromadzenia Narodowego w listopadzie 1958 roku uzyskuje ona najlepszy rezultat w swej historii, zdobywając 133 mandaty. Obydwie prawice idą zgodnym krokiem i obydwie czerpią korzyści ze zmiany ustroju. Antoine Pinay, którego inwestytura wywołała w roku 1952 rozłam w szeregach RPF, wchodzi do rządu, któremu przewodniczy generał de Gaulle.

Wojna algierska nie różni obydwu tych prawic, tworzących rządzącą większość. Wsparcie udzielone polityce algierskiej generała de Gaulle'a i zerwanie z wieloma niezależnymi, którzy pozostali przywiązani do idei Algierii francuskiej, pieczętuje alians z partią gaullistowską, pod jej kolejnymi nazwami – UD V<sup>e</sup> UNR<sup>72</sup>, UNR – mniejszościowej frakcją niezależnych republikanów grupujących się wokół ministra finansów, Valéry'ego Giscarda d'Estaing. Grupa ta stanowi niezbędne wsparcie zapewniające większość prawicowej koalicji. Jej młody lider stara się zachować swą autonomię i podkreślać różnice, by móc coś znaczyć w układzie sił, ale także dlatego, że punkt widzenia tej grupy nie zawsze jest zgodny z intencjami rządu i stylem sprawowania przez niego władzy. Spór z szefem państwa wybucha w styczniu 1966 roku, nazajutrz po reelekcji generała de Gaulle'a. Upokorzony usunięciem z rządu, Valéry Giscard d'Estaing dystansuje się wobec prezydenta. Domaga się prawa do głośnego wyrażenia swej niezgody: owo „tak, ale” określa jego linię postępowania – zgoda co do zasadniczych spraw, ale z wieloma zastrzeżeniami i różnicami. Rozłam się pogłębia. Giscard d'Estaing nie pochwała pewnych nieoczekiwanych inicjatyw prezydenta Republiki, zwłaszcza jego przemówienia dotyczące wolnego Quebecu, wygłoszonego w Montrealu w lipcu 1967 roku. Krytykuje także sposób, w jaki de Gaulle pojmuje funkcjonowanie instytucji, krytykuje „samotne sprawowanie władzy”. Zarysowują się dwie odmienne koncepcje państwowej praktyki instytucjonalnej, dwie różne interpretacje ustroju, jedna – prezydencka, druga – bardziej szanująca prerogatywy parlamentu.

Aspekt osobisty tego starcia, którego skutkiem była rewolucja ustroju (o ile nie wpływała ona z samej jego natury – liberałowie mówiliby o jego „dryfowaniu”) nie powinien nam przesłaniać ogólnego znaczenia tej konfrontacji. Nie był to tylko przejaw osobistych planów kierowanego wielką ambicją polityka, którego postępowanie podporządkowane było chęcią zdobycia najwyższej władzy. Był to także powrót starych

---

<sup>71</sup> Union pour la nouvelle République, UNR (Unia na rzecz Nowej Republiki) – partia gaullistowska, utworzona w 1958 roku w celu wspierania działań generała de Gaulle'a (przyp. red.).

<sup>72</sup> Union démocratique pour la V<sup>e</sup> République, UD V<sup>e</sup> (Unia Demokratyczna na rzecz Piątej Republiki) – nazwa przyjęta w 1967 roku przez formację gaullistowską.

konfliktów między liberałami a zwolennikami autorytaryzmu. Spór ten nasilał się w związku z nierównością sił między obiema tendencjami, na korzyść formacji gaullistowskiej: niezależni lepiej lub gorzej znosili jej liczebną przewagę i potępiali jej skłonności do dominacji. Gdy partia gaullistowska potrzebowała ich wsparcia, by stworzyć większość w Zgromadzeniu, we wspólnym interesie wyciszano spory. Za to gdy dominująca formacja gaullistów sama miała większość absolutną, co uwalniało ją z zależności od liberałów, ci ostatni tracili możliwość nagłaśniania swych odrębności i negocjowania warunków współrzędzenia: nic nie przeszkadzało wtedy gaullistowskiej woli dominowania. Taka właśnie sytuacja zaistniała po wyborach z czerwca 1968 roku, które dały Unii na rzecz Obrony Republiki (UDR) – kolejna, okazjonalna nazwa gaullizmu – większość absolutną.

Rozstanie stało się wówczas nieuniknione. Wobec zapowiedzianego referendum, o którym zdecydował generał de Gaulle, żeby dać pozytywne ujście trwającemu kryzysowi i odnowić źródło własnej legitymizacji, Valéry Giscard d'Estaing przeszedł od swego dotychczasowego „tak, ale” – do wyraźnego „nie” i wezwał do odrzucenia przedstawianego narodowi projektu. Gdyby trzymać się głównego tematu referendum, proponowane reformy zakładające rozluźnienie opieki państwa nad wspólnotami terytorialnymi i pogłębienie decentralizacji powinny były – abstrahując od okolicznościowych i taktycznych kalkulacji – zyskać przychylność i aprobatę liberalnej prawicy, nieufnej wobec wszelkiej skoncentrowanej władzy i przywiązanej do lokalnych swobód. Uczestnicząc w usunięciu od władzy de Gaulle'a, Valéry Giscard d'Estaing popełnił w oczach zwolenników generała niewybaczalną zbrodnię, która nigdy nie zostanie mu wybaczona. Jeszcze dzisiaj czynią mu z tego zarzut: było to pierwsze jawne zerwanie między tymi dwiema prawicami.

Stosunki uległy odprężeniu wraz z prezydenturą Georges'a Pompidou, który zawdzięczał swój wyborczy sukces między innymi niezależnym. Następca generała de Gaulle'a był gaullistą, cokolwiek by o nim mówili niektórzy członkowie jego ugrupowania (powrócimy do tego tematu w rozdziale dotyczącym następców gaullizmu), ale jego zmysł polityczny dyktował mu bardziej ugodową postawę. Odwołał się do pojęcia większości prezydenckiej złożonej ze wszystkich, którzy oddali na niego swe głosy: byli wśród nich giscardyści. Przez cały czas jego skróconej prezydentury stosunki w łonie rządu pozostawały poprawne. Valéry Giscard d'Estaing, który odzyskał ważne Ministerstwo Finansów i Gospodarki, zajął znaczącą pozycję. Prezydent Republiki przepowiedział mu nawet wielką przyszłość. Sam trzymał się na uboczu waśni rozdzierających dominującą partię. Pozycja liberałów w obozie większościowym została wzmocniona przez przystąpienie do niego

centrystów wywodzących się z innej rodziny politycznej, którzy tym samym po długim czasie wyszli z opozycji: René Plevena<sup>73</sup>, Jacques'a Duhamela i Josepha Fontaneta.

Równowaga ta została gwałtownie wystawiona na próbę w 1974 roku przez nagłą śmierć prezydenta Pompidou. W sposób najbardziej naturalny w świecie były premier Georges'a Pompidou, Jacques Chaban-Delmas – gaullista od zawsze – wysunął swą kandydaturę: mógł czuć się pewnym, że uzyska poparcie wszystkich gaullistów. Valéry Giscard d'Estaing, lider drugiej części składowej większościowej koalicji, zgłosił się także: spodziewano się po nim tego. Po raz pierwszy doszło do rywalizacji o najwyższy urząd w państwie między przywódcami dwóch formacji połączonych sprawowaniem władzy od początku Piątej Republiki, a zarazem członkami parlamentarnej większości, którą niewątpliwie należy określić jako prawicową. W dwóch poprzednich kampaniach wyborczych uczestniczyli już kandydaci odwołujący się do liberalnej tradycji centrystów, Jean Lecanuet w 1965 roku, Alain Poher w roku 1969 – ale centryści byli wówczas w opozycji. Tym razem nadchodzące wybory prezydenckie były czymś na kształt próby generalnej, po której można było się spodziewać, że pokaże prawdziwy rozkład sił i poparcia dla każdej z tych prawic wśród elektoratu.

Próba ta zakłócona została przez Jacques'a Chiraca: odstępując od kandydata uważanego za przedstawiciela gaullistów, opowiedział się za Valéryem Giscardem d'Estaing, pociągając za sobą czterdziestu dwóch gaullistowskich parlamentarzystów, i zapewnił wybór lidera mniejszościowej formacji. Pierwszą, doskonale logiczną decyzją nowego prezydenta było nominowanie Jacques'a Chiraca premierem. Jest to punkt wyjścia długiej, obfitej w perturbacje, rozstania i powroty historii stosunków między tymi dwoma politykami, która po trzydziestu latach nie jest jeszcze skończona, a która częściej przeciwstawiała ich sobie, niż łączyła. Ten rządzący tandem przedstawiał odwrócony obraz prawdziwego stosunku sił między dwiema prawicowymi rodzinami. Podobna sytuacja nie mogła przedłużać się w nieskończoność; pojawiło się kluczowe pytanie: czy Chirac będzie pracował na rzecz giscardyzacji formacji gaullistowskiej, na co prawdopodobnie liczył prezydent Republiki, czy przeciwnie, na rzecz zwycięstwa gaullizmu?

Odpowiedź na to pytanie przyszła w dwa lata później: w sierpniu 1976 roku Jacques Chirac, zrywając z przyjętą w Piątej Republice praktyką, wedle której to prezydent, któremu konstytucja daje prawo powoływania premiera, także go odwołuje, i lekceważąc autorytet

---

<sup>73</sup> René Pleven (1901–1993) – polityk, premier w latach 1950–1951 i 1951–1952. W 1969 roku razem z Jacques'em Duhamelem i Josephem Fontanetem utworzył ugrupowanie Centrum Demokracja i Postęp (fr. Centre démocratie et progrès), które poparło kandydaturę Georges'a Pompidou w wyborach prezydenckich. W 1969 roku wszedł do rządu jako minister sprawiedliwości (przyp. red.).

prezydenta, sam zgłosił swą dymisję, motywując ją brakiem odpowiednich instrumentów do realizowania swej polityki. Nie udało mu się zrobić gaullisty z Valéry'ego Giscarda d'Estaing, niech więc nie liczą na niego, że będzie giscardyzował gaullistów! Otworzył się wówczas pewien okres (który potrwa nie mniej niż pięć lat) napięć i powracających konfliktów między rządem a formacją gaullistowską, czyli między dwiema prawicami. Jacques Chirac, wyrwawszy w zuchwały sposób kontrolę nad aparatem partyjnym z rąk baronów historycznego gaullizmu, stworzył w grudniu 1976 roku nową formację, Zgromadzenie na rzecz Republiki (RPR), skuteczną machinę polityczną, która pod dynamicznym kierownictwem swego założyciela korzysta z wierności „gaullistowskiego ludu”. Stojąca naprzeciw druga prawica funduje sobie bardziej elastyczną organizację, która pod szyldem UDF, Unii na rzecz Demokracji Francuskiej – zapożyczonym z książki-manifestu *Démocratie française* (Demokracja francuska), opublikowanej w tymże 1976 roku przez Valéry'ego Giscarda d'Estaing – skupia w formie federacji kilkanaście mniejszych formacji o wspólnym celu – stworzyć przeciwwagę dla RPR – który zapewnia jej wewnętrzną spójność i solidarność. Od 1976 do 1981 roku RPR prowadzi przeciwko prezydentowi i rządowi (pod kierownictwem Raymonda Barre, o centrystycznej wrażliwości) – choć na wówczas w jego składzie swoich przedstawicieli – bezustanną, nękającą wojnę podjazdową, co zmusi rząd do robienia użytku z pewnej konstytucyjnej możliwości – paragrafu 49, ustępu 3, dotąd nieużywanego – która pozwala uznać za przyjęty każdy projekt ustawy, przeciw któremu wotum nieufności nie zebrało absolutnej większości. RPR nie może posunąć się do głosowania razem z lewicą, ale nie będzie się powstrzymywało od surowego krytykowania większości kwestii polityki prowadzonej w siedmiu latach prezydentury Giscarda d'Estaing.

Szczególnie dotyczy to jego polityki europejskiej. W grudniu 1978 roku Jacques Chirac rozsyła ze szpitala, gdzie przebywa po wypadku samochodowym, manifest znany pod nazwą „Apel z Cochin”, potępiający w skrajnie zjadliwych słowach „partię zagraniczną”. Nazwa ta wymierzona jest w partnerów z UDF, w tę drugą prawicę, liberalną, przychylną – to prawda – budowaniu zjednoczonej Europy. W wyborach do Parlamentu Europejskiego w Strasburgu w 1979 roku – po raz pierwszy były to wybory powszechne, a to demokratyczne rozwiązanie zostało przyjęte przez rządy dziewięciu krajów stowarzyszonych na wniosek francuskiego prezydenta – RPR przedstawia listę kandydatów z Jacques'em Chirakiem na czele, która nosi nazwę – jakże znaczącą! – Obrona Francuskich Interesów w Europie (DIFE) i konkuruje z listą UDF, na czele której postawiono Simone Veil. Wynik wyborów nie przyniósł zaszczytu RPR, które przegrało z UDF różnicą ponad 10 procent: stosunek sił między tymi dwiema prawicami odwrócił się.

Napięcie między giscardystami a chirakistami kulminuje przed wyborami prezydenckimi w 1981 roku, bo na spór o ogólną politykę nakłada się osobista rywalizacja o najwyższy urząd: odchodzący prezydent kandyduje na następną kadencję, jego były premier, Jacques Chirac – także. Oto więc te dwie prawice – w jawnym współzawodnictwie. Zarejestrowano nawet trzecią kandydaturę z obozu większości, byłego premiera Michela Debrégo, który miał ograniczone zaufanie do RPR i jego lidera w kwestii obrony francuskiej suwerenności przeciw „ponadnarodowości” – i sam przedstawiał się jako nieugięty strażnik gaullistowskiego dziedzictwa. Ta rywalizacja, którą waham się nazwać bratobójstwem – bo oznaczałoby to sugestię, że między tymi dwiema rodzinami prawicy sprawującej władzę istnieje pokrewieństwo bardziej ścisłe, niż to możliwe z racji głębokich różnic w sprawach, które bynajmniej nie są drugorzędne – spowodowała ich wspólną klęskę. Krążyła wówczas plotka, która nigdy nie została zdementowana, że w drugiej turze pewien cichy rozkaz odradzał dyskretnie zwolennikom RPR głosowanie na Giscarda; rzecz nie została dowiedziona, lecz pozostaje prawdopodobna. W każdym razie ustalono, że nie wszystkie głosy zebrane w pierwszej turze przez Chiraca zostały w drugiej turze przeniesione na ponownie kandydującego prezydenta: Giscardowi zabrakło kilkuset głosów wyborczych prawicy, wystarczająco dużo, by zapewnić zwycięstwo kandydatowi lewicy, François Mitterrandowi. Z dwunastoletnim opóźnieniem gaulliści odpłacili Giscardowi tą samą monetą i pomścili porażkę generała de Gaulle’a, dopuszczając ryzyko, że instytucje ustrojowe, które sami stworzyli w Piątej Republice, posłużą teraz tym, których zawsze zwalczali. Choć to uczucie zemsty w zaistniałych okolicznościach odegrało główną rolę, to zostało również wzmocnione istotnymi różnicami dzielącymi obydwie prawice.

Jednak wspólna porażka zbliża. Ta przegrana nie zaogniła wzajemnych stosunków, inaczej niż to często bywa – zwłaszcza gdy dochodzi jeszcze poszukiwanie winnych – i w latach 1981–1982 parlamentarzyści obu prawic prowadzi wspólną walkę. Ułatwia im to chwilowe wycofanie się większości głównych, pierwszoplanowych postaci: przez pewien czas w ogóle nie słychać liderów – nie uczestniczą w debatach parlamentarnych, szczególnie ożywionych wokół projektów wielkich reform stanowiących Wspólny Program lewicy, który „różowa fala” zamierza wcielić w życie. Nie ma ich na sali obrad: pozostawiają młodszą generacji – „czterdziestolatkom” – prowadzenie honorowej już tylko walki przeciw przytłaczającej lewicowej większości. Wyrabia sobie wówczas nazwiska cała plejada młodych muszkietierów, wywodzących się z obydwu prawic: François d’Aubert<sup>74</sup>, Charles

---

<sup>74</sup> François d’Aubert (ur. 1943) – polityk Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF), obecnie Unii na rzecz Ruchu Ludowego (UMP), reprezentuje katolickie stanowisko w kwestiach praw rodziny, mer Laval.

Millon<sup>75</sup>, Michel Noir<sup>76</sup>, Philippe Séguin i inni. Nie ma między nimi większych różnic. Obydwie prawice dobrze współdziałały w opozycji: uzgadniały strategię mającą na celu odzyskanie władzy, dochodzą do porozumienia w kwestii poszczególnych zadań bieżących. Wystawienie do wyborów parlamentarnych w roku 1986 wspólnej listy kandydatów RPR-UDF dokonuje się bez kłopotu w ponad 90 procentach okręgów wyborczych. Koncentracja idzie nawet dalej: przyjęta zostaje wspólna platforma wyborcza określająca program przyszłego rządu, który powstanie, jeśli prawicy uda się odzyskać utraconą władzę. Program ten pochodził bardziej od UDF niż od RPR: zapożyczał większość swych punktów z filozofii liberalnej; składnik gaullistowski, który zaznaczył się sprzeciwem wobec prowadzonych przez socjalistów nacjonalizacji, odszedł nieco od swego zasadniczego kierunku i zbliżył się do programu liberałów. Choć RPR stanowiło w tej opozycyjnej koalicji większość, to mniejszościowa UDF dostarczyła jej inspiracji.

Wspólna walka w opozycji przeciw lewicy scementowała obie prawice: powrót do władzy w roku 1986 już ich nie rozdzielił; to prawda, że kohabitacja z socjalistycznym prezydentem zobowiązywała prawice, by nie dzieliły się w obliczu przeciwnika. W rządzie, którym kieruje Jacques Chirac i w którym RPR ma pozycję dominującą, obecne są wszystkie nurty składające się na UDF, w proporcji odpowiedniej do ich realnego znaczenia. Współpraca między chirakistami i eks-giscardystami przebiega bez większych zakłóceń, nawet jeśli stosunki między aparatami partyjnymi układają się nie bez zgrzytów: sekretarz generalny Partii Republikańskiej, najpełniej wyrażający czysty giscardyzm spośród formacji składających się na UDF, porównuje swych partnerów z RPR do mnichów-żołnierzy, do średniowiecznych zakonów militarnych – i zaręczam, że François Léotard<sup>77</sup> czynił raczej aluzję do rycerzy zakonu krzyżackiego niż do kawalerów maltańskich.

Zbliżające się wybory prezydenckie, przewidziane na rok 1988, sieją ziarna nieporozumień i uaktywniają pewną skłonność, która ma tendencję do utrwalania się w życiu politycznym: każda z obydwu prawic ma swego czempiona. Dla RPR jest nim, naturalnie, jej przewodniczący, Jacques Chirac, pełniący wówczas funkcję premiera, który po raz drugi ubiega się o prezydenturę. Dla UDF nie jest już nim Valéry Giscard d'Estaing, ale jego były premier, Raymond Barre. Dwie prawice personifikują zatem dwaj premierzy byłego

---

<sup>75</sup> Charles Millon (ur. 1945) – polityk Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF), w 1999 roku założył ugrupowanie Prawica Liberalno-Chrześcijańska (fr. Droite libérale-chrétienne, DLC), w latach 1995–1997 minister obrony.

<sup>76</sup> Michel Noir (ur. 1944) – polityk Zgromadzenia na rzecz Republiki (RPR), w latach osiemdziesiątych jeden z najaktywniejszych działaczy tej partii, były mer Lyonu, skazany w procesie korupcyjnym.

<sup>77</sup> François Léotard (ur. 1942) – polityk Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF), minister kultury w rządzie Jacques'a Chiraca (1986–1988), minister obrony w rządzie Édonarda Balladura (1993–1995).



prezydenta Republiki. Ugrupowania sfederowane w UDF i reprezentowane przez nie orientacje dołączają po kolei – wszystkie – do Raymonda Barre’a. Ideologiczna batalia między dwiema prawicami rozgrywa się na odwróconych frontach: to spadkobierca gaullizmu przemawia teraz bardziej liberalnym językiem, a kandydat wysunięty przez formacje najbliższe liberalizmowi ma program, jak się zdaje, mniej odległy od idei generała de Gaulle’a. Odwrócony jest także stosunek sił: w pierwszej turze RPR wyprzedza UDF o 3,5 procent. Przeniesienie głosów zwolenników Raymonda Barre’a na pozostającego w grze prawicowego kandydata nie wypadło lepiej niż w roku 1981, i podział głosów na prawicy znów spowodował wspólną porażkę. I raz jeszcze przegrana powoduje zbliżenie. Obydwie prawice odniosą sukces wyborczy w roku 1993, uzyskując 84 procent miejsc w Zgromadzeniu Narodowym.

W 1995 roku (przy kolejnych wyborach prezydenckich) po raz szósty powtórzy się ów dobrze już znany schemat rywalizacji między tymi dwiema prawicami, ale w wariacie, który nieco zmieni jej warunki i stawkę. Wystąpiły dwie różnice w stosunku do ostatniej prezydenckiej rywalizacji na prawicy. Po pierwsze – UDF nie ma własnego kandydata: obydwaj konkurenci, Jacques Chirac i Édouard Balladur, należą do RPR, co nadaje ich rywalizacji bardziej osobisty i bardziej bratobójczy charakter. Jacques Chirac ma przeciw sobie konkurenta, z którym przyjaźni się od trzydziestu lat, który tak jak on był protegowanym Georges’a Pompidou, którego wreszcie w 1986 roku (w kierowanym przez siebie rządzie „pierwszej kohabitacji”) uczynił kimś na kształt wicepremiera w randze ministra stanu, i którego w roku 1993 sam desygnował prezydentowi Mitterrandowi na swego następcę na stanowisku premiera w rządzie „drugiej kohabitacji”. Osobisty aspekt tego współzawodnictwa nie wymazał jednak jego ideologicznej wymowy ani nie przesłonił jego symboliki: UDF utożsamiała się z kandydaturą Édouarda Balladura i poparła go jednogłośnie. Pod powierzchnią tej personalnej rywalizacji toczył się spór między dwiema prawicami. Wyborcy podzielili się wobec tych kandydatur wedle swych głębokich przekonań. Zwyciężył Jacques Chirac, który uosabiał nurt neogaullistowski, ale w pierwszej turze różnica dzieląca go od rywala nie przekroczyła 3 procent: 21 za Chirakiem wobec 18,5 procenta za Balladurem. Obydwa nurty dysponują zatem niemal równymi siłami, a RPR nie ma już przewagi pozwalającej narzucać swą wolę partnerowi. Rywalizacja ta pozostawi trwałe ślady i posieje niezgodę w łonie RPR: jej następstwa zatrują na długo stosunki między głównymi postaciami, utrudniając niezbędne pojednanie.

I tak we wszystkich sześciu wyborach prezydenckich w latach 1965–1995 w pierwszej turze występowali przeciw sobie dwaj kandydaci prawicy, ubiegając się o głosy

wyborców i uosabiając alternatywę tych dwóch głównych rodzin myślenia. Powtarzanie się tej rywalizacji potwierdza istnienie wewnątrz prawicy pewnej linii zasadniczego podziału. Zmuszając prawicowy elektorat do wyboru między dwiema formacjami i do wyrażenia swej preferencji, rywalizacja ta przyczyniła się do ukorzenia i utrwalenia tych tradycji. Od wyborów do wyborów – kontekst mógł się zmieniać, a główne tematy wyborcze mogły ulegać modyfikacjom: i tak w latach 1981 i 1986 dominowała debata o statusie przedsiębiorstw, o ich nacjonalizacji lub reprivatyzacji, kiedy indziej motywem przewodnim była kwestia jedności europejskiej. Jedna i druga prawica mogły też naginać swą linię polityczną. Jednak podział się utrzymał, co zaświadcza o istnieniu dwu mocno utrwalonych tradycji. Dwoistość ta jednak prawie nigdy nie przeszkadzała tym nurtom działać we wspólnej sprawie: rządzić – gdy były przy władzy, zwalczać lewicę – gdy były w opozycji.

Od czasu do czasu – rozumując w kategoriach strategii – niektórzy zadają sobie pytanie, czy te prawice nie miałyby interesu w połączeniu się, choćby nawet z troski o skuteczność. Skarżą się, że prawicowy wyborca nie rozumie powodów tego podziału i pragnąłby stworzenia wielkiej formacji jednoczącej wszystkie prawice, które wpisują się w zinstytucjonalizowane życie polityczne. Słuchając ich, odnosi się wrażenie, że tylko personalna rywalizacja jest przeszkodą w takim połączeniu. Ale ponieważ próby zmierzające w tym kierunku się nie powiodły, taki projekt od dawna uchodzi za całkowicie utopijny.

Nagle, w 2002 roku, zaraz po siódmych wyborach prezydenckich, wobec niewiarygodnego scenariusza, który doprowadził do Pałacu Elizejskiego Jacques’a Chiraca z 82 procentami głosów w drugiej turze – wydawało się, że nadszedł ten moment, że różnice między różnymi prawicami zostały wymazane i że można położyć fundament pod budowę jednej formacji, w której połączyłyby się partie będące spadkobiercami tych dwóch tradycji, chirakowskiej i giscardowskiej. Powstanie Unii na rzecz Większości Prezydenckiej w maju 2002 roku odpowiadało tym zamiarom. Powodzenie takiej operacji wymagało, by wszystkie części składowe prawicy wyraziły zgodę na stopienie się w jedną formację: w innym wypadku fuzja byłaby tylko nałożeniem jeszcze jednej linii podziału na te już istniejące, powodujące dotychczasowe różnice. Ale tak właśnie się stało: jedna z prawicowych frakcji odmówiła samolikwidacji. RPR nie bez żalu zgodziło się na samorozwiązanie: było mu trudno zrezygnować z udziału w stworzonym przez Alaina Juppégo i zaaprobowanym przez Jacques’a Chiraca projekcie, który zyskał w ten sposób poparcie głównych inspiratorów. Poza tym – formacja gaullistowska wywodzi z własnej historii, od powstania RPF w roku 1947, pewne duchowe usposobienie przychylne wszelkiemu przekraczaniu partykularyzmów pośród swych zwolenników: słowo „połączenie” zawsze brzmi dla niej przyjemnie. Ma zresztą

powody kalkulować, że – w wypadku fuzji – odzyskałaby w realnych wpływach to, co straciłaby na utracie odrębności: czyż nie dysponuje najliczniejszymi i najbardziej zdyscyplinowanymi zwolennikami, najmocniejszymi strukturami i doświadczeniem w sprawowaniu władzy? Wejście do UMP nie wywołuje w szeregach RPR żadnego rozłamu: podziały tworzą się w sferze wyborów społeczeństwa. Gaulliści wchodzą więc do UMP tak, jak niegdyś przeszli z UNR do UDR, a z UDR – do RPR: w pełnym składzie. Po raz kolejny formacja gaullistowska potwierdza swą reputację zdyscyplinowanej armii.

UDF, przeciwnie: rozpada się. To prawda, że jej skład jest bardziej różnorodny i inne są jej obyczaje. Jej gremia kierownicze nie mają odpowiednich środków, by egzekwować od poszczególnych składników partii przestrzeganie wspólnych reguł. Członkowie UDF pielęgnują także odmienne wyobrażenia o wzajemnych stosunkach między partnerami: mają niemal w genach przywiązanie posła do wolności swego głosu i sprzeciw wobec wszelkiej dyscypliny. Alain Madelin, główna postać Demokracji Liberalnej<sup>78</sup>, nie jest człowiekiem, który poświęciłby swe talenty na cierpliwe budowanie zorganizowanej formacji: nie ma do tego zamiłowania ani serca organizatora. Zresztą nie ma niczego, co mógłby stracić w wyniku fuzji. Jego absolutny liberalizm mógłby wzbudzić u niego pewne opory wobec fraternizacji z gaullistami, wiele spodziewającymi się po interwencjonizmie państwowym, ale – być może – nie traci nadziei, że przekona Jacques'a Chiraca: wypróbował już swe zdolności perswazji podczas kampanii w 1995 roku.

Opór przeciw takiej fuzji pochodzi przede wszystkim ze strony tej frakcji, która pielęgnuje w prawicowej koalicji ducha demokracji chrześcijańskiej. Wrócimy nieco dalej do koncepcji charakterystycznych dla tej orientacji. Odmowa roztopienia się w dużej prawicowej formacji jest wyborem strategicznym, w którym osobiste przemyślenia lidera tej frakcji, François Bayrou, odgrywają pewną rolę, ale swe znaczenie ma także troska o zachowanie własnej specyfiki i kontynuowanie odrębnej tradycji, w opozycji do „zwalcowania” przez RPR. Zatem wysiłek podjęty w celu ograniczenia różnic daje rezultat odwrotny: uświadamia ich nieredukowalny charakter. W 2002 roku fuzja tych formacji nie jest łatwiejsza niż fuzja dynastyczna w roku 1873.

---

<sup>78</sup> Démocratie libérale (Demokracja Liberalna) – konserwatywno-liberalna partia polityczna stworzona w 1997 roku przez Alaina Madelina, następczyni Partii Republikańskiej. Początkowo wchodziła w skład Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF), od 1998 roku – niezależna. W 2002 roku rozwiązała się, a jej członkowie wstąpili do Unii na rzecz Większości Prezydenckiej (UMP) (przyp. red.).

Ponieważ interesuje nas raczej powstawanie idei niż perypetie w stosunkach między aparatami partyjnymi, historia tego częściowo chybionego przedsięwzięcia zasługuje na uwagę, bo stanowi pośredni dowód tezy, że istnieją na prawicy dwie różne „rodziny” o rodowodach sięgających głęboko w przeszłość, a różnica między nimi nie zmniejszyła się wraz z upływem czasu. Co więcej, zachowania różnych partii w tych okolicznościach ukazują niepodobne do siebie filozofie społeczne. Gdy RPR cechuje zachowanie autorytarne, a UDF odrzuca taki styl – dzieje się tak z powodu głębokich różnic. Przypisywać porażkę UMP niezręczności wykonawców tego projektu albo tłumaczyć autorytarne zachowanie partii dominującej samą tylko jej charakterystyczną sztywnością – byłoby, oczywiście, lichym wyjaśnieniem. Ignorowanie udziału osobistych, egoistycznych kalkulacji w podejmowaniu strategicznych wyborów byłoby bez wątpienia naiwnością, ale nie mniejszą naiwnością byłoby ograniczanie do tego tylko typu motywacji wyjaśnienia decyzji angażujących całe partie. Zachowania odzwierciedlają i ukazują koncepcje: jest korelacja, a nawet harmonia, między jednymi a drugimi. One zapewniają spójność zajmowanych stanowisk.

Poprzednie wydania mojej *La Droite* podejmowały próbę zdefiniowania pewnego zbioru stałych przekonań i postulatów, które określały intelektualną osobowość tej liberalnej prawicy i zapewniały jej trwałość. Przypomnienie kłopotów, jakich doświadczała w swoich relacjach z formacjami gaullistowskimi pod rządami Piątej Republiki pokazało, że istnieje ciągłość między orleanistycznym „złotym środkiem” z czasów monarchii lipcowej – a „rządzić z centrum” z czasu siedmioletnia giscardowskiej prezydentury. Idea wolności jest zwornikiem doktrynalnej architektury tej prawicy. Wolność jest dobrem samym w sobie i pozytywną wartością. Jest fundamentalnym prawem jednostki, którego nie może jej pozbawić ani państwo, ani społeczeństwo, gdyż prawo to jest wcześniejsze od powstania społeczeństwa i ukształtowania się państwa. Racją bytu władzy politycznej i jej uzasadnieniem jest właśnie gwarantowanie jednostkom używania wolności i korzystania z niej. Wolność jest także środkiem i warunkiem życia w społeczeństwie oraz postępu; poza sferą wolności nie dokonuje się nic nowego ani pozytywnego: liberałowie liczą bardziej na inicjatywę prywatną, indywidualną lub wspólną, niż na interwencję władz publicznych, gdy chodzi o właściwą odpowiedź na konkretne problemy, o wytwarzanie bogactwa, o innowacyjność we wszelkich dziedzinach. Pod tym względem liberałowie i jakobini lub

colbertyści<sup>79</sup> uprawiają przeciwstawne polityki. I nie dotyczy to tylko klasycznego tematu ich sporu – zarządzania gospodarką, gdzie ścierają się już tradycyjnie zwolennicy jej kierowania za pomocą organizmów państwowych ze zwolennikami wolnej, nieskrępowanej i nieograniczonej przedsiębiorczości, obrońcy planu z orędownikami rynku – ale także innych dziedzin. Na przykład koncepcji polityki kulturalnej, która jest dziś jednym z tematów dzielących różne orientacje myśli politycznej. Jako spadkobierczynie historycznej tradycji królewskiego mecenatu prawica autorytarna wierzy, że państwo ponosi szczególną odpowiedzialność za rozwój kultury, bo nie jest ona produktem rynkowym, takim, jak inne dobra: w konsekwencji to na państwie spoczywa obowiązek pobudzania twórczości, wspomagania artystów i czuwania nad upowszechnianiem kultury w społeczeństwie. Nie jest zatem wcale przypadkiem, że powołanie odrębnego ministerstwa do zarządzania sprawami kultury zbiega się z powstaniem Piątej Republiki. Liberałowie nie są tak przekonani, że to dobra rola dla państwa: wątpią w jego kompetencje w tej dziedzinie; obawiają się również, że jego interwencja w kulturę może prowadzić do podporządkowania twórców, tworzenia oficjalnej ideologii i politycznej instrumentalizacji kultury.

Liberałów cechuje zasadnicza nieufność wobec władzy, wszelkiej władzy. W odróżnieniu od jakobinów, którzy podejrzewają zarówno jednostki, jak i grupy społeczne o kierowanie się tylko własnymi, wąskimi interesami i pokładają nadzieje w państwie, dzięki któremu dobro ojczyzny może przeważyć – liberałowie nie dowierzają władzy, gdyż nie są przekonani, że jej wola zawsze zgadza się z interesem ogólnym. Podejrzewają, że i ona kieruje się niepohamowaną ambicją, którą ograniczyć lub powstrzymać może tylko przeciwwładza. Są oni zatem duchowymi dziećmi tych jurystów i filozofów, którzy zachwalali podział władzy, rozdzielenie jej zasadniczych organów, i poszukiwali środków, by zapewnić między nimi równowagę zapobiegającą wszelkiej koncentracji władzy. Dlatego liberałowie są w sposób naturalny i głęboki przywiązani do parlamentaryzmu: ich zdaniem nie jest możliwe podjęcie ważnej i prawomocnej decyzji w inny sposób, jak tylko poprzez dyskusję, w której w pełnej wolności mogą się wyrazić wszystkie punkty widzenia. Wielość opinii, która tak bardzo drażni jakobinów, bo ujawnia podziały, mąci w umysłach i prowadzi do straty czasu – w oczach liberałów jest gwarancją dobrego funkcjonowania instytucji i dobrego rządzenia. Teksty ustaw, bez względu na to, czy zgłaszane są z inicjatywy ministerialnej, czy poselskiej, w toku debat ulegają na ogół ulepszeniu. Z tego samego powodu parlament dwuizbowy jest lepszy niż jednoizbowy. W konsekwencji liberałowie

---

<sup>79</sup> Jean Baptiste Colbert (1619–1683) – mąż stanu, minister Ludwika XIV, twórca scentralizowanej administracji, reformator systemu podatkowego i rzecznik merkantylizmu.

potępiają „samotne sprawowanie władzy” i są bardziej niż zdystansowani wobec wszelkich prezydenckich interpretacji konstytucji i wobec wszelkiej ewolucji praktyki państwowej w kierunku zwiększenia prerogatyw głowy państwa.

Z tych samych powodów liberałowie są przychylnie nastawieni wobec decentralizacji, która dzieli kompetencje między państwo a wspólnoty terytorialne. W ich oczach jest z tego podwójna korzyść: decentralizacja ogranicza pole interwencji Państwa, zwłaszcza gdy jest ono w rękach lewicy; pozwala także rozwijać się inicjatywie lokalnej. Prawica ta bywa zatem często solidarna z lokalnymi osobistościami. Początkiem jej podźwignięcia się po katastroficznych latach czterdziestych XX wieku było właśnie przegrupowanie się obywateli wybranych do lokalnych władz w ramach Narodowego Centrum Niezależnych i Chłopów (CNIP). Prawica liberalna nie ma w odniesieniu do ciał pośrednich i – mówiąc bardziej ogólnie – wobec społeczeństwa obywatelskiego tak nieufnej reakcji ani tych samych przesądów, jakie mają inne tradycje polityczne. To dlatego, że nie obawia się wielości opinii ani wielości partnerów. To jeden z punktów, w których prawica liberalna najostrej odróżnia się od gaullizmu, cechującego się z kolei swoistą namiętnością dla jedności. Ci, których nazywamy liberałami, nie są mniej przywiązani do jedności narodowej uważanej za najwyższe dobro czy do wewnętrznej spójności społeczeństwa, ale nie mają takiej samej, przymuszającej wizji jedności: wedle liberałów jedność nie jest synonimem uniformizmu ani wyłączności czy jedyności. Jedność w rozumieniu liberalnym nie kłóci się z różnorodnością: nie wyklucza różnic, a nawet rozbieżności, które polityka ma rozstrzygać. Pluralizm, dopuszczony i zagwarantowany instytucjonalnie, jest cechą demokracji i kryterium jej autentyczności.

Takie są główne linie systemu myślowego, któremu świeci gwiazda wolności: inspiruje on liberalną prawicę, a ona do niego nawiązuje. Nie wolno zapominać, że opis ten odnosi się do wymiaru ideowego: praktyka, zachowania i uzależnione od okoliczności wybory nie zawsze ściśle mu odpowiadają. Co więcej, nie zawsze i nie wszyscy liberałowie są idealnie spójni: zapominają niekiedy objąć konsekwencjami swych postulatów wszystkie dziedziny. Na przykład ci, którzy sprzeciwiają się interwencji władz publicznych w działalność gospodarczą, uznają za pożądaną kontrolę indywidualnych zachowań w celu regulowania obyczajów i domagają się pewnego moralnego ładu.

Nie należy zapominać, że we Francji w odróżnieniu od świata anglosaskiego – nie ma w ogóle prawdziwych liberałów – mam na myśli liberałów odrzucających wszelkie regulacje pochodzące od władzy. Z wyjątkiem garści polityków i kilku ekonomistów, nasz kraj nie zna liberałów, którzy żywiliby takie zaufanie do wolności, aby uczynić z niej motor wszelkiej

działalności i regułę gry politycznej. Na naszej prawicy utrzymuje się wierność tradycji colbertowskiej, doceniającej rolę państwa jako warunek narodowej wielkości. Na lewicy bardziej cenią równość niż wolność i wolą solidarność wszystkich obywateli niż inicjatywę indywidualną. Wszyscy Francuzi przywiązani są do opieki społecznej, uznawanej za główny element narodowej umowy. I dlatego nawet najwięksi liberałowie godzą się „układać z realiami”. Ten umiarkowany liberalizm pozwala Francji unikać doświadczeń związanych z tak gwałtownymi i namiętnymi konfliktami ideologicznymi, jakie miały miejsce w Wielkiej Brytanii pod rządami Margaret Thatcher czy w Stanach Zjednoczonych pod rządami Ronalda Reagana i George’a Busha. Umożliwia on także współpracę tych niepodobnych do siebie prawic w rządzie lub w opozycji.

## **Gaullizm**

Gaullizm wprowadził na scenę sił politycznych – jak do symfonii dotychczasowych tradycji myślenia – nowy motyw: składnik, który mocno zaważył w historii polityki francuskiej od zakończenia drugiej wojny światowej po dzień dzisiejszy. Jego pojawienie się w 1947 roku zmieniło bieg Czwartej Republiki. W 1958 roku wytyczył ujście ustrojowego kryzysu i określił sposób jego rozwiązania. Odtąd jego obecność przy władzy lub w opozycji odgrywała prawie zawsze determinującą rolę w życiu Piątej Republiki. Jego skutki, bezpośrednie lub pośrednie, miały nie mniejszy wpływ na wszystkie prawice, z którymi utrzymywał złożone i ambiwalentne relacje. Czy sam gaullizm nie był jedną z nich? Był nową prawicą – czy wcieleniem jakiejś starszej? Niezależnie od odpowiedzi na te pytania, żadne studium dotyczące prawic w ostatnim sześćdziesięcioleciu nie mogłoby uniknąć konfrontacji z tym politycznym faktem pierwszej wielkości, który nazywa się gaullizmem.

### **De Gaulle i gaullizm**

Ruch ten wziął swą nazwę od nazwiska postaci: Charles’a de Gaulle’a. Fakt ten nie jest czymś wyjątkowym: o ile na lewicy większość wielkich nurtów ideowych nosi nazwy bezosobowe pochodzące od doktryn lub filozofii albo określa się przez odniesienie do abstrakcyjnych pojęć (socjalizm, komunizm) lub też przez zajmowaną pozycję (radykałizm) –

to na prawicy spis naszych politycznych formacji zawiera więcej niż jedną prawicę, która bierze swą nazwę od imienia założyciela lub inspiratora: Trzecia Republika doświadczyła ruchu boulanżystowskiego, Czwarta Republika – poujadyzmu. Te dwa przykłady mogłyby wskazywać, że tego rodzaju nazwy są stosowane raczej wobec ruchów przejściowych, przypominających atak gorączki i będących odpowiedzią na sytuacje kryzysowe, niż w odniesieniu do stabilnych nurtów proponujących jakąś globalną wizję. Ale czyż jedna z naszych trzech historycznych prawic nie wpisała się do księgi stanu cywilnego ideologii politycznych pod nazwiskiem Napoleona, jako bonapartyzm? Czy zatem ta personalizacja szkół politycznych byłaby cechą charakterystyczną ruchów prawicowych? Należy wystrzegać się wyciągania z tych kilku przykładów, sugerujących powierzchowną analogię, jakichkolwiek wniosków dotyczących ewentualnego pokrewieństwa między tymi różnymi nurtami politycznymi.

Generał de Gaulle wcale nie cenił sobie takiego sposobu używania swego nazwiska: on sam, choć zdarzało mu się mówić o sobie w trzeciej osobie, to nie używał nazwy „gaulliści” dla określenia swych zwolenników ani nie zachęcał ich do jej używania. Nawet oficjalnie odradził to tym z nich, którzy pragnęli posługiwać się prestiżem jego nazwiska dla celów wyborczych w sytuacji decydującej: było to jesienią 1958 roku, przed zbliżającymi się wyborami parlamentarnymi, mającymi na celu wyłonić pierwsze Zgromadzenie Narodowe nowego ustroju. Obawiając się spekulowania swoim nazwiskiem przez zwolenników Algierii francuskiej, podczas gdy on chciał właśnie uwolnić się od opieki aktorów wydarzeń z 13 maja – de Gaulle wyraźnie zakazał, by jego nazwisko figurowało w tytułach list wyborczych „nawet w formie przymiotnikowej”. On sam zawsze nadawał lub zezwalał nadawać grupującym jego zwolenników formacjom politycznym nazwy ogólne, odwołujące się do istoty sprawy – Zgromadzenie Ludu Francuskiego, Unia na rzecz Nowej Republiki, UD V<sup>e</sup>, Unia na rzecz Obrony Republiki. Częste używanie przyimka „na rzecz” świadczy o intencji wskazania celów i określenia ideowych zadań: Francja, demokracja, republika. Gaullizm nie należy zatem do ruchów politycznych mających za jedyny cel posłużyć czyjejś osobistej ambicji albo dostarczyć wiernego poparcia władzy. Dowód: gaullizm przeżył swego założyciela; ani jego odejście z polityki w kwietniu 1969 roku, ani jego śmierć w roku 1970 nie pociągnęły za sobą zatarcia imienia generała de Gaulle’a; w trzydzieści lat później mówi się jeszcze o gaullizmie z tym że niekiedy do nazwy pochodzącej od nazwiska założyciela dodawać trzeba rozmaite prefiksy i sufiksy, które wpisują gaullizm w dalszy bieg historii: są więc arche-gaulliści czy – częściej – neogaulliści; ta pierwsza nazwa akcentuje niezmiennność gaullistowskiego programu, ta druga – nową strategię jego spadkobierców.



Choć gaullizm przetrwał niezależnie od osoby Charles'a de Gaulle'a, to jego związki z postacią Generała są nie mniej silne. Gaullizm zawiera pewien wymiar uczuciowy, wzbudzany przez podziw dla wyjątkowej osobistości, uznanie jej historycznej roli, przekonanie o jego absolutnej bezinteresowności w służbie Francji. To przede wszystkim uczucia jego pierwszej generacji, generacji „gaullistów historycznych”, którzy dołączyli do generała w walce Wolnej Francji i ruchu oporu, tych, których właśnie nazywano jego towarzyszami, takich jak Michel Debré, Chaban-Delmas, Messmer, z których wielu towarzyszyło mu we wszystkich rozdziałach jego osobistej historii: dostarczyli kadr dla RPF, znaleźli się w pierwszych gabinetach Piątej Republiki, pozostali mu wierni po roku 1969. Uczestniczyli w nadawaniu oblicza gaullizmowi politycznemu. Nadeszły potem trzy lub nawet cztery pokolenia, w których nie było już tych samych więzi i wspomnień: ich uczucia będą już inne, ale zawsze – prawie aż do naszych czasów – będzie w nich pewien odcień wrażliwości, pewien kult dla tej postaci, stanowiący rys charakterystyczny gaullistowskiej kultury politycznej. Jacques Chirac będzie celował w pobudzaniu i mobilizowaniu dla własnych potrzeb tego kapitału sympatii i oddania.

Ale gaullizm to także coś innego: pewna polityczna filozofia. Nie zyskałby od razu tak wielkiego posłuchu pośród wyborców, nie oparłby się upływowi czasu tak, jak się oparł, gdyby nie zawierał w sobie także – a może przede wszystkim – pewnego zbioru przekonań i aspiracji, dzięki któremu można mu poświęcić osobne studium w książce mającej za przedmiot idee polityczne. Są to, oczywiście, idee generała de Gaulle'a, idee, z których go znano – bo rzeczywiście je głosił – i te, które mu przypisywano. Ale de Gaulle nie był doktrynerem, a w jeszcze mniejszym stopniu – ideologiem, twórcą systemów. Czerpiąc inspirację dla swej działalności z silnych, jak najgłębszych przekonań, będąc wszystkim, tylko nie oportunistą, nigdy nie troszczył się o sformułowanie doktryny politycznej. Zresztą wcale nie wierzył w ideologie jako przyczyny działania; świadczy o tym jego uparta skłonność do określania obcych krajów wedle ich geograficznego położenia albo ich nazwą historyczną: nie uznawał Związku Radzieckiego, ale Rosję, co do której uważał, że jej dyplomacja i polityka zagraniczna kierowana jest bardziej interesami państwa będącego spadkobiercą carów niż komunistyczną frazeologią. Podobnie traktował Niemiecką Republikę Demokratyczną, która określał wyliczaniem tworzących ją landów: Prusy, Saksonia, czy Turyngia.

Jednak gaullizm równie dobrze, jak przez idee, definiuje się przez historyczną rolę swego inspiratora, może nawet ta rola jest tu ważniejsza. Akt założycielski gaullizmu był najpierw gestem rozpoczynającym pewną epopeję, był tak ważny, gdyż z powodu swej

symbolicznej nośności miał wartość przykładu: był to ów słynny apel z 18 czerwca 1940 roku – dnia obchodzonego później jako święto narodowe. Ten gest był odmową. Nie tylko odmową rozejmu, ogłoszonego dzień wcześniej przez starego marszałka Petaina, ale także niezgodą na porażkę i na wyrzeczenie się kontynuowania wojny. Był, ujmując rzecz głębiej, odmową, której los został nieodwołalnie postanowiony. Miał przez to doniosłe konsekwencje: miał znaczenie moralne i filozoficzne, określające pierwszą warstwę wirtualnego jeszcze wówczas gaullizmu.

Jego znaczenie moralne tkwi w odwołaniu się do honoru i wierności danemu słowu, i nie może być narzucone żadnym zbiegiem okoliczności; powód, dla którego Francja weszła do wojny w 1939 roku, nie stracił swej ważności tylko dlatego, że los walki obrócił się w roku 1940 na naszą niekorzyść. Ta moralność, która nie godzi się na ugodę z nieprzyjacielem, a tym bardziej na odwrócenie sojuszy, przeciwstawia się „realipolitik”, wszelkiej oportunistycznej polityce nie znającej innej zasady, jak tylko egoizm państwa, przeciwstawia się zatem machiawelizmowi, takiemu jak rozumie go powszechna opinia.

Nieposłuszeństwo generała de Gaulle’a – w imię wyższych zasad – wobec rządu, który uformował się pod władzą marszałka Petaina i który miał bez wątpienia wszystkie cechy legalności, wprowadziło do naszej filozofii politycznej pewne niezwykle pojęcie, pojęcie „legitymizacji” – różne od pojęcia „legalności”. Rozróżnienie to wywołało wówczas spór, który nie jest zamknięty jeszcze dzisiaj: uznając, że pojęcie legitymizacji nie pokrywa się z pojęciem legalności, uznaje się wyższość legitymizacji. Decyzja rządowa czy ustawa uchwalona przez parlament może być bez zarzutu co do legalności, jeśli została powzięta zgodnie z warunkami zawartymi w tekstach prawnych regulujących funkcjonowanie instytucji państwowych, a mimo to może nie być legitymizowana – jeśli narusza pewne zasady prawa. Rozróżnienie to było praktycznie nieznane kulturze politycznej przed klęską z roku 1940: gdy jakaś ustawa przyjęta została w przepisowych warunkach prawnych – obowiązywała w sumieniu każdego obywatela, a w pierwszym rządzie – każdego funkcjonariusza państwowego. To pomieszanie pojęć tłumaczy, dlaczego tak wielu urzędników i funkcjonariuszy zastosowało się do ustawodawstwa Vichy, niesprawiedliwego, bo dyskryminującego, zamiast poczuć się zwolnionym z obowiązku posłuszeństwa, nawet jeśli mieliby wyrzuty sumienia. Odmowa de Gaulle’a zawarcia rozejmu z Niemcami otworzyła w tym dotychczasowym systemie szczelinę, która już się nie zamknie. Odwoływanie się do 18 czerwca obróci się nawet przeciw generałowi: po jego powrocie do

władzy w roku 1958 niektórzy, jak Pierre Mendès France<sup>80</sup> czy François Mitterrand, przywołali ten przykład, by odmówić mu swych głosów z powodu okoliczności, które – ich zdaniem – kompromitowały legitymizację władzy generała. Młodzi oficerowie, którzy zbuntowali się przeciw polityce Generała w Algierii, odwołają się także do tamtego precedensu z 18 czerwca; nie jest to zwykły przypadek, że między uczestnikami puczu z 21 kwietnia 1961 roku znajdowali się byli członkowie antyniemieckiego ruchu oporu: zrozumieli lekcję z 18 czerwca, nawet jeśli wyciągnęli z niej konsekwencje, która nakazały im zbuntować się przeciw de Gaulle’owi. A zatem gaullizm wniósł pewną nową jakość do politycznej debaty: czy jest nadużyciem myśleć, że wyjątkowa waga, jaką przywiązuje się dzisiaj do pojęcia „państwa prawa”, jest pośrednim i spóźnionym skutkiem tamtego dnia, 18 czerwca? W każdym razie nawet jeśli jego autorzy nie przewidywali prawdopodobnie wszystkich możliwości rozwoju sytuacji, to z pewnością Konstytucja Piątej Republiki, zrodzona z gaullizmu – wpisując do swego tekstu rozróżnienie między legitymizacją a legalnością – ustanowiła kontrolę konstytucyjności ustaw, a implikacją tej kontroli jest zasada głosząca, że ustawa przyjęta przepisową większością demokratyczną może być sprzeczna z powszechnymi zasadami prawa: konstytucja ustanowiła w tym celu stosowne sądownictwo – Radę Konstytucyjną, od której decyzji nie ma odwołania, gdyż obowiązują one wszystkie inne władze. Taki był historyczny zasięg tamtego szczególnego gestu, będącego założycielskim aktem gaullizmu.

Gest ten miał także znaczenie czysto filozoficzne: był niezgodą na fatalizm. Nie godząc się na uznanie porażki za nieodwołalną – deklarował, że bieg historii nie jest nieodwracalny: może być zmieniony, a nawet odwrócony mocą ludzkiej woli i energii. Było to potwierdzenie wolności przeciw wszelkiemu determinizmowi, łącznie z determinizmem praw uznawanych za rządzące gospodarką: ponad wolnym rynkiem, jako regulatorem gospodarki, istnieje wola polityczna. Znane jest powiedzenie generała de Gaulle’a: „Polityki Francji nie tworzą maklerzy”. Gaullizm jest woluntaryzmem i aktem wiary w rządy wolności; już z tego względu jest myślą polityczną.

---

<sup>80</sup> Pierre Mèndes France (1907–1982) – polityk związany z Partią Radykalną, przed wojną najmłodszy członek Zgromadzenia Narodowego, służył w siłach Wolnej Francji. Premier w okresie Czwartej Republiki, negocjował porozumienie kończące wojnę w Indochinach; przeciwnik polityki de Gaulle’a.

Czynnikiem sprawczym woli politycznej, który wciela ją w życie, jest państwo. I nie może nim być nikt inny. To ono wykuło naród. Czy istniałby jakiś „naród francuski” bez państwa? Tylko ono zdolne jest zrozumieć interes ogólny narodu i sprawić, by górował on nad interesami partykularnymi. Wszystkie inne grupy przywiązane są do zachowania swych własnych korzyści: ekonomiczni samowładcy, korporacje, kategorie społeczne, partie polityczne. Tylko państwo ma wystarczające środki, zwłaszcza w sytuacjach wyjątkowych. Tylko państwo rozumie jeszcze w kategoriach trwania i może dokonywać wyborów, nawet niepopularnych, zabezpieczających przyszłość. To do państwa należy w szczególności działać na rzecz dostosowywania gospodarki i społeczeństwa do niezbędnych zmian i wdrażać niezbędne reformy. Gaullizm nie ma uprzedzeń wobec zmian. Nie jest ani rozmiłowany w przeszłości, ani nostalgiczny wobec minionych czasów, czasów „żałóg, nawigacji żaglowej i lamp naftowych”, jak to przypomni kiedyś generał de Gaulle. Nie jest z zasady konserwatywny, ani tym bardziej – reakcjonistyczny. Jest przekonany o konieczności modernizacji. Francja musi „poślubić swe czasy”; to nakaz, warunek, by zachować swe miejsce w świecie. Domaga się, by Francja nadrabiała opóźnienie spowodowane nieudolnością zbyt słabych rządów, kryzysem gospodarczym i klęską w roku 1940. Odczytany w Bergsonie de Gaulle skłania się do idei twórczej ewolucji. Czujnie śledzi innowacje techniczne, które modyfikują zastany świat, i docenia pozytywne strony postępu technicznego dla człowieka czynu. Przed rokiem 1939 antycypował już tę głęboką przemianę, jaką wniesie w strategię militarną element szybkości, skutek kombinacji silnika i pancerza. Po wojnie wyciągnie konsekwencje z pojawienia się broni nuklearnej. Otworzy się także na naukę ekonomii i demografię.

Państwo musi więc być silne i szanowane. Stąd wzięły się instytucjonalne zamierzenia generała, przedstawione po raz pierwszy w przemówieniu wygłoszonym w Bayeux, w 1946 roku, które doprowadziły go do zajęcia stanowiska przeciwnego Konstytucji Czwartej Republiki, a które przedłożył obywatelom do akceptacji w tekście nowej konstytucji, zaproponowanej w roku 1958. Zamierzenia te zmierzały do przywrócenia równowagi między władzami, do powściągnięcia wszechwładzy parlamentu i uniemożliwienia powrotu do wyłącznych rządów partii politycznych.

Nie ma mowy o zmianie zasady podziału władz ani zniesieniu odrębności odpowiadających im organów. Ale trzeba czuwać, żeby parlament nie uzurpował sobie prerogatyw władzy wykonawczej ani nie przeszkadzał w jej swobodnym działaniu.

W konsekwencji debata parlamentarna zostanie ujęta w sieć regulacji, które zamkną ją w ściśle nakreślonych granicach. Wszystko podporządkowane jest prymatowi funkcji prezydenta i ma na celu zapewnienie stabilności rządu. Ten sam wzorzec występuje w organizacji i funkcjonowaniu partii gaullistowskiej. Jej założyciele – od RPF po RPR – wyposażyli ją w statut, który przypomina tak zwany centralizm demokratyczny Partii Komunistycznej. Dopiero gdy w 2001 roku na czele RPR staje Philippe Séguin, członkowie partii ingerują w wybór przewodniczącego. Ich kultura polityczna nie usposabia gaullistów do debatowania: są bardziej przyzwyczajeni do zwierania szeregów i stania murem za swym kierownictwem. Stąd bierze się uporczywa niechęć wobec uznania istnienia innych wrażliwości i sprzeciw wobec ukonstytuowania się w ramach UMP różnych orientacji, chociaż projekt połączenia wszystkich prawic wymagał, w konsekwencji, zaakceptowania pewnego wewnętrznego pluralizmu. Być może była to także – poważniejsza niż inne – przeszkoda w ułożeniu zrównoważonych stosunków z tymi spośród prawic, które odmówiły roztopienia się w UMP.

#### Tylko demokracja legitymizuje

Aby być silnym i cieszyć się poważaniem – państwo musi mieć legitymizację: tu tkwi problem. De Gaulle jest przekonany, że w naszych czasach nie ma już innej zasady legitymizującej, jak tylko suwerenność ludu, ani innego źródła władzy, jak tylko demokratycznie wyrażona wola narodu. W ten sposób de Gaulle okazuje się demokratą bardziej – być może – ze względów racjonalnych niż z usposobienia; ale czyż nie dzieje się tak często z najbardziej zagorzałymi obrońcami określonego systemu? To przecież w wyniku rozumowania, w którym element kalkulacji miał większy udział niż żarliwość uczucia, Charles Maurras nawrócił się na ideę monarchiczną. De Gaulle, przyszły prezydent Republiki, w swej rodzinnej tradycji nie znajdował żadnej przeszkody dla zaakceptowania demokracji: jego ojciec nie był antydreyfusistą – a Odile Rudelle pokazała, że na jej formację intelektualną miał wpływ liberalny, katolicki periodyk „Le Correspondant”. Doświadczenie historyczne przekonało go o szkodliwości reżimów totalitarnych, podczas gdy obraz Wielkiej Brytanii uczestniczącej w wojnie – której losy podzielał przecież jako emigrant w Londynie – pokazywał zdolność demokracji do trwania w oporze. W roku 1958, w trakcie słynnej konferencji prasowej, obróci w żart podejrzenie, jakie niektórzy kierowali pod jego adresem, jakoby zapragnął kariery dyktatora: „Mając sześćdziesiąt siedem lat” – zapytał. Nie jeden raz inicjatywy generała świadczyć będą o szczerości jego deklaracji i przyczynią się do postępu

demokracji w życiu politycznym. W roku 1944, w przededniu oswobodzenia francuskiego terytorium i przywrócenia normalnego życia politycznego, przyzna kobietom prawo głosowania, przed czym tak uporczywie wzbranieli się republikanie: wybory są więc nareszcie powszechne; de Gaulle wpisuje się w nurt rewolucji roku 1848. Wybierając w roku 1945 wariant poddania pod osąd całego narodu określonych propozycji przyszłych instytucji ustrojowych – oczyszcza praktykę referendum z zalatującego siarką zapachu, jaki unosił się wokół niej od czasów autokratycznego cesarstwa, i wykazuje różnicę między referendodem demokratycznym a plebiscytem na usługach osoby panującej: w roku 2004 lewicowi demokraci podniosą jako pierwszy żądanie, by w kwestii konstytucji europejskiej wypowiedział się bezpośrednio, w referendum, sam naród. W roku 1962 de Gaulle podjął inicjatywę zmiany, która od wąskiego grona kolegów elektorских – przekazała całemu ludowi prawo wyboru głowy państwa: de Gaulle jest bardziej demokratą niż liberałem. Wreszcie konsekwencja, jaką – ustępując w roku 1969 – sam wyciągnął wobec siebie z nieufności okazanej mu przez wyborców (którzy odrzucili projekt, jaki im przedstawił), rozwiązała resztki wątpliwości co do szczerości jego zaangażowania się w demokrację.

W demokrację polityczną – ale także społeczną: gaullizm w rozumieniu jego twórcy zawiera w sobie pewien wymiar socjalny – to jeden z elementów, które powstrzymują przed mieszaniem gaullizmu z prawicą liberalną lub konserwatywną. Jeśli ów wymiar socjalny może przerzucać pomost w stronę lewicy, cechująca go wola ograniczania nierówności społecznych nie wynika z takich samych założeń ani z takich samych motywów: troska o sprawiedliwość społeczną nie jest tu nieobecna, ale w wypadku gaullizmu inspirowana jest bardziej przez naukę społeczną Kościoła niż przez lekturę marksistowskich filozofów albo socjologów z różnych socjalistycznych szkół. To żywe i szczere przejęcie się czynnikiem socjalnym wpisuje się w przedłużenie czysto politycznej myśli gaullistowskiej: stanowi całość z charakterystyczną dla niej pasją dla wielkości Francji i wyobrażeniem o roli państwa. Siła danego narodu bierze się z uczestnictwa wszystkich jego dzieci; spójność społeczna jest warunkiem jedności. Nie ma jednego bez drugiego: jeśli władza publiczna pozostawia obozujących pod bramami miasta „proletariuszy” samym sobie, bierze na siebie ryzyko, że w dniu ciężkiej próby jedność narodowa rozleci się na kawałki. Zatem państwo jest odpowiedzialne za walkę z czynnikami podziału i rozpadu społeczeństwa.

Państwo gaullistowskie wierne jest pewnej tradycji historycznej, wkraczając jako arbiter między słabych i potężnych w celu przywrócenia równowagi, która byłaby narażona w państwie czysto liberalnym. Tradycja ta to stary alians monarchii Kapetyngów ze stanem trzecim przeciw arystokracji, alians z ludem przeciw uprzywilejowanym. W XX wieku

wrogiem nie jest już, rzecz jasna, feudalizm, ale ta walka nie jest zakończona. „Feudalizm” naszych czasów nosi imię międzynarodowych grup finansowych potężnych siłą pieniądza, koncernów prasowych, ale także – partii politycznych. Do państwa należy zapewnienie, przy pomocy ludu – który nadaje mu legitymizację – jedności i sprawiedliwości, celem ograniczania nierówności dziedzicznych wraz z urodzeniem albo zrodzonych w drodze ewolucji i wdrażania mniej nierównego podziału owoców pracy wszystkich. Co do środków osiągania tego celu – gaullizm nie jest dogmatyczny: generał de Gaulle bez większych skrupułów zwróci się w roku 1945 w stronę koncepcji powrotu do wielkich sektorów produkcji; nacjonalizacje nie kłócą się z jego Colbertyzmem. Ale odrzuci kolektywizm, który konfiskuje podstawowe wolności i ustanawia opresyjne rządy nad wszelką aktywnością obywatelską, jak również zaneguje liberalny kapitalizm, w którym krytykuje prymat zysku i poświęcanie interesu ogólnego dla interesów lepiej zorganizowanych grup. Jak gdyby wierzył w możliwość trzeciej drogi, pośredniej między obydwoma tymi ślepyimi zaułkami: stąd zainteresowanie de Gaulle’a planami sprzęgnięcia pracy i kapitału, jego sympatia dla projektów wprowadzających udział pracownika w zysku przedsiębiorstwa i waga, jaką przywiązywał do tematu tej partycypacji w czasach swej prezydentury. Nie tylko zresztą po partycypacji w zyskach, ale także w decyzjach, łącznie z decydowaniem o wspólnych sprawach w radach miejskich, w lokalnym samorządzie, a nawet – na uniwersytetach. Według niego – demokracja wdraża się i określa się poprzez partycypację.

## Suwerenność

Wyjątkowe pierwszeństwo przyznane narodowej jedności ma swe tło i konsekwencje w rozumieniu stosunków międzynarodowych zdecydowanie sprzeciwiającym się odejściu, choćby w najmniejszym stopniu, od suwerenności. Stąd brała się nieufność de Gaulle’a wobec międzynarodowych organizacji i jego kategoryczny sprzeciw wobec wszelkiego „uczestnictwa” i „delegowania suwerennych uprawnień”: Francja jest jedynym sędzią swych własnych interesów i musi pozostać panią swego losu. W łonie formacji gaullistowskich, albo tych, których polityczną orientację gaulliści kontrolują, występuje zawsze tendencja, by stawać w roli czujnego i bezwzględnego strażnika absolutnej niezależności Francji i jej suwerenności, i to jeszcze zanim pojęcie „suwerenisty” weszło do potocznego języka: stąd lista wyborcza gaullistów sporządzona przed wyborami do Parlamentu Europejskiego w roku 1979, pod nazwą Obrona Francuskich Interesów w Europie, stąd pamiętna kandydatura Michela Debrégo w wyborach prezydenckich z roku 1981, wreszcie i dzisiejsze

potwierdzenie nurtu suwerennościowego w postaci ugrupowania Powstań Republiki, kierowanego przez deputowanego UMP, Nicolasa Duponta-Aignana<sup>81</sup>. Ten odłam opinii publicznej skłonny jest przypisywać liberalnym sprzymierzeńcom obojętność wobec ojczyzny i podejrzaną życzliwość wobec zagranicy – tak bardzo dążenie do wzmocnienia najważniejszych interesów Francji wydaje mu się sprzeczne z podejmowaniem prawnych zobowiązań wobec innych państw lub organizacji międzynarodowych.

Symetrycznie – społeczna filozofia tej szkoły myślenia nie dopuszcza, by państwo mogło przekazywać do wewnątrz dalsze części swej suwerenności: głęboko przeciwstawia się wszelkiemu podziałowi kompetencji. Decentralizacja nie jest częścią jej programu. Jedynie państwo ma właściwy obraz interesu ogólnego: wspólnoty terytorialne rozumują jedynie w swojej skali. Skutkiem decentralizacji byłoby odtworzenie zazdrosnych o swe prerogatywy oligarchii. Odwieczna walka jedności przeciw partykularyzmem, państwa przeciw przejawom feudalizmu – nie jest zakończona. Gaulliści obawiają się, że powstanie samorządów lokalnych i wspólnot terytorialnych może zakwestionować skutek dziesięciu wieków pracy nad zjednoczeniem Francji. Jean-Louis Debré pozostaje wierny rodzinnej tradycji gaullizmu, gdy potępia tych, których piętnuje jako „integrystów decentralizacji”: odzwierciedla ów stan umysłu, który postrzega wszelką różnorodność jako zagrożenie narodowej spójności i jedności.

Ten sam stan umysłu motywuje nieufność gaullizmu wobec wszelkiej społecznej rzeczywistości, która mogłaby wcisnąć się między obywateli a władzę państwową. Ta „religia jedności” wyklucza, by państwo uwzględniało różnorodność społeczeństwa zwanego obywatelskim, a tym bardziej ustanawiało z tym czy innym jego składnikiem stosunki partnerskie. Gaullizm jest nieufny wobec wszystkiego, co umożliwiałoby powstanie ciał pośrednich. Nieufność wobec partii politycznych rozciąga się na wszelkie inne organizacje, instytucje czy ruchy – związki zawodowe, stowarzyszenia, towarzystwa, Kościoły – które trzeba trzymać w ryzach. Ten niepokój prowadzi do bardzo oszczędnego udzielania im koncesji wolności, bo każda taka koncesja grozi pęknięciem w systemie broniącym jedności społeczeństwa. Jednak reforma Senatu zalecana przez de Gaulle’a w roku 1969, zakładająca połączenie tej izby z Radą Gospodarczą i Społeczną, implikowała uznanie społeczeństwa obywatelskiego i akceptację jego pluralizmu.

Zwolennicy tej koncepcji państwa znajdują się, naturalnie, w pierwszych szeregach przeciwników wszelkich ustępstw na rzecz wspólnotowości. Są przywiązani do ścisłej

<sup>81</sup> Nicolas Dupont-Aignan (ur. 1961) – krytyk integracji europejskiej, należał do Unii na rzecz Ruchu Ludowego (UMP), w 2007 roku założył własną partię o nazwie Powstań Republiki i bez powodzenia próbował startu w wyborach prezydenckich (nie zebrał wymaganych pięciuset tysięcy podpisów).



interpretacji laickości państwa i nie jest kwestią przypadku, że misja parlamentarna, którą zainicjował w 2003 roku Jean-Louis Debré, przewodniczący Zgromadzenia Narodowego, zaproponowała zakaz noszenia wszelkich symboli religijnych; ich akceptacja mogłaby doprowadzić do ujawnienia się różnorodności wyznań w takim miejscu – w szkole – które ma być właśnie miejscem chronionym: bo tam przecież powstaje i kształtuje się narodowa jedność.

I w ten sposób to podstawowe odniesienie do jedności inspirowane – bezpośrednio lub pośrednio – stanowiska gaullistów wobec wszystkich problemów, jakie niesie życie w społeczeństwie: organizacji władz publicznych, stosunków między ciałem politycznym a społeczeństwem, stosunków międzynarodowych. Gruntuje ono spójność tego systemu politycznego, która zapewnia tej konfiguracji stabilność.

Ten zespół zasad, punktów odniesienia, imperatywów – które należy kolejno uwzględnić w analizie – tworzy, jak widać, pewną spójną całość mającą swą logikę. Wielkość Francji i jedność narodu, pierwszeństwo państwa, suwerenność ludu wyrażana w powszechnym głosowaniu wszystkich obywateli, pierwszeństwo czynnika wykonawczego nad debatującymi zgromadzeniami, pozytywne nastawienie wobec unowocześniania, uznawanie potrzeby zmian i nakaz reform: to główne elementy składowe globalnej wizji polityki, której odpowiada nazwa „gaullizm”. Taka była koncepcja, która inspirowała działalność generała de Gaulle’a, a także formacji, które od ponad półwiecza powołują się na jego imię, dzieło i myśl.

## Gaullizm a bonapartyzm

Gaullizm wprowadził do politycznej gry jeden składnik więcej: temu nie da się zaprzeczyć. Ale czy jest to element całkowicie nowy? Historyk wie z doświadczenia, że nic nie jest tak rzadkie, jak absolutna nowość. Mniemane nowości są zazwyczaj rewitalizowanymi kompozycjami złożonymi ze starych materiałów. Co z nich znajduje się w gaullizmie jako politycznej tradycji?

Czy nie mieliśmy poczucia jakiegoś *déjà vu*, gdy wyliczaliśmy jego główne składniki? To połączenie suwerenności ludu i dążenia do silnej władzy, ten alians autorytetu i demokracji, powodowany potrzebą harmonizowania społeczeństwa, a wszystko to z intencją, wręcz skłonnością do unowocześniania – czy nie spotkaliśmy się już z tym w naszej własnej historii?

Dostrzeżenie tych analogii doprowadziło mnie wcześniej do wpisania gaullizmu w tradycję bonapartystowską. Powodowany tyleż troską o ustalenie ojcostwa (ojcem prawicy kontrrewolucyjnej był legitymizm, a prawic liberalnych – orleanizm), co upodobaniem do symetrii, uległem dwóm innym motywacjom, których aktualność w początkach Piątej Republiki była szczególnie nagła. Z jednej strony było sprawą zasadniczą, dla dokładnego zrozumienia wydarzeń i właściwego uchwycenia ich sensu, wyjaśnienie pomyłki polegającej na myleniu gaullizmu z jakąś możliwą formą faszyzmu, któremu to podejrzeniu – co trzeba przyznać – pewien pozór prawdopodobieństwa nadawały okoliczności powrotu generała de Gaulle’a do władzy. Z drugiej strony, zważywszy, że do jego osoby i jego programu dołączyła niemal cała prawica we wszystkich swych odmianach – istniała pokusa, by widzieć w gaullizmie instrument społecznego konserwatyzmu. Interpretatorzy spod znaku marksistowskiej wulgaty tłumaczyli wówczas uczenie, że władza gaullistowska została narzucona przez wielki kapitał, aby prowadzić politykę odpowiadającą bankierom (czyż de Gaulle nie wziął sobie na dyrektora swego gabinetu Georges’a Pompidou, który wcześniej pracował w banku Rothschilda?), a Partia Komunistyczna rozpowszechniała tę wersję. Najmądrzejsi komentatorzy, Raymond Aron, Georges Vedel, Maurice Duverger wahali się co do definicji istoty nowego ustroju między dwoma określeniami: albo to będzie prawica orleanistyczna, albo prawica liberalna. Moją odpowiedzią było, że nowy ustrój skłaniał się będzie bardziej ku bonapartyzmowi niż orleanizmowi. Dalszy bieg wydarzeń, jak mi się wydaje, potwierdził tę diagnozę.

Muszę przyznać, że spośród wszystkich moich intuicji i hipotez ta była najbardziej kwestionowana; krytykowali ją zwłaszcza – o czym już wspominałem –dwaj wyśmienici znawcy historii sił i idei politycznych, których zdanie zawsze był dla mnie niezwykle cenne (obydwaj już nie żyją), François Goguela i Jeana Toucharda. Ani jeden, ani drugi nie podpisali się wcale pod hipotezą o bezpośrednim związku bonapartyzmu z gaullizmem: była to prawdopodobnie najsłabiej udowodniona część mojej ówczesnej interpretacji.

A jednak, nawet w ponad trzydzieści lat po śmierci generała de Gaulle’a, podtrzymuję swą interpretacyjną propozycję. Muszę ją tylko stosownie doprecyzować. Naszkicowana bliskość między gaullizmem a bonapartyzmem dotyczy zasadniczo idei: opiera się na analogii podejmowanych tematów i na podobieństwie przyjętych odniesień. Tylko pomocniczo odwołuje się do praktyki politycznej. Bliskość tę uzasadnia przekonanie, wzmocnione obserwacją, że pewne stałe konfiguracje ideowe uformowały się pod wpływem konkretnych doświadczeń politycznych, zawierających własną treść i kształtujących pewne trwałe struktury. Wiadomo, w jaki sposób reakcja na wstrząs rewolucji spowodowała powstanie

trwałej prawicy kontrrewolucyjnej. Tradycja liberalna – trwająca do dziś – była odpowiedzią na alternatywę: proklamacja wolności czy konieczność zachowania społecznego ładu? Bonapartyzm natomiast zaproponował syntezę demokracji i powagi państwa w służbie narodowej wielkości. Jego porównanie do gaullizmu nie posuwa się poza uznanie owej bliskości dążeń i głównych tematów. Sugestia, że gaullizm odwołuje się do podobnych uczuć, nie znaczy wcale, że jest w prostej linii następcą bonapartyzmu: de Gaulle nie był jakimś Napoleonem IV, ani Piąta Republika nie była jakimś Trzecim Cesarstwem. Obie postaci zbyt mocno się różnią, te różnice mają tym większe znaczenie, że w jednym i drugim wypadku ustrój państwa ma – aczkolwiek w nierównym stopniu – charakter wyraźnie personalny. Także odmienność sytuacji historycznych jest zbyt duża, bo czas dzielący doświadczenie bonapartyzmu od doświadczenia gaullizmu obejmuje przecież cały okres Trzeciej i Czwartej Republiki, grube trzy czwarte wieku, dwie wojny. Co do Drugiego Cesarstwa – wspomnienie o nim zachowane w kolektywnej pamięci niekoniecznie nastraja przychylnie.

A jednak bliskość między bonapartyzmem a gaullizmem nie jest tylko grą wyobraźni ani historyczną fantazją. Bo czy na przykład to zwykły przypadek, że jeden z tych, którzy najwierniej reprezentują autentyczny gaullizm, nawet w jego wersji socjalnej – chociaż był zbyt młody, by należeć do generacji historycznych gaullistów – ten, który był przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego, a przejściowo – przewodniczącym RPR, Philippe Séguin, w swoim czasie historyk, został biografem Napoleona III? Jego książka jest rehabilitacją tego cesarza, którego autor uważa za postać wybitną, i okazją do potwierdzenia swego przywiązania do zasadniczych idei gaullizmu. Między wieloma zasadniczymi kwestiami stanowiącymi przedmiot polityki Drugiego Cesarstwa i Piątej Republiki ujawniają się – mimo dzielących je stu lat – dziwne podobieństwa, będące czymś więcej niż dziełem przypadku.

Odlóżmy na bok te, które dotyczą instytucji. Zestawienie obydwu ustrojów wywołuje zwykle więcej polemiki niż naukowych dociekań: znana jest korzyść, jaką wyciągnął z tego François Mitterrand. Ponieważ nie mógł doprowadzić do końca długo pielęgnowanego projektu napisania tomu o 2 grudnia 1851 roku, który miał wejść do serii *Trente journées qui ont fait la France* (Trzydziestu dni, które stworzyły Francję) – książką *Le Coup d'État permanent* (Nieustający zamach stanu) rzucił bezlitosne oskarżenie wobec praktyki instytucjonalnej z początków Piątej Republiki: autorytarne cesarstwo jest w tej książce stale przywoływane. Zachodzą tu oczywiste podobieństwa. Podobne są okoliczności, w jakich wypracowywano teksty konstytucji. W pierwszej fazie przedstawiono pewne zasadnicze kierunki, do których musieli się dostosować redaktorzy tekstów. Z jedną różnicą, która nie

jest bez znaczenia: w roku 1851 sam autor zamachu stanu przedstawił pięć zasad, jakby dla usprawiedliwienia swej inicjatywy; w roku 1958 zasady takie sformułuje Zgromadzenie Narodowe, jakby gwarantując demokrację. Co do praktyki, tak w jednym, jak w drugim wypadku aktywność parlamentarzystów trzymana jest na wodzy, podczas gdy władza wykonawcza dysponuje o wiele większą inicjatywą. Ale pod rządami Piątej Republiki rząd jest odpowiedzialny wobec parlamentu, co nie miało miejsca pod rządami Drugiego Cesarstwa, gdzie władza wykonawcza nie odpowiadała wobec Ciała Ustawodawczego; ta odpowiedzialność nie była pustym zapisem: w październiku 1962 roku Zgromadzenie Ustawodawcze, przyjmując większością głosów wotum nieufności – które, prawdę mówiąc, godziło raczej w głowę państwa i usiłowało skarcić jego projekt rewizji konstytucji – odmówiło zaufania premierowi i obaliło rząd Pompidou. Księżę-prezydent uzasadniał zawieszenie wolności publicznych groźbą przewrotu społecznego i widmem agitacji socjalistycznych demokratów. Natomiast gaullistowski ośrodek władzy postawił bardziej na ukazywanie niebezpieczeństwa, jakie niesła przedłużająca się wojna w Algierii: ten konflikt może przerodzić się w wojnę domową... Zresztą sama lewica stanęła za generałem de Gaulle'em, aby uniknąć jeszcze większego zła i ugasić bunt wojskowy.

Jest więcej materiału dowodowego pozwalającego ukazać podobieństwa: na przykład kierunki działania przyjmowane przez obydwa te rządy w wielu najważniejszych przedsięwzięciach politycznych. Przywołałem wagę wojny algierskiej w pierwszych latach Piątej Republiki: ówczesni dobrze poinformowani nie omieszkali zauważyć podobieństwa między polityką nakreśloną przez Napoleona III wobec tak zwanego „królestwa arabskiego” – a polityką, jaką wybrał generał de Gaulle, poczynawszy od 1959 roku, wobec „stowarzyszonej z Francją Republiki Algierskiej”. Jeden i drugi zgodzili się na istnienie dwóch różnych narodów i rozstali się z marzeniem – czy utopią – asymilacji i połączenia tych dwóch całości, które mogło prowadzić tylko do dominacji jednych i poddaństwa drugich. Również w kwestii polityki społecznej obydwa państwa podzielają podobną troskę o sprawiedliwość, która inspirowało je do podobnych, ważnych inicjatyw: w roku 1864 Drugie Cesarstwo udzieliło robotnikom prawa do strajku, natomiast Piąta Republika w roku 1968 uznała prawo działania komórek związkowych w przedsiębiorstwach. Czy to czysty przypadek, że Napoleon III podjął w roku 1860 ryzyko narażenia się najwierniejszej części swoich wyborców, rezygnując z ochrony celnej gwarantującej francuskim producentom monopol na krajowym rynku – a w sto lat później de Gaulle (o którym sądzono, że jego powrót do władzy opóźni czy wręcz przeszkodzi wejściu w życie traktatów rzymskich i powstaniu wspólnego rynku) postanowił

przyśpieszyć celne rozbrowienie Francji i wystawił ją na wyzwanie otwartego rynku i konkurencji?

Poszukiwanie tego rodzaju „spotkań” polityki bonapartystowskiej z gaullizmem ukazałoby i inne warte porównania inicjatywy, gdybyśmy zaczęli dalej cofać się w historii, od Drugiego Cesarstwa – do Pierwszego. Gdy poszukuje się jakiegoś precedensu prefigurującego gorączkę inicjatyw podejmowanych w twórczym pośpiechu w początkach Piątej Republiki (których wdrażanie było zasługą zarówno reformatorskich zapalów Michela Debrégo, jak i inicjatyw i pomysłowości Charles’a de Gaulle’a), nieuchronnie przychodzi na myśl porównanie z rządami konsulatu. Nawet okoliczności są podobne: oto nastaje całkiem nowa władza, której opinia publiczna udziela na kilka miesięcy ograniczonego kredytu zaufania, by zmieniła co trzeba. Ten sam zakres i ta sama różnorodność działań; podobieństwo sięga aż po szczegóły podejmowanych środków. Bonaparte kładzie kres chaosowi w finansach publicznych, odbudowuje zaufanie do pieniądza, wprowadza nową monetę: nowy frank z roku 1960 to swoiste pendant tamtego „franka z germinalem”. W obydwu wypadkach kompletnie zreorganizowane zostaje sądownictwo: mapa okręgów sądowych zostaje całkowicie przerobiona w celu dostosowania jej do przemian społecznych. Oczywiście de Gaulle nie zmienił stosunków państwa z Kościołem i nie negocjował konkordatu, ale – jeśli ważność danej reformy oceniać pilnością wciąż powracającej kwestii, którą ma uregulować, i siłą namiętności, jakie kwestia ta wzbudza – czy nie ma podstaw do twierdzenia, że „ustawa Debrégo”, regulująca stosunki między nauczaniem katolickim a nauczaniem publicznym wedle nowych zasad, była czymś na kształt konkordatu, chociaż, oczywiście, nie można jej porównywać do konwencji z miesiąca messidora?

Wspólną cechą gaullizmu i bonapartyzmu jest wola interweniowania, przecinania, rozstrzygania, zmiany. Dzięki niej oddalają się od konserwatywnej powolności i ociężałości, jak i od niechęci wobec angażowania państwa w działania na żywym ciele społeczeństwa, a jeszcze bardziej – od smutnych skłonności pewnej innej prawicy, pragnącej powrócić do dyskusji nad wprowadzonymi innowacjami, ale tylko po to, by odnaleźć stan poprzedni, do którego nieustannie tęskni.

Prawica czy lewica?

Gaullizm i bonapartyzm są do siebie podobne z jeszcze jednego powodu: za sprawą swoistej ambiwalencji wobec zderzenia lewicy z prawicą. I gaullizm i bonapartyzm definiują się poprzez zasadniczą odmowę wpisania się w ten podział. Uważają go za sztuczny i starają

się go przekroczyć; schlebiają sobie, że mają zwolenników po jednej i po drugiej stronie. Cokolwiek by myśleć o tej trwałej ambicji, musi być brana poważnie. Nasuwa zasadnicze pytanie: jeśli prawdą jest, że gaullizm nie identyfikuje się z żadną prawicą – to co robi w tej książce, której celem jest prezentacja panoramy francuskich prawic? I tak zmuszeni jesteśmy odpowiedzieć na podstawowe pytanie: czy gaullizm j e s t p r a w i c ą – czy jest n a p r a w i c y ?

Zresztą niezależnie od gaullizmu – pytanie to obejmuje wszystkie inne formacje, w które trafia jakby rykoszetem. Powróćmy do historii i, nie opisując całego gaullistowskiego przedsięwzięcia skupmy się na postaci jego założyciela i na akcie początkowym. Odmowa podpisania rozejmu z Niemcami wykraczała poza wszelką kategoryzację polityczną i wymykała się wszelkim klasyfikacjom. Ale orientacja rządu marszałka Petaina, który rychło przystąpi do restauracji porządku kontrrewolucyjnego, udziela *ipso facto* gaullizmowi pewnej początkowej konotacji politycznej, która nie jest wyraźnie prawicowa. Bo znaczenie ruchu oporu jest podwójne: walka o wolność ojczyzny, ale i o demokrację. Zwolennicy Vichy, tęskniący za rewolucją narodową, stanowią jedyny odłam polityczny, który nie miał nigdy najmniejszej nawet sympatii dla osoby generała de Gaulle’a. Siedemnaście miesięcy rządu tymczasowego (wrzesień 1944 – styczeń 1946) wzmocniło związek gaullizmu – który był wówczas tylko pewnym uczuciem, jeszcze bez politycznego wyrazu – z wrażliwością lewicową, mimo tarć, które zakłócały jego stosunki z lewicą; de Gaulle rządzi przy pomocy większości obejmującej partie najbardziej lewicowe. Pierwszy daje teki ministerialne komunistom: godzi się na powrót do Francji i do życia politycznego symbolicznej postaci komunizmu, sekretarza generalnego Partii Komunistycznej Maurice’a Thoreza, który uciekł do Moskwy na początku wojny; czyni go teraz ministrem stanu. Antygaullizm sięgnął później po takie argumenty, by insynuować, że de Gaulle był sowieckim agentem.

Obraz de Gaulle’a jako polityka podporządkowanego lewicy nie oprze się później oczywistej wymowie faktów. Jego nagłe odejście od władzy, potępienie trójpodziału władz, zajęcie stanowiska przeciwnego Konstytucji Czwartej Republiki, a zwłaszcza jego powrót do polityki w kwietniu 1947 roku, wraz z jednoczesnym powołaniem formacji mającej za swój cel zmianę instytucjonalnego systemu państwa – rozbijało obraz de Gaulle’a demokraty w opinii publicznej, która identyfikowała jeszcze demokrację z suwerennością parlamentu i systemem partyjnym. Zakładając Zgromadzenie Ludu Francuskiego (RPF) – nazwa bliska dwóm pojęciom, mającym dla generała bogatą treść – zamierzał przewyciężyć ów podział na prawicę i lewicę, który uważał za archaiczny, i miał nadzieję zgromadzić zwolenników z obu

tych nurtów. Ale okoliczności i gra stosunków między siłami politycznymi umieszczają go na prawicy.

Krok po kroku: odmowa dużych partii politycznych przyjęcia RPF do swego kręgu, a zwłaszcza ogłoszony przez MRP zakaz podwójnego członkostwa, na które, jako na sposób przyłączenia się do de Gaulle'a, liczył prawdopodobnie dawny czytelnik „Temps présent”, tygodnika o wrażliwości demokratyczno-chrześcijańskiej; potępienie przez Partię Socjalistyczną i Partię Komunistyczną autorytarnego stylu przypisywanego nowemu ruchowi; oskarżenie o aspiracje do władzy osobistej; zniesławiające pomówienia o parantele z faszyzmem – wszystko to spychało gaullistowskie RPF na prawo. Poparcie, udzielone jego kandydatom przez część konserwatywnego elektoratu, a potem dołączenie pewnej części prawicy liberalnej ukończyło ów proces ześlizgiwania się na prawo i dopełniło porażkę usiłowań, by znieść klasyczną antynomię prawica–lewica. Ta wersja politycznego gaullizmu sytuowała się na prawicy, o ile już nie była prawicą.

Trzecia edycja gaullizmu, która rozpoczyna się wraz z powrotem generała do władzy w roku 1958 w znanych okolicznościach, przez pewien czas pozostawała trudna do rozszyfrowania i określenia, a być może właśnie ona odpowiadała wówczas najlepiej intencji zgromadzenia Francuzów ponad tradycyjnymi podziałami. To wcielenie gaullizmu podzieliło inne partie, zwłaszcza na lewicy. O ile aparat Partii Komunistycznej opowiedział się przeciw gaullistowskiemu projektowi konstytucji, prawie 30 procent jej elektoratu odpowiedziało – „tak” w referendum z 28 września 1958 roku. SFIO podzieliła się po połowie: jej sekretarz generalny Guy Mollet<sup>82</sup> odegrał decydującą rolę w rozwiązaniu kryzysu ustrojowego i zaakceptował uczestnictwo w nowym rządzie; dołączył do przyjętych wówczas reform. Polityka wobec szkolnictwa rychło ponownie obudziła kontrowersje, pociągając za sobą dymisję socjalistycznego ministra oświaty narodowej, Andrégo Boulloche'a (laickość pozostaje jeszcze tematem niezgody i kryterium podziału między prawicą a lewicą), a polityka gospodarcza i społeczna – jeszcze bardziej: socjaliści przechodzą do opozycji. Ale bardzo poważne zagrożenia dla wolności publicznych, jakie niesło przedłużanie się wojny algierskiej – obawa przed wojskowym puczem – skłoniły lewicę do stworzenia bloku poparcia dla szefa państwa, który uosabiał wówczas republikańską legitymizację, i do wsparcia jego polityki, uznającej podmiotowość Algierii i zmierzającej do przyznania jej niepodległości.

---

<sup>82</sup> Guy Mollet (1905–1975) – socjalista, premier w latach 1956–1957. W 1958 roku poparł de Gaulle'a, później zajął stanowisko opozycyjne wobec jego polityki.

Wobec wielkiego podziału opinii publicznej, jaki wywołała w 1962 roku inicjatywa konstytucyjna szefa państwa proponująca wybór prezydenta bezpośrednio w wyborach powszechnych, de Gaulle znalazł się prawie sam przeciw wszystkim partiom, z wyjątkiem gaullistowskiego UNR: prawica i lewica stworzyły koalicję „kartelu odmowy”.

Logika historycznego podziału rychło jednak upomniała się o swe prawa wobec zbliżającego się terminu płatności weksla wyborczego zaufania, który przybrał postać wyboru następcy Generała na stanowisku szefa Państwa. Ta logika wzmocniona została instytucjonalną dynamiką, która popychała do bipolaryzacji, zmuszając formacje ze skłonnością centrową do przyłączenia się – w celu przetrwania – do jednego z dwóch antagonistycznych bloków. Kandydat do sukcesji po samym sobie, generał de Gaulle, nie zamierzał przyjmować tej logiki: był przekonany, że personifikuje Francję, co akcentował silnie podczas swej kampanii telewizyjnej, podkreślając, że Francja nie jest ani prawicą, ani lewicą. Ale jego władza nie była aż taka, by mogła osłabić napięcia rządzące socjologią sił politycznych. Kandydatura François Mitterranda, któremu udało się połączyć wszystkie lewice, zepchnęła na prawo de Gaulle’a, któremu nie udało się w takim samym stopniu zebrać pod swoim imieniem wszystkich prawic. Zabrakło wielu. Skrajna prawica, spadkobierczyni kontrewolucji, córka Action française, dziedziczka Vichy zdobyła 5 procent głosów, które w pierwszej turze oddała na Jeana-Louisa Tixiera-Vignancoura. Inne orientacje prawicowe, liberalna, demokratyczno-chrześcijańska i centrowa skupiły się pod listą Jeana Lecanueta, który przedstawiał się jako kandydat liberalny, prospołeczny, europejski. Skończyła się bipolaryzacja. Taki gaullizm, jaki wcielał wówczas jego założyciel, nie dał się sprowadzić do jednego ze swych dwóch składników: zachowywał jeszcze ów charakter „siedzącego okrakiem” na tradycyjnych partyjnych podziałach i przekraczającego granice ich historii. Jego elektorat był złożony. Jeśli chodzi o trzon zwolenników, to o ile większość skłaniała się na prawo, idąc za premierem Georges’em Pompidou – była też niewielka, żarliwa mniejszość lewicowych gaullistów zgromadzonych w Demokratycznej Unii Pracy (UDT), których wierność osobie Generała nie ustępowała wcale przywiązaniu do niektórych wartości lewicowych.

Wstrząs roku 1968 nie pozostał bez wpływu na wizerunek de Gaulle’a i, na zasadzie rykoszetu, na pozycję gaullizmu. Nie tyle już spychał go na prawo, ile odsyłał do przeszłości jako formację archaiczną – co, być może, przynosiło jeszcze większe straty: bo czyż jeden z ówczesnych sloganów nie głosił: „Dziesięć lat – to wystarczy”?

Ale, wskutek odwrócenia się sytuacji (co zdarzało się nie raz w życiu pierwszego bojownika ruchu oporu), generał de Gaulle zakończył swą karierę podwójną polityczną



ripostą. Z jednej strony zaangażował swój autorytet w pewien projekt mający na celu zerwanie z wielowiekową tradycją scentralizowanej administracji i oparcie stosunków między państwem a obywatelami na bardziej demokratycznej podstawie: projekt ten wyprzedzał przyszłość. Lewica głosowała przeciw, ale ledwo powróciła do władzy w 1981 roku, natychmiast podjęła ten właśnie projekt i wcieliła go w życie; jeśli François Mitterrand i Gaston Defferre byli bezsprzecznie rzemieślnikami tej wielkiej reformy, de Gaulle był na swój sposób jej inspiratorem. Z drugiej strony – tą konsekwencją, jaką wyciągnął wobec samego siebie ze swej porażki i z odrzucenia jego projektu, przystawił na swej historii demokratyczną pieczęć: jego ustąpienie oczyszczało go z wszelkiego podejrzenia o dyktatorskie zapędy. Naginając się do rezultatów powszechnego głosowania, zaświadczył o szczerości swego przekonania, że „nie ma innej legitymizacji władzy poza suwerennością francuskiego ludu”. W języku parlamentarnym – w tym dialekcie, dla którego on sam miał tak niewiele sympatii – można by powiedzieć, że generał de Gaulle skończył na lewicy; zresztą nie miała część prawicy, zwłaszcza liberalnej, głosowała przeciw jego projektowi, tak jak w roku 1965 głosowała przeciw de Gaulle’owi – a za Jeanem Lecanuetem.

Tak więc de Gaulle był wielokrotnie i raz za razem identyfikowany z lewicą, potem z prawicą – i vice versa (prawdę powiedziawszy, częściej z prawicą niż z lewicą), co mimo wszystko nie pozwala sklasyfikować gaullizmu na prawicy, w takiej mierze, w jakiej identyfikuje się on z osobą i działaniami Generała. Sam gaullizm, pośród tej przemienności krytyki i aprobaty, poparcia i sprzeciwu, częstego odwracania sojuszy – musiał odnaleźć potwierdzenie swej wytrwałości w przekraczaniu partyjnych podziałów, ucieleśnianiu najważniejszego interesu ojczyzny i byciu tłumaczem swego historycznego przeznaczenia.

Tyle jeśli chodzi o gaullizm definiowany w odniesieniu do osoby Charles’a de Gaulle’a. Ale gaullizm przeżył go. Różne ruchy aż po dzień dzisiejszy powołują się na jego przykład i jego myśl, pretendując do kontynuacji jego dzieła. Jego imię dało nazwę pewnej politycznej rodzinie czy szkole politycznego myślenia. Co pozostało dzisiaj z tego dziedzictwa w panoramie zarówno politycznych idei, jak i partii? I gdzie sytuuje się ów gaullizm następców Generała w stosunku do odwiecznej opozycji prawica–lewica?

### Gaullizm po de Gaulle’u

Spośród tak wielu pytań, jakie nasuwają się po ustąpieniu i śmierci tego, któremu gaullizm zawdzięcza swe istnienie – jednym z bardziej kontrowersyjnych jest pytanie o prawo niektórych do noszenia tej nazwy i legitymizowania własnej pretensji nazywania się jedynymi

spadkobiercami tej tradycji. Prawdę powiedziawszy, nie spodziewano się, że de Gaulle odejdzie z polityki po to, by pozostawić takie pytanie. Pytanie to powraca odąd systematycznie, zwłaszcza za każdym razem gdy dochodzi do władzy jakiś ruch nowego pokolenia. Jeszcze zanim kryzys wiosny 1968 roku wywołał konflikt między prezydentem Republiki a jego premierem (który graniczył niemal z zerwaniem) – niewielka mniejszość uważająca się za powołaną do podtrzymania gaullizmu na lewicy i sprzeciwiająca się dążeniom, które pchały go w stronę konserwatyzmu, zawiązała intrygę przeciw Georges'owi Pompidou: zarzucali mu nie tylko to, że nie był w ruchu oporu, ale oskarżali go także o to, że zdradził autentyczną gaullistowską inspirację, torpedując każdy projekt reform. O ile późniejszy bieg wydarzeń mógł dawać pewne powody do takich podejrzeń, na wiosnę 1968 roku była to niedobra kłótnia. Choć Georges Pompidou był z pewnością mniej skłonny do reformowania społeczeństwa niż de Gaulle, a zwłaszcza niż jego poprzednik w Matignon, Michel Debré, to jednak służył lojalnie generałowi i wykonywał jego polecenia, mimo że nie zawsze całkowicie je aprobował – całkiem tak, jak przed nim Michel Debré wdrażał wbrew własnym przekonaniom politykę algierską szefa państwa.

Po odejściu Generała dzieje się inaczej. Georges Pompidou, namaszczony w czerwcu 1969 roku w głosowaniu powszechnym na prawego następcę założyciela Piątej Republiki, a teraz już pozbawiony jego „opieki” – może kierować się swą naturalną skłonnością. Pompidou jest także naznaczony doświadczeniem, jakie dopiero co przeżywano: kryzys społeczny (a zanalizował go szczególnie głęboko) wzmógł jego oziębłość wobec wszelkich działań reformatorskich mogących wstrząsnąć społeczeństwem, którego kruchość dostrzegał. Pompidou bardzo zważa na potrzebę bezpieczeństwa i na żądania części opinii publicznej, zwłaszcza swego elektoratu, domagającej się odbudowania przede wszystkim porządku publicznego i społecznego. Wcale nie podoba mu się przemówienie jego premiera Jacques'a Chabana-Delmasa na temat nowego społeczeństwa (lipiec 1969), z jego proreformatorskimi akcentami. Sądzi, że ma zobowiązania wobec własnej większości: a ta nie ogranicza się tylko do gaullistów. Pojęcie „większości prezydenckiej”, jakie Pompidou wprowadził do słownika interpretacji instytucjonalnego ustroju Republiki, jest antynomiczne wobec pojęcia „zgromadzenia” w rozumieniu drogim myśli gaullistowskiej. „Większość prezydencka” wpisuje się w klasyczną opozycję prawica–lewica, reaktywowaną wymogami bipolaryzacji. W drugiej turze wyborów prezydenckich (w czerwcu 1969 roku), w której – w odróżnieniu od roku 1965 – spotykają się już tylko dwaj kandydaci prawicy, wobec braku konkurenta ze strony lewicy, nie da się już ukryć, że Pompidou jest wybrańcem prawic. Między dwiema turami pewna prawicowa frakcja (jej przywódcy to Jacques Duhamel, Joseph Fontanet, René

Pléven) będąca w opozycji od czasu zerwania w roku 1962 popiera kandydaturę Pompidou i nakłania swych wyborców, by głosowali na spadkobiercę gaullizmu. Zaczyna się ponowne jednoczenie prawic.

I w ten sposób gaullizm pod rządami Pompidou sytuuje się wyraźnie bardziej na prawicy; nie stało się tak wyłącznie z powodu różnic osobowości jego przywódców, ich temperamentów i wrażliwości. Także z bardziej ogólnych powodów: za sprawą różnicy sytuacji, jaka występuje po powikłaniach roku 1968, a zwłaszcza z powodu zmian w układzie sił politycznych, które reaktywują antagonizm między zwolennikami potrzeby drastycznych zmian a zwolennikami status quo, obawiającymi się o wartości, do których są przywiązani. Gaullizm, taki jak go interpretuje i praktykuje Pompidou, opierając się o pewną większość skupioną głównie na prawicy – nie jest gaullizmem skupionym wokół de Gaulle’a. Czy należy więc mówić o „pompidyzmie”, by zdefiniować tę nową wersję gaullistowskiego pierwiastka? Jakiegokolwiek odpowiedzi nie udzieliłoby się na to pytanie – jest oczywiste, że zamiast zachęty do przewycięzania tradycyjnego podziału mamy do czynienia z ponownym uaktywnieniem się osi prawica–lewica: spadkobiercy gaullizmu opowiedzieli się za tym podziałem, nie licząc już na przyłączenie pewnej części lewicowego elektoratu lub z niego rezygnując. Ich strategia zmierza już tylko do pokonania przeciwnika poprzez zdobycie większości głosów, do czego można dojść, skrzykując cały prawicowy elektorat. Cel o tyle łatwiejszy do osiągnięcia, że od 1965 roku skrajna prawica niemal zniknęła, więc nie będzie prowadzić konkurencyjnej akcji wobec prawicowej klienteli.

Choć przedwczesna śmierć prezydenta Pompidou 2 kwietnia 1974 roku wygasła bardzo niesprawiedliwą akcję oskarżania go o przywłaszczenie sobie i sprzeniewierzenie gaullistowskiego dziedzictwa – to nie anulowała pytania o trwałość tego „pompidowskiego” naznaczenia gaullizmu. Bo przecież niektóre z osobistości, które podejmą później płomień gaullizmu, były bardziej dziećmi i uczniami Georges’a Pompidou niż Charles’a de Gaulle’a: choćby Édouard Balladur, a bardziej jeszcze ten, który zostanie trzecim liderem (i to na trzydzieści lat) – Jacques Chirac. Było tak z prostego powodu wieku, czyli z racji różnicy pokoleniowej: zbyt młodzi, by dobrze poznać generała de Gaulle’a – debiutowali politycznie pod rządami Pompidou, przy którym uczyli się polityki; to on kładł im stopy w strzemiona. Przystąpili do gaullizmu w wydaniu Pompidou. Pozostaną zawsze wierni jego pamięci, a w swych działaniach, być może nawet bezwiednie, będą się wzorować na jego przykładzie i na jego lekcjach. Ich gaullizm skażony jest „pompidyzmem”. Przechyla się więc na prawą stronę. Jednak nie miesza się z prawicą. Istnienie innej prawicy, której udało się zachować liberalną tożsamość (nawet w czasach triumfującego gaullizmu), zawsze odróżniającą ją od

gaullizmu, jest gwarancją wierności gaullistów swej własnej tradycji. I w ten sposób gaullizm, w swym trzecim z kolei wydaniu, jest n a p r a w i c y, skoro zrezygnował z zajmowania terenów lewicy, ale nie jest całą prawicą: co upoważnia go, w jego własnym mniemaniu, do twierdzenia, że n i e j e s t p r a w i c o w y.

Wraz z wyborem Valéry'ego Giscarda d'Estaing 19 maja 1974 roku prezydentura Francji po raz pierwszy wymknęła się gaullistom: przeszła w ręce innej prawicy. Czy to koniec gaullizmu? Wielu sądzi, że umarł wraz ze śmiercią Georges'a Pompidou: Pierre Viansson-Ponté nie zawahał się przed taką prognozą w „Le Monde” z 6 października 1976 roku.

Gaullizm potrzebuje osobistości, która będzie mu przewodzić. Dziedziczy po swej historii pewną tradycję przywiązania do przywódcy. Ma jakby w genach zdolność do wierności i lojalności: taka jest jego kultura polityczna. Niewykluczone, że gaullizm rozpadłby się lub zniknął w roku 1974, gdyby nie wyłonił osobowości zdolnej podjąć wyzwanie i zogniskować wokół swej osoby zasoby wierności i poświęcenia, które przez dziesiątki lat czyniły z ruchu gaullistowskiego jedyną formację polityczną zdolną stanowić przeciwwagę dla Partii Komunistycznej. Ten lider nazywa się Jacques Chirac.

Zaskoczenie tą sukcesją i jej paradoks polegają na tym, że ten, który przejmuje wówczas pałeczkę i umożliwia gaullizmowi przetrwanie aż po dzień dzisiejszy – jest zarazem tym samym, który w 1974 roku zniszczył prezydenckie szanse prawowitego kandydata gaullistów, Jacques'a Chabana-Delmasa, symbolicznej postaci historycznego gaullizmu, dokonując rozłamu w ruchu gaullistowskim petycją podpisaną przez czterdziestu trzech deputowanych gaullistowskich na rzecz kandydatury pochodzącej z innej prawicy – na rzecz Valéry'ego Giscarda d'Estaing. Mało tego: zgodził się zostać premierem przy tym liberalnym prezydencie, z jasną misją dokończenia procesu giscardyzacji gaullizmu. W ten sposób prawica zostałaby ponownie połączona, ale tym razem pod egidą prawicy liberalnej. Byłby to zatem naprawdę koniec gaullizmu.

Tymczasem sprawy przybrały zupełnie inny obrót. Kilka miesięcy po zerwaniu z prezydentem Republiki, któremu złożył dymisję – o władniętym kierownictwem ruchu, po wyeliminowaniu śmiałyymi manewrami z gry starych baronów gaullizmu – Jacques Chirac zakłada w grudniu 1976 roku nowy ruch, nazwany Zgromadzeniem na rzecz Republiki (RPR), który obiera kierunek formacji gaullistowskich, ale jest całkowicie oddany Chiracowi i którego cel pozostaje jasny dla wszystkich: wkroczenie Chiraca do Pałacu Elizejskiego i odzyskanie władzy przez gaullistów.

Czy to rewanż gaullizmu? Inaczej mówiąc: czy Jacques Chirac jest gaullistą? Pytanie nie dotyczy uczuć, jakie postać de Gaulle'a wzbudza u Jacques'a Chirac'a: jego podziw i uznanie dla historycznej roli Generała trudno podważyć. Ale w roku 1976 uczucia takie żywili już nie tylko gaulliści: podzielała je większość Francuzów, i dlatego nie wystarczały już do zdefiniowania gaullistowskiej tożsamości. Kwestia ta ma swoją wagę, proporcjonalnie do miejsca, jakie ten, kogo dotyczy, zajmował w ostatnich trzech dziesięcioleciach naszej historii politycznej. I ma chyba swe dopełnienie na lewicy: bo czy François Mitterrand był socjalistą? Czy to nie znamienne, że – bez polemicznych intencji – można zadać podobne pytanie w odniesieniu do dwóch mężów stanu, którzy odegrali tak wielką rolę w naszej historii politycznej, i obydwaj doszli – jeden po drugim – do najwyższej funkcji?

Przy całej dobrej woli – odpowiedź nie jest oczywista. Nie tylko z powodu tej ambiwalencji gaullizmu i trudności, jakiej doświadczyliśmy, próbując nadać mu prostą i stałą definicję, ale także z powodu osobowości Jacques'a Chiraca, o którym powiedzieć można wszystko, z wyjątkiem tego, że jest ideologiem: jest człowiekiem czynu. Obdarzony wielką siłą do pracy, zdolny szybko przyswajać sobie wszystkie elementy każdej delikatnej i skomplikowanej sprawy – bardziej troszczy się o skuteczność niż o spójność. Bardziej interesuje się problemami, a zwłaszcza osobami, niż ideami. Dbłość o przemawianie stale tym samym językiem nie jest dla niego niepodważalną zasadą. Ze względu na swój pragmatyzm może odwoływać się do Charles'a de Gaulle'a. Nie uczynił religii z zasady niesprzeczności; jeśli okoliczności lub potrzeby ukażą mu nieprzewidziane trudności nie do przewyciężenia, nie będzie miał skrupułów, by zmienić swe stanowisko. Jednak nie jest ani sceptykiem, ani cynikiem. W niektórych sprawach ma stałe przekonania. Na przykład nigdy nie zmienił stanowiska potępiającego rasizm, który wzbudza w nim nieprzewyciężalną odrazę; zawsze zatem uważał ewentualne zbliżenie z Frontem Narodowym za związek wbrew naturze. Przyrodzona szlachetność popycha go do podejmowania socjalnej tradycji gaullizmu i zachwalania polityki ograniczającej społeczne nierówności. Ta osobista skłonność oddala go od liberalnych ortodoksów, spośród których jednak niektórzy walczyli u jego boku.

Jeśli nakreśliliśmy ten szybki portret i zaakcentowaliśmy jego wymiar psychologiczny, to z powodu wagi przywiązywanej do charyzmatycznej osobowości w formacjach odwołujących się do gaullizmu, a także dlatego, że inicjatywy podjęte przez Jacques'a Chiraca, częste zmiany jego linii politycznej, jego wahania względem politycznych programów i ich celów miały wielkie konsekwencje w historii tego ruchu: tłumaczą one kryzysy, zerwania i rozłamy, w jakie obrosła od roku 1976 historia RPR, maszyny wprowadzić potężnej, ale o niepewnym niekiedy działaniu.

Po pięciu latach prowadzenia partyzanckiej wojny wewnątrz prawicowej koalicji rządzącej przeciw rządowi Raymonda Barre'a i prezydentowi Giscardowi d'Estaing, Jacques Chirac wystawia w 1981 roku swą kandydaturę przeciw kandydaturze ustępującego prezydenta. Nie jest jasne, co reprezentuje; nie może twierdzić, że dąży do zjednoczenia wszystkich prawic pod swą kandydaturą, bo rywalizuje z Valérym Giscardem d'Estaing. Nie może nawet przemawiać w imieniu wszystkich gaullistów, bo na prawicy jest oskrzydłony forsowaną tam kandydaturą gaullisty z krwi i kości, Michela Debrégo; dziedzictwo Chiraca jest więc dyskusyjne.

Zepchnięte wraz z innymi prawicami do opozycji wskutek zwycięstwa lewicy RPR ma mało oporów przed podjęciem z nimi lojalnej i niezakłóconej współpracy: przez pięć lat, podczas których jest odsunięte od władzy, ściśle współdziała z partnerami z UDF w pryncypialnej walce przeciw reformom wdrażanym przez socjalistów. RPR czyni nawet ważne ustępstwa wobec prawicy liberalnej i jej sojuszników. Dołączenie do ich punktu widzenia ułatwione jest koniecznością zajmowania twardego stanowiska przeciw polityce socjalistycznych rządów. Walka prowadzona przez „muszkietierów”, takich jak Michel Noir, Philippe Séguin, przeciw nacjonalizacjom w gospodarce doprowadza RPR do zajęcia pozycji bliskich liberalnej UDF i wyciszenia gaullistowskich tematów dotyczących odpowiedzialności państwa: w ten sposób wielki kawał gaullistowskiego dziedzictwa zostaje pominięty lub przesłonięty zapożyczonym liberalizmem. Wspólna platforma wyborcza przyjęta przez te dwie główne części składowe prawicowej opozycji wobec zbliżających się wyborów parlamentarnych, na wiosnę 1986 roku, jest już czystym liberalizmem; stanowi przykład paradoksalnej sytuacji: połączenia dwóch formacji, z których jedna – ta gaullistowska – jest bezdyskusyjnie bardziej trwała i bardziej dynamiczna, ale to ta druga – liberalna – dostarcza jej teraz natchnienia, jak gdyby wskutek podziału na ciało i ducha. Co pozostaje z gaullizmu w takiej formacji, która wciąż jeszcze odwołuje się do generała de Gaulle'a? Po raz drugi od jego śmierci narzuca się to pytanie.

Pozostaje ono aktualne przez cały okres dwuletniej koabitacji (1986–1988), gdy stosunki między gaullistami a liberałami w sprawowaniu władzy są spokojne, takie, jakie były w ich opozycyjnym okresie, i gdy realizowana jest linia bliższa postulatom liberalnym, niż „kultowi państwa” cechującemu gaullizm: dowodem symboliczna uporczywość we wdrażaniu programu prywatyzacji. RPR nie walczy już nawet w obronie instytucji pozostałych w spadku po generale de Gaulle'u: gdy w 1984 roku, chcąc wydostać się z pułapki, w której zamknął go projekt ustawy o szkołach, François Mitterrand wymyślił rewizję konstytucji, która rozszerzałaby zakres stosowalności referendum (propozycja

w duchu typowo gaullistowskim) – to przewodniczący grupy senatorskiej RPR, sztandarowy gaullista Charles Pasqua przeciwstawił się temu.

Wybory prezydenckie w roku 1988 wstrzymują postępy liberalnego odchylenia neogaullizmu. Konkurencja między Jacques'em Chirakiem a Raymondem Barre'em wskrzesza rywalizację między tymi dwiema prawicami i reaktywuje dzielące je niegdyś różnice: aby się odróżnić, gaulliści podejmują w kampanii swoje ulubione tematy. Zwłaszcza porażka kandydata RPR wywołuje w łonie tego ruchu kryzys tożsamości, który wstrząsa jego spójnością i poddaje w wątpliwość tę syntezę, której gaullizm jest politycznym wyrazem. Porażka ta, druga już porażka lidera tej formacji po przegranej z roku 1981, nawet jeśli zdystansował swego prawicowego konkurenta występującego w barwach innej prawicy, zachwiała jego autorytetem we własnym ugrupowaniu: po raz pierwszy władza Chiraca w partii została zakwestionowana; Charles Pasqua i Philippe Séguin stają na czele frondy, która proponuje śmiało zerwanie z uprzejmościami wobec liberałów i powrót do źródeł gaullizmu wiernego swym początkom, autorytarnego i ludowego zarazem, reformatorskiego, ale i socjalnego. Ich próba owładnięcia kierownictwem ruchu i przewodnictwem w grupie parlamentarnej chybia o włos: zabrakło tylko dwóch czy trzech głosów. Tak niewielka różnica zdradziła słabą pozycję Jacques'a Chiraca i ujawniła kłopot tego ugrupowania, rozdartego między wieloma koteriami, które nie wie już, jaka jest jego tożsamość, i sprawia wrażenie, jakby poruszały je już tylko kwestie taktyczne. Nie jest nawet solidarne w interpretacji ustrojowych instytucji. W lipcu 1989 roku opowiada się przeciwko propozycji, wedle której każdy obywatel miałby prawo zwrócenia się do Rady Konstytucyjnej. Jest jeszcze gorzej: w czerwcu 1992 roku grupy gaullistowskie w dwóch izbach unikają pokazu dzielących ich różnic, powstrzymując się od zajęcia stanowiska wobec projektu rewizji konstytucji, który zmierza do jej zharmonizowania z traktatem z Maastricht: gaulliści powstrzymujący się od debaty nad instytucjami! Czy to nie dowód, że gaullizm jest całkiem martwy?

Sama debata nad tym traktatem łamie jedność i wydobywa na światło dzienne rozbieżności trawiące ten ruch. Dwaj podżegacze do frondy przeciw kierownictwu Chiraca znajdują się, ramię w ramię, w pierwszym szeregu przeciwników Maastricht: Philippe Séguin jest najbardziej utalentowanym mówcą parlamentarnym i to jego wybiera François Mitterrand, by bronił „nie” w debacie; Édouard Balladur i Alain Juppé, dwie inne silne osobowości tego ruchu, zajmują wyraźne stanowiska na „tak”. Co do Jacques'a Chiraca, długo zwleka, wreszcie decyduje się na pełne rezygnacji „tak”. Nie jest tajemnicą, że większość uczestników skłania się do powiedzenia „nie”. Jeśli w kwestii tak doniosłej,

wobec tak wielkiej stawki, o jaką toczy się gra, RPR nie jest w stanie zająć wspólnego stanowiska ani zaproponować obywatelom klarownej linii – czy to nie oznaka, że „gaullistowska synteza” uległa jakby dezintegracji?

Trzecie podejście Jacques’a Chiraca do prezydentury Republiki – jego kandydatura w roku 1995 – dalekie jest od przywrócenia jedności w RPR; pogłębia głównie wewnętrzne rozbieżności z powodów osobistych. Jego konkurentem nie jest bowiem tym razem przedstawiciel (jak to dotąd bywało w każdych wyborach prezydenckich od 1965 roku) innej prawicy, liberalnej czy centrowej, ale gaullista, i to jeden z najbardziej znaczących: Édouard Balladur, urzędujący premier, którego sam Jacques Chirac wskazał François Mitterrandowi na tę funkcję. Na głębokie, wewnętrzne rozbieżności nakłada się zatem bratobójcza rywalizacja: obydwaj ci politycy związani są przyjaźnią, datującą się jeszcze z czasów ich wspólnej obecności przy boku Georges’a Pompidou. I oto wszyscy ministrowie, wszyscy deputowani zmuszeni są do wyboru między nimi dwoma: źródło uraz i animozji, których czas nie zaleczy. I gdzie jest gaullizm, pośród tego rozdzwiewu sympatii? Jeśli opinie, z których znano Balladur, i przekonania, które mu przypisywano, dawały wyborcom z UDF wrażenie, że sytuuje się on na pozycjach liberalnych i proeuropejskich – to program, na którym Jacques Chirac oparł swą kampanię wyborczą, łączył, gorzej lub lepiej, trzy kierunki. Był echem pewnych liberalnych sugestii Alaina Madelina. Alain Juppé przekonał też Chiraca, by przychylił się do umiarkowanej akceptacji konstrukcji europejskiej. Ale ulubionym jego tematem, który nadał szczególny koloryt jego kampanii prezydenckiej, była – z inspiracji Philippe’a Séguina – walka o ograniczenie różnic społecznych, co oznaczało pewien nawrót do reformatorskiego pierwiastka oryginalnego gaullizmu. I prawdopodobnie temu właśnie elementowi swej kampanii wyborczej Chirac zawdzięcza zwycięstwo, którego wydzwitek pozostaje dwuznaczny w pierwszym okresie siedmioletnia prezydentury. O ile dymisja Alaina Madelina, zmuszonego opuścić Ministerstwo Gospodarki i Finansów w sierpniu 1995 roku, oddała możliwość ewolucji w stronę liberalizmu i ucina wszelkie odchylenie w stronę tej drugiej prawicy, to Jacques Chirac dołącza – 26 października 1995 roku – do projektu europejskiego (pod wpływem Alaina Juppégo, który został jego premierem) i zajmuje kategorycznie prounijne stanowisko, jak zrobił to już w marcu 1983 roku jego poprzednik, François Mitterrand. Wypada jednak przypomnieć, że nie czekał aż do tej chwili, by opowiedzieć się za zintegrowaniem francuskiej obrony z obroną europejską. Ale pomiędzy bezwarunkową opozycją suwerenistycznego skrzydła RPR wobec wszelkiego pogłębiania konstrukcji europejskiej a linią obroną przez rząd – gdzie był gaullizm? Gdzie są ci najwierniejsi gaullistowskiemu dziedzictwu? Dla Charles’a Pasqua odpowiedź nie budzi



najmniejszych wątpliwości: kierownictwo ruchu porzuciło gaullistowską ortodoksję – i polityk ten wyciąga z tego konsekwencje, stając w 1999 roku na czele rozłamu, który – by zaświadczyć o własnej wierności i powrocie do źródeł – przyjmuje pierwszą nazwę ruchu gaullistowskiego, tę pochodzącą z czasów, gdy – zjednoczony – walczył przeciw projektowi Europejskiej Wspólnoty Obronnej: Zgromadzenie Ludu Francuskiego (RPF).

Czy to dla przywrócenia jedności ruchu i umocnienia swej nadwątlonej władzy nad partią Jacques Chirac decyduje się w kwietniu 1997 roku rozwiązać Zgromadzenie Narodowe i doprowadzić do nowych wyborów? Jeśli taki był jeden z jego zamiarów, operacja nie powiodła się. Porażka tego rozwiązania poskutkowała nie tylko narzuceniem prezydentowi Chiracowi pięcioletniej kohabitacji z lewicowym rządem, pozbawiając go w dużej mierze siły działania: w sposób trwały ugodziła także w jego autorytet na prawicy. Nie mógł już być jednoczycielem prawic. Stracił także władzę nad własnym ruchem: wielu nie wybaczy mu błędu w ocenie sytuacji, wskutek którego prawica straciła większość w nowym Zgromadzeniu. Te ciężkie zarzuty, nakładające się na następstwa sporu Chirac–Balladur, zatruły stosunki w RPR, które roztrwoni w kilka miesięcy obfitość kadr przywódczych. Ten bałagan jest jakby repliką tarć, sporów i rozdarcia towarzyszących Partii Socjalistycznej podczas jej kongresu w Rennes. W tym wirującym prądzie – gdzie jest gaullizm? Musiałoby upłynąć kilka lat – trzy czy cztery – żeby Jacques Chirac mógł odtworzyć swój wpływ na prawicach. Ale i one potrzebują czasu, aby wziąć się w garść i wyjść z depresji, w którą wtrąciła je wyborcza porażka z wiosny 1997 roku. Można oceniać, że sytuacja zmienia się na korzyść od roku 2001, kiedy to odnotowano sukces podczas uzupełniających wyborów municypalnych. Zbliżający się koniec kadencji Jacques’a Chiraca ma pewien efekt pozytywny: jedynie ustępujący prezydent ma szansę zachować dla prawicy najwyższy urząd na nową kadencję. Nie musi już tym razem obawiać się konkurencyjnej kandydatury z prawej strony. Start François Bayrou może wprawdzie wpisać się w dawny ślad po kandydaturze Raymonda Barre’a czy Édonarda Balladur’a, ale nie może niepokoić Chiraca: to kandydatura „dla zasady” lub „by zaistnieć”. Chirac sprawia wrażenie kandydata wszystkich prawic obecnych w parlamencie, tym bardziej że nieco zdystansował się wobec własnego ruchu: nie idzie wprawdzie tak daleko, by poświęcić go dla utworzenia szerszej formacji, ale wywiera presję na gremia kierownicze, by przygotowały się do wspólnej akcji.

Rezultat pierwszej tury wyborów prezydenckich był dla RPR raczej rozczarowaniem: 21 kwietnia 2002 roku ustępujący prezydent nie uzyskał nawet 20 procent głosów, i wynik drugiej tury byłby bardzo niepewny, gdyby wybory rozgrywały się jako klasyczne zderzenie prawica–lewica: nikt nie jest w stanie powiedzieć, kto by zwyciężył: ustępujący prezydent czy

lewicowy premier Jospin. Ale skutek zadziwiającego scenariusza wywołującego zdumienie i wstrząsającego potocznym rozumowaniem to lider Frontu Narodowego, Jean-Marie Le Pen uzyskał drugie miejsce w pierwszej turze głosowania. Druga tura skonfrontowała zatem prawicę ze skrajną prawicą, pod nieobecność kandydata lewicy. Ta ostatnia nie miała więc innego wyjścia, jak tylko głosować na prawicę, albo podjąć ryzyko – nie głosując w drugiej turze – że zwycięży wstrętny ekstremizm. Za wyjątkiem Walki Robotniczej (fr. *Lutte ouvrière*), która nie mogła zdecydować się na porzucenie – był to przecież czas kampanii wyborczej – swego systemu myślenia, wszystkie lewice stanęły murem za kandydaturą Chiraca i zaleciły swym wyborcom głosować jak jeden mąż na kandydata prawicy. Zdumiewający obrót sytuacji: kiepski rezultat w pierwszej turze (niepełna 20 procent) i triumfalna elekcja w drugiej, z poparciem (82 procent), jakiego nie uzyskał nigdy nawet generał de Gaulle, które uczyniło Jacques'a Chiraca wybrańcem całego narodu.

#### Połączenie prawic?

Czy ta większość, która podczas jednego głosowania zatarła historyczną różnicę dzielącą dotąd Francję na połowy, oznacza kres istniejącego od dwustu lat podziału? Od tamtego wydarzenia jej znaczenie pozostaje ciągle niepewne. Jacques Chirac zapewnił Francuzów, że dobrze zrozumiał przesłanie, jakie skierowała do niego ta nieprawdopodobna większość. Ale samo to przesłanie trudne jest do rozszyfrowania: możliwe są różne interpretacje. Wyborcza koniunktura zmusza, by decydować się szybko: kalendarz wyborczy przewiduje wkrótce odnowienie Zgromadzenia Narodowego. By uniknąć kolejnej kohabitacji ważne jest wygranie wyborów. Stratedzy otaczający prezydenta – Alain Juppé, Jérôme Monod – są przekonani, że sukces wyborczy wiedzie poprzez jedność. Dlatego nazajutrz po ponownej elekcji Chiraca, 5 maja, tworzą porozumienie, które nazywają Unią na rzecz Prezydenckiej Większości (UMP). To nic oryginalnego: przed wszystkimi poprzednimi wyborami do Zgromadzenia prawice parlamentarne tworzyły tak samo koalicję, która popierała jedną kandydaturę w większości okręgów wyborczych. W 2002 roku większość deputowanych prawicy, którym kończyły się mandaty, zaakceptowała wejście do tej nowej struktury, gdy nie udało się im uzyskać inwestytury. François Bayrou, który zamierzał zachować autonomię UDF i walczył o zachowanie w przyszłym Zgromadzeniu grupy deputowanych różniącej się od RPR-owskiej rzeszy, z przykrością skonstatował, że

większość deputowanych UDF dołącza do UMP; nie chcieli ponosić ryzyka, że zostaną oficjalnym konkurentem dla UMP.

Bezpośredni cel tej strategii został osiągnięty: w nowym Zgromadzeniu UMP zachował dla siebie absolutną większość; nie potrzebował nawet żadnego wspierającego sojusznika. Z wyjątkiem jednego ministra, Gelles'a de Robiena, UDF był nieobecny w rządzie stworzonym przez nowego premiera, Jeana-Pierre'a Raffarina, który nie należy do gaullistowskiej rodziny: debiutował politycznie pod patronatem Valéry'ego Giscarda d'Estaing i należy do Liberalnej Demokracji.

Ten epizod ledwo zasługiwałby na wzmiankę w pracy, która zajmuje się nurtami myśli politycznej i przywiązuje wagę do ich intelektualnej historii, gdyby powstanie UMP było tylko taktyczną decyzją dla wygrania wyborów. Ale w zamyśle założycieli UMP jest instrumentem pewnej ambicji, która sięga dalej. Twórcy UMP (która zmienia rychło rozwinięcie swego skrótu na mniej związane z okolicznościami powstania: z UMP – Unii na rzecz Prezydenckiej Większości staje się UMP – Unią na rzecz Ruchu Ludowego) sądzą, że prawicowy elektorat nie rozumie powodów podziału prawicy na kilka formacji, denerwuje się tym podziałem i pragnie połączenia. Porażki prawicy przypisują brakowi jedności. A zwłaszcza przekonani są, że to, co może jeszcze dzielić lub odróżniać prawicę, stało się mniej ważne i nie jest już przeszkodą dla jedności. Niewiele uwagi przywiązują do różnic w kwestiach zasadniczych, takich jak budowa zjednoczonej Europy, rola państwa, stosunek między wolną przedsiębiorczością a ochroną społeczną. Przekonują się wzajemnie, że nadeszła chwila, by skończyć z podziałem wśród prawic parlamentarnych i urzeczywistnić to powracające marzenie o jednej, wielkiej partii prawicowej, zarazem liberalnej i konserwatywnej, stare marzenie żywione jeszcze od czasów Tardieu przez wszystkich admiratorów systemu brytyjskiego. Ale w 2003 roku wzorem nie jest już model anglosaski, lecz zapożyczony z Europy kontynentalnej: to wzór niemieckiej CDU, a w większym jeszcze stopniu – ludowej partii hiszpańskiej José-Marii Aznara<sup>83</sup>; odniesienia do nich są jawne i nie skrywane: znacząca zmiana kierunku wymiany kulturalnej i wpływów politycznych.

Zrobiono wszystko, by uczynić z UMP jedyną formację, która zgrupuje w swych szeregach wszystkie odcienie prawicy, gaullistów i liberałów, demokratów chrześcijańskich i radykałów – tworząc szerokie zgromadzenie. Przed wszystkimi zaproszonymi składnikami politycznymi zaplanowana fuzja stawia pewne problemy, być może największe przed RPR. Z dwóch co najmniej powodów.

---

<sup>83</sup> José-Maria Aznar (ur. 1953) – centroprawicowy polityk hiszpański, lider Partii Ludowej, premier w latach 1996–2004.

Po pierwsze: ruch gaullistowski definiował się zawsze, od samych swych początków w 1947 roku, jako ugrupowanie przewyżające podział sceny politycznej na partie konkurujące ze sobą w dzieleniu społeczeństwa. Godząc się na roztopienie w szerszej Unii, kierownictwo RPR musiało wyrzec się wprost ambicji bycia „strukturą przyjmującą”, otwartą na przychodzące zewsząd elementy dołączające. Nawet jeśli przywódcy RPR mogli mieć nadzieję (dość uzasadnioną zresztą), że z racji swej przewagi liczebnej i spójności wewnętrznej ich własny, gaullistowski składnik zachowa w tej szerszej formacji przewagę i prymat (będący przecież częścią kultury politycznej i historii gaullizmu) – to jednak składnik ten miał być już tylko częścią pewnej większej, przekraczającej go całości.

Po drugie (i to była nowość tego projektu): UMP miała w zamyśle grupować wszystkie prawice – i tylko prawice. Nie było już więc w ogóle kwestii, by przekraczać ów podział na prawicę i lewicę, określony przez de Gaulle’a jako archaiczny i szkodliwy. Co pozostałoby z gaullizmu w tym konglomeracie, w którym muszą ze sobą ko-egzystować zwolennicy i przeciwnicy gaullizmu? Po raz kolejny powraca zatem obsesyjne pytanie o trwałość gaullizmu. Czy UMP jest jego spadkobiercą, czy grabarzem?

Los UMP kryje w sobie jeszcze jedną odpowiedź, bardziej ogólną, która ściśle dotyczy poruszanego przez nas tematu: sukces tego ugrupowania, jeśli nie natrafiłby na opory, oznaczałby, że różnice, które zrodziły na prawicy wielość różnych rodzin politycznych, zatarły się dzisiaj na tyle, że te różne prawice tworzą już tylko jedną. Sukces UMP byłby tym samym podzwonnym dla wielości prawic.

Połączenie wszystkich prawic parlamentarnych w jedną formację było w sposób oczywisty decyzją strategiczną: pozwalało odłożyć na później sporządzenie programu wyborczego. Słuszność strategii mierzy się według jej skutków: czy UMP osiągnęła zamierzone cele? Czy po trzech latach możliwa jest już jakaś ocena? Musi być bardzo wyważona: UMP nie stała się – tego brakuje – sukcesem zdyskontowanym; ale nie stała się również widoczną porażką, raczej pewnym niepowodzeniem. Podobnie jak kierowanie przez Lionela Jospina złożoną z wielu składników lewicą.

UMP była natomiast sukcesem parlamentarnym. Nie potwierdziły się obawy, że tak liczna grupa (około trzystu sześćdziesięciu deputowanych), w dodatku nie potrzebująca już dla utrzymania swej spójności poszukiwać wsparcia – podzieli się. Nie potwierdziły się też nadzieje François Bayrou, że ujrzy powracających na macierzyste, partyjne łono UDF tych deputowanych, którzy opuścili ją tylko po to, żeby zapewnić sobie reelekcję z list UMP: dysydenci ci nie powrócili już do swej owczarni. Z pewnością z zadowoleniem odnaleźli się w UMP. Usztynienie się UDF, jej chęć zdystansowania się, nie ułatwiały im powrotu ani

pojednania. Dyscyplina głosowania niewiele ich kosztowała: nie wymagała od nich, by wyrzekali się swych przekonań. Niewykluczone, że osobowość przewodniczącego parlamentarnej grupy UMP w Zgromadzeniu Jacques'a Barrota<sup>84</sup> ułatwiła im sprawę, jeśli wziąć pod uwagę jego talent koncyliacyjny. On sam wywodzi się z UDF, gdzie był symboliczną postacią zarówno dzięki swym związkom rodzinnym, jak i dzięki osobistym poglądom; to on rozbroił obawy, że RPR chce ubezwłasnowolnić i „zagarnąć” grupę UDF: przekonamy się, czy jego odejście do Brukseli i zastąpienie go przez deputowanego RPR spowoduje odrodzenie się tego podejrzenia i popsuje harmonię, jaka od dwóch lat panuje w szeregach tej grupy, łączącej gaullistów z liberałami.

Z wyborczego punktu widzenia fuzja prawic i utworzenie UMP – po powszechnych wyborach parlamentarnych w czerwcu 2002 roku, będących wiadomym sukcesem – okazała się jednak na dłuższą metę porażką. W licznych wyborach uzupełniających oficjalny kandydat wystawiony przez UMP, a ubiegający się o mandat po ustępującym deputowanym prawicy, kompletnie przegrywał z prawicowym konkurentem należącym do formacji, która odmówiła fuzji: w Yvelines, Chesnay, w 16. dzielnicy Paryża, w okręgach, w których – to prawda – nie było żadnego ryzyka, iż wykorzystując ten podział, lewica odniesie zwycięstwo. Jakie byłoby zachowanie prawicowych wyborców w wypadku groźby zwycięstwa lewicy? Wystrzegając się spekulacji co do uczuć wyborców, trzeba jednak stwierdzić, że prawicowi wyborcy nie zaakceptowali tej strategicznej intencji, która doprowadziła do powstania UMP.

Zwłaszcza na planie ogólnym UMP stała się porażką. Bo, w rzeczy samej, przedsięwzięcie to miało sens tylko pod warunkiem, że zgrupuje skutecznie wszystkie prawice, nie pozostawiając żadnej na zewnątrz; w przeciwnym razie dorzucaloby tylko jeszcze jeden różniący je temat do już istniejących. Gdy chociaż jeden składnik prawicy odmawia wejścia do tej nowej organizacji, cały projekt traci rację bytu. I tak właśnie się stało, gdy jedna z frakcji UDF odmówiła samolikwidacji, grupując się wokół swego przewodniczącego, François Bayrou. Byłoby zbyt łatwe tłumaczyć to ambicjami osobistymi i taktyczną rywalizacją przed przyszłymi wyborami prezydenckimi. Porażka ta była też nieodwołalną konsekwencją pewnego koncepcyjnego błędu i niezręczności wykonawczej. Bolesne wspomnienia podtrzymują na prawicy obawę przed hegemonią składnika gaullistowskiego: obawa ta znalazła potwierdzenie w strategii praktykowanej przez założycieli UMP wobec UDF; skoro nie można zmusić jej do stopienia się we wspólnym tyglu zjednoczonej prawicy, byłoby mądrym i zręcznym posunięciem ustalić z nią stosunki

---

<sup>84</sup> Jacques Barrot (ur. 1937) – prawnik, polityk Unii na rzecz Ruchu Ludowego (UMP), wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej.

partnerskie, na wzór tych, jakie przez pięć lat Partia Socjalistyczna potrafiła utrzymywać z komunistami i lewicowymi radykałami. Tymczasem gdy nie udało się jej wchłonąć UDF, UMP potraktowała ją jak dysydemtę. Stara niechęć prawicy wobec centrystów i oskarżenie o dwulicowość były odpowiedzią na podejrzenia centrystów dotyczące możliwej hegemonii UMP. Ambitny projekt założenia wielkiej, nowoczesnej prawicowej partii skończył się częściowym fiaskiem.

Częściowym – bo odtąd przekładał się jednak na koegzystencję we wspólnej formacji ludzi wywodzących się z różnych obozów i tradycji, dotąd bardzo poróżnionych: w UMP byli gaulliści i giscardyści, liberałowie i przedstawiciele nurtu socjalno-chrześcijańskiego, jakobini, bardziej niż zdystansowani wobec wszelkiej decentralizacji, i zdecydowani zwolennicy decentralizacji, zagorzali proeuropejczycy i obrońcy niepodzielnej suwerenności. I jedni, i drudzy zamierzali pozostać wierni swym orientacjom i raczej trwali obok siebie, niż uzgadniali kompromisy między swymi orientacjami. Fuzja nie dokonała się. Założyciele UMP przyznali strategicznym wyborom pierwszeństwo przed określeniem celów ugrupowania; nie podjęto żadnych działań, by wewnątrz UMP zbliżyć różne punkty widzenia i rozpocząć pracę nad wspólnym programem.

Porzucono więc nadzieję, że wewnątrz UMP odblokowana zostanie dyskusja między poszczególnymi nurtami, i możliwość taką systematycznie odkładano na bardziej sprzyjające czasy. Formacja ta jest zatem przykładem pluralizmu, który oparł się wszystkiemu. Nic nie zmieniło się na prawicy, tyle tylko, że zamiast wyrażać się większą liczbą różnych ugrupowań zawierających między sobą sojusze, część prawicowej wielości wpisała się w ramy organizacji, która skupiła te ugrupowania. Jak niegdyś, w czasach giscardyzmu, kiedy to UDF w swej pierwszej wersji sfederowała liberałów, chrześcijańskich demokratów i radykałów – z tą różnicą, że tamten federalizm był w zgodzie z pluralistyczną skłonnością tych orientacji, podczas gdy główni inspiratorzy obecnej UMP są dziedzicami tradycji unitarnej.

UMP, gdy powstawała, mogła być uważana za podzwonne dla pluralizmu i, w konsekwencji, za odejście od schematu trzech prawicowych tradycji. Względna porażka UMP potwierdziła go jednak *a contrario*. Wielość przejawia się wobec wszystkich kwestii, które dzielą: w kwestii Europy i jej konstytucji, decentralizacji, roli państwa, liberalizmu i ochrony społecznej. Najmniej dzieli tak zwana polityka zagraniczna. Ale i ona...! Wystarczy spojrzeć na stanowiska zajmowane wobec Turcji... Pewne twarde jądro, dla którego kluczowym słowem jest suwerenność, organizuje się wokół „Powstań Republiko”. Inny nurt, wypływający od Liberalnej Demokracji, organizuje kampanie na rzecz liberalizacji

gospodarki i jej deregulacji. Elementy dawnego CDS<sup>85</sup> walczą o „więcej Europy” i nie zamierzają poświęcić ochrony socjalnej dla dyktatury rynku. W ten sposób odnajdujemy w UMP wszystkie nasze tradycje historyczne w stanie nieskalanym. Jednak pluralizm zwyciężył.

Jedno wszakże się zmieniło: stanowisko obecnych spadkobierców gaullizmu wobec podziału prawica–lewica. Nie czują już oni odrazy do zasiadania na prawicy. Lepiej: ci, którzy odwołują się do tradycji gaullistowskiej, dążą do pozbierania rozproszonych fragmentów prawic. Jakże odległy jest czas, gdy gaullizm odrzucał tę różnicę i dążył do jej zniesienia!

Ale czy to jeszcze jest gaullizm? Tyle lat po śmierci jego założyciela, po tylu kolejnych generacjach gaullistów – czy można jeszcze mówić o gaullizmie? Oto znów pojawia się to obsesyjne pytanie, która przewijało się tutaj już cztery czy pięć razy. Od dawna już dziennikarze i obserwatorzy wolą mówić o neogaullizmie. Pytanie nie dotyczy ani uczuć, ani intencji. Nie ma wątpliwości co do wierności wobec osoby Generała i wobec pamięci o nim tych, którzy urodzili się na tyle dawno, by móc znać osobiście; nie ma też wątpliwości co do szczerości tych młodszych, dla których pozostaje podziwianym odniesieniem; ale czy tych uczuć i nastawień nie dzielają dziś we Francji wszyscy? Nie wyróżniają już one jakiegś określonej, jednej „rodziny politycznej”. W każdym razie nie są przeszkodą, by synteza tematów, którą niegdyś realizował gaullizm, i połączenie wartości, jakie oznaczał – rozpadły się: wszystkie „rodziny polityczne”, nie tylko na prawicy, czerpały z tego rezerwuaru inspiracji – przykład pozostaje, jego lekcje nadal inspirują. U neogaullistów obraz gaullizmu i Generała zaciera się. Fotografia ukazująca wielką sylwetkę Generała, która obecna była na gaullistowskich manifestacjach, nie pojawia się już w tle, na ekranach. Symbol krzyża lotaryńskiego stracił swą siłę oddziaływania. Nicolas Sarkozy, wyniesiony obecnie na przewodniczącego UMP przez partyjnych aktywistów, który miał piętnaście lat, gdy generał de Gaulle opuszczał Pałac Elizejski, nie wymówił nawet jego imienia podczas swej kampanii. Nurt gaullistowski – tak długo dominujący – stracił swe znaczenie w łonie UMP, którego utworzenie inspirował: stosunek sił niekoniecznie wypada na jego korzyść. Nurt liberalny nie jest bez znaczenia, a z jednej i drugiej strony linii dzielącej UMP i UDF tworzy się pole o inspiracji chrześcijańsko-demokratycznej, które liczy prawie stu parlamentarzystów.

W polityce nic nie jest nieodwołalne. A jednak wydaje się, że można dziś powiedzieć, iż – nie jako inspiracja czy odniesienie, ale jako zorganizowany wyraz i aktywny komponent

---

<sup>85</sup> Centre des démocrates social (Centrum Demokratów Społecznych) – partia kontynuująca chrześcijańsko-społeczne tradycje Republikańskiego Ruchu Ludowego (MRP).

gry politycznej – gaullizm, który zachowywał tak poczesne miejsce w historii ostatnich pięćdziesięciu lat, dożył swych dni: zaciera się, jeśli nie w pamięci, to przynajmniej w czynnej polityce.

## **Nowe prawice?**

Przez półtora wieku – o ile nasza interpretacja jest słuszna – liczba prawic zwiększyła się z jednej do trzech. Zwielokrotnienie to było skutkiem upływu czasu, który sprawił, że wyłoniły się nowe prawice, lub raczej że przeszły z lewicowych rodzin myślenia – na prawo. Od tego czasu ich powikłana historia potwierdzała trwałość tego rozróżnienia i słuszność rachunku. Ale ich liczba nie jest dana raz na zawsze. Nie ma powodów, żeby nie uległa zmianie. Cóż jest zresztą niezmiennego w życiu politycznym? Czemu ów proces, który wyłonił nowe składniki systemu sił politycznych, nie miałby rozwijać się dalej, wzbogacając pluralizm tego systemu? W każdym razie nic bardziej stosownego i uzasadnionego dla badań historycznych u progu nowego wieku, niż zadać pytanie, czy nie nadeszła chwila, by zinwentaryzować nowe prawice.

Upředźmy od razu nieporozumienie, jakie mogłoby wprowadzać to wyrażenie. W końcu lat siedemdziesiątych nazwa „nowa prawica” oznaczała pewną szkołę myślenia; przez pewien czas była modna i budziła wiele dyskusji, które zaznaczyły się w historii ideologicznych sporów. Szkoła ta, której główny inspirator, Alain de Benoist<sup>86</sup>, podjął jako wyzwanie deprecjonowany wówczas termin „prawica” – dążyła do odnowienia doktrynalnego korpusu prawicy, trochę tak, jak osiemdziesiąt lat wcześniej próbował tego z powodzeniem Charles Maurras w swym *Enquête sur la monarchie*, które odświeżyło prawicę legitymistyczną, zaszczipiając nowy nacjonalizm na starym pniu tradycyjnego rojalizmu. Ta Nowa Prawica zapożyczała zresztą od twórcy integralnego nacjonalizmu niektóre swe postulaty, zwłaszcza jego odrzucenie idei demokratycznych. Przeprowadzana przez nią krytyka była zwłaszcza skierowana przeciw zasadzie równości, której szkodliwość potępiała i której ojcostwo przypisywała judeo-chrześcijaństwu, negującemu naturalne nierówności. O ile Action française wyznawała wiarę katolicką, zanim weszła w konflikt z Kościołem, to Nowa Prawica odwoływała się do źródeł pogańskich, greckich, germańskich, indyjskich, skandynawskich. Odnajdziemy ją jako jeden ze składników Frontu Narodowego.

---

<sup>86</sup> Alain de Benoist (ur. 1943) – pisarz, dziennikarz, współtwórca Nowej Prawicy, ruchu o neopogańskim profilu ideowym.



Nie tę tendencję mamy jednak na myśli, przywołując możliwość wyłonienia się nowych prawic, ale dwie wielkie tradycje, zanurzone swymi korzeniami w historii, które nie muszą zazdrościć dawności wyodrębnionym już prawicom: jedna i druga sięgają swymi początkami do pierwszej połowy XIX wieku, do czasów monarchii lipcowej, kiedy to pojawiły się prawie wszystkie ideologie, które odtąd walczyły o przyciągnięcie umysłów. Ale ani jedna, ani druga nie lokowały się wówczas na prawicy. Przeciwnie.

Jedna pojawiła się nawet na skrajnej lewicy: tradycja radykalna. Samo określenie „radykał” weszło do słownika politycznego po roku 1830, gdy określenia się jako republikański narażało na prawne szykany, i oznaczało dokładnie tych, którzy odrzucali ustrój monarchiczny, zamierzali nawiązać do wielkiej Rewolucji i dokończyć jej dzieła. Od tamtego czasu aż do naszych dni określenie to nigdy nie wyszło z użycia, nawet na krótko: zdarzało się nawet niekiedy, że kilka partii jednocześnie odwoływało się do radykalizmu i uznawało jego dziedzictwo. Tak dzieje się jeszcze i dzisiaj, gdy dwie formacje noszą w nazwie przymiotnik „radykalny”, jedna po prawej, druga po lewej stronie sceny politycznej.

Druga tradycja – to rodzina myśli demokratów, czerpiących inspirację do swych działań w chrześcijaństwie (bez wątplenia wyrażenie „rodzina myśli” jest najbardziej stosowne dla tej właśnie tradycji, która od początku przywiązana jest do instytucji rodziny i wartości z nią związanych). W odróżnieniu od radykalizmu, ta polityczna rodzina nie zrodziła się na lewicy. Jeśli nie lokowała się na prawicy, to dlatego że nie chciała być z prawicą utożsamiana i kierowała się pragnieniem odróżnienia się od politycznych i społecznych konserwatystów.

Te dwie tradycje nie mają więc początkowo ze sobą wiele wspólnego. Choć z czasem zbliżą się do siebie aż tak, że staną się sojusznikami, to na początku dzieli je wszystko, a nawet wszystko przeciwstawia je sobie. Poczynając od spojrzenia na sam podział na prawicę i lewicę. Radykałowie widzieli w nim zasadniczą różnicę i klucz do wszystkich politycznych wyborów. W odniesieniu do tej właśnie osi świadomie sytuowali się na lewicy: „nie ma wrogów na lewicy” będzie – owszem, nie bezustannie – jednym z ich haseł i nakazem ich strategii, w doskonałej harmonii z przekonaniem, że tego, co dzieli prawicę od lewicy, nie da się usunąć.

## Chrześcijańska demokracja

Wizja tej drugiej rodziny, chrześcijańskich demokratów, jest – bez zabawiania się w grę słów – radykalnie odmienna. Antagonizm między prawicą a lewicą i jego

konsekwencje w życiu politycznym (podział Francuzów, wzbudzanie sprzecznych namiętności) bardzo się im nie podobają. Wszelki podział rani ich przywiązanie do jedności: przenoszą na życie polityczne to uczucie, jakie czerpią ze swych religijnych przekonań. Nie wierzą, żeby między ludźmi uczciwej wiary i dobrej woli mogły utrzymywać się różnice nie do pokonania, i chcą pracować nad ich ograniczaniem. Zwłaszcza nad ograniczeniem tej różnicy, jaka od czasu Rewolucji przeciwstawia Kościół katolicki, którego są oddanymi synami – nowoczesnemu społeczeństwu i zasadom roku 1789. Są spadkobiercami tych, którzy przez cały XIX wiek trudzili się, by pogodzić chrześcijaństwo z wolnością (liberalni katolicy z La Mennais’em w jego „drugim podejściu”, Lacordaire i Montalembert), z demokracją (Marc Sangnier i Sillon), z ludem i światem robotniczym (katolicy społeczni). Rozwód między Kościołem a biegiem historii jest w ich oczach tylko przypadkiem, nieporozumieniem, które trzeba naprawić, nie zaś – jak to ujmują nieprzejednani katolicy – logiczną i nieuchronną konsekwencją absolutnej nieprzystawalności sprzecznych zasad. Zamierzają zatem położyć kres konszachtom Kościoła z reakcją i społeczno-polityczną konserwą, a najbardziej zdeterminowani marzą, by przerzucić pomost pojednania w stronę pewnej lewicowej frakcji: bardziej niż na prawicy sytuują się w centrum.

Ale nie jest w ich mocy zmienić reguły gry rządzącej podziałem na prawicę i lewicę. Na prawicy ta chęć odróżnienia się sprowadza na nich zarzuty, że dzielą obóz „uczciwych ludzi”, osłabiają opór wobec wroga, zasługują więc, by podejrzewać ich o odgrywanie podwójnej roli. Lewicy natomiast nie wystarcza, że zajmują stanowisko przychylnie wolnościom politycznym czy prospołecznemu ustawodawstwu, aby przekonała się co do szczerości ich dołączenia do Republiki i ich demokratycznych przekonań. Żeby zmniejszyć zatem tę różnicę dzielącą prawicę od lewicy, a tym bardziej – żeby ją wymazać, należałoby znaleźć na lewicy poręczycieli, którzy ujmą wyciągniętą do nich dłoń: warunek konieczny, wypływający z tego binarnego systemu politycznego, dziedziczonego historycznie i umacnianego przez systemy wyborcze. To jeden z powodów, dla którego przedstawiciele tej rodziny myśli sprzyjać będą wszelkim reformom sposobu głosowania odchodzącym od zasady większościowej na rzecz zasady proporcjonalności. Przy zasadzie większościowej nie mają żadnej realnej szansy utworzenia w krótkim okresie większości, która zastąpiłaby tradycyjny podział, a szansa na udział w rządzie jest jeszcze mniejsza: taka sytuacja spycha ich nieuchronnie na prawo.

Takie były zamiary i kalkulacje pewnych strategów tej politycznej rodziny w okresie międzywojennym: zbliżyć się z radykałami. Ideę tę rozwiniął w 1929 roku jeden z myślicieli Demokratycznej Partii Ludowej (PDP), Robert Cornilleau, w niewielkiej, przenikliwej

książeczce zatytułowanej *Pourquoi pas? Une politique réaliste* (Czemu nie? Polityka realistyczna): czemu nie zawrzeć porozumienia między dwoma centrystycznymi ugrupowaniami, które ustrzegłoby je od podwójnej zależności, uwalniając chrześcijańskich demokratów od hegemonii konserwatywno-nacjonalistycznej prawicy, a radykałów – od „sam na sam” z SFIO, adeptką kolektywizmu i internacjonalizmu? Było to także celem innej wybitnej postaci z tej politycznej rodziny, François’a Gaya, wywodzącego się z kręgu Sillon, wydawcy, w 1932 roku założyciela dziennika „L’Aube” i autora licznych poufnych memoriałów, redagowanych dla kadr tego ruchu.

Jednak w tamtych latach przepaść między prawicą a lewicą była jeszcze zbyt głęboka, kwestia religijna – mimo pewnej wspólnej woli uspokojenia – zbyt jeszcze żywa, wpływy łóż masonskich na Partię Radykalną zbyt silne, a nieufność katolików wobec lewicy laickiej zbyt głęboka, aby Demokratyczna Partia Ludowa, założona w 1924 roku, mogła odegrać rolę inną niż bycie wsparciem dla prawicy, jej strażą ubezpieczającą na lewej stronie. Nie ma wątpliwości, że ta mała partia (która w ciałach ustawodawczych okresu międzywojennego nie miała więcej niż dwudziestu deputowanych) nie mogła zostać kładką między dwoma politycznymi urwiskami, a tym bardziej – pokonać tej przepaści. Wszystko, co mogła zrobić w ramach większości parlamentarnej nazywanej „unią narodową”, która powstawała trzykrotnie w sytuacjach kryzysowych – w roku 1926, 1934 i 1938 – to w sposób bardzo skromny uczestniczyć w rządzie (na przykład Champetier de Ribes piastował tekę ministra rent), w gabinetach podległych ministrom delegowanym przez radykałów czy w biurach przedstawicieli parlamentarnej prawicy. W pomniejszych sprawach lub w wyborach lokalnych udawało się im także zrywać z prawicą lub startować jako kandydaci konkurujący z kandydatami tradycyjnego, konserwatywnego katolicyzmu (i tak na przykład w wyborach municypalnych w 1935 roku, w dzielnicy Saint-Sulpice, pisarz Jacques Madaule stanął przeciw byłemu prefektowi policji, Jeanowi Chiappe’emu, popieranemu przez ligi skrajnej prawicy), a niekiedy zwyciężyć w wyborach trójstopniowych. Ale gdy zanosilo się na burzę i gdy odżywały antagonistyczne sprzeczności, grupa ta – jeszcze zbyt słaba, by mogła przeżyć jako formacja parlamentarna i zachować swe zagrożone mandaty – nie miała innego wyjścia, jak tylko dołączać do obozu prawicowej koalicji. Tak właśnie stało się podczas wiosennych wyborów w 1936 roku, gdy walka wyborcza przeciwstawiła sobie dwie koalicje: Front Ludowy, grupujący wszystkie ugrupowania lewicowe – przeciw Frontowi Narodowemu, jednoczącemu wszystkie formacje prawicowe; antyfaszyzm przeciw antykomunizmowi. Zwyjątkiem małej ligi Młoda Republika, która odłączyła się od Sillon i przystąpiła do

Zgromadzenia Ludowego, wszyscy demokraci o chrześcijańskiej orientacji włączyli się do prawicowej koalicji.

I w ten sposób, bez względu na to, jaka była głębokość rozdziewku między tą rodziną myśli a tradycyjnymi prawicami, w systemie sił politycznych opartym na przeciwieństwie dwóch bloków noszących nazwę prawicy i lewicy – chrześcijańska demokracja pozostała aż do końca Trzeciej Republiki jeńcem prawicy i postrzegana była przez wszystkie lewice jako jedna z odmian odwiecznego przeciwnika. Dlaczego zatem od 1954 roku nie wymieniamy jej jako jednego ze składników prawicy?

Dlatego, że sprawy ułożyły się inaczej po odrodzeniu się życia politycznego, po roku 1945: tragedia wojenna całkowicie zmieniła czynniki uczestniczące w grze politycznej. Kwestia religijna, która od półtora wieku dzieliła Francję i tak długo dominowała nad życiem politycznym, nie była już nieprzezwyciężalną przeszkodą w zbliżeniu między świeckimi a klerykałami. Lewica nie mogła już zarzucać katolikom, że przeciwstawiają się demokracji, ani wątpić w szczerość ich poparcia dla Republiki: dali tego bezdyskusyjne dowody. Żadna formacja polityczna nie miała mniej członków pośród kolaborantów, ani nawet w szeregach rewolucji narodowej. Kilku ludowych demokratów figurowało pośród tych osiemdziesięciu, którzy 10 lipca 1940 roku głosowali na „nie” i odmówili przekazania pełnej władzy marszałkowi Pétainowi. Demokraci z tej politycznej rodziny znaleźli się wśród pierwszych, którzy – od jesieni 1940 roku – zaangażowali się w ruch oporu.

Na arenie politycznej w miejsce małej Demokratycznej Partii Ludowej (skazanej na skromną rolę z uwagi na mały zasięg swych działań i twarde prawo binarnego podziału sceny politycznej) powstał potężny ruch otoczony aureolą szacunku z powodu udziału jego członków w ruchu oporu, darzony domniemywaną sympatią przez generała de Gaulle’a; jego pierwszym przewodniczącym został Maurice Schumann, orędownik wolnej Francji, którego głos podczas okupacyjnej nocy symbolizował nadzieje na odzyskanie wolności. Od razu, wskutek uprzywilejowania wynikającego z proporcjonalnego systemu wyborczego i dyskredytacji dawnych partii prawicy, Republikański Ruch Ludowy (fr. Mouvement républicain populaire – MRP), poparty milionami głosów, uzyskał w dwu kolejnych konstytuancjach około stu pięćdziesięciu i stu sześćdziesięciu posłów i stał się – w przeciwieństwie do swojej poprzedniczki – partnerem nie do pominięcia dla innych wielkich partii: w czerwcu 1946 roku stał się nawet, zarówno wskutek liczby uzyskanych głosów (5,5 miliona, 28 procent) jak i liczby zdobytych mandatów, pierwszą partią we Francji.

Napisałem powyżej: „w przeciwieństwie do swojej poprzedniczki”: czy to odpowiednie sformułowanie? Pytanie o kontynuację odnosi się do całej tej tradycji, gdy próbuje się kreślić jej genealogię. MRP wpisywał się z pewnością w ślad PDP i nie wypierał się tego dziedzictwa. Czy jednak wystarczało to, by w nowych warunkach politycznych zostać kontynuatorem tej małej grupki parlamentarnej z czasów parlamentów dobiegającej kresu Trzeciej Republiki? Różnił się teraz od PDP wielkością, i sama już ta różnica wywoływała inne, bardziej istotne. Przede wszystkim MRP postanowił zerwać z praktykami dawnych partii, dla których jego aktywiści wcale nie mają sympatii. Chce wytworzyć pewien bardziej demokratyczny styl udziału w życiu politycznym: stąd wybór samej nazwy: „ruch”, a nie „partia”. MRP jest więc zgromadzeniem o charakterze federacji, grupującym różne składniki. Jest to nowa jakość w życiu politycznym: odtąd, pod rządami Czwartej i Piątej Republiki, nie da się już wpływać znacząco na decyzje polityczne inaczej, jak tylko grupując w swych szeregach wiele składników, tak jak robią to kolejne formacje gaullistowskie, poczynając od RPF, czy odnowiona Partia Socjalistyczna od czasu swego kongresu w Épinay. MRP zrzesza w 1944 roku stare składniki: członków PDP, aktywistów uformowanych przez ruchy Katolickiego Zrzeszenia Młodzieży Francuskiej (Association catholique de la jeunesse française – ACJF), młodzieży robotniczej, rolniczej, chrześcijańskich studentów, katolików społecznych, chrześcijańskich związkowców, czytelników pism „Sept” i „Temps présent”... Pośród tej mgławicy to właśnie przywódcy wywodzący się z ACJF, z pokolenia młodszego niż to wywodzące się z PDP, jak Anré Colin<sup>87</sup>, Albert Gortais i Maurice-René Simonnet, nadadzą ton w początkowej fazie.

Jak w tym decydującym momencie odradzania się życia politycznego rodzina chrześcijańskich demokratów sytuuje się względem podziału prawica–lewica? O ile stosunek sił jest odwrócony – prawica skompromitowana, lewica triumfuje – podział ten nic nie stracił ze swej ideologicznej i symbolicznej doniosłości. Jak w tym gruntownie przemodelowanym świecie MRP określa się w stosunku do owej dychotomii, która nie przysparza jej więcej sympatii niż jej poprzednikom? Oto wyzwala się z zależności od prawicy, na której wcześniej trzymały ją, jak na uwięzi, system wyborczy i ostracyzm lewicy, a także dawna, własna słabość. Czy chrześcijańscy demokraci są na prawicy, czy na lewicy? Pytanie to było przedmiotem kontrowersji już w roku 1945. Pozostało nim do dzisiaj. I nie ma co się dziwić: w tej kwestii nie ma absolutnej pewności, tylko przypuszczenia.

---

<sup>87</sup>Anré Colin (1910–1978) – polityk Republikańskiego Ruchu Ludowego (MRP), wielokrotny minister w latach pięćdziesiątych.

Na lewicy nie ma co do tego wątpliwości: MRP jest na prawicy. Więcej: j e s t prawicą; nie ma już innej. Zwłaszcza dla Partii Komunistycznej, dla której prawica zaczyna się tuż po jej prawej stronie. Utożsamianie MRP z reakcyjną prawicą odpowiada komunistom, którzy wówczas muszą liczyć się ze swym socjalistycznym sojusznikiem, i których strategia wpisuje się zawsze w tę dualistyczną logikę: partia potrzebuje wroga. Z braku klasycznych prawic w tamtym okresie, MRP nadaje się znakomicie na wroga. Stąd owa gra słów używana w prasie komunistycznej, wyspecjalizowanej w fabrykowaniu przezwisk, które przykuwają uwagę opinii publicznej i zapadają w pamięć: MRP – Machine à Ramasser les Pétainistes (MRP – Maszyna do Zbierania Petainistów).

Co do ludowych republikanów – bronili się, oczywiście, przed zaszeregowaniem do prawicy, zdaje się, że głównie z obawy przed tą dyskredytacją, jaka generalnie dotykała prawicę zaraz po wojnie. Ale o ile jest czymś normalnym brać pod uwagę oceny, jakie zwolennicy i przeciwnicy formułują względem pozycji danej formacji na osi prawica–lewica – oceny te, niewątpliwie niepewne, gdyż z konieczności subiektywne, nie mogą zwolnić z obowiązku uwzględnienia innych, mniej dyskusyjnych wskaźników. Na podobieństwo nawigatora, który oznacza położenie w odniesieniu do niezmiennej siatki danych – długości i szerokości geograficznej – położenie rodzin politycznych określa się w odniesieniu do dwóch czy trzech danych, które poddają się obiektywnemu oszacowaniu.

Jedną z takich stałych danych są, przede wszystkim, idee. W klimacie tamtych czasów, który wymagał, aby walka w ruchu oporu teraz, po wojnie, miała kontynuację w działalności politycznej prowadzącej do dużych, rewolucyjnych zmian – przywódcy MRP przystąpili do programu Rady Narodowej Ruchu Oporu, która zalecała głębokie reformy strukturalne, a aktywiści MRP podpisali się bez zastrzeżeń pod hasłem „Rewolucja poprzez prawo” – rzuconym przez Georges’a Bidaulta<sup>88</sup>, byłego wydawcę „L’Aube” i następcę Jean Moulina<sup>89</sup> na czele CNR. Deputowani MRP przyjęli bez wahania teksty ustaw nacjonalizujących ważne sektory produkcji przemysłowej i kredytowania, jak i projekty ustaw zmierzające do polepszenia warunków pracy i rozszerzenia zabezpieczeń społecznych: były one w zgodzie z głównymi kierunkami społecznego katolicyzmu i pojmowaniem roli państwa jako jedyne go czynnika będącego w stanie rozumieć interes ogólny i dać mu priorytet nad interesami partykularnymi.

---

<sup>88</sup> Georges Bidault (1899–1983) – jedna z głównych postaci ruchu oporu, przywódca Republikańskiego Ruchu Ludowego (MRP). W czasach Czwartej Republiki premier i minister spraw zagranicznych, po 1958 roku przeciwstawił się polityce de Gaulle’a wobec Algierii.

<sup>89</sup> Jean Moulin (1899–1943) – przewodniczący Conseil national de la Résistance (Narodowej Rady Ruchu Oporu).

Najpierw więc idee; drugi obiektywny wskaźnik to wyborcy. Wobec znacznej różnicy między szczupłym elektoratem małej PDP podczas czterech ostatnich wyborów parlamentarnych w Trzeciej Republice a milionami głosów oddanych na kandydatów MRP w roku 1946, dzięki którym w Palais-Bourbon zasiadło około stu pięćdziesięciu deputowanych – rzuca się w oczy, że nowi wyborcy nie mogli rekrutować się tylko spośród dawnych słuchaczy Tygodni Społecznych, czytelników „L’Aube” czy „Sept”, aktywistów chrześcijańskiej młodzieży robotniczej czy chrześcijańskich związkowców: ta różnica była zbyt wielka. Nawet jeśli uwzględnić, że od ostatnich przedwojennych wyborów parlamentarnych z wiosny 1936 roku upłynęło dziesięć lat, podczas których ogół elektoratu zmienił się – bo odmłodził – a prawo głosowania dla kobiet podwoiło jego stan liczebny, to zwykły zdrowy rozsądek podpowiada, jako oczywistość arytmetyczną, że ta wielka nadwyżka oddanych na MRP głosów musiała pochodzić spoza przedwojennego elektoratu PDP. W tym samym czasie wielkie parcie na lewo zwiększyło elektorat socjalistów i komunistów; owa nadwyżka MRP również mogła napłynąć tylko z prawej strony, od Federacji Republikańskiej lub innych grup wyborców popierających przedtem prawicę parlamentarną, a nie wolno zapomnieć także o licznych rzeszach zgromadzonych pod sztandarem nowo utworzonej latem 1936 roku przez pułkownika La Rocque’a Francuskiej Partii Społecznej, której celem była kontynuacja rozwiązywanej ligi. Ten bardzo złożony elektorat możliwy był do zagospodarowania wskutek zaniku prawicowych organizacji: pozbawiony swych dotychczasowych, głównych przywódców – był sierotą.

Jako że w ówczesnym powojennym klimacie głębokiego upolitycznienia powstrzymanie się od udziału w życiu politycznym nie wchodziło w rachubę, elektorat ten oddał swe głosy – bez specjalnych instrukcji i zaleceń – na tę formację, która wydawała mu się w najmniejszym stopniu zorientowana na lewo, jedyną także, która była w stanie – w tamtych okolicznościach – powstrzymać wzrost znaczenia lewicy i zastopować kolektywizację społeczeństwa. Dla pewnej, trudnej do oszacowania części tego elektoratu głosowanie na MRP było nie tyle świadomym poparciem jego programu, ile przyłączeniem się z braku innej możliwości, o ile nie wyborem mniejszego zła. Partia Komunistyczna nie całkiem myliła się zatem, upatrując w MRP maskę skrywającą prawicę. Z pewnym zastrzeżeniem, które ma swą wagę: takie świadome przypisywanie wyborcom ukrytych intencji i interpretowanie ich decyzji wyborczych, jakby wszyscy oni mieli w głowach jakąś strategiczną wizję, zdradza niezrozumienie klimatu chwili i nie uwzględnia obiektywnie ważnego faktu, że szczerłość i zmienność się nie wykluczają. Ci sami wyborcy, którzy wcześniej szli za liderami prawicy lub którzy w swoim czasie ufali marszałkowi Pétainowi, że

znów wskrzesi Francję, w czasach powojennej gorączki wyzwolenia najzwyczajniej w świecie zapomnieli o swych wcześniejszych uczuciach i całkiem szczerze dołączyli do tej filozofii politycznej, która w pierwszym szeregu politycznych zadań stawiała sprawiedliwość społeczną. Także do Partii Komunistycznej i Partii Socjalistycznej napłynął wówczas elektorat, który wcale nie należał przedtem do ich rodziny politycznej. Innymi słowy, głosy oddane na MRP, o ile bez wątpienia pochodziły w większości od prawicowego elektoratu, nie oznaczyły równie jednoznacznie głosowania na prawicę lub jeszcze nie miały wtedy takiego znaczenia. W związku z ówczesnym sukcesem MRP powiedzieć można w sposób równie uprawniony, że ruch ten pociągnął za sobą na lewo tych, którzy, gdyby nie on, głosowaliby na pozostałości starych prawic – czego tamte prawice nigdy MRP nie wybaczą – lub powstrzymałby się w ogóle od głosowania, zamiast dać się wykorzystać w ramach odrzucanej wyborczej i parlamentarnej demokracji.

Analiza ówczesnego systemu aliansów i frontów walki politycznej (trzecie kryterium) przemawia także na korzyść zaprezentowanej tu interpretacji głosowania na MRP. Pouczające jest pod tym względem porównanie ze strategią praktykowaną przez małe ugrupowania, które w dwóch konstytuancjach (z roku 1945 i 1946) zapewniły bardzo słabą tylko obecność prawicy: o ile, z wyjątkiem kilku indywidualności, nie dostały udziału w rządzie, to stało się tak nie tylko dlatego, że ewentualne poparcie ich wyborców nie interesowało trzech partii rządzących, które same dysponowały w tych zgromadzeniach ponad trzema czwartymi mandatów; te małe ugrupowania nie weszły do koalicyjnych rządów także dlatego, że były w zdecydowanej opozycji wobec wszystkich tak zwanych reform strukturalnych wdrożonych przez rząd tymczasowy, które miały poparcie MRP. Choć deputowani MRP powściągli w tym lub tamtym punkcie rewolucyjny zapał swych partnerów z lewicy lub temperowali radykalizm niektórych projektów, to nie kwestionowali ich motywów ani nie krytykowali zasadniczych rozwiązań. Uczestniczą w ich autorstwie, ryzykując, że spotka się to z zarzutami ze strony zwolenników starej prawicy o uprawianie lewicowej polityki, a ze strony katolików – którzy nie wszyscy wyrzekli się rewolucji narodowej – o robienie z siebie orędowników przemian nie mających nic wspólnego z chrześcijańską tradycją Francji, starszej córki Kościoła.

I tak, w świetle tych trzech głównych kryteriów – idei, wyborców i sojuszy – MRP w roku 1945 jest mocno zakorzeniony na lewicy: granica, która oddziela wówczas dwa wielkie bloki, przebiega bezsprzecznie po jego prawej stronie, pozostawiając go po stronie lewej. W 1945 roku MRP jest n a l e w i c y, a być może nawet – jest l e w i c o w y.



Z wyjątkiem jednego punktu, którego wyolbrzymianiem niektórzy na lewicy byli bardzo zainteresowani, gdyż umożliwiało to im spychanie MRP na prawo i zmuszało go do układania się z resztkami prawicy: była nim obrona szkolnictwa wyznaniowego i kwestia laickości. Finansowanie szkół prywatnych (kwestia delikatna z powodu ich niepewnej sytuacji w stosunku do „bezpłatnego”, finansowanego z budżetu szkolnictwa publicznego) zostało zakwestionowane wskutek zniesienia w 1945 roku publicznych subwencji przyznanych dla szkół wyznaniowych przez rząd Vichy. Pozbawione tej butli z tlenem, wolne szkoły są w większości zagrożone upadkiem. Więzy łączące MRP z Kościołem nie pozwoliły temu ugrupowaniu pozostać obojętnym: jego wyborcy, rekrutujący się głównie spośród ludzi wierzących, nie zrozumieliby, dlaczego – uczestnicząc we władzy – ich partia nie robi nic, by przyjść z pomocą szkołom wyznaniowym. MRP zaczął więc mnożyć inicjatywy zmierzające do rozluźnienia uścisku imadła dławiącego wolne szkoły. Tymczasem w tamtych latach spór dotyczący tych dwóch typów szkół, a trwający już od ponad wieku, daleki był od wygaśnięcia: wola zachowania pieniędzy z podatków wyłącznie dla szkół państwowych jest wówczas nadal symbolem laickości i kryterium przynależności do lewicy; łamiąc tę zasadę, MRP wskazywał na swą przynależność do prawicy. Wznowienie tej kontrowersji było szansą dla radykałów: dla nich, będących w otwartej opozycji z większością parlamentarną we wszystkich innych sprawach, była to jedyna możliwość, by nazwać się jeszcze lewicą i zostać potraktowanym jako partnerzy przez dwie wielkie partie lewicy. Ale czy ten pojedynczy przypadek, jak symboliczny by nie był, sam wystarcza, by wbrew wszystkim innym oznakom zakazać twierdzenia, że w 1945 roku MRP był na lewicy? Biorąc pod uwagę także kryterium atmosfery tamtego czasu, i wszystko dobrze zważywszy – jesteśmy przekonani, że możemy stwierdzić, iż w latach 1945–1946 MRP był na lewicy.

I pozostał na lewicy przez następne lata. Postanawiając 20 stycznia 1946 roku nie towarzyszyć generałowi de Gaulle w jego wycofaniu się z rządu, MRP wybrał solidarność ze swymi lewicowymi partnerami, chociaż ich wzajemne stosunki będą często napięte. Wyparcie się Generała spowodowane tą decyzją, podobnie jak duma MRP ze swej decyzji pozostania przy władzy, a także rozczarowanie de Gaulle’a tym, że MRP nie poszedł za nim – wytworzą między nim a tą partią coś więcej niż nieporozumienie. Niezgoda co do drugiego projektu konstytucji powiększy ten głęboki już rozdzwitek. Kilka miesięcy później, w kwietniu 1947 roku, dokona się ostateczne zerwanie za sprawą powołania przez de Gaulle’a Zgromadzenia Ludu Francuskiego (RPF), którego celem stanie się walka z ustrojem zdominowanym przez partie, jako odpowiedzialnym za bezsilność rządu i słabość Francji – a ze strony MRP za sprawą ogłoszenia zakazu podwójnej przynależności partyjnej. Był to początek wrogości, która nie

wygasła całkowicie jeszcze w sześćdziesiąt lat później. Przecistawiając się opozycyjnemu gaullizmowi, MRP daje dowód swego zakorzenienia na lewicy, podczas gdy RPF zmierza w stronę prawicy: im bardziej gaullizm zwalcza ustrój i atakuje partie usiłujące posługiwać się ustrojowymi instytucjami, tym bardziej MRP usztywnia się na swoich pozycjach, uznawanych za lewicowe, ale odpowiadających jego wyobrażeniu o demokracji i jego przywiązaniu do republiki parlamentarnej.

Byłoby jednak ślepotą utrzymywać, że w kilka lat później MRP pozostaje jeszcze na lewicy. Cóż więc zdarzyło się w ciągu tych lat, jeśli ani przywódcy, ani aktywiści nie mieli poczucia, że odstąpili od swych poglądów ani że przeszli z lewa na prawo? To, co zaszło, zasługuje na uwagę: ukazuje przekroczenie tej granicy, którą uznaje się za oddzielającą prawicę i lewicę; być może rozjaśnia sam ten proces.

Proces przesuwania się ku prawicy tego głównego składnika systemu sił politycznych Czwartej Republiki był wypadkową pewnego zbiegu czynników, przede wszystkim zmian, jakie dotknęły sam system i zmieniły pozycję MRP, niezależnie od dokonywanych przez tę partię świadomych wyborów. Poczynając od zerwania z trójpartyjnością w 1947 roku: zepchnięcie do opozycji Partii Komunistycznej, zawężając rządzącą większość koalicyjną, zmusiło socjalistów i ludowych demokratów do poszukiwania sprzymierzeńców na prawicy. Deputowani z ramienia Narodowego Centrum Niezależnych (CNI), którzy doświadczyli wówczas powrotu do łask opinii publicznej, weszli wraz z radykałami do nowopowstałej większości parlamentarnej, a granica ta, wcześniej całkiem widoczna, zatarła się. Oś większości przesunęła się na prawo: powołanie w 1952 roku na premiera Antoine'a Pinaya, znaczącej postaci centroprawicy, było zakończeniem tego procesu. MRP pozostaje w rządach kierowanych odtąd przez prawicę, doświadczając nawet z tego powodu pewnego rozdzielenia jaźni, z którego uwolni się, doprowadzając do upadku rządu Pinaya w końcu roku – co wzmacnia opinię, jaką liberalna prawica ma już na temat chrześcijańskich demokratów: że nie są pewnymi sojusznikami. Zadomowienie się ludowych republikanów na prawicy, pod rządami Czwartej Republiki, zostaje potwierdzone przez stanowisko, jakie zajmują przeciw Pierre'owi Mendèsowi France'owi i jego rządowi: ich niechęć wobec jego osoby, ich niezgoda wobec jego politycznych decyzji kończą proces ich usadowienia się na prawicy, podczas gdy frakcja radykalizmu, która idzie za negocjatorem porozumień genewskich, znów sadowi się na lewicy. Te dwie trajektorie krzyżują się w latach 1955–1956: wobec Frontu Republikańskiego, będącego czymś na kształt zawiązku pluralistycznej lewicy, republikanie ludowi należą do koalicji przeciwnej; ta przynależność wskazuje jasno, że zmienili obóz.

W tym procesie przesuwania się MRP ku prawicy narzucane przez bieg wydarzeń problemy, z jakimi spotykały się kolejne rządy, jak i wybory, jakich uczestnicy Ruchu musieli dokonywać, także odegrały ważną rolę. Zwłaszcza problemy zamorskie: wiedząc, skąd MRP czerpał swą inspirację, można by po nim oczekiwać, że w sprawie stosunków Francji z jej koloniami zajmować będzie stanowiska bardziej liberalne. Tymczasem MRP dopuścił, by utożsamiano go z polityką represyjną, godząc się, by wielu jego polityków wzięło na siebie równie ciężką, co chwalebłą odpowiedzialność – w Indochinach (Jean Letourneau) i na Madagaskarze (Pierre de Chevigné), potem w Afryce Północnej; George Bidault nie potępił inicjatywy władz lokalnych usuwającej z urzędu sułtana Maroka w 1953 roku.

Ten powolny dryf na prawo rozczerował wielu zwolenników: ci najbardziej motywowani religijnie oburzali się, widząc, jak odniesienie do chrześcijaństwa instrumentalizowane jest przez politykę zamorską, której brutalność i reakcyjny charakter potępiali. Ich niezadowolenie wywołuje serię dymisji i rozstań, które skutkują schizmą chrześcijańskiej lewicy. O ile większość wyborców, którzy opuścili MRP w latach 1947–1954, przeszła na prawo, ci, którzy odeszli u schyłku lat pięćdziesiątych, odeszli na lewo. Na zasadzie efektu łańcuchowego ich odejście, osłabiając tendencję do utrzymania otwarcia na lewą stronę, podkreśliło jeszcze mocniej ów dryf w prawo, który – jak się wydaje – dokonał się i zakończył na początku roku 1954.

Powrót do władzy, w 1958 roku, byłego przewodniczącego RPF i powstanie ustroju głęboko różniącego się od Czwartej Republiki, w której MRP zdobywał doświadczenie, narzucając swe zasady, ale i swe obyczaje, nie mogły pozostać bez wpływu na losy chrześcijańsko-demokratycznej rodziny: zmieniły ją. Najbardziej nagłym problemem dla MRP nie było już zaznaczanie swej odrębności wobec idei liberalnych lub poglądów konserwatywnych: problemem tym stało się po prostu polityczne przetrwanie i opór wobec dominacji partii gaullistowskiej, która zagarnęła lwia część elektoratu.

W tym celu możliwe były trzy strategie, z których każda miała swych teoretyków i адвокатów w kierowniczych gremiach MRP. Strategia pierwsza: pójść w ślady generała de Gaulle’a i dołączyć do formacji gaullistowskiej, podając jako motyw fakt, że chrześcijańscy demokraci różnią się od gaullistów tylko w mniej ważnych sprawach. Taki był wybór Maurice’a Schumanna, symbolicznej postaci tego zbliżenia, rzecznika Wolnej Francji i pierwszego przewodniczącego MRP. Podobnie postąpiło też kilku jego towarzyszy, których uczucia zdominowała wierność byłemu szefowi. Ale inna była decyzja większości, która pragnęła pozostać wierna swym tradycjom, utrzymując własną strukturę polityczną obok nowej większości parlamentarnej: taka była druga strategia. O ile podczas kolejnego

zamieszania, 13 maja 1958 roku, niemal cały MRP stanął za generałem de Gaulle'em, potem apelował o odpowiedź „tak” w referendum konstytucyjnym, a wreszcie dostarczał szefowi państwa niesłabnącego poparcia, gdy Algieria pozostawała głównym problemem – to jednak wszyscy lub prawie wszyscy uświadamiali już sobie głębokie różnice, dzielące Ruch od filozofii politycznej gaullizmu. Niezgoda dotyczyła przede wszystkim dwóch kwestii, równie zasadniczych, co – w oczach MRP – nie dopuszczających żadnych ustępstw. Pierwszym tematem niezgody była Europa. Różniła ona już MRP z Pierre'em Mendèsem France'em w związku z projektem Europejskiej Wspólnoty Obronnej. W przywiązaniu gaullistów do suwerenności narodu i w ich nieufności wobec budowania jednej, zjednoczonej Europy jako organizacji międzynarodowego bezpieczeństwa w ramach ONZ – ludowi republikańskie upatrywali przejaw tego nacjonalizmu, z którym walczyli, tworząc swoje ugrupowanie, i który uważali za archaiczny. Drugi sporny temat dotyczył instytucji: ludzie MRP nie czuli sympatii dla sposobu rządzenia generała de Gaulle'a, dla jego autorytarnego stylu; byli nazbyt przywiązani do debat w parlamencie. Dołączając niegdyś do Trzeciej Republiki, ich poprzednicy posunęli się tak daleko, że całkowicie zaakceptowali od zawsze bliską wszystkim republikańcom koncepcję, która utożsamia demokrację z niepodzielną suwerennością Zgromadzenia wybranego w powszechnym głosowaniu i z rolą partii politycznych. A zatem – osobiste piętno nadawane przez szefa państwa nowym instytucjom urażało nie tylko ich wrażliwość, ale i przekonania: czuli w związku z tym duży dyskomfort i w pełni podzielali zastrzeżenia liberałów przeciw temu, co lider niezależnych republikańców, Valéry Giscard d'Estaing, nazwie nieco później „samotnym sprawowaniem władzy”. Nie dopuszczali więc możliwości uzależnienia się od gaullistów, a tym bardziej –roztopienia się w jakiejś koalicji pod autorytarnym gaullistowskim kierownictwem. Trzecią strategią była możliwość przejścia do jawnej opozycji. I ta zwyciężyła.

Zerwanie nastąpiło wiosną 1962 roku. Dokonało się w związku z pewnym nieporozumieniem, ale samo zerwanie nie jest przez to mniej znaczące: pokazuje niezgodę, która wcale nie jest dziełem przypadku ani zbiegu okoliczności. MRP przyjął ofertę nowego premiera, Georges'a Pompidou, wejścia do jego rządu i dołączenia do większości parlamentarnej, przy czym pięciu czy sześciu członków MRP otrzymało nawet ważne teki ministerialne, w tym Pierre Pflimlin czy Maurice Schumann. Potem po pewnej konferencji prasowej, na której Generał nie odmówił sobie przyjemności zakpienia z bezwarunkowych zwolenników Europy, mówiąc o „mniej lub bardziej zintegrowanym wolapiku”, urażeni ministrowie z MRP w ciągu godziny podali się do dymisji i – wbrew zachętom prezydenta,

który naciskał, by powrócili na stanowiska – podtrzymali swe decyzje. Kości zostały rzucone: odtąd będą w opozycji.

W opozycji, owszem, ale jak? Trzeba najpierw znaleźć sobie partnerów: potencjalny elektorat MRP jest zbyt szczupły, by przetrwał w izolacji w warunkach binarnego systemu. Co więcej, perspektywa trzech lat dzielących wybory prezydenckie od wyborów parlamentarnych, przy zapisach prawnych dopuszczających tylko dwóch kandydatów w drugiej turze, zmusza każdą partię do wchodzenia w system sojuszy. MRP miał teoretycznie wybór między dwiema drogami, odpowiadającymi podziałowi sceny politycznej na prawicę i lewicę: albo odnowić stare więzi z lewicą, głównie socjalistyczną, jak w roku 1946 – albo zbliżyć się do tych prawic, które w imię swych liberalnych przekonań i proeuropejskich sympatii nie akceptowały ewolucji ustrojowej, ale nie zamierzały łączyć się z opozycją lewicową. Były to dwie sprzeczne opcje, z których jedna sprowadzałaby MRP do jego początków, lokując go na lewicy, a druga sytuowałaby go na centroprawicy. MRP miał zatem dwie możliwości i nie wiedział, za którą się opowiedzieć: taki jest generalnie los wszystkich ugrupowań centrowych.

Wybór dokonany został w dwóch etapach. MRP zabrał się najpierw do testowania wariantu lewicowego: jego przedstawiciele wzięli udział w rokowaniach zorganizowanych przez Gastona Defferre'a, postać znaczącą w SFIO i potencjalnego kandydata na prezydenta w kampanii w roku 1965, który wiązał swą kandydaturę z utworzeniem wielkiej federacji obejmującej na lewicy socjalistów (miała pomijać komunistów), na prawicy – MRP, oraz radykałów. Jeśli chodzi o program, przewidywał powrót do większego udziału parlamentu w praktyce instytucjonalnej i nadanie silniejszego impulsu budowie zjednoczonej Europy. W dość zaawansowanej fazie negocjacje te potknęły się o dwa tematy, co do których nie znaleziono zgody: laickość i stosunek do socjalizmu. Tematy te nakreślały przebieg aktywnej jeszcze granicy między prawicą a lewicą. Ta nieudana próba porozumienia chrześcijańskich demokratów z socjalistami, najdobitniejszy przejaw marzenia, jak zaraz po wyzwoleniu, o „unii pracy”, była bez wątpienia ostatnią okazją, jaka nadarzała się centrystom, by uniknąć politycznej grawitacji ściągającej ich na prawo. Można dokładnie wskazać moment, w którym chrześcijańscy demokraci dokonali ostatecznego wyboru, by stanąć na prawicy: była to ta czerwcową noc w roku 1964, gdy delegaci MRP opuścili apartament jednego z nich, Pierre'a Abelina, przy placu Malesherbes, i zerwali negocjacje. Można racjonalnie przyjąć, że od momentu tego „nie-wydarzenia” MRP i jego kontynuacja stały się w całości elementem potencjalnej konfederacji prawic. O ile jednak, zrywając z SFIO i biorąc odpowiedzialność za storpedowanie tamtego projektu wielkiej federacji, MRP wybrał swe miejsce po prawej

stronie, to nie zamierzał zarazem uzależniać się od większości gaullistów i niezależnych republikanów. Wybory prezydenckie z roku 1965 dawały okazję, by odróżnić się od nich.

Gdy okazało się, że uzgodnienie jednego prawicowego kandydata na urząd prezydenta Republiki nie jest możliwe, w barwach centryzmu wystąpił młody przewodniczący MRP, Jean Lecanuet: zaprezentował się jako kandydat liberalny, prospołeczny i proeuropejski. Te trzy określenia zawierały wszystko: podkreślały podstawowe tematy różniące chrześcijańskich demokratów z gaullistami. Jego względny sukces podczas pierwszej tury wyborczej (16 procent głosów) potwierdza tezę, że istniała pewna przestrzeń do zagospodarowania między masą wyborców oddanych osobie generała de Gaulle'a a lewicową opozycją. Zakładając, że François Mitterrand zebrał wszystkie głosy lewicy, i znając szczupłość elektoratu wiernego jeszcze MRP, można było sądzić, że Jean Lecanuet przyciągnął poważną część głosów z prawicy. Odtąd droga była wytyczona, a los MRP przypieczętowany: przetrwanie chrześcijańsko-demokratycznej tradycji wiedzie przez wyrzeczenie się własnej partii i przez jej włączenie w pewien szerszy, i koniecznie – bardziej złożony twór. Od czterdziestu lat ta opcja stała się jedną z dwóch strategicznych orientacji, praktykowanych na przemian przez przywódców MRP. Działalność instancji partyjnych MRP zostaje niemal natychmiast uśpiona, a Jean Lecanuet na fali swego sukcesu angażuje się w powołanie formacji bardziej otwartej: znajduje wsparcie u niezależnych, w tym Bertranda Motte'a, równie przywiązanych do pewnej liberalnej praktyki instytucjonalnej i do wdrażania projektu europejskiego. Nowa formacja – Centrum Demokratyczne – zamierza zachować równy dystans wobec większości gaullistowskiej i lewicy: stąd wybór nazwy „Centrum”. Na razie – pozostała w opozycji.

Wyjdzie z niej, aby – krok po kroku – dołączać do prawicowej większości. Wstrząs wywołany kryzysem roku 1968 i odejście założyciela Piątej Republiki dostarczyły pierwszej okazji w roku 1969. Podczas wyborów następcy generała de Gaulle'a, zamiast głosować na przewodniczącego Senatu, Alaina Pohera (który jest przecież jednym ze swoich), Joseph Fontanet, były sekretarz generalny MRP, sprzymierza się z innymi ważnymi postaciami centrystów, René Plevenem i Jacques'em Duhamelem, i popiera kandydaturę Georges'a Pompidou, dołączając do większości. Pięć lat później, w roku 1974, przy okazji kolejnych wyborów prezydenckich – spowodowanych przedwczesną śmiercią Georges'a Pompidou – Jean Lecanuet, pociągając za sobą ostatnich opornych, opowiada się za kandydaturą niezależnego republikanina, Valéry'ego Giscarda d'Estaing. Spadkobiercy chrześcijańsko-demokratycznej tradycji ponownie jednoczą się z prawicową większością. Nie sprawia to im trudności: dzielą wiele poglądów giscardystów. Czyż nie są równie przywiązani do

liberalnego traktowania instytucji Piątej Republiki i do kontynuacji „konstrukcji europejskiej”? Są aż nazbyt szczęśliwi, uczestnicząc w wypędzaniu gaullistów z Pałacu Elizejskiego. Wobec braku jakiegoś prawdziwie spornego tematu z najbliższymi sojusznikami, nie mają obiekcji przed wejściem – dwa lata później – do Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF), która pod egidą prezydenta Republiki skupia wszystkie składniki rządzącej większości poza elementem gaullistowskim; jednocześnie Jacques Chirac dokonuje przegrupowania gaullistów w Zgromadzenie na rzecz Republiki (RPR), w grudniu 1976 roku. Chrześcijańscy demokraci tworzą część UDF, mającej strukturę elastycznej federacji, wraz z Centrum Demokratów Społecznych (CDS) – to nowa nazwa partii stworzonej przez Jeana Lecanueta – z Partią Republikańską – ugrupowaniem najbliższym prezydentowi Giscardowi, wywodzącym się z niezależnych republikańców – z klubami Perspektywy i Realia, innym wyrazem giscardyzmu, z frakcją radykalną, która nie przeszła na stronę lewicy, i z niewielkim ugrupowaniem socjaldemokratycznym. Żadna z tych części składowych UDF nie mogłaby samodzielnie podjąć walki wyborczej z maszyną RPR, która przewyższała je wszystkie liczbą członków, dyscypliną członkowską i siłą partyjnych struktur; tylko łącząc swe siły, uczestnicy UDF mogli wytworzyć przeciwwagę. Stawić czoła pretensjom RPR do dominacji i przeszkodzić osobistym ambicjom jego przewodniczącego – takie były cele, jakie wyznaczyła sobie UDF: rywalizacja z gaullizmem jest cementem spajającym te składniki, między którymi nie ma poważniejszych różnic. Ta różnica, która przeciwstawiła MRP generałowi de Gaulle’owi w 1946 roku, jest jeszcze żywotna w trzydzieści lat później wobec tych, którzy przedstawiają się jako jego prawowici sukcesorzy i chcą realizować jego dziedzictwo. Tradycja chrześcijańsko-demokratyczna jest w ten sposób kontynuowana w ramach konfederacji centroprawicowej.

Ostatnie wcielenie tej tradycji, Centrum Demokratów Społecznych (CDS), nie zebrało jednak całego potomstwa chrześcijańskiej demokracji: po uśpieniu struktur MRP, formacji, która wpisała CDS w panoramę sfederowanych organizacji współpracujących, niejeden zniechęcony działacz porzucił walkę polityczną. Z tych, którzy nie zrezygnowali, nie wszyscy przeszli do CDS; wielu z nich wniosło swe zaangażowanie do innych ugrupowań, w nich lokując teraz swe nadzieje. Te przenosiny, te zastępcze wybory są cenną wskazówką: podobnie jak przenoszenie głosów w drugiej turze wyborów prezydenckich pokazują one głębokie orientacje. „Rodzina” MRP rozproszyła się politycznie w bardzo szerokim spektrum ideologicznym. Nikt lub prawie nikt ze znanych postaci nie przeszedł na pozycje skrajne: ani do Partii Komunistycznej, ani do skrajnej prawicy; to oznaka, że odrzucanie skrajnych formuł politycznych, tak samo jak niezgoda na redukcję sceny politycznej do dwóch tylko

antagonistycznych bloków, jest cechą konstytutywną tej politycznej wizji; ci, którzy przewinęli się przez ugrupowania odwołujące się do chrześcijańsko-demokratycznej tradycji, są jakby zaszczepieni przeciw uwodzicielskim dyskursom ekstremistów. W przestrzeni wyznaczonej tymi ogranicznikami ludzie MRP wchodzili w rozmaite konfiguracje polityczne: jedni, jak już pokazaliśmy (wcale nie najmniej liczni), dołączyli do partii gaullistowskiej, odtwarzając ruch, poprzez który w 1947 roku garść deputowanych MRP z Edmondem Micheletem na czele – nie zastosowawszy się do zakazu ustanowionego przez władze partii – utworzyła na obrzeżach RPF chrześcijańsko-demokratyczny odłam. Antycypowali w ten sposób przyłączenie się w 2002 roku sporej już gromady deputowanych UDF do formacji utworzonej przez chirakistów. Trzykrotne powtórzenie tego manewru znaczy drogę, która pokazuje podobieństwa między tymi dwiema rodzinami. Jeśli za każdym razem w manewrze tym uczestniczyło coraz więcej uczestników, działa się tak być może dlatego, że w okresie pomiędzy tymi wydarzeniami doktrynalna sztywność tych dwóch politycznych nurtów słabła, torując drogę wspólnemu ugrupowaniu, które podkreślałoby już tylko to, co łączy.

Inni dokonywali przeciwnych wyborów i kierowali się na lewo: przystępowali do klubów dyskusyjnych lub dołączali do małych ugrupowań lewicowych albo do odnowionej Partii Socjalistycznej, zwiększając jej stan liczebny. Utworzą oni w łonie PS „drugą lewicę”, która nie zawsze będzie się spotykać z życzliwym przyjęciem ze strony spadkobierców byłej SFIO, wątpiących niekiedy w szczerłość ich dołączenia; François Mitterrand zarzuci im nawet, że wprowadzili do partii te spory, które w Kościele różnią ich z współwyznawcami. Debata na temat laickości podtrzyma różnicę między tymi dwiema falami napływowymi nowych uczestników i pomiędzy ich ideologicznymi odniesieniami.

Uczestnictwo w MRP lub w kręgu jego oddziaływania było dla całego pokolenia katolików pewnym etapem wędrówki, który doprowadził ich do przejścia od obrony tradycyjnego ładu społecznego do walki o sprawiedliwość społeczną. Różnorodność tej politycznej diaspory, rozciągającej się między prawicą a lewicą, ukazuje trudność, jaką ma ta polityczna tradycja – odrzucająca podział sceny politycznej na dwa przeciwstawne bloki i nie chcąc między nimi wybierać – z zachowaniem własnej tożsamości.

Czy ta chrześcijańsko-demokratyczna rodzina nie zatraciła, jeśli nie duszy, to przynajmniej swej specyficznej osobowości, przybliżając się w ten sposób do innych politycznych tradycji, stowarzyszając się w ramach UDF z partnerami, spośród których jedni byli na prawicy zawsze, a inni przyszli tam z lewej strony? To kwestia, która systematycznie wyłania się na kongresach Centrum Demokratów Społecznych i dzieli kandydatów do kierownictwa tego ruchu. Przywódcy i członkowie balansują stale między dwiema



strategiami, i wedle tych wahań nadają priorytet albo wierności, albo skuteczności. W tym pierwszym wypadku, wybór prowadzi do utrzymywania partii mniejszej, ale bardziej jednolitej, świadomej swych początków i przywiązanej do własnych wartości; w wypadku drugim – partia godzi się płacić porzuceniem niektórych swych postulatów za sukces możliwie jak najszerzego kompromisu, obejmującego takich socjaldemokratów, jak Rocard czy Delors<sup>90</sup> – aż po liberałów w rodzaju Balladura. Ten wahadłowy ruch między tymi dwiema perspektywami wyznacza od roku 1976 aż do dzisiaj rytm dyskusji o programie i strategii, dzieli poszczególne kongresy partii i prowadzi do przyjmowania raz tej, raz drugiej formuły. I tak na kongresie w Lyonie Centrum Demokratów Społecznych musiało wybierać między dwoma kandydatami, Bernardem Bossonem<sup>91</sup> i François Bayrou. Ich rywalizacja nie wynikała wyłącznie z różnic osobowościowych; miała znaczenie ideologiczne i taktyczne. Bernard Bosson odrzucał wszelkie rozszerzenie polityczne, które pociągałoby za sobą uszczerbek na politycznej tożsamości ugrupowania: wołał zgodzić się na mniejsze wpływy polityczne, niż na rozpuszczenie się w niewyraźnym ideowo konglomeracie politycznym. François Bayrou przedstawił odmienne rozumowanie: aby zagwarantować bliskim CDS ideom szerokie upowszechnienie i możliwość inspirowania polityki, chrześcijańscy demokraci powinni zaakceptować otwarcie na inne ugrupowania; CDS powinno zatem podjąć inicjatywę zawiązania szerokiej formacji, która połączyłaby wszystkich nie życzących sobie ani sojuszu z Partią Socjalistyczną, ani uzależnienia od partii gaullistowskiej. Zwyciężył wtedy punkt widzenia François Bayrou.

Ale nowy lider nie jest w stanie zrealizować projektu, jaki narzucił partii, gdyż nie może znaleźć partnerów chętnych do zawiązania takiego ugrupowania: partie, na które liczył, wołały działać na własny rachunek i dla własnej korzyści lub też zgrupowały się pod egidą Jacques’a Chiraca i jego formacji. UDF podzieliła się: Alain Madelin pociągnął za sobą sporą część deputowanych z Liberalnej Demokracji i dołączył do Jacques’a Chiraca; aby uniknąć przeciwstawienia się oficjalnej kandydaturze, większość deputowanych, nawet z CDS, dołączyła w 2002 roku do UMP. Zamiast stać się jądrem większej formacji usytuowanej na centroprawicy, dalecy następcy międzywojennej PDP i MRP z czasów wyzwolenia ulegli redukcji do ugrupowania nader szczupłych rozmiarów. Nie mieli odtąd innego wyboru, jak wycofać się na własne pozycje i prowadzić walkę przeciw fuzji wszystkich elementów

---

<sup>90</sup> Jacques Delors (ur. 1925) – ekonomista i polityk, członek Partii Socjalistycznej, w latach osiemdziesiątych minister gospodarki i finansów, w roku 1985 stanął na czele Komisji Europejskiej.

<sup>91</sup> Bernard Bosson (ur. 1948) – polityk Centrum Demokratów Społecznych (CDS), minister transportu w rządzie Édonarda Balladura (1993–1995), mer Annecy.

prawicy i centrum. Od 2002 roku UMP nie napotkała przeciwnika bardziej oddanego obronie partyjnego pluralizmu i niezależności od François Bayrou.

Czy oznacza to, że wpływ politycznej tradycji uznającej się za spadkobierczynię chrześcijańskiej demokracji kończy się na tej grupie parlamentarnej, która nadal zapożycza swą nazwę od wspomnianej książki Valéry'ego Giscarda d'Estaing? Taka ocena byłaby pomieszaniem dwóch płaszczyzn życia politycznego, między którymi nie ma jednak pełnej zgodności: płaszczyzny osobistych przekonań z płaszczyzną partyjnej przynależności. Z tych trzydziestu deputowanych będących częścią ugrupowania UDF nie wszyscy odwołują się do tej tradycji. To, że w chwili wyboru między pozostaniem w grupie UDF a dołączeniem do tworzącego się UMP większość dawnych chrześcijańskich demokratów wybrała tę drugą możliwość, wcale nie świadczy, że zapomnieli o swych korzeniach, ani – tym bardziej – że wyrzekli się swych przekonań: niektórzy pozostaną tym, kim byli zawsze: działaczami o orientacji chrześcijańsko-demokratycznej. Jeśli uzna się różnice między tymi ugrupowaniami za mniej ważne i mniej znaczące niż spory ideowe między nurtami myśli, jeśli zauważy się po jednej i drugiej stronie dzielącej je linii tę małą grupkę, która postanowiła pozostać w UDF, i tę grupę UMP zebraną wokół bieguna, którego tożsamość nie jest tak bardzo odmienna (nawet, jeśli nie jest wyraźnie wyrażona) od dziedzictwa chrześcijańsko-demokratycznego – można zadać pytanie, czy wpływ tej tradycji nie jest w trakcie uzyskiwania przewagi nad ruchem gaullistowskim. A przynajmniej można stwierdzić, że ostatnie słowo nie zostało jeszcze powiedziane. Cokolwiek się wydarzy, jest dziś oczywiste, że ten polityczny składnik, nawet jeśli nie wyrzekł się być może marzenia o stworzeniu większego ugrupowania centrystycznego, to dokonał wyboru usadowienia się na prawicy i musi, w konsekwencji, znaleźć swe miejsce na liście współczesnych francuskich prawic.

## Radykalizm

Historia stosunków radykalizmu z prawicą to zupełnie inna historia. Chrześcijańska demokracja zrodziła się z zerwania z prawicą konserwatywną i z prawicą liberalną, i na tym zdystansowaniu się od obydwu oparła swą tożsamość. Radykalizm natomiast zrodził się na lewicy, z odmowy wszelkiego kompromisu z prawicą. Wywodzi się wręcz ze skrajnej lewicy. Podobnie jak pierwsza prawica, ta kontrrewolucyjna, była absolutną prawicą – i taką pozostała – radykalizm był wówczas absolutną lewicą. Takie było w XIX wieku znaczenie

określenia „radykałny”. O ile określenie „skrajna prawica” było wyrazem integryzmu reakcyjnego, „radykałizm” – w czystym sensie tego słowa – był w swych początkach wyrazem integryzmu rewolucyjnego i postępowego: „radykał” był najwyższym stopniem „demokraty”. Radykałowie pragnęli wyciągnąć wszystkie konsekwencje z odwołania się do zasad lewicy, łącznie z najbardziej skrajnymi, i odrzucali wszelką myśl o dostosowaniu się do istniejącego ładu politycznego lub o kompromisie z nim. Ale, w odróżnieniu od sytuacji skrajnej prawicy – której żadna siła polityczna nie wypchnęła z zajmowanej przez nią pozycji – powstanie po lewej stronie radykałizmu orientacji proponujących pójście jeszcze dalej w zastosowaniu programu demokratycznego zaczęło w XIX wieku powoli, krok po kroku, spychać radykałów bardziej ku centrum. Przystąpienie do większości parlamentarnych i udział w rządach poprzez obejmowanie ministerstw stopniowo przekształciło tę niegdyś nieprzejednaną mniejszość w partię rządzącego establishmentu, której historia rozplynęła się w historii Trzeciej Republiki i wraz z nią uległa zakończeniu.

W okresie międzywojennym, z powodu znaczenia jej grup parlamentarnych w obydwu izbach, a bardziej jeszcze z powodu jej usytuowania w sali obrad – na centrolewicy – Partia Radykalna stała się niezbędnym partnerem, bez którego nic nie dało się zrobić: bez niej nie była możliwa żadna parlamentarna większość. Powstawanie i upadanie większości parlamentarnych i gabinetów rządowych zależało od decyzji jej gremiów. Sami radykałowie mieli wybór między dwiema konfiguracjami: albo porozumienie z SFIO w ramach lewicowej większości (w której byliby wówczas na prawej flance), albo porozumienie z centroprawicą i prawicą parlamentarną – Federacją Republikańską, Przymierzem Demokratycznym i tak zwanymi lewicowymi republikanami – w koalicji zwanej Unią Narodową, której w tym wypadku byliby lewym skrzydłem. Od roku 1924 do 1938 Partia Radykalna praktykowała przemiennie te dwie kombinacje, przeskakując z lewicy na prawicę i odwrotnie. Nie była to najmniej znacząca przyczyna niestabilności rządowej i względnej bezsilności władzy, rzutującej na funkcjonowanie instytucji państwowych.

Z drugiej wojny światowej i jej doświadczeń Partia Radykalna wyszła w niedobrym stanie. Jako że była utożsamiana z dogorywającą Trzecią Republiką, doświadczyła z całą mocą utraty zaufania, jaka dotknęła wówczas jej ustrój polityczny, którego uczestnicy ruchu oporu nie zwalniaли z zarzucanej mu odpowiedzialności za nieprzygotowanie Francji do wojny. Ze względu na swe luźne struktury, które zawsze pozostawiały wiele niezależności deputowanym i kształtowały pewien rodzaj zachowania, Partia Radykalna była mniej przygotowana do zaangażowania się w zbrojną walkę podziemną niż socjaliści, a zwłaszcza – niż Partia Komunistyczna, a jeszcze mniej – do zebrania moralnych korzyści z udziału swych

członków w ruchu oporu. Na domiar złego Partia Radykalna, której wpływy i władza zależały w znacznej mierze od miejsca, jakie zajmowała w prasie regionalnej, została – po wyzwoleniu Francji – pozbawiona większości tych gazet; ich publikacja została zakazana, gdyż kontynuowano ich wydawanie w będącej pod okupacją strefie północnej Francji albo w strefie południowej po wkroczeniu tam Wehrmachtu 11 listopada 1942 roku.

Z wyjątkiem niewielkiej mniejszości deputowanych, którzy postanowili w ślad za Młodoturkami z lat 1930 zostać „poputczykami” Partii Komunistycznej, a wśród których kontrowersyjną, sztandarową postacią był Pierre Cot – w okresie wyzwolenia radykałowie odnaleźli się na prawicy. Nie uczyniwszy nic, lub – mówiąc dokładniej – nie próbując nawet niczego, by dostosować się do aspiracji Francuzów pragnących dokonać głębokiej odnowy życia politycznego. Uporczywe przywiązanie radykałów do praktyki parlamentarnej Trzeciej Republiki powodowało u nich najgłębszą rezerwę wobec nowych instytucji: podczas referendum z października 1945 roku wezwali do odpowiedzi „nie” na pierwsze pytanie – „Czy chcecie, aby wybrane dziś Zgromadzenie stało się konstytuanta?”. W ich ocenie Trzecia Republika nie przeżyła się i mieli nadzieję na uzyskanie jej prawnego przedłużenia. Nie więcej sympatii niż do nowej Republiki mieli dla programu Narodowej Rady Ruchu Oporu: przeciw zapowiadzanym nacjonalizacjom – bronili własności prywatnej, a przeciw kierowniczej roli państwa w gospodarce – wolnej przedsiębiorczości i wolnej inicjatywy przedsiębiorców. Co do ustanowienia systemu opieki społecznej – nie oznaczał dla nich niczego ważnego. Radykałowie jednak bronili się przed zaliczeniem ich do prawicy: uważali się za lewicę. Struktura konfederacyjna ich ugrupowania, którą (z powodu niemożności samodzielnego odzyskania utraconego elektoratu) dzielili wraz z okruchami wielu małych formacji, które doświadczały podobnych kłopotów i dla których okres powojenny nie był najbardziej korzystny, podkreślała swą nazwą podwójny zamiar wpisania się w lewicę: Zgromadzenie Republikańskich Ugrupowań Lewicowych (fr. Rassemblement des gauches républicaines – RGR). Taka luźna struktura organizacyjna umożliwiała partii radykalnej przyjęcie kilku młodych gaullistów, którzy później dołączyli do RPF, jak na przykład Michel Debré.

To przesuwanie się ku prawicy całego układu politycznego – poczynając od przejścia Partii Komunistycznej do systematycznej opozycji w 1947 roku – odpowiadało w pełni Partii Radykalnej, która wchodzi do większości parlamentarnej, nie musząc wypierać się przy tym własnych poglądów, wyznawanych od zawsze. Uczestniczy w większościowych rządach: kilku jej członków kolejno piastuje nawet przewodnictwo Rady Ministrów; niektórzy należeli do rządów Trzeciej Republiki, jak Henri Queuille, a ich powrót do władzy pachnie

restauracją. Inni wywodzą się z młodszego pokolenia, René Mayer czy Edgar Faure<sup>92</sup>. Mają ze sobą to wspólnego, że należeli do radykalnej frakcji, która opowiedziała się po stronie ruchu oporu.

Czy w latach pięćdziesiątych Partia Radykalna jest na prawicy, czy na lewicy? Ale któż może powiedzieć, gdzie przebiega wówczas granica dzieląca te dwa nurty? Wiele granic się krzyżuje. Najbardziej wyraźna jest ta, która na podobieństwo żelaznej kurtyny oddziela komunistów od reszty narodu: w wizji bardzo uproszczonej, dyktowanej jej przez system myślenia rozumujący w antagonistycznych kategoriach, Partia Komunistyczna jest na lewicy jedyna, wszystkie inne są na prawicy – a nawet: są prawicą. Poczynając od najbliższej komunistom SFIO. Identyfikację tę odrzucił sekretarz generalny SFIO, Guy Mollet, który dołączając bezwarunkowo do Partii Komunistycznej w jej poparciu strategicznych interesów Związku Radzieckiego oświadczył, że „nie jest na lewicy, ale na Wschodzie”...

Inna granica, mniej wyraźna, ale w tamtych czasach dość szczelna, przebiegała nieco bardziej na prawo; oddzielała partie uczestniczące w większości rządzącej, w tym Partię Radykalną – od ugrupowań krytykujących ustrój i zwalczających politykę rządzącego układu: zasadniczo więc od gaullizmu – poczynawszy od roku 1947, do wygaszenia RPF, decyzją jego założyciela, w roku 1953. Aż do chwili, gdy na niedalekim horyzoncie pojawi się nowy powód niezgody: ten, z którego zrodzą się problemy dekolonizacji wraz z pogorszeniem się sytuacji w Indochinach i zapowiedziami niepokojów w krajach Maghrebu, dotychczasowych protektoratach domagających się niepodległości: w Tunezji i Maroku, później – w Algierii. W tych kwestiach Partia Radykalna przeprowadzała namiętne debaty, a kilku jej polityków odegrało kluczową rolę w ponownym odrodzeniu się podziałów. Partia Radykalna znalazła się w oku cyklonu z powodu jednego ze swych członków, autentycznego radykała, który całą swą karierę zrobił w tej właśnie partii, będąc jeszcze przed wojną jedną z jej wielkich nadziei: Pierre’a Mendès France’a. Wybrany po raz pierwszy do parlamentu w 1932 roku, uczestniczył w efemerycznym drugim rządzie Bluma w 1938 roku. Po ucieczce z więzień Vichy dołączył do londyńskich Francuzów. Ów deputowany z Louviers powołany został przez prezydenta Coty’ego do utworzenia rządu po dymisji gabinetu Josepha Laniela<sup>93</sup>, człowieka prawicy, w następstwie upadku bazy w Dien Bien Phu (7 maja 1954 roku), który rozdrapał stare rany datujące się od klęski w roku 1940. Pierre Mendès France desygnowany został na premiera ze względu na stanowisko, jakie zajął jeszcze w roku 1950, które

---

<sup>92</sup> Edgar Faure (1908–1988) – członek Partii Radykalnej, wielokrotny minister w rządach Czwartej Republiki, w latach 1955–1956 piastował funkcję premiera.

<sup>93</sup> Joseph Laniel (1889–1975) – polityk o liberalnych przekonaniach, premier w latach 1953–1954.

wykluczało, by kwestia Indochin mogła być uregulowana w drodze czysto militarnego rozwiązania. Ale o ile politycy i opinia publiczna oczekiwali od niego przede wszystkim, że znajdzie jakieś honorowe wyjście z przegranej wojny, on sam nadał swemu dojściu do władzy ambitniejsze znaczenie: zamierzał przeprowadzić szerokie reformy, by uwolnić Francję, a zwłaszcza jej gospodarkę, od przestarzałych struktur i przeszkód blokujących rozwój.

Jego rząd nie miał wyraźnej barwy politycznej. O większości parlamentarnej, na której się opierał, mówiono, że stworzono ją „baranim skokiem”: w istocie, przeskakiwała utarte granice, pozostawiając poza koalicją ugrupowania przyzwyczajone do wspólnego rządzenia, łącząc natomiast te, które bardziej przywykły do wzajemnego zwalczania się niż do harmonijnej współpracy. Rząd ten łączył w ten sposób część radykałów z niezależnymi republikanami i gaullistami. Mógł liczyć na życzliwe poparcie Partii Socjalistycznej, ale narażony był na zdecydowaną wrogość za strony MRP. Wśród radykałów podział na tych, którzy popierali go i tych, którzy go zwalczali, odpowiadał częściowo różnicy pokoleniowej. Ujawniał także spór między tymi, którzy pragnęli modernizować Francję dobrowolnym działaniem, a tymi, którzy nie wierzyli w reformy lub nie życzyli ich sobie. Pierre Mendès France świadomie wdrożył działania reformatorskie, które upadek jego rządu przerwał siedem miesięcy później. Okoliczności, w jakich został obalony, jak i skład większości parlamentarnej, która położyła kres temu przedsięwzięciu, z perspektywy czasu nadają jego rządowi lewicowe zabarwienie, które przeniosło się na radykałów, podczas gdy – w tej zamianie przeciwnych pozycji – wrogość, jaką MRP okazał wobec osoby i polityki Pierre’a Mendès France’a zepchnęła to ugrupowanie na prawo.

Polityka France’a zaprowadziła radykalizm, a raczej pewną frakcję Partii Radykalnej, na lewo. Odsunięty od władzy, ale mający silne poparcie opinii publicznej Pierre Mendès France podjął reformę partii, aby uczynić z niej instrument polityki, którą zarówno najważniejsze odniesienia, jak zawierane porozumienia bez wątpienia kierowały na lewo. Przedsięwzięcie to zyskało sympatię w oczach młodego pokolenia, zwiększyło zaangażowanie aktywistów i przyciągnęło do Partii Radykalnej talenty i energię. Ale napotkało także w łonie aparatu partyjnego bardzo silny opór, wytwarzając nieprzyjazne napięcia: liczni partyjni notable dokonali secesji, idąc za Edgarem Faure’em. Być może było już za późno, by odmładzać tę starą partię Trzeciej Republiki. Próbując ją odnowić, a także – być może – działając z pewną brutalnością, Pierre Mendès France połamał narzędzie, które miało posłużyć reformom, i podzielił rodzinę radykałów, rozdartą odtąd między zwolenników Mendès France’a i Faure’a.

Do wyborów z 2 stycznia 1956 roku radykałowie przystępują podzieleni na Front Republikański, zorientowany na lewo (gdzie zwolennicy Mendès France’a współdziałają z SFIO i UDSR), na radykałów popierających gaullizm (którzy grupują się wokół Jacques’a Chabana-Delmasa) i na radykałów należących do ustępującej większości parlamentarnej (który poszli za Edgarem Faure’em i działali wspólnie z MRP i niezależnymi). Nie po raz pierwszy podzielili się między prawicę a lewicę. I nie był to ostatni tego rodzaju podział: zapowiadał on już ten, który nastąpi w roku 1973. Taka jest cena usytuowania się w centrum.

Upadek Czwartej Republiki – pod której rządami kontynuowali swe polityczne obyczaje i odzyskali pewien polityczny wpływ, nie związany wszakże z ich realną polityczną siłą, ale z talentami i doświadczeniem ich kolejnych przywódców – nie wzmocnił ich. Przeciwnie: znów dzielą się względem nowego ustroju, jego rządu i jego polityki. Pierre Mendès France od początku zajął stanowisko przeciwne inwestyturze generała de Gaulle’a: były komisarz gaullistowskiego rządu w Algierze nie wybaczył swemu byłemu zwierzchnikowi, że nie zdezwuował wojskowych, którzy 13 maja 1958 roku odrzucili legalizm. Pozostanie już odtąd w nieprzejednanej opozycji, każdego dnia oczekując, że ten rząd zrodzony z przewrotu skończy, jak zaczął, zmieciony przez uliczne rozruchy: i w roku 1968 będzie przekonany, że właśnie ta chwila nadeszła. Edgar Faure, przeciwnie, przyjmie powierzone mu przez generała de Gaulle’a poufne misje, weźmie zwłaszcza udział w przygotowaniu rozpoznania Chin, z czego wywiąże się z wielką błyskotliwością, zanim powróci do rządu jako minister: rolnictwa – w roku 1966, a potem, po majowych zamieszkach na uniwersytetach w roku 1968 – jako minister oświaty narodowej.

Z roku na rok bipolaryzacja sceny politycznej narzucała Partii Radykalnej coraz bardziej swe żelazne prawa, tak jak i każdemu innemu ugrupowaniu usytuowanemu w centrum. Jak już wiemy, rodzina chrześcijańskich demokratów doświadczyła podobnych trudności i – mimo swej niechęci – skończyła poddaniem się dyscyplinie partyjnego bloku, przechylając się na prawo. Także radykałom nie udało się zachować jedności. Być może dlatego, że ich pragnienie zakotwiczenia się na lewicy było silniejsze niż troska chrześcijańskich demokratów o to, by odróżniać się od prawicy. Bez wątpienia także z powodu nacisku elektoratów i ewentualnych sprzymierzeńców. Proces przegrupowywania się na lewicy rozpoczęty odnowieniem Partii Socjalistycznej na kongresie w Épinay w 1971 roku, którego następstwem było zbliżenie się do Partii Komunistycznej, przypieczętowane w 1972 roku wspólnym programem rządowym, postawił radykałów pod ścianą: nie dołączyć do dwóch wielkich partii lewicowych, tradycyjnych sojuszników, oznaczało stracić wiele okręgów wyborczych, w których reelekcja radykała uzależniona była od stosunku

lewicowych wyborców do jego nazwiska. Ale jakże radykał, tak przywiązany do indywidualistycznego dziedzictwa roku 1789, do obrony własności, miałby podpisać się pod programem kolektywizacji gospodarki? Bezradni wobec takiego dylematu radykałowie podzielili się. Pewna ich frakcja, z Robertem Fabre'em<sup>94</sup> na czele – dla której odwołanie do lewicy pozostawało nadal głównym imperatywem – utworzyła w 1973 roku Ruch Lewicowych Radykałów (Mouvement des radicaux de gauche, MRG). Po zerwaniu unii lewicy w 1977 roku ci lewicowi radykałowie zostanę najbliższymi sojusznikami Partii Socjalistycznej, której opieka będzie dla nich warunkiem przetrwania. Inna grupa utrzymała partię i znalazła w konfederacji z UDF bezpieczną przystań, port dla wszystkich ocalałych z powszechnego głosowania i bipolaryzacji. Od ponad trzydziestu lat sytuacja ruchu radykalnego nie zmieniła się: dwie frakcje radykałów przynależą do dwóch przeciwstawnych sobie bloków. Najwidoczniej granica między prawicą a lewicą przebiega między nimi. Byłoby jednak błędem sądzić, że wyjaśnia to ich rozłąkę. Rozważając ich programy, spostrzega się, że właśnie nie ma między nimi zasadniczych różnic. Zapewne jedynie przymus wyborczy – pochodna zmienionego sposobu głosowania – wzmocniony zwyczajem i podtrzymywany pamięcią wspólnych walk z tym samym przeciwnikiem podyktował ów wybór. Ale każdy upływający rok pogłębia różnice między tymi dwiema frakcjami radykalizmu i czyni coraz mniej prawdopodobne ich ponowne połączenie się.

## ***Skrajna prawica***

I tak, po kolei, prześledziliśmy losy różnych prawic. Prawica kontrrewolucyjna, przywiązana do wewnętrznej spójności swego systemu myślowego, która zasadę swej wizji politycznej znalazła w nieustępliwej interpretacji katolickiego dogmatu, zastygła na swych pozycjach. Tradycja liberalna, która wyszła zwycięsko z konfrontacji z ideologiami totalitarnymi i po ich klęsce została panią terenu i umysłów – bardziej żywotna niż kiedykolwiek, i to do tego stopnia, że jej przeciwnicy zarzucają jej, iż chce narzucać się teraz jako jedynie słuszna myśl. Po odegraniu swej historycznej roli prawica autorytarna i ludowa, występująca pod różnymi postaciami gaullizmu, zauważa dziś, że jej wizja polityczna poniosła porażkę. Do galerii starych składników obserwacja współczesności dorzuca rodzinę chrześcijańsko-demokratyczną, będącą w trakcie zakorzeniania się na prawicy, podobnie jak

---

<sup>94</sup> Robert Fabre (1915–2006) – radykał i socjalista, wraz z Mitterrandem i komunistą Marchais'm współtwórca wspólnego programu lewicy w roku 1973.



jedna z frakcji radykalizmu. Razem mamy cztery czy pięć prądów umysłowych, z których każdy ma własną tożsamość, wraz z doktryną, odniesieniami, wrażliwością, wspomnieniami tworzącymi indywidualną osobowość każdego z tych nurtów, których cechą wspólną jest to, że nie są na lewicy.

Ale czy to wszystko? Czy mamy pewność, że dokonaliśmy przeglądu wszystkich prawic? Po prawej stronie tych różnorodnych tendencji, na prawym skraju tego spektrum odkrywamy pewną przestrzeń, niemałą, nawet jeśli zagospodarowaną przez mniejszościowe ugrupowanie, przyjmującą coraz to różne nazwy, bo przestrzeń ta charakteryzuje się wielką nietrwałością. Choć ta skrajna prawica dzieli z innymi prawicami część swego elektoratu – bo przyciąga rozczarowanych z innych prawic albo stanowi pewną rezerwę, z której czerpią one wyborcze wsparcie – to ma pewne cechy, które nie pozwalają pomieszać jej z innymi prawicami ani sprowadzić jej do jednej z nich.

Czyniono mi zarzut, w związku z wcześniejszą wersją mojej *La Droite* (czy *Les Droites*), że nie doceniłem ważności tej prawicy, a nawet – że jej nie zauważyłem. To względne milczenie ma uzasadnienie, a nawet kilka. Wyliczę poniżej przynajmniej cztery.

Na początku lat pięćdziesiątych nie było już we Francji skrajnej prawicy: zniknęła, porwana wielkim ruchem potępienia, jaki towarzyszył odkryciu zbrodni reżimów totalitarnych i uświadomieniu sobie ich kryminalnego charakteru. Już wówczas prawica z trudem podźwigała się z utraty zaufania, które dotyczyło jej idee i kurczyło jej organizacje. Tym bardziej – skrajna prawica.

Co do przeszłości, w której interesują mnie przede wszystkim zjawiska o charakterze trwałym, kierowałem naturalnie uwagę w stronę tych ruchów, które wpisały się w historię i zrodziły własne tradycje. Tymczasem skrajna prawica, z wyjątkiem – być może – *Action française*, pojawiała się w naszej historii politycznej tylko okresowo: od bulanżyzmu do poujadyzmu, jak nieciągły nawrót wysokiej gorączki towarzyszącej psychodramie; gdy kryzys mijał, ruch rozlatywał się równie szybko, jak powstał, na podobieństwo fali wywołanej burzą. Z drugiej strony, mój projekt inspirowany był zainteresowaniem historią idei politycznych. Miałem za gwiazdę przewodnią zdanie Alberta Thibaudeta: „Polityka – to idee”. W konsekwencji uwagę swą podzieliłem między wielkie polityczne rodziny, proporcjonalnie do bogactwa i gęstości ich wkładu w dziedzinę idei. I takie spojrzenie nie było korzystne dla skrajnej prawicy: czy to w porównaniu z systemem myśli kontrewolucyjnej (proponującym przecież pewną wizję historii), czy wobec myśli liberalnej, która (poczynając od wolności ujmowanej jako podstawowa zasada) promieniowała we wszystkich kierunkach, tworząc prawdziwą ideologię – ruchy skrajnie prawicowe

tworzyły lichą postać, nie błyszczały ani inteligencją sytuacyjną, ani wspaniałością swych propozycji. Schematyzm analiz, jakich dokonywały, ubóstwo ich dyskursu politycznego, demagogia ich programów wcale nie zachęcały, by na długo pochylić się nad źródłami ich inspiracji.

Powody te nie istnieją już dzisiaj, lub straciły swą siłę. Sytuacja jest zupełnie inna: nie jest już możliwe nie dostrzegać istnienia skrajnej prawicy. Te same powody, które pół wieku temu mogły usprawiedliwiać brak zainteresowania dla szczątków tego ekstremizmu, od dwudziestu lat zobowiązują, by udzielić mu uwagi. Możliwe jest bardzo dokładne oznaczenie chwili, gdy ten składnik prawicy stał się dostrzegalny: to ów wieczór 11 czerwca 1984 roku, gdy w wyborach uzupełniających do Parlamentu Europejskiego (wówczas już po raz drugi powszechnych i bezpośrednich) lista wyborcza Frontu Narodowego z Jeanem-Marie Le Penem na czele uzyskała 11 procent głosów. Tamtego wieczora skrajna prawica zdobyła sobie prawo – by posłużyć się banalnym wyrażeniem zapożyczonym ze szkolnego słownictwa – do gry na boisku dla dorosłych. Tym bardziej, że w odróżnieniu do wcześniejszych epizodów, gdy usiłowano zdobyć takie prawo, tym razem prąd ów przetrwał, utrzymał „najniższy poziom wody” na poziomie przekraczającym stale 10 procent wyborczego poparcia, jak gdyby odczarowując zaklęcie, które czyniło z wcześniejszych tego rodzaju ruchów tylko słomiany ogień.

Wierność jego elektoratu stworzyła tę siłę polityczną – w rzeczywistości bardzo odmienną od innych prawic. Nawet jeśli większość jego wyborców wywodzi się spośród tych innych prawic, nie zamierzają oni już głosować na ugrupowania, które porzucili, po części dlatego, iż zarzucają im, że nie są dostatecznie prawicowe i zdradziły własne wartości. Front Narodowy może sobie pozwolić na zachowanie własnego elektoratu nawet w wyborach, w których uczestniczy jako trzecia siła obok dwóch wielkich bloków, bez obawy o poważniejszą utratę elektoratu na rzecz jednego z nich. Mamy zatem do czynienia z pewnym zjawiskiem politycznym mającym własną specyfikę i autonomię. Zasluguje na uwagę tym bardziej, że samym swym istnieniem i znaczeniem swych działań wywiera zakłócający wpływ na całość systemu politycznego – porównywalny do wpływu, jaki wywierała Partia Komunistyczna przez trzydzieści lat, pod rządami Czwartej Republiki i częściowo – Piątej Republiki. Frontowi Narodowemu udało się zresztą to, czego Partia Komunistyczna nie mogła sobie nawet wyobrażać: jego kandydat przeszedł do drugiej tury wyborów prezydenckich. Jak więc można by odmówić Frontowi Narodowemu miejsca w panoramie sił politycznych po tym 21 kwietnia 2002 roku, kiedy to Jean-Marie Le Pen, zajmując drugie miejsce w wyścigu do prezydenckiego fotela, wyeliminował z rywalizacji

całą lewicę? Przekonującego dowodu na to, że będzie to siła polityczna odmienna od innych prawic, dostarczył dalszy bieg wydarzeń, gdyż wszystkie te pozostałe prawice w drugiej turze wyborów stworzyły wspólny blok z lewicą, byle tylko zablokować drogę do prezydentury kandydatowi występującemu w politycznych barwach skrajnej prawicy. Jest to z pewnością nowa rzeczywistość.

Czym zatem jest ta nowa siła? I jak ją nazwać? Wiadomo, jak ważny jest wybór nazwy: nazwa to już pewnego rodzaju definicja. Nadawać nazwy prawicom – to przypisywać im już pewną tożsamość. Obfitość proponowanego nazewnictwa, jego nieprecyzyjność, niepewność samych autorów proponowanych nazw – pokazują, jaki z tym kłopot. Po dwudziestu latach trwałej obecności we francuskim życiu politycznym nie da się już definiować Frontu Narodowego przez odniesienia do pojęcia faszyzmu, jak robiono to początkowo, nawet jeśli tego rodzaju identyfikacja pozostaje jeszcze odruchem w politycznej walce. Gdy zaistniał publicznie w pełni w roku 1984, sugestia o pewnej jego bliskości z faszyzmem nie była nierozsądna. To nawet dość naturalny odruch umysłu wobec jakiegoś nowego zjawiska – by sprowadzić „jeszcze nieznane” do „już znanego” i wyjaśniać to, co nowe – starym. Faktem jest, że nieczęste są zjawiska historyczne absolutnie nowe, na ogół bywają one tylko pewną nową kompozycją wcześniejszych elementów, jakby ponownym użyciem materiałów, które już wcześniej czemuś służyły, a teraz użyte zostają dla nowych przeznaczeń. Ta powtórna utylizacja zdarza się być może jeszcze częściej ideom politycznym: czy aby nie ta intuicja prowadziła nas, gdy postanowiliśmy odtworzyć polityczne tradycje? Kojarzenie Frontu Narodowego ze wspomnieniami, jakie pozostawiły ustroje obdarzane etykietką „faszystowskie”, było także podstawowym i dość skutecznym sposobem demonizowania przeciwnika. Dyskusja o naturze Frontu Narodowego zająłaby się, w niewielkim kręgu specjalistów, z kontrowersją – wspomnianą już na początku tej książki – co do istnienia francuskiej odmiany faszyzmu.

Bez powracania już do istoty tamtej dyskusji, niech mi będzie jednak wolno przedstawić powody wzbudzające mój opór względem zbyt dowolnego posługiwania się pojęciem faszyzmu. Trudność wynika z podwójnego znaczenia tego terminu. Znaczenie wąskie jest absolutnie jednoznaczne: oznacza dokładnie doświadczenie włoskie z lat 1922–1945, faszyzm i jego nazwę, nadaną przez samych twórców i inspiratorów. Problem powstaje z chwilą, gdy próbuje się rozciągnąć tę nazwę na inne doświadczenia historyczne, współczesne lub z innych epok, z powodu stwierdzanego lub przypuszczanego podobieństwa. Zamiar taki jest jak najbardziej uzasadniony: chęć przekroczenia stadium monograficznego

opisu jakiegoś zjawiska, by dokonać porównań i zdefiniować jego typ ogólny jest właściwością każdego naukowego dociekania. Faszyzm nadaje się do tego rodzaju ćwiczenia. W historii idei i ustrojów politycznych otworzył rozdział wystarczająco nowy i rozwinął wystarczająco oryginalną praktykę, by stanowić przedmiot stosownej definicji. Co więcej, istniało bezsprzeczne pokrewieństwo między wieloma ustrojami i ich reżimami w tamtym okresie: strategiczne porozumienia, solidarność, ale także wspólne odniesienia, wzajemne oddziaływania, świadome naśladownictwa, wszystko, co tworzy obiektywne podłoże dla stwierdzenia pewnej szczególnej, charakterystycznej kategorii. Uważam także za coś zupełnie normalnego stawianie na poważnie pytań o możliwe francuskie odpowiedniki faszyzmu i zgadzam się z Zeevem Sternhellem, że francuscy intelektualiści, tacy jak Georges Sorel czy Vacher de Lapouge, odegrali pewną rolę we wprowadzaniu filozofii politycznych, pojęć i tematów, którymi karmił się faszyzm. Moje zastrzeżenia dotyczą oceny posłuchu, jakie te idee znalazły w opinii publicznej, a zwłaszcza powodzenia, z jakim spotkały się ze strony organizacji i ruchów politycznych: bo co innego głoszenie i obieg pewnych idei w ograniczonym kręgu, a co innego ich przyjęcie przez szerokie kręgi i wpływ na decyzje polityczne. Osobliwość Francji polega na tym, że idee zwane faszystowskimi nie były ideami rządzącymi Francją ugrupowań politycznych przed rokiem 1943.

Jeśli zatem nie ma dyskwalifikujących zastrzeżeń co do traktowania faszyzmu jako pojęcia względnie uniwersalnego i do poszukiwania, z tym narzędziem w rękę, jego występowania w historii – jest sprawą ważną, by dysponować jego ścisłą definicją. Nazbyt obszerna definicja niesie ryzyko, że niczego nie definiuje i nic nie znaczy: także w odniesieniu do politycznych idei ich dobre zrozumienie pozostaje w odwrotnym stosunku do obszerności definicji. I z tego powodu nie dołączam do tych, którzy proponują dla faszyzmu definicje, moim zdaniem, nazbyt swobodne: bo stosowane w tych definicjach kryteria nie wydają mi się dostatecznie ścisłe. Od kryteriów należy oczekiwać, że będą pomagać w odróżnieniu danej ideologii od innych systemów myślenia. I tak – jeśli jest prawdą, że faszyzm schlebia sobie, iż staje ponad podziałem prawica–lewica, utrzymując, że dokonuje syntezy jednej i drugiej, to wcale nie wystarcza, by jakaś doktryna lub ruch polityczny uważający podział na prawicę i lewicę za wtórny lub archaiczny i stawiający sobie za cel zaspokojenie podstawowych aspiracji prawicy i lewicy był tylko dlatego kwalifikowany jako skłaniający się ku faszyzmowi. W przeciwnym wypadku każda ideologia jednocząca byłaby podejrzana o skłonność do tego typu systemu politycznego. Właśnie wszelkiej maści centryści są w takiej sytuacji; a któż jest bardziej odległy od faszyzmu niż oni?

To samo rozumowanie może być zastosowane wobec innego elementu możliwej, ogólnej definicji faszyzmu, do którego to elementu niektórzy ze specjalistów przywiązują wielką wagę: do łączenia tego, co społeczne, z tym, co narodowe. Ruchy próbujące takiego łączenia chętnie się powszechnie, że godzą ze sobą wartości, które rozłączyła historia w XIX wieku: chwaloną przez prawicę ojczyznę i tradycję z promowaną przez lewicę socjalistyczną solidarnością klasową i proletariackim internacjonalizmem. Faszyzm zmniejszył tę rozłączność, dopuszczając zarówno postęp społeczny, jak i wielkość narodu.

Nazwa ruchu, jaki oświadczył władzę w Niemczech w roku 1933, jest pod tym względem symboliczna: narodowy socjalizm. To kryterium prowadzi głębiej do istoty faszyzmu niż poprzednie, ale i ono wcale nie wystarcza, by tylko w oparciu o nie określić jakiś ruch polityczny, doktrynę czy program jako „faszystowski”.

Krytyka liberalizmu, potępienie nadużyć demokracji przedstawicielskiej, odrzucenie indywidualizmu i filozofii oświecenia, nieufność wobec rozumu były z pewnością częścią faszyzmu. Ale czy wystarczają, by go zdefiniować? Wyżej wymienione zarzuty – czy krytykę – można też przypisać prawicy kontrrewolucyjnej, bez potrzeby mieszania jej z faszyzmem. Gdyż różnią się od siebie całą resztą, a ta „reszta” jest tak ważna, że nie da się jej pominąć. Nie mają ani tej samej wizji historii, ani nie wyjaśniają tak samo jej biegu, ani też nie proponują tych samych rozwiązań. Faszyzm twierdzi i uważa, że jest rewolucyjny. Nie podziela intelektualnej odrazy, jaką wzbudza w myśleniu kontrrewolucyjnym sama idea woluntarystycznej ingerencji w bieg historii, w której ludzka ręka zastępuje wolę Opatrzności. Faszyzm ma ambicję stworzenia nowego człowieka i nowego społeczeństwa. Aby tego dokonać – liczy na interwencję państwa. Faszyzm wyznaje kult państwa, Mussolini pierwszy stworzył teorię jego wszechwładzy. Mówił o totalitaryzmie, nawet jeśli używał tego słowa w trochę innym sensie niż ten, jakiego nabrało dzisiaj, po doświadczeniach XX wieku i ich analizach. Państwo ponad wszystko, ale samo państwo zagarnięte przez partię, zinstrumentalizowane w służbie pewnej ideologii. Nie wystarczyłoby zatem lekkomyślnie zakwalifikować jako faszyzm jakiegokolwiek doktryny tylko dlatego, że wykazuje pewne podobieństwa z tym modelem. O ile nie sposób zachować tej nazwy jedynie dla ustroju Włoch pod rządami Mussoliniego, to nie mniej sporne byłoby bezładne podciąganie pod tę definicję doświadczeń tak odmiennych, jak Portugalia pod rządami Salazara czy Austria pod socjalchrześcijańskimi rządami kanclerza Dolfüssa. Jeśli mam trzymać się przypadku Francji – o ile uważam, że Francuzi przeżyli doświadczenie tego rodzaju w ostatnich miesiącach okupacji, w roku 1944, gdy ministrowie wywodzący się z milicji tworzyli część rządu, to nie wydaje mi się, żeby początki reżimu Vichy wypełniały definicję faszyzmu. Inspiracja tamtej

rewolucji, zwanej narodową, brała się z innej ideologii, tej dziedziczonej po skrajnej kontrrewolucyjnej prawicy, a odnowionej przez doktrynę Charles'a Maurrasa, usiłującą dokonać syntezy myśli reakcyjnej i integralnego nacjonalizmu.

Zamykając ten nawias, podejmujemy wątek naszych badań współczesnej skrajnej prawicy, reprezentowanej głównie przez elektorat Frontu Narodowego.

O ile trzeba odtąd uznać go za realną siłę z powodu jego trwałej obecności w pejzażu politycznym i możliwości wpływania na scenę polityczną – to jaką nazwą go określić? Odwołanie się do faszyzmu, którego dokonywano początkowo, próbując definiować Front Narodowy, nie jest wcale pouczające. Zresztą jest coraz rzadziej używane. Choć swymi słownymi prowokacjami Jean-Marie Le Pen naraża się na podejrzenie o nostalgię za faszyzmem, to ani jego strategia, ani zachowanie jego elektoratu nie upoważniają do postawienia tezy, że Front Narodowy to ostatnie wcielenie faszyzmu we Francji. Formacja ta dokonała wyboru działania w instytucjonalnych ramach przedstawicielskiej i parlamentarnej demokracji: wystawia kandydatów, indywidualnie lub na listach wyborczych, we wszystkich wyborach, lokalnych lub powszechnych; jej aktywiści uczestniczą czynnie w kampaniach, mityngach, akcji afiszowej, jej wybrani do władz różnych szczebli przedstawiciele uczestniczą w pracach tych gremiów i w obradach, korzystając z obowiązujących uregulowań prawnych i wykorzystując podziały swych przeciwników. Nie ma w tych działaniach niczego, co przypominałoby uliczną przemoc grup nazywanych w okresie międzywojennym „bojówkami”.

Przy tych kłopotach z zakwalifikowaniem Frontu Narodowego pierwsze przychodzące na myśl określenie, mające zarazem walor obiektywizmu, to: „ruch skrajny”. Proste stwierdzenie, które w sposób oczywisty nie przesądza jeszcze o treści tego ruchu. Co oznacza pojęcie: skrajny? Czy ma ono ważność naukową, czy też jest tylko pewną łatwizną służącą dyskwalifikowaniu przeciwnika? Czy poucza nas co do natury i tożsamości Frontu Narodowego?

Czym zatem jest ekstremizm, skrajność? To przede wszystkim usytuowanie na politycznej szachownicy. Właśnie stąd określenie to i jego pierwotny sens biorą swój początek. Wynika ono wprost z wyobrażenia wachlarza obecnych na scenie sił politycznych, ułożonych bądź na osi liniowej, bądź w półkolu naszych izb parlamentarnych, rozciągniętych od jednego krańca do drugiego. Samo to pojęcie jest więc nierozłączne od prawicowego i lewicowego bieguna w parlamencie: implikuje wręcz, że są dwie skrajności, jedna po prawej stronie, druga – po lewej, symetryczne, a historia nie raz pokazywała zbieżności i ukazywała

powinowactwa między tymi dwiema skrajnościami. Jakież ugrupowanie sytuuje się na skrajnej pozycji tak długo, jak długo ktoś nie zajmie pozycji jeszcze bardziej skrajnej, czy to po prawej, czy po lewej stronie. Wspominaliśmy już, że radykalizm był przez pewien czas lewicową skrajnością – lewicowym ekstremizmem – dopóki ugrupowania socjalistyczne nie wypchnęły go swym ekstremizmem z jego skrajnej dotąd pozycji, przesuwając bardziej ku centrum. Przez pewien czas strategiczną dyrektywą Partii Komunistycznej był nakaz, aby nigdy nie dać się nikomu „zajść” z lewej strony: stąd jej zażarte zwalczanie i dyskredytowanie trockistów, którzy mogli zasadnie twierdzić, że reprezentują lewicową interpretację leninizmu w przeciwieństwie do „thermidoriańskiego odchylenia” komunizmu stalinowskiego; stalinowcy komuniści nazywali ich nawet „hitlero- trockistami”. Obecnie, z wyjątkiem kilku nic nie znaczących faszyzujących grup, żadna organizacja polityczna nie kwestionuje pozycji Frontu Narodowego na skrajnej prawicy. Jeśli on sam nie domaga się wyraźnie uznania go za skrajną prawicę, to już fakt, że przedstawia się jako jedyna prawdziwa prawica, zarzucając zarazem innym zdradę prawicowych wartości i oszukiwanie elektoratu, oraz że stawia je na jednej płaszczyźnie z lewicą, potępiając ich kompromisowość i współodpowiedzialność za „bandę Czworoga” – potwierdza lokalizację partii Jeana-Marie Le Pena na skrajnej prawicy.

Zajęta w ten sposób pozycja w politycznej przestrzeni nie pozostaje bez wpływu na kierunki działania: kierunki te wprawdzie uczestniczą w wyznaczaniu pozycji, ale i odwrotnie: zajmowana pozycja wpływa na strategię, zachowania, a nawet na partyjne programy. Pojęcie skrajności nabiera w ten sposób drugiego znaczenia: skrajność przeciwstawia się teraz umiarowi i umiarkowaniu. Dotykamy w ten sposób rozróżnienia, które – być może – jest tak samo doniosłe i cenne w wyjaśnianiu zachowań i dokonywanych wyborów, jak para przeciwieństw prawica–lewica; dotykamy rozróżnienia między skrajnymi a umiarkowanymi, bardziej związanego z temperamentami niż z ideami. Nic nie jest bardziej obce skrajnościom niż umiarkowanie. Podejmując pewne określenie, którym szeroko posługiwano się w XIX wieku – stało się nawet tytułem wielkiej gazety redagowanej przez Henriego de Rocheforta, „L’Intransigeant” (Nieprzejednany) – a które nie jest dzisiaj w ogóle używane (chyba tylko w słownictwie religijnym dla scharakteryzowania pewnego odcienia katolicyzmu), trzeba powiedzieć, że ekstremiści są właśnie nieprzejednani. Nieprzejednani w trwaniu przy swym systemie myślenia i wyrażaniu swych idei; przeświadczeni o własnej pewności, przekonani co do słuszności swej wizji lub naukowości swej metafizyki; jako tacy nie są skłonni czynić najmniejszej koncesji na rzecz punktu widzenia swych przeciwników. Wszelka taka koncesja poczytywana jest za zdradę. Na płaszczyźnie politycznej chcą

wyciągać wszystkie konsekwencje ze swych zasad: to pierwsze znaczenie pojęcia „radykalny”. Wszystkie konsekwencje, i to jak najszybciej; wszelkie stopniowanie w czasie, uzależniane od okoliczności, aby powoli pokonywać opór zastanej rzeczywistości lub opinii, jest już postrzegane jako odstępstwo od przekonań i koncesja poczyniona na rzecz przeciwnika. Przedłużające się trwanie w opozycji utrwala ów stan umysłowości, bo uwalnia ekstremistów od obowiązku sprawowania władzy, a więc od podejmowania odpowiedzialnych decyzji.

Stosunek ruchów skrajnych do idei jest bardzo różny. Niektóre ekstremalne nurty są, szczerze mówiąc, bardziej jeszcze „szkołami myślenia” niż partiami politycznymi, mniej zajmują się działaniem politycznym niż dbałością o doktrynalną ortodoksję: przykładem są, na skrajnej prawicy, niegdysiejsi zwolennicy Maurrasa, a dzisiaj, na skrajnej lewicy, ruchy trockistowskie. Ruchy te poświęcają więcej uwagi kształceniu elity wypróbowanych bojowników niż rekrutacji licznych członków. Wśród tych, którzy zasiadają na krańcach sceny politycznej, są i inni, pogardzający ideami lub obojętni wobec nich: mają lichą opinię o intelektualistach, którym zarzucają marzycielstwo. Grają bardziej na uczuciach niż na ideach. Podsycają niezadowolenie obywateli, wykorzystując do tego każdy powód, podtrzymują niepokoje różnych kategorii wyborców. Ich analizy sytuacji i trudności nie błyszczą subtelnością. Ich dyskurs naznaczony jest wyraźnie powierzchownym charakterem dokonywanych analiz, uproszczeniem, żeby nie powiedzieć – prostactwem – proponowanych rozwiązań i zalecanych środków naprawczych. Wypowiadają się mniej więcej tak: „Jest tylko jeden sposób, żeby...”, czemu nieuchronnie towarzyszy pytanie, stawiane jako zarzut pod adresem odpowiedzialnych władz: „Co zatem zamierza władza, aby...?”. Po takich zasadniczych sformułowaniach można rozpoznać cechę charakterystyczną tej wtórnej formy ekstremizmu, jaką jest demagogia w czystej postaci, działalność dla pozyskiwania głosów i poparcia bez zbytniego przejmowania się jakością używanych argumentów – w przeciwieństwie do postępowania z dbałością o edukację, polegającego – odwrotnie – na uświadamianiu obywatelom złożoności sytuacji, wielości możliwych rozwiązań i względności takiej czy innej decyzji. Powodzenie ekstremizmu jest miarą zasięgu politycznego analfabetyzmu.

Ekstremizm pierwszego typu jest kwestią doktrynerskiej umysłowości, ten drugi natomiast – kwestią ograniczających uproszczeń. Jeden i drugi występuje tak na prawicy, jak na lewicy. Front Narodowy przejawia w sposób oczywisty więcej tego drugiego niż pierwszego, jeśli przyjrzeć się ubóstwu jego analiz i gwałtowności jego wystąpień. Zamiłowanie wszelkiego ekstremizmu do radykalności programów i strategii, jak również



wpojony manicheizm, leżący u podłoża dokonywanych ocen, inspiruje charakterystyczną dla ekstremizmów postawę polityczną „im gorzej, tym lepiej”. Ekstremiści są przekonani, że z największego nawet zła jakimś cudem wyjdzie zdecydowana poprawa. Nie są dalecy od myślenia, że w apokaliptycznej wizji świata (będącej irracjonalnym składnikiem tego systemu), świata rozdartego między dobro i zło, powrót do stanu niewinności lub spełnienie się utopii musi nieuchronnie przejść przez pogorszenie się stanu obecnego: w miarę potrzeby – wesprze się to przejście. Jest to punkt, w którym ekstremiści wszelkiej maści zrywają w sposób jak najbardziej radykalny z rozumowaniem i praktyką umiarkowanych.

Mając na względzie te elementy definiujące, skonfrontowane z wyżej wymienionymi kryteriami, ugrupowania, które następowały po sobie (jednak w sposób nieciągły, co uniemożliwia wykazanie zachodzącej między nimi genealogii tak wyraźnie jak w wypadku pozostałych prawic), poczynając od rewizjonistycznego ruchu zwanego boulanżyzmem po Front Narodowy, poprzez nacjonalistyczne ożywienie w czasach sprawy Dreyfusa, antyparlamentaryzm z końca Trzeciej Republiki, nie zapominając o poujadyzmie – są z całą pewnością ekstremizmami: formacje te nie tylko sytuowały się na skrajnej prawicy, lecz także ich sposób postępowania, dyskurs polityczny, ich strategia były całkowicie skrajne.

Czy ustaliwszy to wszystko, zostaliśmy dostatecznie pouczeni co do właściwej natury tej kolejnej możliwej prawicy? Odniesienie do ekstremizmu wskazuje na pewne cechy jej indywidualności: nie ujawnia nam jednak sekretu jej tożsamości. Zaproponowane przez nas określenia „prawica kontrrewolucyjna” (która także była pewnym ekstremizmem) czy „prawica liberalna” w sposób oczywisty odwoływały się do pewnej wizji świata i do pewnego społecznego projektu. Aby wypełnić nazewniczą pustkę, wysuwano różne sformułowania. Napotkawszy ten problem, Zeev Sternhell – który jako jeden z pierwszych uznał nawroty społecznej gorączki za organiczny składnik układu sił – nazwał tę prawicę „rewolucyjną”: czyż składnik „rewolucyjności” nie wpisuje się zazwyczaj w obszar poza ramami legalności, zewnętrzny wobec zastanego, legalnego układu sił? Takie nawroty gorączki, jako trwałe, organiczne ale pozalegalne składniki systemu politycznego, bazują zwykle bardziej na ulicznej agitacji i manifestacji niż na środkach, jakie każdemu obywatelowi daje do dyspozycji praktyka demokracji wyborczej. A ta prawica często sięgała po metody niezbyt zgodne z poszanowaniem prawa. Co więcej – i być może to właśnie najbardziej zaważyło na dokonanych przez Sternhella wyborze nazwy „prawica rewolucyjna”, bo podkreśla on, że w programie tego ruchu odrzuca się filozofię oświecenia i zdobycze rewolucji 1789 roku – ta tradycja nosi w sobie rzeczywiście ziarno możliwego przewrotu, mającego za cel ustanowienie rządów kontrrewolucji.

Jednak im dłużej się zastanawiałem, tym mniej zadawała mi określenie „prawica rewolucyjna”. A nawet, gdy wszystko dobrze rozważyłem, wcale mnie nie przekonało. Przede wszystkim samo pojęcie rewolucji jest, od strony historycznej, naznaczone konotacją, która nie ogranicza jego sensu do samego procesu, ale wskazuje także jego inspirację: czy chce się tego, czy nie, pojęcie rewolucji bardziej związane jest z ruchem wywracania porządku społecznego lub niszczenia ustalonych wartości niż z ich przywracaniem. Rządowi marszałka Pétaina nie udało się uwiarygodnić rewolucji nazwanej narodową. Jeśli chodzi o ugrupowanie uważane dzisiaj za reprezentanta tej linii – nie odpowiada ono żadnemu z kryteriów prawdziwie rewolucyjnego ruchu: we Froncie Narodowym nie ma najmniejszej nawet chęci wywracania ustalonego porządku społecznego, nie wywołuje żadnego wzburzenia, nie prowadzi bojówkarskiej działalności. Nawet jego polityczny dyskurs nie ma rewolucyjnego brzmienia. „Kontestacyjny” byłby lepszym określeniem tego stanu ducha, tej postawy odrzucenia. Ale to nie jest cechą charakterystyczną wyłącznie Frontu Narodowego, w równym stopniu odnosi się do lewicy: „stan umysłu” roku 1968 był o wiele bardziej kontestacyjny niż rewolucyjny.

Aby odczytać te pojawiające się w sposób nieciągły przejawy prawicowego ekstremizmu, często stosowano wobec nich epitet nacjonalizmu. Jest faktem, że od czasu pojawienia się bulanżeryzmu – który sam przecież zrodził się z pewnego gorączkowego ruchu patriotycznego – namiętne przywiązanie do ojczyzny, obawa o jej bezpieczeństwo i wielkość, obsesja jej możliwego upadku były stałymi elementami: odnajdujemy je w Action française, w niektórych ugrupowaniach byłych kombatanów Wielkiej Wojny, w zbuntowanych lub pokojowych ligach, u tęskniących do rządów Vichy, u zwolenników francuskiej Algierii, we Froncie Narodowym, którego narodowa preferencja jest właśnie tematem zasadniczym. A jednak, o ile te uczucia były z pewnością składnikiem wszystkich tych ruchów, wątpię, by odwołanie się do tej wspólnej nazwy wystarczało dla zdefiniowania szczególnej tożsamości każdego z nich. Nacjonalizm, jak wiadomo, nie jest przywilejem prawicy; zrodził się na lewicy, i nawet zachowuje tam jeszcze mocne pozycje. Partia Komunistyczna często odwoływała się do tej samej wrażliwości i tych tematów, występując przeciw sojuszowi ze Stanami Zjednoczonymi w ramach Paktu Atlantyckiego, przeciw ponownemu zbrojeniu się Niemiec i zbliżeniu z wczorajszym wrogiem, przeciw wspólnemu rynkowi, przeciw wszelkiemu rozszerzaniu Unii Europejskiej, a dzisiaj – przeciw przyjęciu kontynentalnej Konstytucji Europejskiej, której rozwiązania mają być narzucone narodom. Zresztą choć retoryka Jeana-Marie Le Pena zapożyczona jest z tradycyjnego repertuaru skrajnie prawicowego francuskiego nacjonalizmu, to prezentuje także względem tych źródeł sporo

nowości. Nie ogranicza się już tylko do ciasnego sześciokąta Francji, nabiera wymiaru europejskiego: deputowani Frontu Narodowego nie gardzą miejscami w Strasburgu, wchodzą w skład międzynarodowych grup parlamentarnych. Sam założyciel tego ruchu nie miał niedawno skrupułów przed afiszowaniem – w dosłownym sensie – swego pokrewieństwa i solidarności z zagranicznymi partiami, Włoskim Ruchem Społecznym i jego hiszpańskim odpowiednikiem. Nacjonalizm Frontu Narodowego nabrał wymiarów kontynentalnych: jego wrogiem jeszcze większym od integracji europejskiej jest globalizacja. Największe niebezpieczeństwo, jak mu się wydaje, stwarza inwazja Arabów, Afrykanów, Azjatów. Jego ksenofobia skierowana jest przeciw wkładowi innych kontynentów, innych cywilizacji. Dlatego przymiotnik „nacjonalistyczny” pasuje lepiej do jednego z elementów jego programu niż do charakterystyki tożsamości Frontu Narodowego.

Świadomi trudności ze znalezieniem określenia, które opisywałoby i definiowało specyfikę tej politycznej tendencji, bystrzy obserwatorzy jej aktualnego politycznego wyrazu – jak Pascal Perrineau, autor książki *Le Symptôme Le Pen* (Symptom Le Pen), który uczynił Front Narodowy przedmiotem głębokich badań, czy Michel Winock, który nakreślił historię różnych wcieleń tego nurtu w odniesieniu do powracających kryzysów społeczeństwa francuskiego w książce *La Fièvre hexagonale. Les grandes crises politiques de 1871 à 1968* (Sześciokątna gorączka. Wielkie kryzysy polityczne od 1871 do 1968 roku) – zaproponowali, aby w oświadczeniu o stanie cywilnym tej skrajnej prawicy wpisać nazwę „prawica populistyczna”. Nie sądzę, aby nazwa ta oddawała dokładnie całość tego zjawiska. Termin ten bardziej opisuje tych, do których ta skrajna prawica adresuje swe posłanie, niż charakteryzuje sam ów nurt prawicy. Sugeruje, że zarówno program, jak wskazywane cele politycznej działalności są zdeterminowane rodzajem poszukiwanej klienteli. Ale termin ten został raczej dobrze przyjęty i jest dość powszechnie używany. Można domyślać się przyczyn tego powodzenia: podkreśla jedną z wyróżniających cech ekstremizmu. Bo termin „populistyczny”, więc „ludowy”, zawiera pewien odcień negatywny: lud, do którego czynione jest to odwołanie, nie jest tym ludem, którego ideę stworzyła nasza polityczna tradycja, a więc złożonym z obywateli zasadniczo wolnych i rozumnych, jak to zakłada demokracja. Odcień negatywny, zawarty w określeniu „populistyczny”, ujmuje lud jeśli nie jako bezwartościowe pospólstwo, które potępiał w swoim czasie Thiers, to mniej więcej jako tłum, ludowe masy. Raczej jako „plebs”, niż „populus”. By nawiązać do niedawnego rozróżnienia – „populizm” to ruch odwołujący się raczej do klienteli z dołów społecznych niż z warstw wyższych. Termin ten służył już Rzymianom do opisanie wymiany usług między oddającym głos a dostarczaną w zamian opieką (to odwołanie do praktyki starożytnego Rzymu zdecydowanie

wciąż pozostaje ważne...). Czyż nie ma pewnej analogii między rolą, jaką instytucje Republiki Rzymskiej wyznaczały postaci zwanej trybunem ludowym (trybunem plebsu) – a funkcją, jaką przywłaszczają sobie pewne ugrupowania polityczne, czyniące z siebie rzeczników ludowego niezadowolenia i żądań ludu? Georges Lavau ukazał w sposób oczywisty tę rolę w odniesieniu do Partii Komunistycznej i przedstawił pojęcie „funkcji trybuna” pełnionej przez niektóre partie polityczne. Front Narodowy także przypisał sobie tę misję – bycia głosem pewnej klienteli, która skarży się, że nie jest wysłuchiwana przez władze publiczne, i uważa się za zawiedzioną przez tych, których wybrała jako swych reprezentantów. Analogia ta tłumaczy być może tę względną łatwość, z jaką wielu wyborców przeszło bez specjalnej fazy przejściowej od jednej skrajności do drugiej, od głosowania na komunistów – do głosowania na Le Pena: w jednym i drugim wypadku wyborcy chodzi mniej o uczestnictwo w jakimś systemie filozoficznym czy o wyrażenie jakiegoś politycznego wyboru niż o to, żeby usłyszane zostały jego skargi i powody do niezadowolenia. Nie tylko skrajna prawica jest populistyczna. W kampanii przed referendum w sprawie projektu Konstytucji Europejskiej populizmem kierowała się spora część lewicy nawołującej do głosowania na „nie”.

Jednak populizm skrajnej prawicy nie uprawia ani nie eksploatuje tych samych tematów, co ekstremizm lewicowy. To są te różnice, które odróżniają je od siebie, a zarazem różnicują ich klientele i podejmowane główne tematy.

Akcent położony na klientelę nurtu określonego jako „populistyczny” kosztem źródeł jego inspiracji wyjaśnia trudność, jaką sprawia próba uchwycenia jego tożsamości. Wyjaśnia też, być może, moją niechęć do potraktowania tego nurtu w kategoriach filozoficznych na równi z tradycyjnymi nurtami mogącymi poszczycić się odwołaniem do wielkich umysłowości, które naznaczały ich czasy. Na próżno by szukać dla tego nurtu patronów godnych rywalizacji z de Maistre’em, Bonaldem czy Tocqueville’em. Drumont nie jest ani Maurrasem, ani Benjaminem Constantem. Ale i polityka to nie tylko idee: to także namiętności, nadzieje, obawy, aspiracje, interesy, marzenia. Nawroty tego rodzaju ruchów oznaczają, że mamy do czynienia z pewną stałą konfiguracją tematów i uczuć.

Konfiguracja ta składa się częściowo z zapożyczeń od innych rodzin myśli, co sprawia, że dokonywane zestawienie zbija z tropu obserwatora. Ale jest ona także powodem przejściowej siły tego rodzaju ruchów: móc i umieć sprawić, by współistniały razem tak różnorodne składniki. W krótkim czasie sprawa jest łatwa. Jest trudniejsza, gdy ma trwać dłużej. Dlatego ten rodzaj ruchów politycznych ma zazwyczaj efemeryczny żywot: na ogół nie są w stanie przetrwać dłużej, niż trwają te wyjątkowe okoliczności, w których się

narodziły. Wyższość Frontu Narodowego nad jego poprzednikami i jego oryginalność polega na tym, że oparł się próbie czasu, wpisał się w czas – i trwa. Sama ta osobliwość zobowiązuje, by zastanowić się nad nim.

Front Narodowy gromadzi rozmaite klientele i różne rodziny myśli. Prawica kontrrewolucyjna jest tam obecna. „Présent” (Obecny) to nawet tytuł dziennika, który wyraża punkt widzenia i obsesje integrystycznych katolików i wspiera stanowisko Jeana-Marie Le Pena. Gdy organizatorzy manifestacji Frontu Narodowego przygotowują jakąś celebrację liturgiczną, odwołują się do księdza z Bractwa Świętego Piusa X. Procentowe rekordy w głosowaniach na Le Pena padają wśród parafian Saint-Nicolas-du-Chardonnet. Ale, bez względu na to, jak zgodne byłyby te oznaki, ich znaczenie jest ograniczone; ta frakcja katolików nie ma innego wyboru; na kogo innego mogłaby głosować, jeśli nie na kandydatów Frontu Narodowego, wyrażających ich niechęć wobec nowoczesności, ich bunt przeciw upadkowi obyczajów i rządzącej amoralności? Są klientelą na uwięzi. Jest to na pewno składnik elektoratu najbardziej podbudowany filozoficznie, ten, którego system myślenia jest najbardziej rozwinięty i najbardziej spójny, ale nie stanowi on jedności: bo ta mniejszość nie jest w stanie sprawić, by wszyscy zwolennicy Le Pena podzielili jej poglądy, a tym mniej – narzucić im swe przekonania.

Nie tylko dlatego, że ma przeciwników w samym ruchu. Specjaliści, wtajemniczeni chętnie przeciwstawiają tej integrystycznej prawicy, przejawowi chrześcijańskiego fundamentalizmu – prawicę, którą nazywają pogańską, gdyż wyznaje ona kult greckolacińskiego antyku i wytacza proces monoteizmowi, czyniąc go odpowiedzialnym za totalitaryzmy, a zwłaszcza chrystianizmowi, któremu przypisuje zrodzenie egalitarystycznej utopii. Ten odłam pochodzi ze szkoły Nowej Prawicy: jej adepci naznaczeni zostali myślą Alaina de Benoista i uczestnictwem w Towarzystwie Badań i Studiów na rzecz Cywilizacji Europejskiej (Groupement de recherche et d'études pour la civilisation européenne – GRECE). Antagonizm między tymi dwiema inspiracjami jest kluczem do zrozumienia pewnych konfliktów w wewnętrznych układach Frontu Narodowego.

Ponadto dominująca inspiracja Frontu Narodowego czerpie z innych źródeł, nowszych niż kontrrewolucyjny integryzm. Ten ekstremizm jest, na swój sposób, także dzieckiem Rewolucji Francuskiej. Nie zamierza jednak nawiązywać do jej zdobyczy; akceptuje tylko suwerenność ludu, trzy kolory i *Marsylianę*. Z tego dziedzictwa zachował tylko wersję czysto obronną, a nie tę odważną, otwartą na świat. To skutek presji wywieranej na politycznym przesłaniu Frontu Narodowego przez tych, do których jest przeznaczone: Front odpowiada tym, którzy niepokoją się o zachowanie tożsamości narodowej, jak i tym,

którzy nie zgadzają się, by inni zachowali sposób życia odmienny od ich własnego, i którzy domagają się pożądaney polityki dyskryminacyjnej.

Różnorodność tej klienteli wyjaśnia sprzeczność jej oczekiwań. I tak oczekuje ona od państwa, by więcej interweniowało, niosąc pomoc dla cierpiących mniejszości. Zarzuca się państwu, że toleruje zachowania sprzeczne z dobrymi obyczajami: elektorat Frontu Narodowego domaga się więcej rygoru w stosowaniu kar, oczekuje od sędziów, że będą karać, od policji – że będzie ścigać. Ale zarazem krytykuje interwencję władz publicznych w sferę gospodarki, stąd stanowisko Frontu Narodowego w tej dziedzinie nie jest odległe od zwolenników najbardziej absolutnego liberalizmu.

Na dzień dzisiejszy hybrydowy charakter programu nie zaszkodził temu nurtowi, znajdującemu więcej przyzwolenia w reakcjach uczuciowych niż w rozumowaniu. Zjawisko to nie jest czysto francuskie: gdzie indziej, we Włoszech, Belgii (flamandzkiej bardziej niż walońskiej), w Szwajcarii, Austrii i innych krajach ruchy te wyznają podobne opinie i zyskują zaufanie wyborców. Jest to reakcja na otwarcie granic, protest przeciw nadejściu takiego wymiaru życia, który ponagla, reakcja partykularyzmów i przywiązania – Pascal Perrineau mówi o „krzyżowcach społeczeństwa zamkniętego”. Jest to odmowa uniwersalizmu.

## **Konkluzja. Czy podział prawica–lewica ma przyszłość?**

Czy przypomnienie tej ponad dwustuletniej historii i aktualizacja jej obrazu w odniesieniu do ostatniego półwiecza upoważnia do konkluzji? W historii ostateczne konkluzje dotyczą tylko zjawisk, co do których jest pewność, że bezpowrotnie przeminęły i wyczerpały swe znaczenie. Tymczasem o ile podczas naszego retrospektywnego spojrzenia narzuca się jakaś pewność, to tylko taka, że ta historia nie jest jeszcze skończona: daleko jej jeszcze do wypowiedzenia ostatniego słowa. Tak przestrzeń ideologiczna, jak system sił politycznych ciągle zdominowane są przez ów podział na dwa obozy, które Francuzi zazwyczaj nazywają prawicą i lewicą. To odróżnienie oparło się próbie czasu i przeżyło wszystkie przemiany – a Bóg wie, jak wiele ich było i jak były głębokie. Zmieniały się pokolenia, także rządy i ustroje. Społeczeństwo uległo głębokiemu przeobrażeniu, także pozycja Francji w Europie i w świecie. Zwłaszcza problemy, z których powodu powstała prawica i lewica, ustąpiły miejsca innym, które w sposób oczywisty nie mają nic wspólnego z tamtymi. Te dwa pojęcia przystosowały się i udało się im wchłonąć nowe dane

rzeczywistości. Obywatele, którzy co czas jakiś ogłaszają przedawnienie tego rozróżnienia i zużycie się tych dwóch pojęć, muszą – za każdym razem, gdy pojawia się temat, który ich dzieli – pośpiesznie znów odwoływać się do tej pary.

Nowe tematy są jakby zasysane przez tę dialektykę. Ewolucja debaty, mającej za swój temat Europę, jest pod tym względem szczególnie pouczająca. O ile był temat, co do którego wydawało się, że uniknie spływającego uproszczenia w zderzeniu prawicy z lewicą, to był nim z pewnością projekt budowy zjednoczonej Europy: od początku, już nazajutrz po drugiej wojnie światowej i aż do dzisiaj projekt ten cieszył się nieustającą sympatią i niepodzielnym poparciem tak prawicy parlamentarnej, jak socjalistycznego rządu – przeciw połączonym opozycjom dwóch sił skrajnych, skrajnej prawicy (z powodu jej przywiązania do suwerenności narodu) i skrajnej lewicy (z powodu jej przywiązania do utopii Rewolucji). Tymczasem w obliczu referendum dotyczącego Konstytucji Europejskiej, dokonało się przesunięcie; część prawic dołączyła do idei suwerenności dzielonej z naszymi europejskimi partnerami, podczas gdy na lewicy zamieszanie powstałe między Europą a liberalizmem i jego demonizacja oderwały od idei zjednoczonej Europy poważne sektory lewicowego elektoratu.

Dowodem tego staranność, jaką wykazali przeciwnicy projektu traktatu europejskiego w rozróżnianiu tego „nie”, które mówiła lewica – od „nie”, które mówiła prawica przywiązana do suwerenności i prawica skrajna. Stanowczo rozróżnienie to nie jest więc tylko wymysłem umysłu nazbyt skłonnego do klasyfikowania: wyraża rzeczywistość. Narzuca się przypuszczenie, że ten podział na dwoje, to binarne rozróżnienie jest koniecznością wynikającą z samej natury polityki.

A jednak ten dualistyczny schemat opisuje tylko pewien wymiar rzeczywistości, do którego się ona nie sprowadza. Rzeczywistość ta jest także pluralistyczna: po obu stronach linii dzielącej prawicę od lewicy odróżnić można liczne prawice i liczne lewice, których istnienie jest także dowiedzione, i które również przetrwały granice wieków. Był to w roku 1954 temat eseju, którego przedłużeniem jest niniejsza książka: wykazać tę trwałość w odniesieniu do prawic; teza ta jest dziś powszechnie przyjmowana. Od tamtego czasu inni próbowali zastosować to ujęcie wobec lewic. Cały sens życia politycznego tkwi w artykułowaniu tej wielości za pomocą owego podstawowego dualizmu. Próbowaliśmy nakreślić przebieg tej artykulacji, pokazać jej mechanizmy i rozwikłać jej następstwa.

Widząc rezonans tych pojęć poza Francją, ich zapożyczenia i zastosowania w innych krajach – odczuwa się pokusę postawienia sobie pytania, czy ich zasadność wykracza poza przypadek jednego kraju, tego, który je wymyślił i pierwszy zastosował. Pod tym względem

ewolucja Europy obfituje jeszcze w pouczenia i pytania: w Parlamencie Europejskim różnorodność rodzin politycznych i ideologicznych tradycji zbiega się z różnorodnością dwudziestu pięciu krajów, z których każdy ma własną historię. Cóż bardziej opornego wobec redukcji do jednego tylko dualizmu? Tymczasem z wyjątkiem kilku małych ugrupowań, które nie chcą zmieścić się w tym schemacie, wszystkie wielkie siły polityczne zajęły swe miejsca wokół dwóch głównych biegunów, z których jeden zgadza się, by nazywać się prawicowym, a drugi obwieszcza swe położenie na lewicy. Czy zatem prawica i lewica nie są kategoriami uniwersalnymi?



## Przypisy

### Rozdział I. Historia pewnej książki

1. Rassemblement du peuple français (Zgromadzenie Ludu Francuskiego) – ugrupowanie założone przez generała Charles’a de Gaulle’a po jego rezygnacji z urzędu premiera rządu tymczasowego, działało w latach 1947–1955.
2. „Esprit” – założony w 1932 przez Emmanuela Mouniera miesięcznik o chrześcijańsko-personalistycznym profilu. Pismo prezentowało krytyczne wobec kapitalizmu stanowisko w sprawach społecznych.
3. Valéry Giscard d’Estaing (ur. 1926), prezydent Republiki Francuskiej w latach 1974–1981, reprezentant liberalnego nurtu prawicy, lider Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF). W latach 2002–2004 kierował Konwentem Europejskim przygotowującym projekt Konstytucji Unii Europejskiej.
4. Maurice Duverger (ur. 1917), wybitny prawnik i socjolog, głównym przedmiotem jego analiz było prawo wyborcze i systemy polityczne. Wysunął tezę, że typ ordynacji wyborczej decyduje o charakterze systemu politycznego: ordynacja większościowa tworzy system dwupartyjny, zaś proporcjonalna – wielopartyjny.
5. Raymond Aron (1905–1983), znakomity filozof polityki, socjolog i publicysta związany z liberalną tradycją myślenia. W Polsce ukazały się rozmowy z Aronem (*Widz i uczestnik*, Warszawa 1984) oraz trzy jego książki (*Esej o wolnościach*, Warszawa 1997; *Opium intelektualistów*, Warszawa 2000; *Wspomnienia*, Wołomin 2007).
6. André Siegfried (1875–1959), socjolog i ekonomista, wykładowca École des sciences politiques.
7. Mouvement républicain populaire (Ruch Republikańsko-Ludowy) – partia o chrześcijańsko-demokratycznym charakterze działająca w latach 1944–1967. Odgrywała zasadniczą rolę w polityce Czwartej Republiki, biorąc udział w większości rządów. Jednym z jej liderów był Robert Schumann, prekursor integracji europejskiej.
8. Centre national des indépendants et paysans (Narodowe Centrum Niezależnych i Chłopów) – powstałe w 1951 roku niewielkie ugrupowanie o liberalno-

konserwatywnym profilu ideowym. Odgrywało znaczącą rolę w latach pięćdziesiątych, należeli do niego premierzy Antoine Pinay i Joseph Laniel oraz René Coty, wybrany w 1953 na prezydenta Republiki.

9. Antoine Pinay (1891–1994) – polityk, w roku 1940 udzielił poparcia marszałkowi Pétainowi, aktywny w okresie Czwartej Republiki, w 1952 roku sprawował urząd premiera.
10. René Coty (1882–1962) – prezydent Francji w latach 1954–1959.
11. Jean Lecanuet (1920–1933) – reprezentant centrowego i liberalnego nurtu prawicy, kandydat w wyborach prezydenckich w roku 1965, w latach 1978–1988 przewodniczący Unii Demokracji Francuskiej (UDF).
12. Alain Poher (1909–1996) – polityk, przewodniczący Senatu w latach 1968–1992, dwukrotny tymczasowy prezydent Francji, po rezygnacji De Gaulle’a w 1969 roku i śmierci Georges’a Pompidou w roku 1974.
13. Georges Pompidou (1911–1974) – współpracownik generała De Gaulle’a, dyrektor jego gabinetu, w latach 1962–1968 sprawował urząd premiera. Po rezygnacji De Gaulle’a wybrany na stanowisko prezydenta Francji, które sprawował do swojej śmierci.
14. Jacques Chaban-Delmas (1915–2000) – w czasie drugiej wojny światowej członek francuskiego ruchu oporu, od 1947 roku aż do 1995 był merem Bordeaux. Reprezentował lewicę gaullistowską, w latach 1969–1972 w czasie prezydentury Georges’a Pompidou sprawował urząd premiera.
15. Raymond Barre (1924–2007) – ekonomista, polityk liberalnej Unii na rzecz Demokracji Francuskiej, był premierem w latach 1976–1981.
16. Edouard Balladur (ur. 1929) – gaullista, wielokrotny minister, w latach 1993–1995 sprawował urząd premiera w okresie koabitacji z prezydentem François Mitterandem. W roku 1995 startował bez powodzenia w wyborach prezydenckich, wchodząc w konflikt z oficjalnym kandydatem gaullistów Chirakiem,
17. François Bayrou (ur. 1951) – polityk zajmujący pozycję niezależną wobec nurtu gaullistowskiego, obecnie jest deputowanym do Zgromadzenia Narodowego i stoi na czele niewielkiego ugrupowania MoDem (Ruchu Demokratycznego). W ostatnich wyborach prezydenckich zajął trzecie miejsce z rezultatem 18 procent głosów.

18. L'Union pour la démocratie française (Unia na rzecz Demokracji Francuskiej) – złożone z wielu środowisk ugrupowanie powołane w 1978 roku przez prezydenta Valérego Giscarda D'Estaing, reprezentowało liberalny nurt francuskiej prawicy. Większość środowisk UDF znalazło się w szeregach powołanej przez prezydenta Jacques'a Chiraca Union pour un mouvement populaire (Unii na rzecz Ruchu Ludowego).
19. Bulanżyzm – nazwa ruchu politycznego o prawicowo-narodowym charakterze, którego liderem był generał Georges Boulanger (1837–1891). W roku 1889 Boulanger podjął próbę zamachu stanu zwróconą przeciwko słabości rządów Trzeciej Republiki.
20. Henri Massis (1886–1970) – eseista, krytyk literacki, dziennikarz, związany z prawicą narodową i Action Française.
21. Marcel Déat (1894–1955) – polityk socjalistyczny, od lat trzydziestych związany z faszyzmem. W roku 1938 opublikował słynny tekst *Dlaczego musimy umierać za Gdańsk?*. W czasie drugiej wojny światowej reprezentował skrajnie kolaboracjonistyczne stanowisko.
22. Croix-de-Feu (Ognisty Krzyż) – założona w 1927 roku organizacja kombatanów pierwszej wojny światowej o narodowym i antykomunistycznym rodowodzie.
23. François de La Rocque (1885–1946) – polityk, pułkownik, przywódca ligi Croix-de-Feu, w roku 1936 utworzył Francuską Partię Socjalną, więziony przez Niemców za pomoc ruchowi oporu.
24. Jean-Louis Tixier-Vignancour (1907–1989) – adwokat, polityk nacjonalistyczny, urzędnik w czasie rządów Vichy, deputowany do Zgromadzenia Narodowego (1956–1958). W roku 1965 jego kampanię prezydencką prowadził Jean-Marie Le Pen.
25. Ruchy poujadowskie, poujadyzm – nazwa populistycznego ruchu politycznego, który rozwinął się w latach pięćdziesiątych i miał reprezentację w parlamencie; na jego czele stał sklepikarz Pierre Poujade.
26. Dien Bien Phu – miasto w północno-zachodnim Wietnamie. Miejsce przegranej przez Francuzów bitwy (1953–1954), która rozstrzygnęła o rezultacie wojny indochińskiej.
27. Jean-Marie Le Pen (ur. 1928) – polityk nacjonalistyczny, przywódca Frontu Narodowego, w roku 2002 wszedł do drugiej tury wyborów prezydenckich, pokonując kandydata socjalistów, premiera Lionela Jospina.

28. Marcel Lefebvre (1905–1991 – arcybiskup Dakaru, reprezentował w Kościele nurt tradycjonalistyczny i krytyczny wobec reform Soboru Watykańskiego Drugiego, w roku 1988 został ekskomunikowany przez papieża Jana Pawła II.
29. Rassemblement pour La Republique (Zgromadzenie na rzecz Republiki) – partia gaullistowska utworzona przez Jacques’a Chiraca w roku 1976, jej kontynuatorką jest Unia na rzecz Ruchu Ludowego (UMP).
30. Kaudyńskie jarzmo – symbol upokorzenia. Podczas drugiej wojny samnickiej w wąwozie kaudyńskim (nieдалеко Kaudium) rozegrała się bitwa między wojskami rzymskimi a wojskami Samnitów (321 p.n.e.). Rzymianie zamknięci przez przeciwnika w wąwozie musieli się poddać. Zmuszeni zostali do wydania Samnitom sześciuset zakładników, a sami pozbawieni broni musieli przejść pod jarzmo, co było hańbiące.
31. Charles Pasqua (ur.1927) – polityk gaullistowski, minister spraw wewnętrznych w rządzie Chiraca (1986–1988), przeciwnik pogłębiania integracji europejskiej, był przeciwny ratyfikacji traktatu z Maastricht.

## Rozdział II. Czy podział na prawicę i lewicę ma jeszcze sens?

1. Adolphe Thiers (1797–1877) – historyk, polityk, przeciwnik Napoleona III. Stłumił wystąpienia Komuny Paryskiej, był jednym z twórców Trzeciej Republiki.
2. Patrice de Mac-Mahon (1808–1893) – marszałek i prezydent Francji w latach 1873–1879, był zwolennikiem przywrócenia monarchii.
3. Léon Gambetta (1838–1882) – polityk, przywódca republikańców w okresie Drugiego Cesarstwa. W czasie wojny francusko-pruskiej wydostał się z Paryża balonem i organizował armię i ruch oporu na prowincji. W czasach Trzeciej Republiki piastował urząd premiera (1881–1882).
4. Jean-Pierre Chevenement (ur. 1939) – socjalista, wielokrotny minister, powołał do życia Mouvement des citoyens (Ruch Obywateli) grupujący środowiska lewicowe wokół obrony wartości republikańskich i z tych pozycji występował przeciwko ratyfikacji traktatu z Maastricht
5. Lionel Jospin (ur. 1937) – pierwszy sekretarz Partii Socjalistycznej (1981–1988), premier w czasie koabitacji z prezydentem Chirakiem w latach 1997–2002.

6. Régis Debray (ur. 1940) – pisarz, w młodości zwolennik Che Guevary, później w swojej twórczości poszukiwał transcendentnych podstaw dla porządku republikańskiego, w latach osiemdziesiątych współpracował z prezydentem François Mitterandem.
7. Michel Rocard (ur. 1930) – polityk, ekonomista socjalistyczny, premier w latach 1988–1991.
8. Gaston Defferre (1910–1986) – polityk, adwokat, współpracownik prezydenta Mitteranda, architekt reformy decentralizacyjnej przeprowadzonej w latach osiemdziesiątych.
9. Jean-Pierre Raffarin (ur. 1948) – centrysta, polityk Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF). Od 2002 roku działacz Unii na rzecz Ruchu Ludowego (UMP), reprezentujący w niej liberalną wrażliwość. W latach 2002–2005 sprawował urząd premiera.
10. Jean-Louis Debré (ur. 1944) – polityk gaullistowski, syn Michela Debré, członek Zgromadzenia na rzecz Republiki (RPR), potem Unii na rzecz Ruchu Ludowego (UMP), obecnie przewodniczący Rady Konstytucyjnej.
11. Philippe Séguin (ur. 1943) – polityk gaullistowski, przewodniczący Zgromadzenia na rzecz Republiki (RPR) po zwycięstwie Jacques’a Chiraca w wyborach prezydenckich, przeciwnik traktatu z Maastricht.
12. Alain Juppé (ur. 1945) – polityk gaullistowski, najbliższy współpracownik prezydenta Chiraca, dwukrotny premier Francji (1995–1997). Pozbawiony praw publicznych na mocy wyroku sądu z 2004 roku za nadużycia w czasie pełnienia funkcji w merostwie Paryża, sąd apelacyjny uchylił ten wyrok. Wrócił do polityki w roku 2007, obejmując funkcję ministra środowiska, zrównoważonego rozwoju, energii i transportu w gabinecie premiera Fillona. Rezygnuje z funkcji po przegranej w wyborach do Zgromadzenia Narodowego. Obecnie po zwycięstwie w wyborach lokalnych jest merem Bordeaux.
13. José (Joseph) Bove (ur. 1953) – przywódca i organizator protestów rolników we Francji.
14. Corinne Lepage (ur. 1951) – prawniczka, ekolog, minister środowiska w rządzie Alaina Juppégo (1995–1997).

15. Jean Jaurès (1859–1914) – polityk, dziennikarz, przywódca francuskich socjalistów, rzecznik poglądów pacyfistycznych, zginął w zamachu w 1914 roku.
16. Léon Blum (1872–1950) – socjalista, przywódca Frontu Ludowego, premier w latach 1936–1937 i 1938, aresztowany i więziony przez Niemców, po wyzwoleniu Francji ponownie objął urząd premiera.(1946–1947).
17. Jean-Jacques Servan-Schreiber (1924–2006) – dziennikarz, polityk, założyciel tygodnika „L’Express” o liberalno-centrowej orientacji.
18. Mouvement pour La France, MPF (Ruch na rzecz Francji) – skrajnie prawicowa, narodowo-konserwatywna partia polityczna założona w 1994 roku (przyp. red.).
19. Christine Boutin (ur. 1944) – polityk, obrońca tradycyjnych wartości, prawa nienarodzonych do życia i praw rodziny, minister budownictwa w rządzie François Fillona.
20. Alain Madelin (ur. 1946) – polityk, rzecznik reform wolnorynkowych, deputowany od 1978 roku, minister w rządach Chiraca, Balladura i Juppégo, odpowiadał za finanse, przemysł i rozwój przedsiębiorczości.

### Rozdział III. Ile jest dzisiaj prawic?

1. Książka ta została opublikowana we Francji w roku 2005, gdy prezydentem był Jacques Chirac a większość parlamentarna należała do prawicy (przyp. tłum.).
2. Charles Maurras (1868–1952) – pisarz, poeta, polityk, twórca monarchistyczno-narodowej Action française, najważniejsza postać kontrrewolucyjnego nurtu francuskiej prawicy.
3. Fédération nationale des Camelots du roi (Kameloci Króla) – skrajnie prawicowa, monarchistyczno-narodowa organizacja młodzieżowa założona w 1908 roku jako przebudówka Action française. Odpowiedzialna za kolportaż dziennika „L’Action française”, z czasem przbrała charakter bojówki paramilitarnej (przyp. red.).
4. France combattante (Francja Walcząca) – nazwa nadana w 1942 roku siłom politycznym i społecznym, które kontynuowały walkę z Niemcami po kapitulacji

Francji w 1940 roku (wcześniej nosiły one nazwę Wolna Francja, fr. France libre) (przyp. red.).

5. Compagnons de la Libération (Towarzysze Wyzwolenia) – kawalerowie Orderu Wyzwolenia (fr. Ordre de la Libération), odznaczenia ustanowionego przez generała de Gaulle’a w 1940 roku, przyznawanego za najwyższe zasługi w walce o wyzwolenie Francji w czasie drugiej wojny światowej (przyp. red.).
6. Pierre Messmer (1916–2007) – polityk, gaullista, premier w latach 1972–1974.
7. François Jacob (ur. 1920) – biolog, genetyk, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny (przyp. red.).
8. Maurice Schumann (1911–1998) – polityk Republikańskiego Ruchu Ludowego (MRP), po 1958 roku przeszedł na stronę generała de Gaulle’a.
9. Henryk hrabia Chambord (1820–1883) – wnuk Karola X, pretendent do tronu francuskiego jako Henryk V, po upadku Drugiego Cesarstwa nie zgodził się na objęcie tronu w warunkach kompromisu z tradycją Rewolucji Francuskiej.
10. Jacques Maritain (1882–1973) – filozof, kontynuator tomizmu i przedstawiciel personalizmu chrześcijańskiego, świecki uczestnik Soboru Watykańskiego II, miał wpływ na środowisko polskiej inteligencji katolickiej z kręgu Lasek i pisma „Verbum”, po wojnie „Tygodnika Powszechnego”.
11. Henri Ghéon, właśc. H. Vangeon (1875–1944) – dramatopisarz, reżyser, poeta, przeżył nawrócenie podczas pierwszej wojny światowej (przyp. red.).
12. „L’Avenir” – dziennik utworzony w 1830 roku przez La Mennais’go, opowiadający się za akceptacją przez chrześcijan wartości Rewolucji Francuskiej, współpracownikami pisma byli Montalembert i Lacordaire.
13. Sillon (Bruzda) – postępowy ruch katolików świeckich stworzony w 1894 roku przez Marca Sangniera, krytycznie oceniony przez Stolicę Apostolską na początku wieku XX.
14. François Guizot (1787–1874) – wybitny historyk i polityk, premier Francji w latach 1847–1848.
15. Jules Ferry (1832–1893) – adwokat, polityk, twórca reformy oświatowej wprowadzającej obowiązkową, bezpłatną i laicką szkołę podstawową.

16. Pierre Marie René Waldeck-Rousseau (1846–1904) – adwokat, polityk, wielokrotny minister, w latach 1899–1902 premier.
17. Raymond Poincaré (1860–1934) – adwokat, dziennikarz, polityk, pięciokrotny premier Francji, wydał dekret o utworzeniu Błękitnej Armii generała Hallera.
18. Paul Reynaud (1878–1966) – polityk, premier Francji i minister spraw zagranicznych w 1940 roku, więziony przez Niemców, aktywny w polityce Czwartej Republiki, przeciwnik powrotu do władzy generała de Gaulle’a w 1958 roku.
19. Action libérale (Akcja Liberalna) – grupa parlamentarna założona w 1901 roku, z której wyłoniła się wkrótce katolicko-republikańska Action libérale populaire (Ludowa Akcja Liberalna), najsilniejsza partia prawicowa początku XX wieku we Francji (przyp. red.).
20. Union pour la nouvelle République, UNR (Unia na rzecz Nowej Republiki) – partia gaullistowska, utworzona w 1958 roku w celu wspierania działań generała de Gaulle’a (przyp. red.).
21. Union démocratique pour la V<sup>e</sup> République, UD V<sup>e</sup> (Unia Demokratyczna na rzecz Piątej Republiki) – nazwa przyjęta w 1967 roku przez formację gaullistowską.
22. René Pleven (1901–1993) – polityk, premier w latach 1950–1951 i 1951–1952. W 1969 roku razem z Jacques’em Duhamelem i Josephem Fontanetem utworzył ugrupowanie Centrum Demokracja i Postęp (fr. Centre démocratie et progrès), które poparło kandydaturę Georges’a Pompidou w wyborach prezydenckich. W 1969 roku wszedł do rządu jako minister sprawiedliwości (przyp. red.).
23. François d’Aubert (ur. 1943) – polityk Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF), obecnie Unii na rzecz Ruchu Ludowego (UMP), reprezentuje katolickie stanowisko w kwestiach praw rodziny, mer Laval.
24. Charles Millon (ur. 1945) – polityk Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF), w 1999 roku założył ugrupowanie Prawica Liberalno-Chrześcijańska (fr. Droite libérale-chrétienne, DLC), w latach 1995–1997 minister obrony.
25. Michel Noir (ur. 1944) – polityk Zgromadzenia na rzecz Republiki (RPR), w latach osiemdziesiątych jeden z najaktywniejszych działaczy tej partii, były mer Lyonu, skazany w procesie korupcyjnym.



26. François Léotard (ur. 1942) – polityk Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF), minister kultury w rządzie Jacques’a Chiraca (1986–1988), minister obrony w rządzie Édouarda Balladura (1993–1995).
27. Démocratie libérale (Demokracja Liberalna) – konserwatywno-liberalna partia polityczna stworzona w 1997 roku przez Alaina Madelina, następczyni Partii Republikańskiej. Początkowo wchodziła w skład Unii na rzecz Demokracji Francuskiej (UDF), od 1998 roku – niezależna. W 2002 roku rozwiązała się, a jej członkowie wstąpili do Unii na rzecz Większości Prezydenckiej (UMP) (przyp. red.).
28. Jean Baptiste Colbert (1619–1683) – mąż stanu, minister Ludwika XIV, twórca scentralizowanej administracji, reformator systemu podatkowego i rzecznik merkantylizmu.
29. Pierre Mèndes France (1907–1982) – polityk związany z Partią Radykalną, przed wojną najmłodszy członek Zgromadzenia Narodowego, służył w siłach Wolnej Francji. Premier w okresie Czwartej Republiki, negocjował porozumienie kończące wojnę w Indochinach; przeciwnik polityki de Gaulle’a.
30. Nicolas Dupont-Aignan (ur. 1961) – krytyk integracji europejskiej, należał do Unii na rzecz Ruchu Ludowego (UMP), w 2007 roku założył własną partię o nazwie Powstań Republiki i bez powodzenia próbował startu w wyborach prezydenckich (nie zebrał wymaganych pięciuset tysięcy podpisów).
31. Guy Mollet (1905–1975) – socjalista, premier w latach 1956–1957. W 1958 roku poparł de Gaulle’a, później zajął stanowisko opozycyjne wobec jego polityki.
32. José-Maria Aznar (ur. 1953) – centroprawicowy polityk hiszpański, lider Partii Ludowej, premier w latach 1996–2004.
33. Jacques Barrot (ur. 1937) – prawnik, polityk Unii na rzecz Ruchu Ludowego (UMP), wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej.
34. Centre des démocrates social (Centrum Demokratów Społecznych) – partia kontynuująca chrześcijańsko-społeczne tradycje Republikańskiego Ruchu Ludowego (MRP).
35. Alain de Benoist (ur. 1943) – pisarz, dziennikarz, współtwórca Nowej Prawicy, ruchu o neopogańskim profilu ideowym.

36. Anré Colin (1910–1978) – polityk Republikańskiego Ruchu Ludowego (MRP), wielokrotny minister w latach pięćdziesiątych.
37. Georges Bidault (1899–1983) – jedna z głównych postaci ruchu oporu, przywódca Republikańskiego Ruchu Ludowego (MRP). W czasach Czwartej Republiki premier i minister spraw zagranicznych, po 1958 roku przeciwstawił się polityce de Gaulle’a wobec Algierii.
38. Jean Moulin (1899–1943) – przewodniczący Conseil national de la Résistance (Narodowej Rady Ruchu Oporu).
39. Jacques Delors (ur. 1925) – ekonomista i polityk, członek Partii Socjalistycznej, w latach osiemdziesiątych minister gospodarki i finansów, w roku 1985 stanął na czele Komisji Europejskiej.
40. Bernard Bosson (ur. 1948) – polityk Centrum Demokratów Społecznych (CDS), minister transportu w rządzie Édonarda Balladura (1993–1995), mer Annecy.
41. Edgar Faure (1908–1988) – członek Partii Radykalnej, wielokrotny minister w rządach Czwartej Republiki, w latach 1955–1956 piastował funkcję premiera.
42. Josepf Laniel (1889–1975) – polityk o liberalnych przekonaniach, premier w latach 1953–1954.
43. Robert Fabre (1915–2006) – radykał i socjalista, wraz z Mitterrandem i komunistą Marchais’em współtwórca wspólnego programu lewicy w roku 1973.